

ЛА
КАФЬ
ПОЛКА

1906558
Dw. 8
№ 7709

CO MOŻE PIENIĄDZ.

POWIEŚĆ

Ksawerego Montépina.



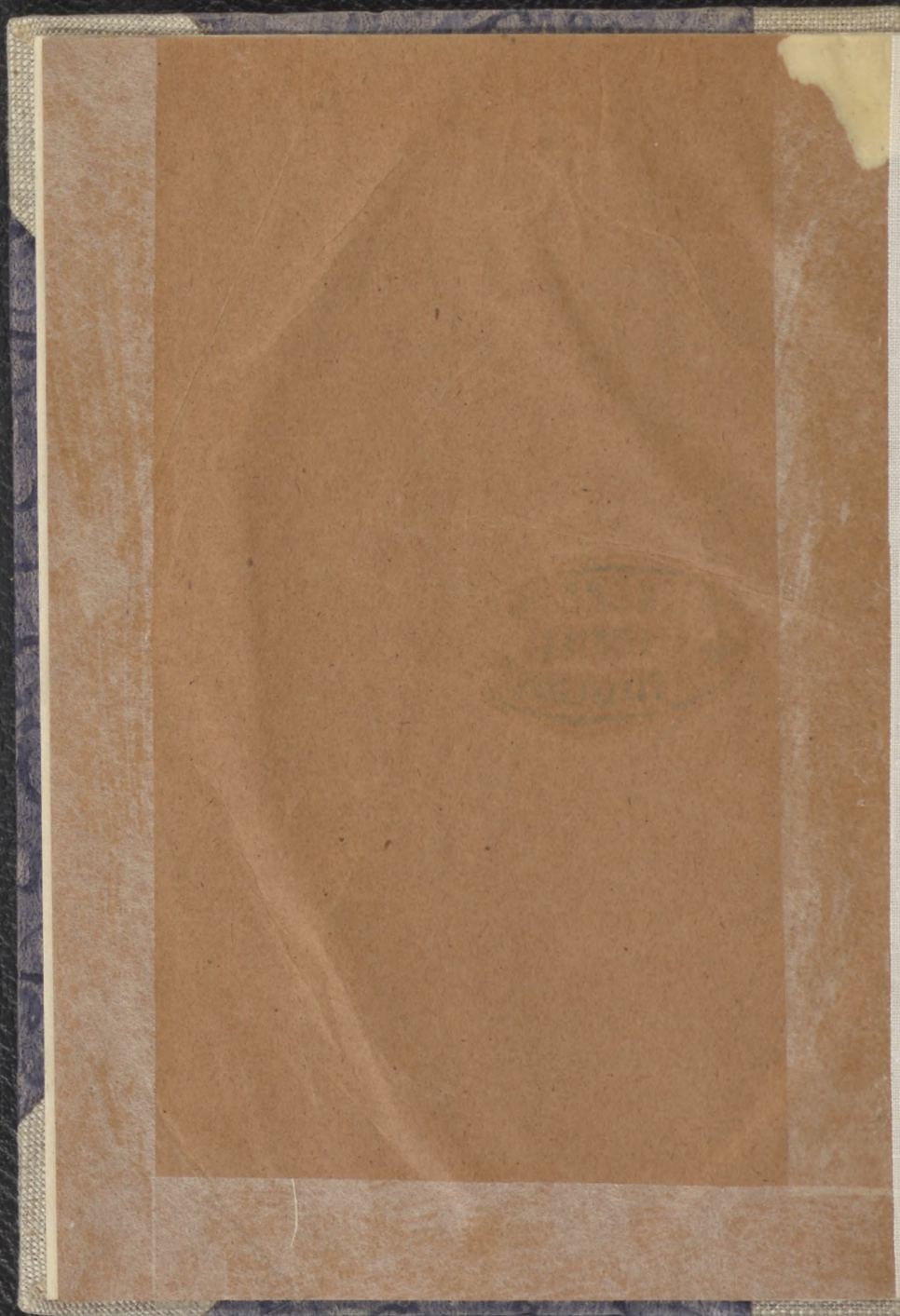
TOM DRUGI.

WARSZAWA.

Nakładem i drukiem A. Pajewskiego, wydawcy „Koleców.”

Ulica Niecała Nr. 12 nowy.

—
1892.



CO MOŻE PIENIĄDZ.

POWIEŚĆ

Ksawerego Montépina.

Przekład.

WYDAWCA
KOLEÓW
1891

5192

TOM DRUGI.

WARSZAWA.

Nakładem i drukiem A. Pajewskiego, wydawcy „Koleów.”

Ulica Niecała Nr. 12 nowy.

—
1891.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, Января 31 дня 1892 года.



1906.958

CZEŚĆ DRUGA.

Hrabina de Gordes.

I.

Tegoż wieczora, zgodnie z przyrzeczeniem, danem Lazarynie, Marcel uprzedził oberżystę, bardzo zdziwionego a jeszcze bardziej zmartwionego, że najazutrz wyjeżdża do Orleanu, a ztamtąd do Paryża.

Zdawało mu się, że im bardziej śpieszyć się będzie, tem prędzej zbliży dzień spotkania.

Margrabina, pozostawszy sama w pawilonie po scenie, którąśmy opisali, siedziała jeszcze kilka minut zadumana, a zmarszczka na czole świadczyła, iż zaduma jej bardzo była poważna.

Powoli zmarszczka znikła, łuk brwi przybrał linię prostą i regularną, usta rozchylił półuśmiech.

— Naprawdę niepotrzebnie się niepokoję — wyszeptała Lazaryna. — Cóż mi szkodzi, że przypadek po raz drugi postawił na mej drodze tego młodzieńca... On we mnie zbyt zakochany, ażeby mógł być niebezpiecznym lub się nim stać.

Słumiła ziewanie, poczem dodała:

— Tak się nudziłam... Marcel Laugier będzie rozrywką, którą odrzucę, gdy mi się naprzykrzy...

Młoda kobieta powróciła do zamku, napisała do swego ojca i wyprawiła posłańca z listem.

W trzy dni później Lazaryna odebrała dwa listy, jeden od Juliusza Leroux, drugi od Marcela.

List od porucznika podobny był do wszelkich tych pism strzelistych i gorących, które są zajmujące tylko dla tych, co je piszą i co je otrzymują.

Wystrzegamy się też od przytoczenia choćby jednego wiersza.

A oto co pisał Juliusz Leroux:

„Przyklaskuję obiema rękoma mojej drogiej matce margrabinie, za jej postanowienie, na które miały chyba pewien wpływ i moje rady...

„Ani chwili nie tracąc, wziąłem się do szukania i mam już bardzo ładny pałacyk, przy ulicy Murille, w pobliżu parku Monceau.

„Nie jest to siedziba wspaniała, ale wygląda ładnie i elegancko. Wynająłem ją za dwadzieścia tysięcy franków rocznie, to wcale nie drogo. A teraz, kiedy to piszę, już tapicerzy meblują pokoje przepysznie.

„Do widzenia, droga margrabino, całuję cię serdecznie i oczekuję z wielką niecierpliwością, możesz już przyjechać za tydzień, wszystko zastaniesz gotowe.

Juliusz Leroux.

„P. S. Wczoraj otrzymałem wiadomość z zamku Gordes.

„Zięć napisał mi piękny list, ale na wpół tylko uspakajający.

„Małej hrabinie widocznie znów się wróciła choroba, a ona nie chce się poradzić lekarza; to niedorzeczne, i dlatego napisałem hrabiemu, ażeby jej nie ulegał dłużej.

„Pomyśl tylko, jak kłopotliwem byłoby dla mnie, gdyby choroba Janiny tak się pogorszyła, że musiałbym opuścić Paryż i zakopać się na kilka dni w Gordes, gdzie z pewnością umarłbym z nudów, bo nie niema smutniejszego nad chorobę w domu.

„Ha! wreszcie w potrzebie spełnię swój obowiązek ojcowski, jak go zawsze spełniałem, dzięki Bogu.“

W tydzień później telegram od byłego bankiera doniósł Lazarynie, że wszystko już gotowe i że może przyjeżdżać.

Pani Tour-du-Roy odpowiedziała telegraficznie, że wyjeżdża nazajutrz.

I rzeczywiście wyjechała.

* * *

Pozostawmy Lazarynę w drodze do Paryża, gdzie ją później spotkamy jeszcze, a cofnijmy się w tył, do dnia ślubu Raula i Janiny.

Obecni byliśmy przy uroczystości weselnej hrabiego i najmłodszej córki Juliusza Leroux w skromnym kościółku Zielonych Liści, i wiemy, co się działo w duszy dwojga świadków tego związku.

Widzieliśmy Renatę uśmiechającą się, lecz z wściekłością w sercu.

Widzieliśmy Maksyma Girauda, kryjącego się za filarem, w głębi kaplicy.

Zarówno się tały, nienawiść ślepa jak i miłość niezmiernona.

Może kiedyś ta miłość i ta nienawiść znajdą się naprzeciw siebie i wydadzą sobie śmiertelny bój.

Para nowożeńców i goście zjedli obiad w Zielonych Liściach, a po obiedzie, który się nie przeciągnął długo, hrabia zawiózł swą żonę do Gordes, jak poprzedniego roku margrabia Robert Lazarynę do Tour-du-Roy.

Ale projekty hrabiego różniły się zupełnie od projektów margrabiego.

Młodzieniec nie pragnął wytwornych balów, dla poszczycenia się żoną, przeciwnie, życzył sobie tylko otoczyć się wraz z ubóstwianą Janiną samotnością, ażeby w spokoju i ciszy napawać się rozkoszami niebiańskimi błogosławionej miłości.

II.

„Szczęście nie daje się opowiedzieć.“

Stara to ale najzupełniejsza prawda.

Janina i Raul kochali się... kochali się z całego serca, z całego duszy, ze wszystkich sił...

W ciągu pierwszych tygodni młodzi małżonkowie nie przyjmowali nikogo, prócz Juliusza i Renaty, margrabiego i Lazaryny, którzy też przez delikatność nie nawiedzali ich nazbyt często.

Po upływie jednak miesiąca Raul zastanowił się, iż, ze względu na nazwisko i majątek należy im złożyć pierwsze wizyty i ustanowić dni przyjęć.

— Będziemy przyjmowali we czwartki...

— Co czwartek! — wyszeptała Janina przestraszona.

— Raz na tydzień, moje ukochane dziecko, i to przez dwie lub trzy godziny... to doprawdy niewiele... A raz na miesiąc wydawać będziemy wielki obiad... Cóż ty na to?

— Moja odpowiedź krótka i prosta. Niech się dzieje wola twoja.

Hrabia ciągnął dalej:

— Jesteś najładniejszą i najukochańszą z żon... Chcę również, ażebyś w świecie była najbardziej elegancką...

— Elegancką, jak Lazaryna — zawołała hrabina.

— Tak, jak Lazaryna...

— Ja nie potrafię...

— O! jakże mało siebie znasz i jak źle sądzisz o sobie, drogi skarbie wdzięku i uroku! — odparł Raul z uśmiechem. — Arcydzielo bozkie, perło żywa, nie wiesz, że dość ci spojrzeć, ażeby zaćmić wszystkie najświetniejsze!..

Janina podniosła na męża duże oczy dziecka skromnego, u którego wspomnienia namiętne miłości nie przysłaśniały jeszcze czystości anielskiej.

— Widzisz mnie taką, bo mnie kochasz — wyjąkała.

— Widzę cię taką, bo taką jesteś... Czyż pierwszym spojrzeniem nie opanowałaś mnie? Alboż walczyłem? Nie! Po co? Czułem dobrze, że pokonany... i klęska moja czyniła mnie szczęśliwym...

Nazajutrz wyjechano na parę dni do Paryża, dla uzupełnienia strojów Janiny, której wyprawa ślubna, zarządzona przez ojca, była bardzo skromna.

Po powrocie na wieś, niebawem trzeba było przystąpić do otwarcia salonów.

Przedewszystkiem wypadło złożyć wizyty.

Nie były one bynajmniej przykre.

Janinę przyjmowano wszędzie, jak przystało na piękną kobietę i żonę hrabiego de Gordes.

Tryumf jej był najzupełniejszy i ani jedna fałszywa nuta nie odezwała się w chórze pochwał, brzęącym dokoła.

Przez tydzień czy też dziesięć dni wszystkie długie etykiety towarzyskiej zostały splecione w sąsiedztwie, i salony w zamku de Gordes otwarte były już w czwartek, na czem zyskało nawet pożycie bliższe małżonków, bo wydawało się im jeszcze rozkoszniejszym, jako od czasu do czasu przerywane.

Ale Janina w prędkim czasie poczęła sobie wyrzucać samolubstwo radości...

Przypomniała sobie, że w Zielonych Liściach nazywano ją *dobrym aniołem* i postanowiła jeszcze bardziej zasłużyć sobie na tę nazwę.

Pośpieszamy dodać, że w przeddzień ślubu ubodzy i kalecy, których szlachetna opiekunka miała opuścić, otrzymali hojne wsparcia i na długo, jeżeli nie na zawsze, zabezpieczeni zostali od nędzy.

Janina powróciła więc do zwykłego miłosierdzia wzruszającego: Codzień wychodziła zrana pieszo, w ubraniu skromnem mieszczanki i wkrótce pokochaną została w chatach dokoła Gordes, jak przedtem w okolicach Zielonych Liści...

Hrabia szedł zawsze na jej spotkanie i, biorąc pod rękę często zmęczoną dalekimi przechadzkami, ale zawsze wesołą i uśmiechniętą, mówił do niej z rozrzewnieniem:

— O! szlachetny aniele mego domu; o droga siostrzo miłosierdzia, pozwólże, niech ci ręce ucałuję błogosławione... Zdaje mi się że nad twem czołem widzę aureolę!

Tak te dwie z sobą połączone istoty używały głębokiej ciszy, miłości czystej i szczęścia bezgranicznego.

Czyż przyszłość podobną będzie do terażniejszości, czy będzie tak piękną?

Zdawało się, że niepodobna o tem wątpić.

Ale na oceanie nieraz, wśród pogodnego nieba, zjawia się na widnokręgu prawie niedostrzegalna chmurka...

Dla podróżnika ta plama na horyzoncie to jakby tylko sznur mew albo pasmo dymu z parowca.

Ale stary marynarz, potrząs głową, wskazuje palcem tę plamę i mówi:

— To burza!

III.

Od dwóch czy trzech tygodni Janina Leroux była już hrabiną de Gordes.

Doktor Maksym Giraud, sam w swoim gabinecie siedział przy biurku, oparłszy głowę na rękę, pogrążony w zadumie ponurej, którą chyba zbyt często byłoby bliżej określać.

Do pokoju weszła nagle służąca wiejska, którą przy gospodarstwie trzymała pani Giraud, jego matka.

— Co tam, Marcinowo? — zapytał doktor, podnosząc głowę.

— Panie doktorze, jakiś pan pragnie się z panem zobaczyć... Kazał mi panu oddać ten bilecik.

I Marcinowa podała swemu panu bilet wizytowy. Maksym drgnął, przeczytał nazwisko:

Raul de Gordes.

— Pan de Gordes jest tutaj? — zawołał.

— Tak, panie doktorze, przed bramą na koniu...

— Proś pana de Gordes — szepnął doktor.

A kiedy służąca udała się po gościa, dodał zeicha:

— On u mnie!.. mąż Janiny!..

W pół minuty później Raul wchodził do pokoju z twarzą uśmiechniętą i wyciągniętą dłonią...

Niepodobna było lekarzowi nie uścisnąć tej ręki, ale uczynił to z widocznym przymusem, który hrabia poczytał za nieśmiałość.

Znany uczucia Maksyma; wiemy, jakim nadziejom otworzył on na chwilę swą duszę, wiemy, z jaką bohaterską rezygnacją przyjął poświęcenie. A jednak drażniła go obecność tego człowieka, przez którego unicestwione zostały jego nadzieje i znikły marzenia na zawsze!

Janina należała do tego człowieka.

Anioł nie mógłby się ustrzedz mimowolnej zadości i bólu, jaki ta myśl sprawiała.

Maksym siłą woli powściągnął huragan, szalejący w jego czaszce i, przysuwając krzesło Raulowi wyrzekł:

— Czemu mam, panie hrabio, przypisać niespodziewany zaszczyt pańskich odwiedzin?

— Mój drogi doktorze — odrzekł przybysz z uśmiechem — widzisz pan we mnie tylko posła... Przyślany jestem przez panią de Gordes.

— Pani de Gordes wszak zdrowa? — zapytał doktor głosem, nieco drżącym.

— Doskonale... Opowiadając mi o panu swe najlepsze wspomnienia... (bo należysz do jej wielkich przyjaciół) prosiła mnie, abym panu powiedział, że bardzo żałowała, iż pan nie byłeś na jej ślubie... Spodziewała się pana w kościele...

— Byłem tam — wyszeptał Maksym.

— To pana nie dostrzegła, rada więc będzie bardzo, gdy się dowie, że należałeś pan do tych, którzy modlili się za jej szczęście...

Młody doktor skłonił się.

— Rzeczywiście modliłem się — wyszeptał — i to z całej duszy...

— Pozwól mi pan, ażebym podziękował w jej imieniu, jak również i w mojem... Zobowiązałem się przed Bogiem i wobec ludzi uczynić szczęśliwą tę ukochaną istotę i nie ugnę się pod tem zadaniem słodkiem i świętem.

Maksym skłonił się znowu, ale tym razem nie odpowiedział.

Hrabia ciągnął dalej:

— Pani de Gordes żywi dla pana jaknajwiększy szacunek, a zarazem nader szczerą sympatję. Pomagałeś jej stale w uczynkach miłosiernych. Pamiętasz pan, że to przy łożu chorego miałem zaszczyt być ci przez nią przedstawionym... Lepiej, niż ktokolwiek, wie ona, ileś pan wart, a zaufanie jej jest tak wielkie, że to anielskie dziecko gotowe jest przypisać panu moc uzdrowienia tych wszystkich, których koledzy pańsey już opuścili.

— Na nieszczęście tak znowu nie jest — odpowiedział Maksym. — Dokładam starań, ale niewiele co mogę...

— Takie nie jest zdanie Janiny, która pana prosi moim głosem, ażebyś raczył objąć obowiązki lekarza domowego i stać się opatrnością ubogich w Gor-

des, jaką byłeś już dla biednych w Zielonych Liściach... Namysł się, kochany doktorze, zanim odpowiesz... bo uprzedzam cię, iż żona moja nie przypuszcza nawet, ażebyś odmówił...

Gdy hrabia przemawiał, rumieniec gorący oblał twarz Maksyma Giraud.

Ta niezwykła czerwonosć trwała tylko kilka sekund i młodzieniec zbladł niezmiernie.

Toczyła się w nim gwałtowna walka.

Czy ustąpić prośbie hrabiny, tak grzecznie, tak uprzejmie wyrażonej przez hrabiego?

Zobaczyć Janinę, mówić do niej, słuchać ją mówiącą... było to po nad jego siły... nawet po nad jego odwagę...

Nie mógł!

— I cóż, doktorze? — podchwycił Raul, zdziwiony tem milczeniem, którego pobudek nie pojmował.

— Nie, panie hrabio — wyjąkał Maksym — muszę prosić o wybaczenie najzupełniejsze, bo odpowiedź moja nie uczyni zadość życzeniu pani de Gordes...

— Odmawiasz pan!.. — zawołał mąż Janiny.

— Muszę...

— Ale dlaczego?..

Pytanie było kłopotliwe.

Co za powód mógł dać Maksym, skoro musiał zataić prawdziwy i to jedynie dostateczny?

Odpowiedział też nie bez pewnego zakłopotania:

— Z Rancey do Gordes odległość jest znaczna... przeszło dwadzieścia cztery kilometry, jak sędzę...

— A cóż to znaczy? — odparł Raul. — Cztery mile to drobnostka dla lekarza... Na dobrym koniu dać można radę temu w ciągu nawet półtory godziny...

— Ubodzy w okolicy przyzwyczaili się do mnie — odparł doktor — winienem oddać się zupełnie na ich usługi...

— Nic przecie nie przeszkodzi panu...

— Zresztą zaczynam wyrabiać sobie poważną klientelę... Zbyt częsta nieobecność z pewnością mogłaby mi w tem zaszkodzić i naraziłbym się na straty.

— Czy o to tylko chodzi? — zawołał hrabia.

— Tak, bo zdaje mi się... — wyjąkał Maksym.

— Zapomniałem panu powiedzieć — przerwał Raul — że do obowiązków lekarza domowego w zamku Gordes byłoby przywiązane honorarjum, którego cyfrę pan sam oznaczy, a jakakolwiek będzie jej wysokość, zawsze ona będzie dla mnie zbyt skromną...

Po raz drugi od początku rozmowy Maksym zacerwienił się po białka oczu.

— O! — wyszeptał z miną głęboko wzruszoną — Czyż mam być tak boleśnie upokorzony, iż pan widzi w tem wszystkim tylko kwestję pieniężną?

— A gdyby nawet tak było, to cóż w tem dziwnego?.. Wszak każdy człowiek, który się nie urodził bogatym, musi żyć ze swego zawodu... To zupełnie rzecz zaszczytna...

— Zapewne... ale ja teraz nie mam na celu pieniędzy wcale. Jestem wdzięczny za dowód zaufania i szacunku, jaki pani de Gordes raczyła mi złożyć, a jeżeli odmawiam, to dlatego, że nie mogę przyjąć.

— Więc to ostatnie pańskie słowo? — rzekł Raul, mimowolnie urażony.

Maksym odpowiedział twierdząco.

Hrabia powstał.

— Żałuję mocno — odrzekł — iż słyszę od pana odpowiedź, której się żona moja chyba wcale nie spodziewała... Zdaje mi się iż to postanowienie pańskie jest tak stanowcze, że nie będę dłużej nalegał... Żegnaj więc pana, panie doktorze, skoro pozbawiasz mnie przyjemności powiedzieć ci „do widzenia.“

Raul skłonił się Maksymowi z grzecznością trochę sztywną i tym razem, nie podawszy mu ręki, skierował się ku drzwiom.

Młody lekarz czuł, że mu serce omal nie pęka.

— Co ona o mnie pomyśli? — zapytał się sam z goryczą.

Raul już brał za klamkę.

— Panie hrabio... — odezwał się Maksym.

Pan de Gordes się zatrzymał.

— Musiałem pomimo woli — ciągnął dalej doktor — odmówić na propozycję, która bardzo pożądaną wydałaby się moim kolegom, ale gdyby, czego Boże broń, pani hrabina była kiedy cierpiącą... tak cierpiącą, iżby to pana zaniepokoiło, niechże mnie pan zawiadomi, błagam, przybiegnę na pierwsze wezwanie.

— Dziękuję panu — odpowiedział hrabia — ale niech mi pan pozwoli mieć nadzieję, że sposobność dla złożenia przez pana dowodów dobrej woli nie nastarczy się prędko.

I wyszedł.

Maksym opadł na krzesło a kiedy drzwi wyjściowe na ulicę zamknęły się, kiedy ustał już tętent koni, zakrył dłońmi twarz swą, skąpaną łzami.

W tejże chwili pani Giraud weszła do gabinetu i zobaczyła syna w tej postawie zrozpaczonej.

— Moje dziecko, moje drogie dziecko! co tobie jest? — zawołała pocziwa kobieta.

Doktór, odjąwszy ręce, ukazał twarz zmienioną.

— Wiesz dobrze, mamó, że ja cierpię — odpowiedział. — Wiesz, że cierpienie moje jest nieuleczalne... Odsłoniłem ci ranę...

— Więc ty ją zawsze kochasz?

— Zawsze i na zawsze... Kocham ją aż do śmierci, a ta miłość we mnie coraz się bardziej wzmaga.

— Kto był u ciebie przed chwilą?

— Hrabia de Gordes.

— Jej mąż?..

— Tak... jej mąż...

— Czegóż chciał?

Maksym prawie dosłownie powtórzył propozycję, jaką Raul uczynił mu w imieniu Janiny.

— I odmówiłeś — podchwyciła pani Giraud.

— Czyż mogłem przyjąć... O! moja matko, ja jestem bardzo nieszczęśliwy.

IV.

Janina oczekiwała hrabiego z wielką niecierpliwością.

Skoro tylko zsiadł z konia, rzuciła mu się na szyję z żywością prawie dziecięcą.

— Kochany Raulu? — zapytała — wszak przyjeżdżasz z Rancey?

— Tak, pieszczoszko moja — odpowiedział pan de Gordes.

— Widziałeś się z naszym poezewym doktorem?

— Widziałem się z panem Maksymem Giraud.

— I cóż? Wszak przyjmuje nasze propozycje? Zobaczymy go wkrótce?

Raul potrząsnął głową.

— Zawód przynoszę ci, moja droga — odparł — pan Giraud nie przybędzie...

— Niepodobna... — przerwała Janina.

— A jednak to prawda. Odmawia... nie chce być lekarzem domowym w zamku Gordes, ani też lekarzem ubogich w okolicy.

Janina wydawała się przygnębioną.

— Ale dlaczego? — wyszeptwała.

— Podaje tylko wymijające przyczyny... Z Rancey do Gordes jest dłań zadaleko... Boi się utracić swą klientelę. Bardzo był zakłopotany... i sztywny... jakby niezadowolony z mej wizyty... Kiedy podałem mu rękę, przypominam sobie teraz, że wyciągnął do mnie dłoń z pewnem wahaniem...

— Ale cóż to jest? — powtórzyła młoda hrabina ze łzami w oczach.

— Nie wiem... jedno mógłbym tylko przypuścić: Doktor Giraud należy do mieszczaństwa! ja jestem szlachcicem i arystokratą, a to w tych czasach jest w wielu oczach nieprzebaczalną zbrodnią... On prawie biedny, my bardzo bogaci... Być może zazdrości nam majątku... nie może przebaczyć ci, że jesteś hrabiną de Gordes...

— Nie! nie! nie! — zawoła Janina. — To nie to, jestem tego pewną...

— Więc cóż takiego?..

— Nie wiem i szukam napróżno... ale zbyt dobrze znam doktora, ażebym go mogła posądzać o uczucie tak niegodne, jak zazdrość!.. On! zazdrosny! Cóż znowu... to serce złote... człowiek idealny!.. Co go obchodzą nasze tytuły i bogactwo!.. Po co miałyby ich zazdrościć? On nie potrzebuje nikogo... rozum i talent czynią go równym wszystkim, wie on o tem dobrze. Nawet teraz, kiedy mnie rani, muszę mu oddać sprawiedliwość.. Odmową swoją sprawia mi wielką przykrość, a jednak nie cofam dłań swego szacunku, wiedząc, że nań zasługuje...

— Co za wynurzenia moja droga!.. — rzekł Raul z uśmiechem. — Jak ty bronisz tych, którzy mają szczęście być twoimi przyjaciółmi!..

— Tak samo broniłabym mych nieprzyjaciół — odparła Janina — gdybym ich miała a dowiedziiono mi, że zarzuty przeciw nim są niesłuszne...

Rozmowa zmieniła przedmiot.

V.

W trzy miesiące po ślubie Janiny, Juliusz Le-roux, zamysłony, z głową, nieco spuszczoną, chodził, jak wilk w klatce, po salonie w Zielonych Liściach, paląc ogromne cygaro.

Dawny bankier, przechadzając się, tak do siebie mówił:

— Mam szczęście i nie mam...

Lazaryna jest margrabiną, Janina hrabiną i obie niezmiernie bogate...

Powinienem być więc zadowolony, a jednak mogłoby być lepiej...

Gdyby Raul de Gordes (pocziwy chłopiec, bardzo go lubię), zamiast zaślubić Janinę, ożeniłby się był z Renatą, jak w początku liczyłem, coby to była za różnica, jak moje życie ułożyłoby się wtedy wygodnie.

„Bo trzeba przyznać, że Renata cięży mi już na-
zbyt. Zdenerwowana, ambitna, zazdrosna, dumna,

posiada ona wszystkie przymioty, ażeby być nieznośną... Lazaryna, która nie jest za bardzo dobra, ani o-
łem jeszcze była obok Renaty; tak została mi na
karku najgorsza córka!“

„Ot co się nazywa nieszczęście!

„Z Janiną nie miałbym najmniejszego kłopotu. Cieszę się, że jest szczęśliwą, ale gdyby to odemnie zależało, nie ona byłaby hrabiną de Gordes.

Ja się tu nudzę, jak wszyscy djabli!.. Czuję tęsknotę do Paryża... Muszę tam pojechać choć na krótko... Renata będzie się gniewała... ale mniej-sza...

Zadzwoił i spytał, gdzie córka.

— Panienska jest w ogrodzie — odpowiedział służący.

Na końcu szpaleru z wiązów znajdowała się al-tanka, opięta winogronem i powojem.

Tu w dzień, wśród upału, Renata przychodziła spać, a przynajmniej ziewać.

W chwili, gdy Juliusz Leroux nadechodził, sie-działa na ławce zamysłona, nieruchoma. Moznaby są-dzić, że śpi, gdyby nie to, że oczy miała otwarte, a źrenice rozszerzone. Twarz jej piękna, nieco zmie-niona, miała wyraz groźny.

Ojciec to zauważył i pomyślał:

— Zkąd taka ładna dziewczyna ma taką dziką minę?

Potem głośno zapytał:

— Czy śpisz?

Renata zerwała się gwałtownie, jak gdyby się obudziła z nienacka.

Źrenice jej ciemne zwróciły się ku Juliuszowi Leroux.

— A! to ty, papo?

— No, ja, naturalnie. Czy dawno tu jesteś?

— Nie wiem... Śniłam...

— Na jawie?

— Tak, na jawie.

— O czym?

— O tylu rzeczach, że trudno byłoby mi je wyliczyć...

— Czy ci przeszkadzam?

— Bynajmniej... A gdyby nawet tak było, zbyt dobrze jestem wychowana, ażeby ci to powiedzieć...

— Przyszedłem z tobą pomówić...

— To pomówmy!. Siadaj przy mnie, ojcze, na tej ławce... ale uprzedzam cię, że twarda...

— Dziękuję... wolę postać.

— Jak ci się podoba... no, to słucham cię...

Juliusz Leroux zakaszlał dwa czy trzy razy, ażeby oczyścić głos, czy też ażeby pokryć zakłopotanie, bo wistocie rozmowa ta wydawała mu się dość przykrą.

Renata, roztargnięta znowu, bawiła się pantcfelem na drobnej nóżce...

— Wiesz — zaczął były bankier — że dziś zrana podczas śniadania otrzymałem listy z Paryża...

— Wiem, żeś dostał listy, ale doprawdy nie obchodzą mnie one bardzo...

— Skutkiem zlikwidowania przezemnie interesów — ciągnął dalej Juliusz Leroux — pozostałem właścicielem pewnej wiarygodności, która wówczas nie była, jak się zdawało, nie warta...

— A cóż mnie do tego?

— Ponieważ masz pretensję do dobrego wychowania, daj go dowód, nie przerywając mi przy każdym słowie... Otóż donoszą mi, że dom handlowy, którego jestem wierzycielem, podnosi się nadspodziewanie i że zapewne będę mógł odzyskać całą moją sumę, a co najmniej większą część...

— A czy to duża suma? — zapytała Renata żywo.

— Chodzi o jakie pięćdziesiąt tysięcy franków.

Młoda dziewczyna wzruszyła ramionami i skrzywiła się.

— E! kropla wody! — mruknęła...

— Jak dla ciebie!.. Ale dla mnie warto się zająć taką kroplą wody.

— A któż przeszkadza ci się zająć?

— Korespondent mój dodaje, że dla uregulowania tego interesu niezbędną jest moja obecność w Paryżu...

— Tak, że?... — podchwyciła Renata a twarz jej ożywiła się nagle i oczy zabłyszczały.

— Tak, że muszę jechać?... — dodał Juliusz Leroux?

— Kiedy?

— Jutro zapewne..

— Bądź spokojny... nie spóźnisz się przezemnie. Wybiorę się, już na rano... A nawet mogę być gotową i dziś wieczorem...

Dawny bankier patrzył na córkę ze zdumieniem.

— Hę? co mówisz?.. — wyjąkał, jak człowiek, niepewny, czy dobrze słyszał.

— Powiadam, że moje trzy suknie będą prędko zapakowane... Wezmę tylko jeden kapelusz na głowę... Kupię w Paryżu... co potrzeba...

— Nie rozumiemy się wcale — przerwał Juliusz Leroux — podróż moja będzie bardzo krótka, tylko dla interesów, i dlatego chcę jechać sam.

Ranata skoczyła z ławki, krew nabiegła jej na twarz, w źrenicach zajaśniały błyskawice.

— O! — zawołała — ja nie jestem tak naiwna, jak ta Janina. Jej mogłeś oczy mydlić... ale nie mnie! Pan ojciec chce w Paryżu być sam, aby sobie pohulać... I ja tu mam zostać sama!.. O! nigdy... Wybij to sobie z głowy.

— Ależ pomyśl — odrzekł Leroux perswadująco — że będę w Paryżu najwyżej tydzień.

— A ja mam się przez tydzień nudzić, ślicznie dziękuję!

— Mieszkać będę w hotelu.

— O! to mam tem większą ochotę z tobą jechać... przepadam za życiem hotelowem...

— Od rana do nocy będę musiał biegać za interesami.

— To ja sama będę wychodziła na miasto; nie jestem dzieckiem i znam dobrze Paryż!..

— Ależ to nieprzyzwoicie...

— Drwię sobie z przyzwoitości...

— Krępowałabyś mnie bardzo.

— Ha! Cóż robić?.. Moje miejsce przy papie...
Idę tam, gdzie i ty, papo.

Juliusz Leroux tupnął nogą.

— A jeżeli nie zechcę cię zabrać z sobą? — za-
pytał niecierpliwie, prawie z gniewem... — Jeżeli ci
zabronię ze mną jechać?

— Obejdę się bez twego pozwolenia...

— O! zobaczymy.

— O! zobaczysz! bądź o to spokojny! Jeżeli sam
uciekiesz... ja ucieknę za tobą... *Przedział dla dam*
ocala i czyni zadość wszelkim wymaganiom przyzwoi-
tości, o którą ci tak chodzi... Będiesz myślał, żeś się
uwolnił od swej córki... wtem... pęc! Drzwi się otwie-
rają!.. kuku! to ja!..

— Nie będziesz wiedziała, gdzie stanę.

— Poszukam cię najprzód w Hotelu Wielkim,
a potem i w innych lepszych... Zresztą mam adres
twojego starożytnego przyjaciela, księcia Castel-Vivant,
on mi pomoże cię wytropić...

Renata miała na wszystko odpowiedź...

Juliusz Leroux ujął głowę w ręce z rozpaczą ko-
miczną...

Gdyby córka rzeczywiście tak się doń przycze-
piła, musiałby pożegnać wszystkie piękne projekty
życia swobodnego i wesołego... To już wszystko je-
dno co byłoby pozostać w Zielonych Liściach...

Gdy bankier tak rozmyślał, Renata przypatrywała mu się złośliwie.

— Posłuchaj... — rzekła nagle — wiem, że byłoby ci niezmiernie przykro mieć w Paryżu taką kulę u nogi... to jasne, jak dzień...

— No, tak — mruknął ojciec hulaka.

— A więc — odparła młoda dziewczyna — jest sposób pogodzenia wszystkiego...

— Jaki? — mów prędzej!

— Prawdę mówiąc, podróż ta do Paryża nie tak znów bardzo mnie ęci... Nie upieram się przytem, aby tam jechać... ale nie chcę zostać sama... Urządź więc...

— A to jak?

— Zawieź mnie do zamku Gordes i poproś moją drogą siostrę Janinę, ażeby mnie zatrzymała u siebie podczas twojej nieobecności... a ja ci dam zupełną swobodę...

VI.

Juliusz Leroux spojrział na córkę ze zdumieniem, którego nie starał się wcale ukryć.

— Czy mówisz poważnie? — zapytał.

— Najzupełniej! — odparła Renata — i doprawdy nie rozumiem twego zdziwienia.

— Chcesz przepędzić u Janiny cały czas mej podróży?..

— Czemuż nie? Czyż nie jeździłam do Włoch z Lazaryną? Janinka jest również moją siostrą... Co starsza uczyniła dla mnie, to i młodsza może uczynić... To przecie najprostsza rzecz w rodzinie, tak się kochającej jak nasza...

— Janinie będziesz zawadzała!

— Alboż zawadzałam Lazarynie?

— O! to nie to samo!..

— A w czem taka różnica?

— Margrabina Tour-du-Roy inaczej traktowała swego męża, a w zamku Gordes spadniesz im na miodew miesiąc.

— Cóż mnie to szkodzi?

— Tobie, naturalnie, że nic... ale im, zakochanym, przeszkadzać będziesz...

— Masz słuszność! — zawołała młoda dziewczyna niecierpliwie. — Niesłusznie chciałam być dla mej siostry zbyt wielkim ciężarem. Otworzyłeś mi oczy, przepraszam... Wyrzekam się tego niedorzecznego projektu, i jutro jadę z tobą do Paryża...

Bankier skrzywił się straszliwie.

— Ależ nie, nie! — zawołał. — Nie zrozumiałaś mnie... Zakochani lubią samotność, to pewna, ale twój pobyt w zamku Gordes będzie bardzo naturalny.

— Kiedy mnie tam zawieszysz?

— Jutro... interesa, które mnie powołują do Paryża, nie cierpią zwłoki...

Renata uśmiechnęła się.

— To dobrze — odrzekła — zaraz się zajmę spakowaniem rzeczy... Mój kochany szwagier przyśle po

nie jutro wieczorem, bo zdaje mi się, że wypada tam pojechać bez pakunków...

Nazajutrz zrana przyśpieszono śniadanie w Zielonych Liściach, a około godziny jedenastej były bankier pojechał do Gordes z Renatą.

W Gordes zastali Janinę samą, gdyż Raul musiał się udać do Orleanu, ażeby się zająć nudnym procesem, wytoczonym mu przez jednego z sąsiadów o służebności.

Młoda hrabina kochała bardzo ojca i siostrę i przyjęła ich ze szczerą radością.

— O! — zawołała, ucałowawszy ich oboje — jakże się Raul zmartwi, bo niema go w domu... wyjątkowo, gdyż on, nigdy nie zostawia mnie samej... będziemy musieli zjeść śniadanie bez niego... Na szczęście, powróci na obiad, bo zjecie u nas obiad, a jeżeli chcecie być grzeczni, to i przenocujecie.

— Zjedliśmy już śniadanie przed wyjazdem z Zielonych Liści, droga pieszczoszko — odpowiedział Juliusz Leroux — a w chwili, gdy zasiądziecie do obiadu, ja bliżej będę Paryża niż Orleanu...

— Do Paryża jedziesz, papo?..

— Tak, moja droga... pilny interes...

— Taki, jak przed mojem zamążpójściem? — zapytała Janina z uśmiechem, nie bez pewnej niewinnej złośliwości...

Dawny bankier nie uczuł tego żartu i odpowiedział poważnie:

— Tak, taki sam...

— To pilnuj się, papo, ażebyś znów nie wrócił chory — ciągnęła dalej Janina. — Papa wie, że go interesa męczą.

— Będę ostrożnym, przyrzekam ci.

— No i siostrzyczka będzie miała o tobie staranie, bo spodziewam się, że ci towarzyszy.

— To mylisz się, droga Janino — odparła Renata. — Ojciec wręcz mi odmówił... Powiada, że bardzo bym mu przeszkadzała...

— O! — zawoła hrabina — to ty sama zostajesz w Zielonych Liściach... Nie, to niepodobna! Ja się na to nie zgodzę, zatrzymuję cię tutaj. Jesteś już moim więźniem i powrócę ci wolność dopiero po powrocie papy.

— Jakto, chciałaś?..

— O! wszelki opór daremny.

— Ale hrabia?

— Co, hrabia?

— Gdyby nie podobało mu się to zaproszenie...

Janina uśmiechnęła się anielsko, a zarazem zalotnie, jednocześnie kiwając główką...

— Miałby nie pochwalić moich zaprosin! — rzekła. — O! droga siostrzyczko, jak to widać, że nie znasz wcale Raula... Szczęśliwy będzie tak, jak ja, gdy ty je przyjmiesz... My we dwoje, mamy tylko jedno serce, jedną duszę i jedną wolę...

— Zatem — odrzekła Renata, czyniąc gwałtowny wysiłek, ażeby pokryć cierpkość głosu — zatem jesteś jeszcze szczęśliwą...

— Jeszcze, i bardziej niż kiedykolwiek. O! bardzo szczęśliwą... My zawsze tak kochać się będziemy i nie zmienimy się nigdy!

Będziemy szczęśliwi zawsze...

Juliusz Leroux udał, że ociera łzę w kąciку oka.

— Słowo honoru — rzekł z powagą komiczną — nie słyszałem nigdy nic czulszego w żadnym teatrze.

— Żartujesz sobie ze mnie, papo, — odparła młoda mężatka z uśmiechem. — Ale wszystko mi to jedno, szczęście moje jest tak wielkie... Kochać i być kochaną... to tak dobrze... A my się tak kochamy...

Renata podczas tej rozmowy trochę zbladła i zwróciła ją wreszcie na inny przedmiot.

— Więc mnie zatrzymujesz? — spytała.

— A ty zgadzasz się zostać? — rzekła Janina żywo i wesoło.

— Skoro powiadasz, że mąż twój nie będzie mi miał tego za złe...

— O! ręczę ci... po tysiąc razy...

Około godziny czwartej Juliusz Leroux wyjechał do Orleanu.

— Jeżeli spotkam hrabiego po drodze — rzekł — nie omieszkam go uprzedzić, że zastanie tu Renatę.

— O! nic nie mów, papo! — zawołała Janina — nie nie mów, proszę cię.

— A to dlaczego?

— Chcę się nacieszyć z niespodzianki dla Raula.

— Ha!.. to będę mileżał.

O wpół do szóstej przyjechał hrabia de Gordes. Rzeczywiście spotkał się z teściem, ale były banier, wierny danej obietnicy powiedział mu tylko:

— Jadę do Paryża — a nic nie dodał o Renacie.

VII.

— Jakto, kochana siostrzyczko, to ty tu jesteś — rzekł Raul, całując Renatę, ucałowawszy wprzód Janinę. — A ojciec twój nic mi o tem nie wspominał..

— Bo widzisz — zawołała Janina — chodziło tu o niespodziankę dla ciebie...

— Rzeczywiście, bardzo przyjemna to niespodzianka! — odezwał się hrabia grzecznie. — Spodziewam się, kochana siostrzyczko, że tym razem nie tak prędko nas opuścisz...

Janina odpowiedziała za siostrę:

— Renata tak długo będzie, jak długo ojciec będzie podróżował.

— Oby więc podróż pana Leroux trwała do nieskończoności — podchwycił hrabia uprzejmie.

— Dziękuję, szwagrze — rzekła młoda dziewczyna, ściskając rękę hrabiego. — Bałam się właśnie czy wam nie będę zawadzała... Ale uspakaja mnie teraz tak serdeczne przyjęcie.

Serdeczność ta, o której mówiła średnia córka Juliusza Leroux była więcej pozorną, niż rzeczywistą.

Sprowadzenie się Renaty do Gordes wydawało się Raulowi niemiłym dla dwóch przyczyn.

Przedewszystkiem — jak trafnie powiedział były milioner — młoda dziewczyna przerywała czule sam na sam młodych małżonków.

Następnie hrabia czuł poniekąd swe fałszywe położenie wobec dwóch sióstr.

Nie zapomniał wcale, że w Wenecyi, myślał iż się kocha w Renacie.

Pojmował też dobrze, że chociaż nie nastąpiły oświadczyzny stanowcze, musiała już ona przeczuwać tę miłość rzekomą i uważać ją za rzecz możliwą.

Ale, powtarzamy, Raul był zbyt światowym człowiekiem i zbyt dobrze wychowanym, ażeby dać po sobie poznać tę niechęć z powodu pobytu Renaty.

Przy obiedzie też toczyła się bardzo ożywiona rozmowa.

Siostra Janiny, jakby chcąc się wywzajemnić za grzeczność, nie szczędziła dowcipu ze swego bystrego i giętkiego umysłu, nie tracąc przytem prostoty dobrego smaku.

Po obiedzie przechadzano się przez pół godziny po parku przy świetle księżycy, potem Renata udała się do przeznaczzonego dla niej mieszkania.

Janina ucałowała ją czule i pożegnała, życząc jej spokojnego snu i słodkich marzeń.

Renata, gdy wreszcie pozostała samą, zamknęła się w pokoju, otworzyła okno i, oparłszy się o balustradę, jak to uczyniła Lazaryna przy pierwszej bytności

w Tour-du-Roy, zapuściła wzrok w głębie parku, oświetlone blaskiem księżycą.

— Wszystko to miało być moje! — rzekła do siebie. — Ten zamek książęcy, ten park niezmierny, ten przepych... i to mi się słusznie należało... Gdyby nie ja, Raul de Gordes byłby we Włoszech, płacząc na grobie nieboszczki, myślałby tylko o śmierci i możeby umarł... Ja przywiązałam tego człowieka do życia... Ja w nim ocuciłam serce, które już zdrętwiało... Tak, ja to wszystko uczyniłam... i wszystko to uczyniłam dla innej... Prawa moje były święte... jak tego, który ratuje rozbitka... Przyszła Janina i nie mi nie zostawiła... Męża, tytuł, majątek, wszystko mi ukradła...

Renata tupnęła nogą, przesunęła ręką po czole z ruchem wściekłości, poczem mówiła dalej:

— Ona mi skradła wszystko!.. to ja jej teraz wszystko odbiorę!.. To będzie sprawiedliwie... Nie zniosę dłużej bezczelnego szczęścia!.. O! ja zniweczę je i zniszczę... ale jak? Jakiemi sposobami?.. o! wszystkie przecie są właściwe, gdy chodzi o pokonanie tego, który nas pokonał. Janina jest moim wrogiem!.. wroga też w niej tylko widzieć będę!..

Odeszła od okna, zamknęła je gwałtownie.

Lampa na kominku oświetlała słabo pokój.

Młoda dziewczyna zapaliła wszystkie świece w kandelabrach i, przyglądając się bladej swej twarzy, odbitej w lustrze, wyszeptwała:

— A jednak jestem piękną... piękniejszą od Janiny i pięknszą nawet od Lazaryny...

Ala Lazaryna ma w sobie coś z wina musującego i perfum ostrych. Odurza, upaja sobą. Pojmuję, że dla niej szaleństw dopuszczać się mogą ludzie... Zresztą dowiódł tego stary margrabia.

Lazaryna, tak biała i tak ruda, z brwiami czar-nemi, z oczyma zielonemi, z ramionami baletniczki andaluzyjskiej, ta piękność ciała, która wywiera pociąg magnetyczny, przemawia do zmysłów...

Uznaję powaby Lazaryny, ale jakż jest wdzięk tego kopciuszka mieszczańskiego? Co mówią te oczy duże bez ognia i ta ładna buzia, jak u lalki? Nawet kolor włosów, wszystko w niej jest mdłe...

Chyba prawem kontrastów podbiła ona Raula...

Ten szlachcic romantyczny znajdował się właś-nie pod wrażeniem występnej miłości, która mu nie dała słodkich chwil...

Głowę sobie zawrócił tem niewiniątkiem i posta-nowił je zaślubić tak, jak się bierze syrop orszadowy po zbyt mocnych trunkach...

Zapewne kocha się w niej, a przynajmniej tak mu się zdaje, co na jedno wychodzi, ale złudzenia tego nie może mieć zawsze... wcześniej, czy później hrabia zobaczy, że się omylił... Wtedy mnie żałować będzie...

Mówiąc to, co powyżej, Renata rozbierała się machinalnie.

Była już prawie cała obnarzona.

Wtedy spojrzała znowu w wielkie zwierciadło i uśmiechnęła się do własnego widoku, a w oczach jej zabłysła błyskawica dumy.

— Gdyby mnie tak zobaczył — wyszeptwała — z pewnością by pożałował.

I po chwili głębokiej zadumy podchwyciła:

— Wiem że będzie żałował, ja tego chcę... Tam, we Włoszech, on mnie już prawie kochał... tu musi mnie kochać zupełnie... Janina wzięła mi człowieka, którego chciałam uczynić swoim mężem... ja zabiorę jej tego człowieka, gdy mężem jej został... to będzie odwet, zemsta!..

Rzucą na mnie kamieniem... Powiedzą, że okrutna i zepsuta!

Niech sobie mówią, śmiać się będę z tego...

Skandal i wrzawa, łzy, rozłączenie, co za rozkosz... Nie będę już cierpiała... zemszczę się... Co mnie obchodzi opinia ludzi?

Lepiej być tryumfującą kochanką hrabiego de Gordes, niż jego porzuconą żoną..

A zresztą, Janina może umrzeć, a ja zajmę jej miejsce, i wtedy wszystko mieć będę, majątek, serce i imię!..

.....
Renata mówiła do siebie te wszystkie nikiemne rzeczy z wrastającą gorączką, która zapalała błyskawice w jej źrenicach i blade policzki oblewała purpurą.

Rzuciła się na łóżko i prawie zaraz zasnęła snem ciężkim, zapełnionym złowrogimi widziadłami, wśród których widziała w ciąż Janinę, wydającą ostatnie tchnienie przy konaniu, to znów siostra była już martwą i sztywną..

Nareszcie wyrwało ją ze snu lekkie pukanie we drzwi.

W pokoju panował już jasny dzień.

Wesołe promienie słońca złościły swemi błyski obicia i meble pokoju i padały snopami migotliwymi na dywan.

Do drzwi pukano ciągle.

— Kto tam? — zapytała Renata.

— To ja — odpowiedział głos młody i świeży — ja, twoja siostra Janina... przychodzę cię ucałować...

Renata instynktownie zmarszczyła brwi, ale, od razu przybierając inny wyraz twarzy, wyskoczyła z łóżka i pobiegła otworzyć.

Janina, ubrana jak zwykle ubierała się zrana w Zielonych Liściach (bo wśród przepychu książęcego zachowała upodobanie do prostoty), wbiegła do pokoju, rzuciła się na szyję Renacie i pokryła jej twarz serdecznymi pocałunkami.

— Jakto, piękny śpioszku, jeszcze śpisz! Cóż to, już godzina ósma!.. Ubieraj się prędko!.. Wyjdziemy razem... Zrana takie miłe powietrze... tak przyjemnie pod drzewami... Potem pójdziemy do mleczarni i zjemy chleba razowego z ciepłym mlekiem prosto od krów... Ubierz się prędko i tylko zwiąż włosy... później się lepiej wystroisz, bo kiedy powrócimy, będziesz miała jeszcze godzinę do śniadania... a nie bój się słońca... w sieni wiszą duże kapelusze słomiane... Nie potrzeba przy nich parasolki... Parasolka zawadza, bo niema się rąk wolnych do zbierania kwiatów. Raul zasyła ci dzień dobry... Wyjechał już konno na fol-

wark, bo muszę ci powiedzieć, że z niego teraz zawołany gospodarz...

Po upływie dziesięciu minut Janina zabrała siostrę, włożyła jej na głowę szeroki kapelusz i pociągnęła z sobą do parku, potem do obory, kazała jej podziwiać piękne krowy bretońskie, ryczące z radości na jej widok i wyciągające do niej nozdrza różowe i wmusiła w nią porcję mleka i chleba; wsadziła ją na łódkę małą i wozila po stawie, wreszcie około godziny dziesiątej powróciła z nią, zmęczoną po tej przechadźce tak wczesnej, do jakiej nie miała ani przyzwyczajenia, ani gustu.

— O! nie będzie ci się tu przykrzyło! — rzekła do niej Janina, opuszczając ją przy drzwiach jej pokoju — tak będzie codzień! Teraz się śpiesz, ja także pójdę się przebrać... Raul uwielbia elegancję, i ja też, ażeby mu się podobać, postaram się być elegantką... Zaraz się zobaczymy, moja droga... Całuję cię i kocham...

Renata weszła do ciebie i wyszeptwała, wzruszając ramionami...

— I to hrabina!.. Cóż znowu, to pensjonarka, paplająca jak dziecko... Raul długo kochać jej nie będzie.

VIII.

Odtąd znamy już ohydny projekt Renaty.

Upłynął tydzień.

Pewnego poranku siostry zapuściły się w ustro-
nie, gdzie jeszcze dotąd nie były nigdy...

— Wiesz, siostrzyzeczko, że nigdy tu jeszcze nie
zaglądałam... to mnie też zaciekawia... może dokonam
tu jakiego niespodziewanego odkrycia.

Odgarnianie gałęzi, tamujących przejście drażni-
ło już Renatę, którą wogóle irytowała ta cała prze-
chadzka bez celu.

Wtem Janina, idąc naprzód, zatrzymała się
nagle.

— O! — zawołała — jakieś drzwil..

Rzeczywiście ścieżka, tak zarośnięta, zmierzała
do jakiejś budowli, do której przystęp zamknięty był
sztachetkami, widocznie już zardzewiałymi.

W zamku znajdował się klucz, ale zapewne
drzwi nie były otwierane oddawna, bo pokrywał je
bluszcz prawie zupełnie.

— Dokąd te drzwi prowadzą? — spytała Renata.

— Nie wiem nic a nic... — odpowiedziała Jani-
na — ale można zobaczyć.

— Jakim sposobem?

— Zaraz otworzę...

— Masz klucz?;

— W zamku jest...

Hrabina usiłowała otworzyć, ale nie mogła... Klucz zardzewiał w zamku i nie dawał się obrócić.

— O! i tak zajrzeć możemy przez sztachety... — rzekła Janina.

I przy pomocy siostry odgarnęła bluszcze.

— Tam za sztachetami jest droga! — zawołała — a dalej jakiś domek...

— A nawet ładny domek — podchwyciła Renata — jakby jakiś zameczek, a przynajmniej willa... Tylko pustka zupełna... wszystko pozamykane... Do kogo to należy?

— Nie wiem i nawet nie podejrzewałam, że jest taki elegancki domek obok parku Gordes.

W głowie Renaty zabłysło światelko.

— A! — pomyślała — to zapewne owo Grangette i widocznie dlatego Raul zabronił tu wchodzić... Czy mam opowiedzieć Janinie wszystko, co wiem, całą tę historję dawnej jego miłości.

Młoda dziewczyna zawahała się, ale wahanie jej było krótkiem.

— Lepiej zamilczeć — odpawiedziała sobie. — Jeżeli nic nie wie o tym dawnym romansie, Raul miałby do mnie żal, gdybym jej powiedziała...

I milczała.

Kiedy Renata tak się zastanawiała, ozwał się tętent konia, zbliżającego się prędko w tą stronę.

Janina obróciła się do siostry i szepnęła jej do ucha:

— Poznają bieg *Harolda*... To Raul...

— No — odrzekła Renata, również szeptem — to hrabia ci powie, o czym chcesz się dowiedzieć...

— Tak, ale tym razem chcę mu sprawić niespodziankę...

— Jaką?

— Zaraz zobaczysz, a raczej usłyszysz...

Pan de Gordes coraz bliżej podjeżdżał.

Wkrótce Janina zobaczyła go o kilkanaście łokci.

Miał minę ponurą, człowieka opanowanego na głębie przykrem wspomnieniem.

Głowa mu się zwieszała na piersi. Z rąk wymykały mu się cugle.

W chwili, gdy znalazł się między sztachetami opuszczonego domku i furtką parkową, Janina zawołała:

— Raulu!..

Skutek nastąpił natychmiast, ale nie był taki, jakiego się spodziewała młoda hrabina.

Pan de Gordes wstrząsnął się cały i zachwiał na siodle.

Pobladł straszliwie...

Nareszcie zatrzymał konia nagle i, wiodąc oczy ma nawpół błędnymi ku pustemu domkowi, wyszeptał głosem przyciszonym:

— Kto mnie woła?

Janina drobnymi rączkami odgarnęła przyciśniętą do niej gęstwinę bluszczową i, ukazując twarzyczkę świeżą w ramkach zieleni, odpowiedziała:

— Ależ to ja, drogi Raulu... Dlaczegoś tak zbladł?.. Czy cię przestraszyłam?

Renata pomyślała:

Przerażająca potęga wspomnień... On myślał, że to woła go umarła!

— Odpowiedz mi! Odpowiedz mi! — podchwyciła Janina. — Milczenie twoje mnie niepokoi! Czyż mimowoli wyrządziłam ci przykrość?

Raul westchnął głęboko, z widoczną ulgą, jak człowiek, który z piersi swoich zrzuci ciężar, przyniatający go boleśnie.

Patrzył na Janinę z uśmiechem.

— Nie, droga pieszczołko — odpowiedział — nie przestraszyłam mnie bynajmniej, chyba też nawet nie zbladłem, a tylko w pierwszej chwili nie mogłem opanować zdziwienia, gdy usłyszałem głos, wymawiający moje imię, a niepodobna mi było odgadnąć, z kąd ten głos pochodzi.

— Tak, to rozumiem — odparła hrabina.

— Wytłomacz mi jednak — podchwycił Raul — jakim sposobem znajdujesz się w parku, w tem miejscu?..

— Jestem zupełnie przypadkowo... Renata i ja zapaściłyśmy się ścieżką ustronną, która nas doprowadziła do tych sztachetek, i starałyśmy się zorjentować, kiedy poznałam bieg Harolda...

— No! to wracajcie prędko do zamku, dokąd naturalnie przyjadę przed wami... i zjemy śniadanie jak najprędzej, bo mi się bardzo jeść chce...

— Chwilkę jeszcze! — zawołała Janina. — Powiedz mi najprzód, co to jest ten mały zameczek, o którym nie mi nie wspominałeś, chociaż znajduje się tak blisko?..

Hrabia mimowolnie brwi zmarszczył.

— To domek wiejski, nazywa się Grangette... — odpowiedział.

— Ale tu jakby nikt nie mieszkał... — ciągnęła dalej młoda kobieta.

— Rzeczywiście...

— A to dlaczego?

— Ci, do których należał, już nie żyją.

— Oddawna?

— O! niezbyt dawno.

— Jak się nazywali?

— Baron i baronowa de Braines.

— To byli już starzy ludzie?

— Nie, zupełnie młodzi...

— Znałeś ich?

— Tak.

— I to bardzo dobrze?

— Tak, przynajmniej o tyle, że mi przykro mówić o nich, bo umarli bardzo smutnie, jedno po drugim...

— O! biedny przyjacielu! gdybym była wiedziała — wyszeptła hrabina — ale bądź spokojny, nie będę już mówiła o tem...

IX.

Raul korzystał z obecności Renaty w zamku de Gordes, ażeby codziennie bywać na folwarkach, należących do jego dóbr, a zaniedbanych w gospodarstwie od lat kilku.

Tego dnia bardzo wczesnie wyjechał z domu, i, okrążywszy pola daleko, wracał wprost przeciwną drogą, i mimowoli znalazł się naprzeciw Grangette, którego widok sprawiał nań tak przykre wrażenie i nasuwał mu przed oczy bolesną przeszłość.

Hrabia i obie siostry spotkali się znów przy stole.

Janina nie wspominała nic o spacerze rannym.

Po śniadaniu poszła do biblioteki po książkę, ażeby wyjaśnić pewną kwestję geograficzną, co do której nie zgadzała się z nią Renata.

Raul odezwał się do młodej dziewczyny, przechodząc do salonu.

— Kochana siostrzo, zrozumiałaś wypadek ten dziś zrana i przyczynę widocznego zakłopotania, jakiego nie mogłem ukryć...

— O jakim wypadku i zakłopotaniu mówisz, mój szwagrze? — zapytała Renata, a twarz jej wyrażała zdziwienie.

— O! wiesz o tem dobrze—ciągnął dalej Raul.— W Wenecji margrabia Tour-du-Roy opowiedział ci wszystko, a ty, od pierwszej wizyty mojej w pałacu

Cavallot, okazywałaś mi wzruszające współczucie, za które serce moje będzie ci zawsze wdzięczne.

— Więc cóż? — zapytała Renata.

— Otóż — mówił dalej hrabia — pragnę gorąco, ażeby Janina nie wiedziała o tym ponurym romansie, który przez szłaś mój przyoblekł się w rzeczywistość... Kochane dziecko, które mi oddało serce swe w całej swej pierwotnej świeżości, myśli w naiwności błogosławionej, że moje serce po raz pierwszy zabiło dla niej... Pragnę ze wszystkich sił, ażeby zachowało tę wiarę, której utrata przejęłaby ją cierpieniem... Proszę cię więc, siostrzyczko, zachowaj tę tajemnicę i nie wyjaw nigdy Janinie, czem Julia de Braines była rzeczywiście dla mnie...

— O! bądź spokojny! — zawołała prawie z uniesieniem średnia córka Juliusza Leroux. — Tajemnica twoja będzie dobrze strzeżona... z mojej winy nie dotknie cię nigdy żadne zmartwienie... Zanadto cię kocham, abym cię miała zdradzić.

— Dziękuję ci, siostrzyczko! — odpowiedział Raul, ściskając ręce Renacie, na której ten uścisk bratni jakby sprawiał szczególne wzruszenie.

W tejże chwili weszła Janina, niosąc w ręku dużą księgę i atlas.

— To ja miałam słusność! — rzekła ze śmiechem. — Sprawdziłam już w książce i na atlasie... teraz ty się przekonaj, a zobaczysz, jaka ze mnie uczona...

.....

Po południu Renata, ażeby nie być natrętną młodej parze małżonków, zwykle w swoim pokoju czytała jakąś modną książkę, lub palcami przebiegała po klawiszach fortepianu.

Tego popołudnia włożyła do kieszeni flakonik z pachnącą oliwą, którą wzięła z pośród innych perfum ze stołu w ubieralni, włożyła na głowę duży kapelusz słomiany, potem udała się do parku, odszukując zarosłą ścieżkę, którą zrana chodziła z siostrą.

Nareszcie ją znalazła, nie bez pewnej trudności, i zapuściła się na nią, troskliwie podniósłszy po drodze dwa czy trzy długie pióra, które goście parkowi, bażanty arystokratyczne, zgubiły z wspaniałego opierzenia.

Tak doszła do furtki naprzeciw Grangette i, wjąwszy z kieszeni flakonik, zmoczyła w nim pióro bażanta, poczem je włożyła po kilka razy do zardzewiałego zamku.

Skutek oczekiwany nie omieszkał nastąpić. Klucz w zamku się obrócił, a potem drzwi z głuchym zgrzytem posunęły się na zawiasach.

Renata podążyła aleją, ogrodzoną z jednej strony murem parku, a z drugiej strony parkanem ogrodów Grangette.

Wieś Gordes była odległą przeszło o wiorstę.

Na drodze tej wzrok jej nie napotykał nikogo.

Młoda dziewczyna zwróciła oczy ku Grangette, które ją ciągnęło ku sobie, i zdziwienie odbiło się na jej twarzy, zdziwienie, zresztą usprawiedliwione. Ta

siedziba opuszczona, gdzie śmierć sprowadziła pustkę, teraz wydawała się obudzona, jakby ożywiona.

Sztachety wejściowe były rozchylone, nie tylko okiennice ale i okna były szeroko otwarte, a nawet na pierwszym piętrze widzieć można było jakąś postać kobiecą, chodzącą z ogromną szczotką.

Renata pojmując, że następuje się jej jedyna sposobność zaspokojenia ciekawości, śmiało udała się na dziedziniec rozciągający się przed fasadą Grangette.

O sto kroków niespełna od sztachet wznosił się mały zameczek, a raczej pawilon dość zalotnego wyglądu, jednopiętrowy, z mansardami, które wieńczyły eleganckie chorągiewki.

Sześć okien znajdowało się na pierwszym piętrze, cztery na parterze i dwoje drzwi, do których prowadził ganek o pięciu czy sześciu schodkach.

Dom otaczały urocze wiekowe lipy.

Jakieśmy powiedzieli, okiennice i okna stały otworem.

U okien firanki niegdyś białe pożółkły.

Przed pawilonem rozciągał się trawnik z fontanną pośrodku, w której mały tryton miedziany dął w konchę morską. Tu i owdzie widniały krzaki róż.

Kiedy Renata przyglądała się temu wszystkiemu, dziś w stanie tak zaniedbanym, postać kobieca, której obecność zaznaczyliśmy, ukazała się we drzwiach na dole, zeszła z ganku i skierowała się do młodej dziewczyny.

Była to wieśniaczka średniego wieku i dość miłej powierzchowności.

— Sługa pani — odezwała się — czem mogę panię usłużyć?

I, nie dając czasu na odpowiedź, dodała:

— A! poznaję panią... Pani wczoraj jeździła kareta z panem hrabią i naszą młodą panią... Zapewne pani krewna?..

— Jestem siostrą pani de Gordes — odparła Renata.

Wieśniaczka znów się ukloniła, tym razem jeszcze z większym uszanowaniem, i ciągnęła dalej:

— A zkąd pani przyszła ochota zajrzeć do Grangette?

— Wysłałam z parku, zobaczyłam bramę otwartą i chciałam zobaczyć!

— I dobrze pani zrobiła... To nie zabronione.

— Myślałam, że to mieszkanie jest zupełnie puste?..

— A tak! noga niczyja tu nie postanie od czasu nieszczęścia dawnych państwa.

— Jednakże wy tu dzisiaj jesteście..

— Zaraz panię powiem... Nieboszczyk pan baron de Braines pozostawił spadkobierców... Ci spadkobiercy chcieliby sprzedać Grangette, gdyby znaleźli amatorów... Otóż notariusz z Orleanu, który nas, męża i mnie, zna, i ma nas za ludzi niebogaty, ale uczciwych, kazał mi przychodzić tu raz na tydzień otwierać okna, okurzać pokoje z grubszego...

Daję mi za to dziesięć franków miesięcznie... a ja robię swoje sumiennie.

— Czy można obejrzeć pokoje?

— O!.. niech pani pójdzie... tam bardzo ładnie... Ogród wygląda kiepsko, ale ktoby się do niego wziął, w tydzień Bóg wie, jakieby z niego zrobił cacko?.. Mąż mój nawetby się podjął, to nie tak wielkiego... skosić trawniki, oczyścić aleje, naprawić fontannę, poprzącać krzaki róż, powyrzucać zielska, bo *złe ziele rośnie wszędzie*, jak powiada przysłowie... O! wtedy ogród byłby naprawdę ładny, jak dawniej... Może panieczka wiedziałaby o kim takim, co chciałby to kupić?..

Renata potrząsnęła głową.

— Nie znam nikogo takiego.

— O! to źle... No, zaraz panience pokażę dom. Dziewczę podażyło za swą przewodniczką.

Nie będziemy opisywali wnętrza mieszkania, które zalecało się wytworną prostotą, ale nie przedstawiało nic szczególnego.

— Jeszcze tylko jeden pokój został do obejrzenia — rzekła wieśniaczka w pół godziny potem — tam pan baron oddał duszę Bogu... Chyba pani słyszała o tych awanturach pani baronowej...

— Tak, słyszałam...

— To może pani ciekawa zobaczyć, jak wyglądała ta biedna pani... niech jej Bóg wszystkie grzechy przebaczy... W pokoju tym wisi portret... na przeciw łóżka... kochany nasz panisko, gdy umierał

nie mógł już mówić... a jeszcze na ten portret patrzył...

Wieśniaczka drzwi otworzyła i rzekła:

— Niech panienska wejdzie...

X.

Pokój, którego próg przestąpiła Renata, był umebłowany prawie bogato.

Henryk de Braines, który, jak wiemy, posiadał tylko skromne mienie, postarał się jednak zbytkownie urządzić pokój sypialny żony uwielbianej.

Średnia córka Juliusza Leroux nie rozglądała się w szczegółach, lecz całą uwagę skupiła na portrecie, umieszczonym naprzeciw łóżka, jak powiedziała wieśniaczka.

Podnosząc oczy na tę postać, malowaną w naturalnej wielkości, Renata poruszyła się ze zdziwieniem, a pierwszą jej myślą było:

— Raul miał słuszność... Ja jestem podobną do tej kobiety...

Artysta z Orleanu, zaszczycony zaufaniem barona de Braines, nie mógł być naturalnie zaliczony do mistrzów, ale jego pędzlowi nie brakowało zręczności, a szczególnie celował w sztuce odtwarzania rysów z fotograficzną dokładnością.

Julię przedstawił w stroju do jazdy konnej z przewieszonym długim trenem amazonki przez lewe

ramię, w rękę trzymając cylinder popielaty z piórem czerwonym i szpiczokę z gałką srebrną.

Tak samo, jak Renata, młoda baronowa była wysoka i szczupła, szeroka w plecach i z popiersiem o wspaniałych kształtach.

Jak Renata, miała ona również podłużne oczy, czarne, połyskujące, nos, słabo zaostroszony, w kształcie orlego, zęby jak z kości słoniowej pośród czerwonych warg, podbródek z dołeczkiem i dość ostry.

Płeć biała przyciemniona przypominała tak, jak u Renaty, płeć matową kreolek.

Włosy czarne z odcieniem niebieskawym mogły walczyć wspaniałością z włosami Renaty, ale uczesanie zupełnie odmienne psuło podobieństwo obu twarzy.

Wieśniaczka, widząc, że przybyła pani tak się zapatrzyła w ten portret, uznała za stosowne przerwać milezienie, które się jej wydawało zbyt długim.

— O, piękna to była kobieta ta nasza biedna pani... Nieprawdaż, panienko?

— Bardzo piękna — wyszeptła Renata.

— Słyszałam, że umarła w kraju cudzoziemskim.

Czy to prawda, panienko?

— Prawda.

— Słuszna kara Boża.

Renata odezwała się:

— Zapewne pani de Braines miała dla siebie oddzielny gabinet do ubierania?

— O, i bardzo ładny. Czy panienka chce zobaczyć?

— I owszem...

Wieśniaczka przeszła przez korytarz, otworzyła drugie drzwi i wprowadziła Renatę do małego pokoju, pokrytego szarym kretonem w kwiaty róż.

Woń gwałtowna, odurzająca, nasyciała powietrze.

Na toalecie, na małej płycie z marmuru białego, stało sporo flakoników z perfumami, jedne z nich były nawpół już tylko napełnione, inne wcale nietknięte. Renata przyjrzała się etykietom i zauważyła, że wszystkie są jednakowe.

Perfumami panującymi tu, jedynymi, jakich używała baronowa, były *Ylang-ylang*.

— Zdaje mi się, że ktoś chodzi w sąsiednim pokoju — rzekła młoda dziewczyna.

— A bardzo być może — odparła wieśniaczka — wszystkie drzwi pootwierane...

I wyszła prędko z gabinetu.

Renata, korzystając z jej nieobecności, wzięła z najzimniejszą krwią z toalety flakonik z perfumami *ylang-ylang* i włożyła go do kieszeni.

— No, i złodziejką jestem — rzekła do siebie z uśmiechem — ale pieniądze oddam za to ubogim...

Wieśniaczka weszła.

— Nikogo niema — rzekła — ani nawet kota...

— Omyliłam się widocznie...

— Pewnikiem...

— Czy już nic niema do obejrzenia?

— A nic... Pani widziała już wszystko.

Renata podziękowała przewodniczcze, kładąc jej jednocześnie dziesięć franków do ręki, poczem prze-

szła do pokoju sąsiedniego, rzuciła ostatnie spojrzenie na portret Julii, a następnie wróciła po chwili do parku.

Wieczorem przy obiedzie Renata rzekła do siostry:

— Czy, moja siostrzyczko, i teraz jeszcze pozabawiasz się jednej z najponętniejszych przyjemności?

— Jakiej? — zapytała hrabina.

— Konnej jazdy...!

— Alboż zapomniałaś, że nie umiem jeździć?

— Tak młodą jeszcze jesteś, że możesz się nauczyć, a pewnam, iż Raul szczęśliwy będzie, mogąc ci służyć za nauczyciela.

— O! niezawodnie — wtrącił hrabia. — Czy nie podobałoby ci się, moja droga, galopować ze mną przez pola?

— Z tobą wszystko mi się podoba... wiesz o tem dobrze...

— Nasza piękna siostrzyczka poddała mi wspaniałą myśl... Będziemy mieli zachwycające spacer... Kiedyż, Janino, mamy rozpocząć lekcye?

— Kiedy zechcesz?

— Więc natychmiast... To jest napiszę zaraz do Paryża, ażeby mi przysłano konia...

— Po co, przecie mamy tu z dziesięć koni wierzchowych...

— Znadto są one ręce, jak dla uczennicy... Zresztą potrzebujesz też mieć kostjum. Na to wszyst-

ko potrzeba tydzień czasu... A ty Renato, jeździsz konno?

— Jak jaka centaurka... My, Lazaryna i ja, namiętnie lubimy konną jazdę...

— Dlaczegoż nie mówiła? Moje konie czystej krwi czy cię nie przestraszą?

— Bynajmniej... lubię konie nerwowe...

— To rozkazuj... całą stajnię masz do rozporządzenia... a ja będę twoim towarzyszem...

Renata potrząsnęła głową.

— Nie — rzekła — nie... będziemy jeździli dopiero wtedy, kiedy Janina będzie nam mogła towarzyszyć...

— O! cóż znowu — zawołała żona Raula — dlaczegoż miałabym cię pozbawiać przyjemności, w której ja dopiero za miesiąc będę mogła brać udział? I owszem... Jeżeli chodzi o moje towarzystwo... pojedę za wami zdaleka w powozie...

— Dobrze — odrzekła Renata — ale rozpoczniemy lekcje natychmiast... Mam na to wyborny sposób...

— Jaki? — zapytał Raul żywo.

— Dajcie mi tylko do rozporządzenia na jutro powóz, stangreta i grooma...

— Cały dom nasz do ciebie należy, siostrzyczko, tak, jak do Janiny, a więcej niż do mnie... A dokąd chcesz jechać...

— Do Zielonych Liści... Przywiozę ztamtąd dawną amazonkę Lazaryny, a groom przyprowadzi

wierzchowca mojego ojca, konia uległego jak baranek. Lekcje będą mogły więc zaraz być rozpoczęte...

Raul i Janina przyklasnęli na te słowa, a hrabina ucałowała siostrę, szepejąc jej do ucha:

— Jakaś ty dobra... i jak ja cię za to Kocham...

XI.

Nazajutrz zrana Raul wziął się do uczenia żony jeżdżenia konno.

Janina śmiało dosiadła konia, a hrabia ku wielkiej jej radości rokował prędkie postępy. Renata przyglądała się z lekkim uśmiechem.

Po południu Raul zaprojektował spacer, podług ułożonego planu; sam jechać miał konno w towarzystwie Renaty, a Janina za nimi w powozie. Ale hrabina tego dnia wymówiła się od udziału w przejażdżce, tłumacząc się potrzebą odwiedzenia swych ubogich i chorych, prosiła jednak, ażeby Raul pojechał z Renatą.

Ta, której wprzód Raul wybrał w stajni swej bardzo ładnego wierzchowca, zgodziła się po wymianiu krótkim.

Teraz—pomyślała—zbliża się chwila wykonania pierwszej części jej planów szatańskich. Postanowiła stać się uderzająco podobną do Julii de Braines na portrecie.

Zabrała się do dzieła ze zręcznością, prawdziwie mistrzowską.

Wiemy już, że, przy wielkiem podobieństwie twarzy, sposób uczesania czynił ją niepodobną do Julii. Lecz zapamiętała dobrze ten oryginalny rodzaj fryzury. I teraz przed lustrem, dzięki grzebieniom i nożyczkom, po kilku chwilach zdołała zupełnie uczesaniem i twarzą przypomnieć nieboszczkę, potem tak samo przewiesiła tren amazonki przez lewą rękę (jak na portrecie) wzięła do ręki szpicrózgę z gałką srebrną, w kapelusik zatknęła piórko czerwone, a nawet z flakonika, zabranego w Grangette, kilka kropli *ylang-ylangu* nałała na włosy, suknię, ręce i chustkę.

Zapach ostrych perfum szybko się rozszedł po pokoju.

— Twarz, kostjum, a nawet perfumy — rzekła do siebie Renata z dziwnym niepokojącym uśmiechem. — To już nie naśladownictwo, ale zmartwychwstanie...

Udała się do salonn, gdzie Janina czytała książkę.

Hrabina, zobaczywszy wchodzącą, zawołała ze zdziwieniem:

- Jaktol.. to ty!..
- Czegóż się tak dziwisz? — odparła Renata.
- Nie mogłam cię odrazu poznać...
- Coż znowu? żartujesz?
- Nie, naprawdę?

Janina wstała.

— Niepodobnaś już do siebie... — dodała — i doprawdy nie mogę się domyśleć... czem się to dzieje...

— Przyjrzyj mi się dobrze... — rzekła Renata ze śmiechem...

— A! — zawołała hrabina — już wiem... Uczesanie włosów...

— Czy ci się ono nie podoba?

— Nie... i owszem bardzo ładne... tylko może trochę zaoryginalne... Czy to taka moda?

— Nie wiem i o modę mi nie chodzi... Widziałam w Wenecji pewną patrycejuszkę, tak uczesaną na starym obrazie nieznanego mistrza... Patrycejuszka była trochę do mnie podobna... Chciałam do niej jeszcze bardziej być podobną i dlatego tak się uczesałam.

— Dobrześ zrobiła... bo wyglądasz tak bardzo ładnie...

— Czy ładniej, niż zwykle?..

— Zdaje mi się... wyglądasz ładniej i oryginalniej... wyraz twych oczu nabrał czegoś szczególnie tajemniczego... przypominasz sfinksa...

— Biorę to za pochwałę... — rzekła Renata ze śmiechem. — Wiesz, że lubię tajemnicę, a oryginalność mnie pociąga.

— A jak przyjemnie pachniesz!.. — ciągnęła dalej Janina. — Cóż to za perfumy?

— To perfumy wschodnie, przywiezione z Wenecyi...

— Wytworne, ale bardzo odurzają... Czy nie boisz się bólu głowy, kochana siostrzyczko?

— Nie boję się niczego, nawet migreny...

Wtejże chwili przez otwarte okno usłyszano na dziedzińcu głos pana de Gordes.

— John — mówił on — przyprowadź konie.

— Raul zaraz przyjdzie po ciebie — odezwała się hrabina.

— I nie będzie czekał — odrzekła Renata — jestem gotowa.

XII.

Renata, jakby nie naumyślnie, nie przestając rozmawiać z Janiną, stanęła na wprost drzwi, którą pan de Gordes miał wejść i przybrała taką postawę, jak pani de Braines na portrecie w Grangette.

Wszedł hrabia.

Pierwszem spojrzeniem ogarnął siostrę żony od stóp do głowy i, zamiast przestąpić próg, zatrzymał się, jak człowiek, przykuty do miejsca niezwykłym zjawiskiem.

Twarcz jego zmieniła się, serce mu bić przestało, dreszcz przebiegł po ciele, gdy jednocześnie wrażenie, niezwykle bolesne, wstrząsnęło całą jego istotą.

— Czy ja śnię? — zapytał sam siebie. — Widziałem Julię umarłą a widzę ją żywą!

Raul de Gordes, jak wielu z dzieci tego wieku niedowierzającego, był trochę sceptykiem i żartował sobie z wszelkich zabobonów, a jednak wśród białego dnia, w tym salonie, pełnym słonecznego blasku, doznał uczucia niepowściągniętego przestachu.

— Sprawiałam efekt — pomyślała Renata.

Janina ani się domyślała prawdziwej przyczyny tej zgrozy.

Sądząc, że tak samo, jak ona, nie poznał wcale Renaty, wybuchnęła srebrzystym śmiechem.

— Nie spodziewałeś się wcale, drogi Raulu — rzekła — spotkać tu tę piękną cudzoziemkę... Żdziwienie twoje jest słuszne... Pozwól sobie przedstawić szlachetną damę, weneccyankę... patrycjuszkę z czasów dożów...

Głębokie westchnienie podniosło piersi pana de Gordes, który jednak natychmiast zapanował nad sobą.

Janina żartowała, zatem był on igraszką złudzenia dziwnego i ten zwodniczy miraż miał zaraz zniknąć.

Postąpił kilka kroków, uspokojony, ale wciąż jeszcze wzruszony, a gdy rzeczywistość coraz bardziej mu się przedstawiała, zamiast fantastycznego widoku, w miarę, im bardziej się zbliżał, zawołał tak samo, jak Janina, przed chwilą:

— Co? więc to Renata!..

— A tak! to Renata! — odpowiedziała wesoło mała hrabina — i jaka ładna, nieprawdaż, jak kopja

młodej kobiety na starym obrazie. Czyś widział ten obraz, Raulu? — dodała Janina.

— Co za obraz? — zapytał hrabia.

Janina opowiedziała historję, wymyśloną przez siostrę.

— Nie, nie widziałem go — odparł pan de Gordes, potem zwracając się do Renaty, dodał:

— W jakim pałacu znajduje się ten portret?

Renata wymieniła jedną z licznych galerji prywatnych w Wenecji.

— Nie zwiadałem tej galerji — odrzekł Raul — bo patrycjuszka skopiowana przez ciebie, jest tak piękną, że nie mógłbym jej nie pamiętać, gdybym ją choć raz jeden widział.

— Dziękuję ci za komplement, kochany szwagrze. Ponieważ ci się to uczesanie podoba, to je zachowam.

Pan de Gordes chciał odpowiedzieć, ale powstrzymał się, i słowo, już wytworzone w myślach, nie dobiegło do ust.

— A teraz — wtrąciła Janina — teraz kiedy zaprezentowałam szlachetną wenecką szlachcicowi francuzkiemu, jedźcie już... Konie niecierpliwą się, a ubodzy moi czekają...

Renata włożyła na swe włosy ciemne mały cylinder popielaty z piórem czerwonym.

Kapelusz ten zdawał się być jak najdokładniej skopiowany z kapelusza Julii de Braines i uzupełniał tożsamość kostjumów.

Raul drgnął, ale, hamując znów wzruszenie, ucałował Janinę i podał ramię Renacie, szepcząc:

— Pójdź, siostrzyczko...

Hrabina poszła za nim aż na ganek.

Masztelarz przeprowadzał wierzchowca, Jacka z siodłem damskim.

Dwóch groomów trzymało za uzdę konia hrabiego, Diega.

Raul pomógł Renacie dosiąść rumaka, twarz musnęła mu jej czarna suknia; młoda dziewczyna uczuła, jak zadrżały jego ręce, które ją podtrzymywały, i rzekła do siebie:

— Poznał perfumy.

Nie myliła się wcale.

Zapach ylang-ylangu, który roztaczały niegdyś włosy Julii, obudził w nim gwałtowne wspomnienia i niejako je ucieleśniał, a nawet zaczynało mu się już wydawać dziwnem, że wypadek tyle zgromadził od razu okoliczności, których zebranie takie wydawało się wprost niemożliwem.

Ażeby wyrwać się z pod tego wpływu przeszłości, Raul skoczył na konia, nie dotykając prawie strzemienia.

Potrzebował koniecznie ruchu, potrzebował zwłaszcza rozproszyć w wietrze leśnym i w szybkim pędzie jazdy te wyziewy ostrych wytwornych perfum, które się unosiły dokoła hrabiego i osiadały na jego ustach jak ostatni pocałunek umarłej.

Ale umarła była tu przy nim, żywa i piękna, jak za czasów ich miłości, a nawet może piskniejsza.

— Naprzód! — zawołał.

Potem, skłoniwszy się Janinie, która uśmiechała się na ganku, uderzył szpicróżgą konia, który popędził szybko.

Obok niego galopowała Renata, nie dając mu się wcale wyprzedzić.

W minutę niespełna jeździec i amazonka dojechali do bramy parkowej.

Gdy miano zapuścić się już w las, Renata się obróciła.

Janina, nieruchoma, na tem samem miejscu, powiewała chustką na pożegnanie i uśmiechała się ciągle.

Szeroka aleja, wysadzana dębami stuletniami, dwie wiorsty długa, ciemna nawet w dzień od gęstego cienia, przerzynała las cały.

Konie biegły szybko po ziemi, pokrytej trawą z wrzosem.

Pan de Gordes, opanowany myślami, wiadomemi nam, starał się napróżno je odpędzić, pochylił głowę, brwi zmarszczył i nie wymawiał ani słowa.

Renata zrozumiała to milezenie i przyglądała się hrabiemu prawie ukradkiem.

Z pośród nawpół przymkniętych powiek dziewczęcia wytrysnął promień ognisty.

— Raulu... — wyszeptała nagle.

Hrabia jakby się ocknął z marzeń i zwrócił się do swej towarzyszki.

— Chciałabym jechać wolniej... — podchwyciła. — Jedziemy tak prędko ciągle, że mi tu już braknie...

Pan de Gordes natychmiast wstrzymał swego wierzchowca.

— O! — zawołał — wybacz!.. jestem wielkim winowajcą... Powinienem był oddawna cię zapytać, czy cię nie zmęczy ta szalona jazda... Nie wiem, gdzie mam głowę dzisiaj... Myśl moja jest ztąd daleko...

— Przy naszej kochanej Jani, jestem tego pewna... — rzekła Renata tonem, prawie szyderczym.

Raul nie umiał kłamać.

Zamiast przytaknąć, milczał.

Popatrzył tylko przez kilka sekund na Renatę, poczem, odwróciwszy głowę, wpadł znów w zadumę i milczenie.

Młoda dziewczyna pozwoliła tak upłynąć pięciu czy sześciu minutom, poczem, wybuchając przymusowym śmiechem, odezwała się:

— Doprawdy, Raulu, wydajesz mi się dziś bardzo dziwnym towarzyszem... Musisz bardzo żałować, żeś mnie zabrał na tę przejażdżkę, skoro masz taki humor... Wolałbyś zapewne samotność, niż czyjekolwiek towarzystwo... Może zawrócimy do zamku z powrotem?.. Lepiej będzie, niżli tak jechać...

Zamiast odpowiedzieć na tę wymówkę, pan de Gordes, jak gdyby jej nie słyszał, wyszeptał:

— Więc to w galerji Foscarich, jak mi mówiłaś, znajduje się ten obraz?

— Jaki obraz? — podchwyciła Renata z doskonale udanem żdziwieniem.

— A ten, na którym jest portret patrycjuszki, do ciebie teraz podobnej...

— Jakto... to jeszcze o tem myślisz?.. Tak... w galerji Foscarich...

— Dlaczegoż w Wenecji nic mi nie mówiłaś o tym dziwnym obrazie?..

— A dlaczegoż miałam mówić koniecznie? Czy mogłam odgadnąć, że szlachetna dama, do ktorej mam zaszczyt być trochę podobną, a która od dwustu lat zapewne śpi w jakim grobowcu z herbami, interesuje cię choć cośkolwiek..

— Tak — odparł hrabia — nie mogłaś odgadnąć...

— Już wyczęłam — podchwyciła młoda dziewczyna — jechać jak żółw można tylko wtedy, gdy się rozmawia. Galopem!.. Galopem!..

Renata popędziła Jocka, który pomknął jak strzała.

— Prędszej! — wołała, smagając szpicrózgą — prędszej! prędszej!

Podwójnie podniecany szpicrózgą i głosem koń, już nie galopował, lecz jakby leciał na skrzydłach.

Diego pozostawał nieco w tyle.

— Ostrożnie! — zawołał Raul.

— Z czem? — spytała młoda dziewczyna, odwracając głowę na wprost.

— Za chwilę nie będziesz już panowała nad Jackiem... poniesie cię.

— O! nie boję się... jestem odważna...

— O! — pomyślał hrabia — warjatka z niej...

— Prędeż!.. prędeż! — powtarzała Renata.

Nagle, bez widocznej przyczyny, jakby pod wpływem tylko kaprysu, zwróciła Jacka w jedną z bocznych alei i znów dała mu poczuć szpicerózkę.

Wtedy zaczął się bieg szalony, fantastyczny.

Krajobraz zmienił swój charakter...

Las nabierał widoku ponurego... Ogromne głazy granitowe, wydrążone głębokimi grotami, wznosiły się po prawej stronie drogi...

Nagle Renata wydała okrzyk.

XIII.

Raul usłyszał ten krzyk i zawołał:

— Co ci jest, moja siostrze?

— Jack już mnie nie słucha — odpowiedziało dziewczę — sam się rwie naprzód...

— Uprzedzałem cię.

— Wiem, ale teraz trzeba, ażebyś mi pomógł, a nie zrzędził.

— Trzymaj się dobrze... droga jest prosta... niema na niej żadnych zawad... a siedzisz mocno na koniu...

— Ale nie w tej chwili... w głowie mi się kręci... boję się.

Rzeczywiście Renata chwiała się na siodle w sposób zatrważający.

— Odwagi! odwagi! — zawołał do niej hrabia.

— O! sił mi brak... Nie widzę już nic.. Spadnę...

Amazonka wypuściła szpicrózgę. Zdawało się, iż tylko trzyma się grzywy. Upadek był niechybny a przy tak szybkim biegu mógłby być straszny.

Raul, coraz bardziej przerażony, spiął ostrogami swego wierzchowca, i w dwóch podskokach dogonił Jacka.

Za trzecim go prześcignął, ale pan de Gordes zdążył pochwycić cugle, których Renata już nie trzymała.

Jednocześnie zręcznym manewrem zagroził Jackowi drogę, a ten, nie mogąc utrzymać równowagi, padł na cztery nogi.

Raul przewidział ten upadek; pochylił się ku młodemu dziewczęciu, i w chwili gdy koń padał, objął ją w pół, porwał z siodła i rzucił ją przed siebie na Diega, który zatrzymał się natychmiast z zadziwiającą uległością.

— Kochana sestro — rzekł hrabia — uspokój się... minęło wszelkie niebezpieczeństwo...

Renata nie odpowiedziała.

Pan de Gordes spojrział na nią.

Oczy miała zamknięte; głowa jej, przechylona w tył, chwiała się bezwładnie.

— Straciła przytomność! — pomyślał mąż Janiny. — Tak to te bohaterki niby to są odważne i nie

chęć słuchać nieczyjej rady... A tymczasem drętwieją przy najlżejszem niebezpieczeństwie...

Trzeba było jednak myśleć o cuceniu.

Groom, który za nimi jechał zdaleka, pozostał na znacznej odległości, a może nawet pojechał w innym kierunku. Samotność była zupełna.

Po prawej stronie drogi, jakieśmy powiedzieli, wznosiły się ściany skaliste. Prawie na powierzchni ziemi widniała grotta wązka, głęboka i wyłożona mchem.

W pobliżu struga wody, wybiegając z pagórka, napełniała naturalny wodozbiór i ginęła pod korzeniami drzew.

Raul zsiadł z konia, pozwalając Diegowi i Jackowi, już uspokojonemu, skubać trawę pod drzewami, a sam, niosąc młodą dziewczynę, przyciśniętą do jego piersi, przebył dwadzieścia kilka kroków, oddzielających go od rzeczonyj grotty.

Gdy tak szedł, zapach przejmujący ylang-ylangu, wydzielając się z włosów, ubrania i rąk Renaty, przedostawał się obficie do nozdrzy hrabiego, wywierając skutek prawie taki, jak na mieszkańców wschodu parry opium.

Halucynacja dziwna ale łatwa do pojęcia, bo zrodzona na godzinę przedtem w zamku, z pod której wpływu Raul chciał się wyzwolić, objawiła się znowu, lecz z siłą dziesięćkroć większą, z mocą spotęgowaną.

Woń ta, którą niegdyś ubóstwiał, dawała młodzieńcowi zapomnieć teraz o czasie, odległości i śmierci... a nawet o Janinie...

Julia wskrzeszona, a raczej zawsze żyjąca i zawsze w jego objęciach, zsyłała nań cały urok zapalny piękności, młodości i miłości.

Pan de Gordes tracił świadomość rzeczywistości. W głowie czuł zawrót. Jakiś obłąd, jakkolwiek przemijający, niemniej jednak gwałtowny ogarniał mózg jego...

Nachylił się ku młodemu dziewczęciu.

Podobieństwo, wyzyskane przez Renatę ze zręcznością tak zdradziecką, dokonało dzieła, rozpoczętego przez perfumy.

Halucynacja dosięgła paroksyzmu.

— Julio — wyjąkał — dlaczegoż ja myślałem, że nas śmierć rozłączyła? Był to tylko sen przykry, a oto teraz przebudzenie. Wróciłaś do mnie Julio, i Kocham cię!..

O! jakże biło w tej chwili serce tryumfującej Renacie... Jak jej opuszczone powieki mogły zaledwie powstrzymać płomień, gotowy zabłysnąć.

Odtąd zwycięstwo wydawało się jej zapewnionem.

Raul szeptał dalej w przystępie szału:

— Twój jestem, Julio... moja Julio!.. twój jedynie... i twój na zawszel!..

Pociągnięty nieprzepartą władzą magnetyczną, ukląkł i ustami dotknął twarzy Renaty.

Była to pieszczota tak krótka, a jednak Raul nagle zbladł i podniósł się gwałtownie, w ogromnym przerażeniu.

Pocałunek przerwał cały urok...

Halucynacja niezdrowa pierzchała przed rzeczywistością... Sen rozwiął się, klęska sromotna zastępowała dla Renaty spodziewane zwycięstwo.

— Ależ to zbrodnia! — wyszeptał pan de Gordes. — Nikczemny byłem... a raczej szalony... Ohydne szaleństwo! Przekłęte szaleństwo!.. Znieważałem ukochaną moją Janinę... Poniewierałem serce mej żony... Jakżeby one obie mną pogardzały, gdyby wiedziały... Na szczęście nie zgoła nie wiedzą i nigdy się nie dowiedzą... Nikt nie pozna tajemnicy mego szafu...

Usiadł na odłamie skały i ukrył głowę w dłonie, daremnie szukając przyczyny swego krótkiego szaleństwa i nie pojmując jej weale.

Nagle odjął ręce; oczy jego zwróciły się ku Renacie.

— Tak, straciłem głowę!.. — rzekł prawie głośno. — Jakto! Dziecko to leży bezprzytomnie, a ja nie śpieszę mu z pomocą.

Co do środków leczniczych jeden tylko był w jego rozporządzeniu, najprostszy ze wszystkich, ale i najskuteczniejszy: Woda świeża.

Strumień z pod skały wypływał o dwadzieścia kroków od groty.

Raul pobiegł ku niemu.

Zaledwie znikł, Renata otworzyła oczy.

Zmarszczka między jej brwiami, bladłość, ryzy zmienione, wskazywały wyraźnie głęboki ból i gniew.

Myślała:

— Przegrałam partycję!.. Czyż ten hrabia de Gordes jest mężczyzną?.. Muszę mieć odwet, muszę się zemścić, chociażbym nawet życie za to oddała... Ale jak?..

Kiedy Raul w dwie czy trzy minuty powrócił, przynosząc wodę w czapce aksamitnej, zastał Renatę, wspartą na łokciu, z otwartymi oczyma.

— O! — zawołał — przyszedł już do siebie... Co za szczęście!..

— Prawda, że się obudziłam ze snu? — wyszeptała Renata głosem słabym. — Gdzie ja jestem, co się stało?

— Nie tak strasznego — odpowiedział hrabia.

— Ale co?

— Jack cię poniósł, o czem ostrzegałem, ale na szczęście, zdołałem cię pochwycić, gdy Jack padał.

— Więc ocaliłeś mi życie.

— Oszczędziłem ci tylko dość gwałtownego upadku, i tutaj cię przyniosłem.

— Jak dawno?

Raul, jak wiemy brzydził się kłamstwem.

Zarumienił się zlekka, jednakże odpowiedział bez wahania.

— Najwyżej z pięć minut... Omdlenie twoje nie trwało długo... Czy czujesz się lepiej? — dodał.

— Zdaje się, że tak.

— Może spróbujesz wstać?

— I owszem, ale pomóż mi, bo jeszcze cała grota kręci się wraz ze mną...

Raul podał obie ręce Renacie, która, podniósłszy się, oświadczyła, że zawrót, na który się uskarżała, coraz się bardziej zmniejsza, i że czuje się na siłach powrócić do zamku de Gordes.

XIV.

— Ztąd do zamku daleko — podchwycił hrabia. — Możeby było lepiej, ażebyś jeszcze trochę odpoczęła, siostrzyczko...

— Nie — odparła Renata — nie czuję już zmęczenia...

— Czy miałabyś odwagę wsiąść na konia?

— Najzupełniej; Jack rozbiegał się tylko z mojej winy i gdybym była usłuchała twych rad, nieby się nie było przytrafiło... To nauczka dla mnie... skorzystam z niej i będę na przyszłość ostrożniejszą.

— To chodźmy...

Raul i Renata opuścili grotę.

Hrabia pomógł dziewczęciu wsiąść na Jacka i oboje pojechali drogą do Gordes.

Przez kwadrans prawie cały jeździec i amazonka nie zamienili z sobą ani słowa.

Wreszcie Raul zwrócił się do Renaty:

— Droga siostrzyczko — rzekł głosem wzruszonym — chciałbym z tobą pomówić poważnie.

Młoda dziewczyna spojrzała nań oczyma zdziwionemi.

— Poważnie?.. — powtórzyła.

— Tak — ciągnął dalej — a szczerosc słów będzie dla ciebie dowodem zaufania, jakie mam do ciebie...

— Naturalnie, że powinieneś mi ufać — odparła Renata. — Zasluguje na to... O cöz to chodzi?..

— Chcę prosić cię o poświęcenie.

— Jakiej natury?

— Co do zalotności.

— Intrygujesz mnie bardzo, mój szwagrze, zwłaszcza, że nie uważam się wcale za zalotną... Ale jakież to poświęcenie?

— Ażebyś się wyrzekła tego uczesania włosów, w którym ci tak do twarzy.

— Czy mówisz o tem uczesaniu, którego spróbowałam dziś po raz pierwszy?

— Tak.

Renata zaczęła się śmiać.

— Tembardziej mnie intrygujesz! — podchwyciła. — Że cię może obchodzić uczesanie Janiny, to pojmuję... ale moje... Dlaczego?

— To pytanie doprowadza mnie do szczególnego wyznania, które muszę ci uczynić. Dałem ci do zrozumienia w Wenecji, przy pierwszej naszej rozmowie, której każdy wyraz wyrzył się w mojej pamięci, że istnieje pewne podobieństwo między tobą a biedną kobietą, którą kochałem na jej nieszczęście...

— Tak, zdaje mi się, że coś sobie przypominam... — wyszeptano dziewczę, udając obojętność.

— Otóż — ciągnął dalej Raul — pani de Braines czesała się tak samo, jak ty teraz przypadkiem, a ty, kopiując nieświadomie Julię, stałaś się jej żywym portretem...

Serce Renacie biło gwałtownie.

Nadzieja rozproszona znowu w nią wstąpiła. Niebezpieczną wydawała się hrabiemu, więc mogła jeszcze triumfować.

Kto wie, czy jej nie powie: Widząc cię, taką, boję się, abym cię nie pokochał!

— A cóż znaczyć może podobieństwo — odparło dziewczę — skoro ta kobieta umarła, a na jej miejscu w sercu twojem jest dzisiaj Janina?

— O! — zawołał hrabia z uniesieniem — właśnie dlatego, że należę sercem i duszą do mej ukochanej Janiny, wspomnienie to nieznośne, trapiąc mnie, sprawia uczucie bolesne... Dziesięć lat życia oddałbym bez żalu, ażeby zatrzeć najmniejszy ślad tej przeszłości błędów i cierpień.

Osądź sama, jak przykro dla mnie ciągle mieć przed oczyma widziadło fatalnej przeszłości... Nie należę do tych, którzy się oddają nawpół... Całą miłość moją ma Janina, niech ma i wszystkie moje myśli... Aniła tego obrażałbym, gdybym pomyślał, że Julia de Braines żyła... Zapomnieć powinienem nawet jej twarz i nazwisko... Miłość i poczucie uczciwości tego wymagają odemnie... Czyż śmiałym usta zbliżyć do ust czystych Janiny, gdyby wspomnienie o innej kobiecie mąciło mój skołatany umysł... Byłoby to jakby świętokradztwo... Oto dlaczego, droga

Renato, błagam cię, ażebyś mi wyświadczyła łaskę, o jaką cię prosiłem przed chwilą... Stań się znów samą sobą, to jest tą śliczną istotą, która nam jest tak drogą, i w życiu mem szczęśliwem z ubóstwianą naszą Janinką, nie sprawiaj mi boleści, nie budź we mnie wyrzutów sumienia pod postacią widziadła, z czasem już rozwianego... Czy mi przyrzekasz?

Renata drżąc zbladła.

Tym razem klęska była bez nadziei, niepowrotna...

Zrozumiała to zupełnie.

— Mój szwagrze — rzekła głosem suchym, który zadawał kłam jej słowom — mam dla ciebie zbyt wielką sympatję, ażeby nie było mi łatwo poświęcić dla ciebie kaprysu przelotnej zalotności... Kocham zwłaszcza nadto Janinę, ażebym chciała między pocałunkami twemi i jej usty kłaść wspomnienie, dziś już nie cierpiane, portret teraz wstrętny. Nie obawiaj się, już mnie nie zobaczysz tak uczesanej...

— Dziękuję ci, siostrzyczko... — odparł Raul, nieco zdziwiony tonem Renaty, ale daleki zupełnie od podejrzenia prawdziwej przyczyny tej goryczy, której nie była w stanie ukryć.

— Jak on ją kocha! — pomyślało dziewczę — Gdyby nie ona, mnie byłby tak kochał! Serce jego, majątek, wszystko mi zabrała! I ja miałabym jej pozwalać, ażeby używała w spokoju skradzionego dobra... Nie mogę jej złamać tak... to ją w inny sposób złamię...

Od tego dnia w postawie i obejściu Renaty zaszła stopniowo zupełna przemiana.

Zaniechawszy planu pierwotnego i szukając nowego, powiedziała ona sobie, że przedewszystkiem należało stać się niezbędną, tak, że gdyby ojciec (choć to nie było prawdopodobne) skrócił pobyt swój w Paryżu, nie przysła myśl ani Raulowi, ani Janinie, odesłać jej do Zielonych Liści.

Udawala więc, że rozmiłowała się namiętnie we wsi, a zwłaszcza w majątku Gordes!

Pragnęła teraz naśladować siostrę i stać się podobnie opatrnością dla cierpiących.

Towarzyszyć chciała Janinie codziennie w odwiedzaniu przez nią chorych i ubogich i rozdała na jałmużny większą część z kilkuset franków, które ojciec, wyjeżdżając, zostawił jej na drobne wydatki.

Zajęła się nadto gospodarstwem domowem, dopomagając w tem wielce Janinie, a z władzy, przez nią jej użyczonej, korzystała delikatnie. Wogóle charakter jej jakby złagodniał; nie okazywała już ani kapryśców, ani uniesień, ani nawet upodobań do hałaśliwych rozrywek, przeciwnie usposobienie jej było teraz równe i wesołe.

Dla Janiny stała się wielce kochającą siostrą, Raulowi okazywała życzliwość.

W zamku de Gordes zapanował rzadki na tym świecie spokój i szczęście bez chmur.

Pewnego dnia Raul z Janiną pojechali do Tourdu-Roy na śniadanie do Lazaryny.

Odmówiwszy towarzyszenia im pod pozorem migreny, Renata pozostała sama.

Wtedy twarz jej się nagle zmieniła pod wpływem nieubłaganej nienawiści... Wejrzenie jej tak słodkie stało się groźnym, przerażającym...

Jak dramaturg szuka dla swej sztuki ponurego rozwiązania tragicznego, tak Renata szukała ciemnych ścieżek, któreby ją bez żadnego niebezpieczeństwa zaprowadziły do celu.

Tego dnia, gdy jadła śniadanie sama, lokaj położył przy niej na stole, na tacy srebrnej, dzienniki świeże z poczty.

Dziewczę wzięło *Figaro*, zerwało opaskę i przebiegało oczyma ten dziennik.

W rubryce *Wiadomości bieżące* zwrócił jej uwagę tytuł: *Tajemniczy dramat*, i czytała następujące opowiadanie:

„Pierwsi niezaprzeczenie jesteśmy w możności opowiedzieć historję dziwną, za której wiarogodność ręcymy, a którą Paryż zajmować się będzie od dzisiejszego wieczora, a cała Francja od jutra...

„Mieliśmy już o tem wiadomości od dni dwóch. Nie chcieliśmy nie jednak pisać, ażeby niczem nie przeszkodzić działaniu władz sądowych.

„Dzisiaj uważamy za stosowne zastąpić nazwiska pierwszemi literami. Jutro wydrukujemy nazwiska w całości.

„Oto fakty:

„Lat temu dwa pewien hawańczyk, pochodzenia hiszpańskiego, don Luis de H., w wieku około lat

trzydziestu pięciu, zamieszkał w Paryżu z młodą żoną, Mercedes, kreolką z Luizyany, młodszą od niego o lat dziesięć.

„Don Luis posiadał majątek, szacowany na kilka milionów... Mercedes była piękną. Mąż ubóstwiał żonę, która zdawała mu się odpłacać wzajemnością. Słowem trudno było widzieć parę bardziej dobraną i według wszelkiego prawdopodobieństwa, bardziej szczęśliwą.

„Prawie zaraz po przyjeździe do Paryża, don Luis kupił jeden z prześlicznych pałaców w pobliżu alei Cesarzowej, a pałac ten stał się wkrótce miejscem zebrania dla kolonii cudzoziemskiej i dla wielkiej ilości paryżan, należących do wyższego towarzystwa, a reprezentujących, arystokrację, finanse, politykę, literaturę i sztuki piękne.

Bale donny Mercedes sprawiały sensację w całym świecie towarzyskim. Pokoje dla przyjmowania gości łączyły się z obszernym ogrodem zimowym, gdzie roślinność podzwrotnikowa roztaczała się w całym swym blasku, a o przepychu w tych apartamentach sami nieraz mieliśmy sposobność mówić.

Otoczona ludźmi znakomitymi, z których wielu chciało się jej podobać a kilku zdawało się nawet kochać w niej, piękna kreolka zachowywała opinię bez żadnego najmniejszego cienia.

„Pełna wdzięku, ale obojętna, przyjmowała wszystkich z jednakową uprzejmością, dowodząc tak doskonałego taktu, że nawet niepodobna było jej pomawiać o kokieterję.

„Don Luis, jakkolwiek Hiszpan, nie zdawał się być wcale zazdrosnym i pozostawiał żonie zupełną swobodę, przekonany zapewne dobrze, iż jej nie nadużyje.

Jakże można było przypuszczać, że dramat przerażający ukrywa się pod temi pozorami spokojnego szczęścia...

— Cóż to za dramat? — zapytała siebie Renata, w której ciekawość tembardziej się rozbudzała, iż przypominała sobie doskonale, że w lasku Bulońskim widywała we wspaiałym powozie piękną Mercedes i jej męża, których odgadywała pod przejrzystem opowiadaniem.

XV.

Renata czytała dalej:

„Pewnego dnia — jest temu sześć miesięcy — pałac przy alei Cesarzowej, przestał otwierać swe podwoje nietylko dla gości, ale i dla przyjaciół.

„Mercedes nie pokazywała się nigdzie... Don Luis zapadł ciężko na zdrowiu, a stan jego wydał się od razu poważnym; — wezwano doktorów.

„Dość wysokiego wzrostu; szczupły, a raczej suchy, ale barczysty Hawańczyk z brunatną cerą, włosami czarnymi gęstymi, faworytami czarnymi, oczyma czarnymi, wydawał się bardzo silnym i cieszył się doskonałem zdrowiem.

Powalony został tymczasem odrazu i, rzecz szczególna, doktor z całą szczerością wyznał, że nie a nie nie rozumie przyczyny choroby, że nie może przewidzieć jej przebiegu, i że, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności, pragnie zasięgnąć zdania świątłych kolegów.

Mercedes skwapliwie się zastosowała do jego życzenia.

Księżęta wiedzy zebrali się na konsylium i zgodzili się tylko co do jednego: — wypadek ten choroby był dotąd nieznanym i wymagał długich badań, zanim mógłby otrzymać nazwę, włączonym być do pewnej kategorii, a potem traktowanym konsekwentnie i skutecznie.

Rzeczywiście badali go z sumiennością bez zarzutu, ale otrzymali rezultaty tylko nie mówiące.

Choroba zdawała się drwić z lekarzy. Od dnia do dnia, a czasem nawet co godzinę objawy się zmieniały, obracając w niwecz najbardziej wyrozumowane przewidywania, wymagając coraz to nowego systemu leczenia.

Mercedes, pełna poświęcenia, odważna, niestrudzona, nie odstępowała łoża męża.

Don Luis, przytomny ciągle, pomimo najokrutniejszych cierpień, tylko z rąk żony zgadzał się brać lekarstwa, potrzebne jeżeli nie dla wyzdrowienia to przynajmniej dla ulgi.

Po upływie trzech miesięcy biedny milioner zgasł, uśmiechając się do Mercedes, której ręce trzymał w swoich dłoniach.

Pamiętamy jeszcze wspaniałość pogrzebu i złożenie zwłok don Luisa na cmentarzu Ojca Lachaise.

Nazajutrz *cały Paryż* śpieszył zostawić bilety wizytowe w pałacu, dla okazania współczucia.

Młoda wdowa zносиła boleść z godną podziwu rezygnacją...

Zaledwie potrzeba nadmienić, że don Luis zostawił jej w testamencie cały majątek kolosalny bez żadnych zastrzeżeń.

Ponieważ jednak Mercedes była w grubej żałobie, (gdyby nawet chciała), mogła otworzyć swe salony, dopiero po upływie długich miesięcy, więc Paryż, lubiący się bawić, przestał się nią zajmować zupełnie.

Między przyjaciółmi najbliższymi nieboszczyka don Luisa H.*** znajdował się pewien młodzieniec, Jose *, kreol z Luizyany, jak Mercedes, którą znał jeszcze przed zamążpójściem i która go przedstawiła hawańczykowi.

Jose, którego piękność mężka a zarazem pełna wdzięku, mogła walczyć z pięknością Bachusa indyjskiego, prowadził w Paryżu życie burzliwe, grał grę, przegrywał często, wydawał szalone sumy, a jego ziomkowie z kolonii zagranicznej, nie mogli się domyślić, z kąd bierze tyle pieniędzy, ponieważ rodzina jego w Luizyanie nie uchodziła wcale za bogatą.

Wreszcie przypuszczano już, że don Luis, który nie mógł się bez niego obyć, pozostawiał mu swą kasę niewyczerpaną, lecz mylono się, ponieważ Hawańczyk przeciwnie wymawiał mu często jego zbytki

szalone i wyrzucał mu również skandaliczne stosunki z okrzyczanymi zalotnicami.

Kiedy była o tem mowa przy Mercedes, młoda kobieta i Jose zamieniali z sobą ukradkowe spojrzenia i uśmiechali się.

Od czasu owdowienia kreolka przyjmowała u siebie tylko Jose'go, ale w dość długich przerwach, i nikt się nie dziwił tym wizytom, wobec przyjaźni, jaka łączyła młodzieńca z nieboszczykiem don Luisem.

Na tem samem miejscu zanotowaliśmy przed tygodniem wiadomość o aresztowaniu cudzoziemca, bardzo znanego w wyższym świecie a oskarżonego o fałszerstwo.

Cudzoziemcem tym był Jose D***.

Pewien bogaty bankier, zobaczywszy swój podpis podrobiony na przekazie stu tysięcy franków, wystawionym przez kreola i płatnym dnia następnego, wystąpił ze skargą.

Daremnie Jose dowodził, że miał pod ręką sto tysięcy franków, potrzebne na pokrycie zapłaty.

Fakt przestępstwa, chociaż złagodzonego, istniał jednak i aresztowanie utrzymane zostało w swej mocy.

W dorożce, która z Mazas zawiozła go do sędziego śledczego, Jose był tyle nierozważnym, iż zaproponował dozorcóm dziesięć tysięcy franków, za oddanie wdowie po don Luisie bileciku z kilku słowami, w zamian którego wypłaciłaby im pieniądze.

— Zgoda! — odrzekł jeden z agentów — oto papier i ołówek...

Młodzieniec napisał.

— Odwiedź mnie jak najprędzej i spal wszystkie listy. Pilno. Daj *dziesięć tysięcy franków* oddawcy.

Jose.

— Doskonale! — rzekł agent — dama będzie miała ten liścik dziś wieczorem.

W kwadrans później liścik Josego znajdował się już w ręku sędziego śledczego.

Tegoż wieczora rzeczony urzędnik wspólnie z komisarzem i agentem policyjnym udali się do mieszkania kreolki i zabrali papiery, postanawiając je pilnie przejrzeć, bo przecież nieplaci się dziesięciu tysięcy franków za zniszczenie papierów, nie znaczących.

Nazajutrz, (to jest onegdaj) policja zeszła do pałacu przy ulicy Cesarzowej i aresztowała Mercedes.

Zkądże takie aresztowanie zdumiewające?

O! mój Boże! rzecz bardzo prosta...

Nieskazitelna małżonka, wdowa niepokieszona, nowa Artemiza, była oddawna, a może nawet przed zameżciem kochanką Josego...

Z punktu widzenia świata łatwej moralności, nie było to jeszcze zbrodnią, a zresztą sąd nie miałby prawa w to wchodzić, gdyż mąż zmarły nie mógł wystąpić ze skargą, ale z listów okazało się bardzo wyraźnie, niezaprzeczenie, z listów Mercedes, pochwyconych u Josego, że kochanka i kochanek porozumieli się dla zgładzenia ze świata don Luisa, ażeby się

pobrać po upływie żałoby i używać spokojnie majątku ofiary.

Prawda, że pomyśleć o tem a robi się zimno?

Jakim jednak sposobem popełnioną została ta zbrodnia?

Za pomocą trucizny.

Dlaczego *książęta nauki*, zebrani na konsylium, uznali się za nieświadomych i pozwalali zbrodniarzom dokończyć ich dzieła?

Ponieważ i zbrodniarze znaleźli sposoby zbić z tropu wiedzę.

O! oni u aptekarza nie kupowali laudanium, ani też arseniku, nie używali trucizn, mogących zdradzić łatwo...

Ogród zimowy, gdzie unoszą się jeszcze szczątki melodyj granych przez orkiestrę na ostatnich balach, był ich laboratorium.

Rośliny i kwiaty podzwrotnikowe stały się ich współnikami...

Trucizny roślinne stały się w ich ręku bronią tajemniczą, zabijającą stanowczo, a nie pozostawiającą śladów, przynajmniej spotrzegalnych.

Flora indyjska była ich narzędziem.

I oto Mercedes H** i Jose D* są teraz w więzieniu, a proces ich stanie się głośnym.

Nie omieszkamy podzielić się z czytelnikami szczegółami wszelkimi*.

Figaro wypadł z rąk Renaty, która długo pozostała pogrążona w pewnej zadumie.

— Kwiaty podzwrotnikowe—wyszeptała nareszcie... — Flora indyjska... Kto wie? Gdyby nie te listy, które ją zgubiły, Mercedes, owdowiawszy, byłaby wolną i bogatą... Pisać takie rzeczy... co za szaleństwo!.. Jabym nigdy nie pisała!.. O! nigdybym nie pisała...

Młoda dziewczyna szybko dokończyła śniadania, dotykając zaledwie zastawionych przez lokaja na stole potraw.

Wypiła dużą filiżankę herbaty, którą nie bardzo lubiła i zwykle piła jej tylko kilka kropli, potem wyszła z pokoju jadalnego, zabierając dzienniki do małego salonu, gdzie je rzuciła, zdarłszy z nich opaski, ale nawet nie spojrzawszy na nie, włożyła *Figaro* do kieszeni i udała się do swego pokoju, tu po raz drugi przeczytała artykuł i w szufladzie pod sukniami schowała ten dziennik. Potem znów pograżyła się w szczególną zadumę, która już ją opanowała po pierwszym czytaniu i nadała jej uroczej twarzy, tak złowrogi wyraz.

Raul i Janina nie bawili długo w Tour-du-Roy, nie chcąc nużyć słabej Lazaryny, i około trzeciej po południu wrócili do Gordes.

Słyszając wjeżdżający powóz na główny dziedziniec, pośpieszyła wyjść ze swego pokoju i na kilka sekund wprawdzie hrabia i hrabina zdołała się znaleźć w salonie.

— I cóż, droga siostrzyczko? — zapytał Raul, całując młodą dziewczynę w czoło — jakże z tą nieznośną migreną, która ci nie pozwoliła z nami jechać?

— O wiele lepiej — odparła Renata z uśmiechem?

— Doprawdy?

— Ręczę ci.

— Jednakże — odezwała się Janina — błada jesteś... Czyś już zdrowa zupełnie?

— Prawie... Ale nie zajmujmy się mną, a pomówmy o Lazarynie.

— Lazaryna — odrzekła Janina — miewa się dobrze o ile to możliwe w jej stanie... Zawsze smutna... trochę zmęczona... Ale pełna otuchy... Kazała cię serdecznie ucałować...

— Czy miała od ojca jakie wiadomości?

— Żadnych.

— Poczciwy ojciec! — zawołała Renata, ze śmiechem, nie pozbawionym goryczy. — Kiedy się bawi zapomina o córkach.

— El siostrzyczko — przerwała hrabina — to złośliwość...

— Wiesz dobrze, moja pieśczoćko, że nie jestem wcale złośliwą...

Raul przerzucał gazety.

— Czy nie widziałaś, Renato, *Figara*?

— Nie — odpowiedziała młoda dziewczyna — ja także szukałam tego dziennika, ale nie nadszedł.

— Oj, ta poczta! — rzekł hrabia.

XVI.

Powiedzieliśmy już, że pokoje córki średniej Juliusza Leroux łączyły się ubocznymi schodami z cieplarnią, a raczej z szeregiem ogrodów zimowych, stanowiących dalszy ciąg sal balowych.

Ogrody te zimowe uchodziły w całym departamencie za niezrównane cuda.

Urządzenie ich kosztowało olbrzymie sumy.

Wiele rodzin miałoby się za bogate, gdyby miało dochody równe połowie pieniędzy, wydatkowanych co rok na ich utrzymanie.

Nazajutrz zrana Renata, dotąd obojętna na wspaniałości roślinne oranżerji, wyszła wcześniej ze swego pokoju i udała się do cieplarni.

Dokoła niej wążkie i niezliczone filarki pięły się jak gałęzie metalowe, dla podtrzymania przezroczystej kopuły, podobnej do sklepienia katedry.

Ze wszech stron roztaczały się obfite liście, okazałe rośliny, gęstwina zieloności.

Pośrodku głównej cieplarni, w zbiorniku wody okrągłym z czerwonego marmuru, żyła flora wodna Wschodu, osobliwa i dziwnie niepokojąca.

Po nad basenem na kolumnie wznosił się bożek indyjski z granitu różowego, pochodzący z krainy tajemnic i czarów, a łodygi zieleniejące cyklantusów zasłaniały go do połowy.

Olbrzymie storczyki, powykręcane jak zwoje węży, opuszczały z góry powietrzne korzenie.

Pandany z Jawy u brzegów wystawiały liście swe wązkie, koronkowate, w centki zielone i białe.

Gwiazdy różowe nimfei — lilii wodnej rozpościerały się na samej powierzchni wody.

Szeroka aleja, wysypana piaskiem, prowadziła dokoła ogrodu zimowego, otoczona wielkimi krzewami, których śmiałe gałęzie sięgały do szyb kopuły.

Ogromne bambusy indyjskie, palmy, banany, roztaczały tu lekkie kaskady swych liści to roztwierały zaokrąglone swe wachlarze i tworzyły jakby obrazy chińskie.

Tu i owdzie sterczały euforbie abisyńskie, kolczaste i powykrzywiane, a w garbach swych przelewające trucizny.

Tam znów tangeny Madagaskaru z łodygami bezbarwnymi, w których płynęła ciecz, podobna do mleka, jad subtelnym wśród najsilniejszych.

W powietrzu unosiły się przejmujące wonie, odurzające i trujące zarazem, mówiące tym, kto je rozumieć umiał, o miłości i śmierci.

A wszędzie w zieleni rozkosznych liści kąpał się marmur posągów, podobnych do nimf, gdy białe wychodzą z wonnej kąpieli.

Renata przechadzała się długo po cieplarni krokiem powolnym, rzucając na rośliny i kwiaty przeciągłe spojrzenia, nacechowane okrutną ciekawością, pytając je o tajemnice trucizn, jakie w sobie mieszczą.

Kiedy wreszcie opuściła ogród zimowy, czuła, że głowa jej bardzo cięży. Ogarnęło ją jakieś odrętwienie; chciało się jej spać...

Powietrze, przesycone aromatami niezdrowemi, któremi oddychała, wywarło swój skutek.

— *Figaro* mówiło prawdę — pomyślała. — To jest rzeczywiście laboratorium, w którym roślinność krajów słonecznych może i powinna być współnikiem każdego, ktokolwiek chce się zemścić...

Zamek Gordes — jak każda większa siedziba pańska — miał bardzo ładną bibliotekę.

Renata wiedziała o tem, ale nigdy nie przestąpiła progu obszernej sali, której ściany zajmowało tysiące tomów, bogato oprawnych i ustawionych w porządku.

Otóż przez trzy dni zrzędu godziny popołudniowe spędzała teraz w tej sali, czyniąc poszukiwania, które nie były uwieńczone pożądanym skutkiem.

Młoda dziewczyna pragnęła znaleźć jakie dzieło, traktujące o trującej roślinności podzwrotnikowej.

Dział botaniki obficie reprezentowany był w księgozbiornicy, i niebrakło dzieł specjalnych, lecz wszystkie pochodziły z czasów, kiedy uczeni bardzo mało zajmowali się nauką o truciznach.

Zkąd dostać książek nowszych?

Renata przy swej energii nie wahała się długo i wprost poszła do celu.

— Mój drogi Raulu — rzekła zrana przy śniadaniu — wyobraź sobie, że poczułam w sobie zamiłowanie do cudów ogrodnictwa i że od kilku dni ciągle bywam w cieplarni, dokąd zaglądacie oboje tak rzadko...

— O! kwiaty są bardzo piękne... — zawołała Janina. — Zapewne pamiętasz, Renato, jak ja je zawsze lubiałam od dzieciństwa... Ale wolę je stokrotnie na świeżem powietrzu, na słońcu, aniżeli w szklarni ogrodu zimowego... czy nie jesteś mojego zdania?

— Nie, droga siostrzyczko — odparła Renata.

— Dlaczego?

— Bo rośliny cieplarniane, przybывая ze stron dalekich, przemawiają do wyobraźni mej żywiej dźwicznymi kształty i liśćmi, barwą jaskrawszą, aromatem oryginalniejszym...

— Rozumiem cię... — wtrącił hrabia.

— Ale — ciągnęła dalej Renata — nie wystarczy mi je podziwiać... Pragnę je także poznać... może to śmieszne... ale chciałabym zostać uczoną... pod względem botaniki, naturalnie.

— A któż ci przeszkadza, droga siostrzyczko?.. Botanika jest piękną nauką i bardzo właściwą dla kobiet... To ją studuj...

— Tego właśnie pragnę... Ale... potrzeba mi książek... w bibliotece są... już przestarzałe... chciałabym mieć najświeższe...

— Czy oto tylko chodzi? Dziś jeszcze napiszę do Paryża, a za trzy dni mieć będziesz dokładny zbiór naszych lepszych autorów współczesnych, traktujących o kwiatach podzwrotnikowych... Wszak tego sobie życzysz, kochana siostrzyczko...

— Tak... Dziękuję ci, mój braciszku.

— A jak już będziesz bardzo uczoną — wtrąciła hrabina ze śmiechem — udzielisz i mnie cokolwiek ze swej wiedzy.

Pan de Gordes dotrzymał słowa.

W trzy dni potem nadesłano z Paryża żądane książki.

Każdy tom zawierał wielką ilość rycin kolorowanych. Renata ucieszyła się wielce, poznając dokładnie podobizny wszystkich kwiatów, znajdujących się w ogrodach zimowych. Rycina każda objaśniona była odpowiednim opisem.

Mając wiadomości upragnione, odtąd mogła już dążyć do zamierzonego celu...

Wzięła się do czytania z takim zajęciem, z taką gorliwością, że Janina i hrabia lękali się, ażeby się nie rozchorowała...

Wreszcie po kilku tygodniach wydała się już znużoną.

Pewnego poranku Renata zamknęła książki z pięknymi obrazkami, i ani tego dnia, ani nazajutrz nie zajrzała do biblioteki, ani do ogrodu zimowego.

— A cóż tam z botaniką? — zapytał ją Raul z uśmiechem.

— Zrzekłam się pretensji do uczoności... — odparła młoda dziewczyna również z uśmiechem. — Nie marzę już o dostaniu się do akademii Nieśmiertelnych, wolę powrócić do dawnych obowiązków zarządczyni dostojnego domu możnej pani Joanny Leroux, hrabiny de Gordes.

Rzeczywiście Renata stała się zupełnie taką samą, jaką była przed czytaniem artykułu w *Figarze*.

Wtedy to wyrzekła owe słowa, które zdziwiły wielce Janinę i jej męża, a nawet obudziły w nich pewne niedowierzanie.

— O! trudno nam będzie żyć bez ciebie, siostrzyczko — odezwał się Raul — w dniu, kiedy wyjdiesz za mąż, jakaż pustka będzie w naszym domu.

Na to Renata odrzekła z uśmiechem:

— Uspokój się, mój braciszku, tej pustki nie będzie... Nie wyjdę za mąż wcale.

— A to dlaczego?

— To już moja tajemnica.

— Czy nie moglibyśmy jej poznać?

— Nie.

— A gdybym prosił?

— Daremnie... Nikt się o tej tajemnicy nie dowie... ty, bracie mniej, niż ktokolwiek.

XVII.

Wiemy, że Janina lubiła dużo chodzić.

Codzień przed śniadaniem, jeżeli tylko była pogoda, odbywała dalekie wycieczki w okolice Gordes, i jak niegdyś w Zielonych Liściach, odwiedzała chorych i biedakom zanosila jałmużny.

Nigdy wtedy nie brała ani powozu, ani nawet faetoniku, którym sama lubiła powozić drobną rączką.

Hrabia pewnego dnia wyraził jej na to swe zdziwienie.

— Pomyśl, kochany Raulu — odparła — że moi protegowani są bardzo ubodzy... Ich nędza nakazuje mi najzupełniejszą prostotę... Więc jakże wobec tych biedaków, wyglądałabym, gdybym przyjechała do nich z takim przepychem, jaki dać mi mogą twoje bogactwa...

Na taką odpowiedź rozrzewniającą nie było już żadnych uwag.

Pan de Gordes ucałował zachwycające dziecko, które tak kochał, i zamilkł.

Renata, jak powiedzieliśmy, przyzwyczaiła się towarzyszyć Janinie i dotrzymywała jej kompanii.

Pewnego poranku, w dwa tygodnie po owym dniu, kiedy średnia córka Juliusza Leroux oświadczyła, że ją znużyła już botanika, mała hrabina i siostra jej znajdowały się o trzy wiorsty od Gordes, w chatce drwała, któregożona była chora.

Po zaopatrzeniu biedaków w potrzebne lekarstwa z apteczki domowej i zostawieniu pewnego pieniężnego wsparcia, młoda mężatka i młoda dziewczyna już miały wyjść, obsypywane błogosławieństwami nędzarzy, gdy Joanna zatrzymała się nagle i pochwyciła Renatę za rękę.

— Co ci jest? — zapytała siostra głosem któremu brakło jednak zdziwienia i niepokoju.

— Nie wiem — odpowiedziała młoda hrabina. — To szczególne... wyobraź sobie! Zdaje mi się, że ziemia wymyka mi się z pod nóg i że upadnę. Dlatego schwyliłam się ciebie...

— I czy to nie przeminęło?

— Nie... nie mogłabym się utrzymać na nogach, gdybym się na tobie nie opierała...

— Zapewne zawrót głowy...

— Zapewne... Szłyśmy tak prędko, a tak na dworze gorąco.

— Możebyś usiadła...

Drwal pośpieszył przynieść ławkę, na którą osunęła się Janina.

Po chwili Renata znowu się odezwała!

— Czy ci już przeszło?

— Nie... ławka się ze mną chwieje... mury się kołyszą... zupełnie zdaje mi się tak, jak gdybym znajdowała się na statku parowym przy wzburzonym morzu.

— Czy to wrażenie bolesne, moja droga siostrzyczko.

— Nie, tylko dziwny jakiś niepokój... Pić mi się chce... ogromne mam pragnienie...

Drwal czemprędzej przyniósł wody w kubku.

Janina jednym tchem wypila wodę i jakby doznała ulgi.

— O! — rzęła, wstając. — Woda mnie orzeźwiła wybornie. Dziękuję wam, Antoni... lepiej mi... Do widzenia, Antoniowo... Chodź, Renato... śniadanie w domu już czeka...

— Więc już nie masz zawrotu głowy? — spytała Renata, podążając za Janiną.

— Nie, już nie... teraz mogłabym iść do Orleanu... — dodała z uśmiechem.

— Dzięki Bogu, więc to nie poważnego.

— Ale...

— Co?

— Ani słówka nie mów o tem Raulowi.

— Dlaczego?

— On mnie tak kocha, że zarazby się zaniepokoił, a byłoby to z jego strony dzieciństwem.

— Bądź spokojną, będę milczała, skoro tak pragniesz.

Obie siostry przybyły do Gordes bez żadnej przygody.

Janina szła zwolna, właściwym sobie krokiem i nie czuła się zmęczoną.

Hrabia czekał na nie w parku, pod lipami, przy furcie od strony wsi.

— Kochana żono i kochana siostrzyczko! — rzekł — witajcie... A zdaleka przychodziecie?

— Z chaty Antoniego, przy lesie... — odpowiedziała Janina.

— O! to tam i na powrót z pięć wiorst! doskonale potraficie chodzić... ale cóż z jazdą konną?..

Lekeje jazdy konnej znów się odbywały i Janina wkrótce już dobrze umiała jeździć.

Tego dnia miano po śniadaniu wybrać się na przejażdżkę konną.

Wtem, przy śniadaniu, mała hrabina, wesoła jak zazwyczaj, nagle krzyknęła.

Szklanka wymknęła się jej z rąk i stłukła się, a ona pobladła i jakby zdrętwiała.

— Janiu, kochana Janiu! — zawołał Raul, zrywając się z krzesła — co ci jest?... Co cię boli?

Nie odpowiedziała od razu...

Renata uklękła przy niej i ścisnęła jej rękę.

Hrabia powtórzył pytanie.

Janina wyjąkała:

— Nie mnie nie boli... nie... Tylko tak mi się zdaje, jakbym wcale nie miała ciała... nie czuję nawet rąk Renaty... W oczach obracają mi się jakieś duże koła błyszczące, głos twój słyszę, jak gdyby z bardzo daleka... a jednak ty jesteś tu, przy mnie... to dziwne... bardzo dziwne...

— Tak dziwne — odezwała się Renata — że pomimo mej obietnicy, muszę powiedzieć...

— Nie... nie... — odrzekła hrabina. — Nie mów... proszę cię... nie mów...

— Mój Boże!.. — zawołał hrabia przerażony. — Cóż to takiego... co przedemną ukrywacie?

— Nie tak groźnego... — podchwyciło młode dziewczę — ale powinienś wiedzieć wszystko... Dziś zrana w chacie Antoniego nasza ukochana Janina doświadczyła już raz takiego samego uczucia.

— Ależ trzeba doktora! — rzekł hrabia zasmucony — potrzeba doktora... jadę po niego, nie tracąc ani chwili.

Janina gwałtownym wysiłkiem odzyskała zdolność poruszania się, która ją jakby chwilowo opuściła.

Oparła rękę na ramieniu męża i głosem błagalnym wyjąkała:

— O! nie... nie sprowadzaj doktora, błagam cię... Raulu, jeżeli mnie kochasz...

— Ależ... — odezwał się hrabia.

— Zresztą — ciągnęła dalej Janina, przerywając mu — to już przeszło... koła przed oczyma znikają... i przychodzę już do siebie...

— Czy naprawdę, moja droga?... może mówisz ty tylko, ażeby mnie uspokoić?..

— Zobaczysz sam...

Janina wstała, i nie chcąc przyjąć pomocy męzowskiej szła, nie bez trudności jednak, tak, jak gdyby nerwy i mięśnie jej nóg skurczyły się prawie zupełnie. Jednakże, gdy przeszła kilka kroków, dziwne to uczucie zdrętwienia znikło i usiadła już pewna zupełnie siebie.

— A tak! widziałem, drogie dziecko, — rzekł Raul. — Zapewne lepiej ci już i mniej jestem niespokojny, ale dlaczego nie chcesz lekarza, któryby mnie zupełnie uspokoił.

— Bo go nie chcę i błagam cię, ażebyś nie nalegał... — odparła hrabina tonem, rzeczywiście błagalnym.

— Niech i tak będzie... — odrzekł hrabia. — Ustępuję ci z żalem, zresztą niebezpieczeństwo jeszcze nie grozi, zobaczymy później...

— Tak... zobaczymy później — podchwyciła żywo Janina.

— Może pójdziesz się położyć do łóżka?

— O! cóż znowu!.. Alboż jestem chora, ażebym się miała kłaskać... Położę się tylko na szeslongu w salonie przy oknie otwartem i trochę wypocznę, bo do prawdy chciałam udawać zucha, a bardzo się zmęczyłam dziś zrana, zanadto się nachodziłam i to właśnie przyczyną tego osłabienia, które ty i Renata niepotrzebnie bierzecie tak tragicznie...

W pięć minut później pani de Gordes, siedziała a raczej leżała na wznak na wielkim szeslongu i uśmiechała się do męża i siostry, zapewniając, że czuje się doskonale.

— Zrobiłam omyłkę... — myślała Renata, odpowiadając na uśmiech Janiny takim samym uśmiechem — doza była za silną... objawy takie, jakie miała, mogłyby rzeczywiście wydać się podejrzanemi... to mi posłuży za przestrożę... Trzeba do celu iść powoli...

Dzień przeszedł spokojnie, zarówno jak i noc. Atak wcale się nie powtórzył.

Nazajutrz Janina czuła tylko osłabienie wielkie, osłabienie nieustępujące, a przeminęło ono zaledwie po kilku dniach.

Lazaryna i Juliusz Leroux, pierwsza w Tour-du-Roy, drugi w Paryżu, zostali zawiadomieni o słabości przemijającej pani de Gordes i o jej zupełnem wyzdrowieniu napozór.

A dlaczego hrabina, kiedy Raul mówił o wezwaniu doktora, tak usilnie opierała się temu i tak zawzięcie, czego nie można się było spodziewać po jej łagodnym i uległym charakterze.

Czytelnicy zapewne już odgadli tę zagadkę.

Do jednego tylko lekarza na świecie Janina miała zaufanie zupełne...

Był nim doktor Maksym Giraud.

Ale Maksym Giraud nie chciał bywać w zamku de Gordes...

XVIII.

Ubiegło kilka tygodni.

Wszystko zdawało się iść jak najlepiej na świecie.

Hrabina odzyskała zwykłą żywość, Raul przestał się niepokoić.

Wtem pewnego poranku gdy pokojówka Genowefa, wieśniaczka, z Zielonych Liści, którą bardzo Janina lubiła, chciała, jak zwykle podnieść rolety w sypialni hrabiny, zdziwiła się, że pani, która zwykle wczesniej wstawała jeszcze śpi, choć była już godzina ósma.

Postąpiła kilka kroków po pokoju. Hrabina poruszyła się na łóżku.

— Która godzina, moja Genowefo? — zapytała.

Ale zapytała głosem, tak zmienionym, że pokojówka niespokojna drgnęła, i zamiast podejść do okna, przystąpiła wprost do łóżka.

— Pani hrabino — odpowiedziała — już pięć minut po ósmej.

— Po ósmej!.. — powtórzyła Janina — o! jak to późno... Nie będę mogła wyjść zrana... Dlaczego nie przysłaś wcześniej tak, jak zwykle?

— Przychodziłam... ale pani hrabina tak smacznie spała, że nie śmiałam jej obudzić. Czy źle zrobiłam?

— Nie wiem... głowa mi trochę ciężą...

— Czy pani jeszcze się chce spać?

— Nie... byłoby to lenistwo... Rozwidnij w pokoju, Genowefo... Smutno się robi, gdy tak ciemno...

Pokojówka spełniła rozkaz.

Otworzyła okno i podniosła rolety.

Weszło słońce, błyszczące na niebie po nad drzewami parku, rzuciło do pokoju falę światła.

Ale Janina wyjąkała:

— Prędko!.. Opuść rolety!.. To światło mnie oślepia...

Jakto? pani de Gordes tak witała słońce, które tak lubiła zawsze, które było jej towarzyszem podczas dalekich przechadzek?

Cóż się to stało?

Genowefa zapuściła rolety na szyby, przegradzając w ten sposób dostęp dla światła, poczem wróciła do łóżka, a zdziwienie bolesne malowało się na jej ruchliwej twarzy.

Miła twarzyczka hrabiny była także zmieniona jak i jej głos.

Różowość cery ustąpiła szczególnej jakiejś bladeści, która twarzyczkę czyniła jakby przezroczystą, jakby z wosku.

Obwódka niebieskawa podkręzała powieki.

Wargi zbladły jej jak i lica, źrenice były rozszerzone.

Jakkolwiek pokojówka za nie na świecie nie chciałaby niczem przerazić swej młodej pani, mimo-woli jednak zapytała ją:

— Czy pani hrabina jest cierpiąca?

— Dlaczego o to pytasz, Genowefo? — rzekła Janina. — Czy wyglądam na chorą?

— Trochę pani bledsza, niż zwykle.

— Bardzo źle spałam... Zaledwie usnęłam o godzinie czwartej... dlatego tak zasnęłam...

W tej chwili w pokoju sąsiednim dały się słyszeć czyjeś kroki i ukazała się Renata, już zupełnie ubrana.

— Jako, kochany leniuszku — zawołała ze śmiechem — jeszcze w łóżku jesteś. A co z naszą codzienną przechadzką?

I Renata, mówiąc to, całowała Janinę, która jej odpowiedziała.

— Wybacz moja droga siostrzyczko, to nie moja wina. Tak źle spałam w nocy, że zasnęłam.

Renata podchwyciła:

— Rzeczywiście w moim pokoju, łączącym się z twoją garderobą, dwa czy trzy razy słyszałam twój głos. Do kogo mówiłaś?

— Do nikogo.

— Jakto?

— Miałam trochę gorączki i majaczyłam.

— Gorączkę miałas, pieszeszozsko!.. trzeba mnie było przywołać... Myślałam, że Raul był tutaj... gdyby nie to, byłabym sama przybiegła...

— Czyś pewna, żeś tu nie przychodziła? — spytała pani de Gordes.

— Jakto, czy jestem pewna? — powtórzyła młoda dziewczyna. — Co za dziwne pytanie?..

— Bo — ciągnęła dalej Janina — bo zdawało mi się, że... widziałam cię przez chwilę, jak w szlafroczku białym stałaś we drzwiach... Chciałam się do ciebie odezwać... próbowałam... ale nie mogłam...

— Śniło ci się, droga siostrzyczko...

— Tak — podchwyciła hrabina — to musiało być przywidzenie takie, jak i inne... Ale żywo mi ten obraz stoi w pamięci... Zdaje mi się, że cię jeszcze widzę... że patrzysz na mnie, a dziwne było to spojrzenie... czy te nie były podobne do twoich.

Renata ucałowała znowu Janinę i wyszeptwała:

— El! to senne tylko widziadło, moje ty rozgórączkowane dziecko...

— Zapewne, skoro nie wychodziłaś ze swego pokoju... — odrzekła młoda kobieta z uległością.

I, zwracając się do Genowefy, dodała:

— Trzeba mi się teraz ubierać natychmiast... Pan de Gordes zarazby myślał, że jestem słaba, gdyby wiedział, że o dziewiątej jeszcze leżę w łóżku...

— Czy czujesz się silną? — zapytała Renata.

— Muszę nią być jak zwykle — odpowiedziała Janina z uśmiechem. — Genowefo, podaj mi szlafroczek...

Młoda kobieta, siedząc na łóżku, kładła drobne różki w pantofelki niebieskie atlasowe, wyszywane srebrem.

Chciała następnie włożyć rękawy kaszmirowego szlafrocza, gdy wtem, ku wielkiemu zdziwieniu swemu a ku wielkiemu przerażeniu Genowefy, zachwiała się i musiała usiąść. Jednocześnie zwiększała się ta bladeńka matowa, o której wspominaliśmy, i uwydatniała się obwódka sina, pod powiekami.

— Janino! droga Janino! — wyjąkała Renata — co ci jest? co cię boli?

Pani de Gordes nie odpowiedziała.

Ciało jej śliczne gięło się i opadało na poduszkę. Oczy się jej zamknęły. Straciła przytomność.

Renata i Genowefa wydały podwójny okrzyk i, nie tracąc czasu, zaczęły się prześcigać w cuceniu Janiny...

Gdy jedna przykładła do skroni chustki, umoczone w wodzie, druga przytykała do nosa flakonik z solami angielskimi.

Po upływie kilku minut młoda kobieta poruszyła się zlekka, westchnęła, otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

Omdlenie minęło.

— Droga siostrzyczko — szepnęła Renata, całując jej ręce — powiedzże mi zaraz, że ci już lepiej...

— Tak... o wiele lepiej — odpowiedziała Janina głosem słabym. — Dziwna rzecz... przed chwilą zdało mi się, że umieram... a jednak nie jestem chorą.

XIX.

W godzinę po tym ataku hrabina przysła już trochę do sił; mogła się już ubrać i poszła do salonu, gdzie zastała Raula, który o świcie wyjechał był dla zobaczenia gospodarstwa na jednym z folwarków.

Janina jednakże wyzdrowiała tylko pozornie, objawy cierpienia ustały tylko na czas pewien.

Zresztą przypadłości te nie wydawały się tak poważnymi, ażeby mogły budzić głębsze obawy, i w tydzień później pan de Gordes na wiadomej wizycie u Lazaryny bardzo trafnie odmalował stan ukochanej żony, mówiąc:

— Kochane dziecko, które znasz jako żywe i nie-strudzone, ogarnęła nagle jakaś słabość. Sen ma niespokojny... który ją raczej męczy niż pokrzepia... Apetytu jej brak... to dreszcze ją przechodzą, to znów nienormalne gorąco, ale, chwala Bogu, że nie bardzo cierpi... to znów zdenerwowanie...

Tak rzeczy się wlekły prawie przez miesiąc, przy odzyskiwaniu energii i zdrowia, to znów przy ich

upadku zupełnym; siły zmniejszały się niepostrzeżenie z dniem każdym; bezsenność następowała dłuższa, od-
raza do jedzenia coraz większa.

Janina nie skarżyła się nigdy, uśmiechała się
zawsze, anielski jej charakter nie zmienił się ani na
chwilę.

Mogła chodzić jeszcze, wsparta na ramieniu mę-
żowskiem, a kiedy po dniu upalnym słońce zachodziło
na widnokręgu, przechadzała się przez kwadrans
przed zamkiem, pośród trawników i kwiatów, wciągają-
c ciepłe powietrze w piersi, które przygniatało nie-
ustanne dziwne wrażenie zimna.

Od tygodnia co wieczór umieszczano posłanie
dla Genowefy w saloniku przyległym do sypialni, od
której drzwi były uchylone.

Nieraz w nocy pani de Gordes budziła się z ogrom-
nem pragnieniem.

Dość było jej nacisnąć dzwonek, stojący na sto-
liczku pod ręką, a Genowefa zaraz podawała jej
szklanke limoniady zimnej, którą jedynie chora mogła
ugasić pragnienie.

Renata zawzięcie sprzeciwiała się tej praktyce.

— Po co ma być służąca w pokoju mej sio-
stry? — mówiła — czyż ja sama nie jestem zdolna
czuwać przy mej kochanej Jani?..

— Znużenie prędkoby cię wyczerpało, moja po-
czciwa Renato — odpowiedziała hrabina — wdzięczna
ci jestem za twe poświęcenie, ale go nie mogę przy-
jąć... Genowefa jest do mnie przywiązana, pozwól i jej
coś dla mnie zrobić...

Pewnej nocy (godzina druga wybiła na zegarze zamkowym), Janina krzyknęła przeraźliwie; krzyknęła tak, jak gdyby widziała nad sobą nóż mordercy.

Genowefa, zbudzona zniemacka, zerwała się natychmiast z posłania i boso rzuciła się do pokoju.

Renata w koszuli z rozpuszczonymi włosami ukazała się prawie jednocześnie.

Lampka nocna rzucała na pokój słabe światło.

Obiedwie kobiety podbiegły do łóżka.

Pod ciężkimi frankami z brokateli niebieskiej, Janina siedziała na łóżku z oczyma, wpatrzonemi w jeden punkt, cała drżąca.

Nie krzyczała już, ale głuche jęki wymykały się jej z ust drgających.

Ręce jej wyciągnięte, jakby starały się coś odepehnać.

Janina niezawodnie wcale nie widziała Renaty ani Genowefy, ku niej pochylonych, i nie podejrzewała nawet ich obecności.

— Co ci jest, droga siostrzyczko? — zapytała Renata.

— Co się pani stało? — dodała Genowefa.

Słyszac te głosy, pani de Gordes drgnęła i wyjąkała:

— Bronście mnie... ratujcie!..

— Bronić cię?.. Przed kim, moja droga? — powtórzyła Renata — co ci grozi?..

— Zapalcie światło... — podchwyciła Janina — zapalcie światło, na miłość Boską... to oni się zlekną... i będę ocaloną...

— Od czego, moja pieszczośko? — pytała dalej średnia córka Juliusza Leroux, przyciągając głowę siostry do swych piersi i pokrywając ją pieszczołami.

Genowefa, zamiast wypytywać, spełniła rozkaz.

W kilka sekund zapaliła kilkanaście świec w kielichach lilij, wysuniętych z dwóch wazonów niebieskiej porcelany sewskiej.

Jarzące światło zalało pokój.

Janina powoli podniosła głowę i powiodła dokoła spojrzeniem niepewnym i prawie przerażeniem.

Wyraz głębokiego przestachu na jej twarzy stopniowo zniknął, ale drżenie nerwowe trwało jeszcze kilka minut.

Pani de Gordes wydała przeciągłe westchnienie, nie z bólu, ale z ulgi i, zarzuciwszy ręce na szyję Renaty, oparła twarz na obnażonym ramieniu siostry.

— Poszli sobie — wyrzekła głosem bardzo powolnym i prawie bezdźwięcznym, — a jednak to nie był wcale sen... Miałam oczy otwarte, gdyście weszły, nieprawdaż?

— Tak, droga pieszczośko — odparła Renata. — Ale choć stałam naprzeciw ciebie, jakbyś mnie wcale nie widziała...

— Ja patrzyłam tylko na nich...

— Na nich?.. Cóż to za oni?..

Janina pogrążyła się w ciągu kilku sekund w głęboką zadumę, poczem tymże głosem jednostajnym, podchwyciła:

— Halucynacje... przywidzenia... straszne coraz straszniejsze... Zmroziły we mnie wszystką krew... Rozgrzycie mnie...

Renata obu ramionami objęła siostrę i przycisnęła do siebie, a Genowefa zarzuciła szal indyjski na drżące ciało młodej hrabiny, u której usta próbowały się uśmiechnąć, mówiąc:

— Już mi lepiej... już lepiej... Nie czuję tego śmiertelnego zimna... Gdybyś wiedziała, jak się bałam...

— Cóż cię tak przestraszyło.

— Widzenie, które mnie co noc trapi a znika z nadejściem świtu... Tym razem jednak nie znikło... było ono zupełnie wyraźne... zaraz wszystko opowiem.

— Tak, mów, moja droga... mów prędko... powiedz mi, co to za straszne widziadła, a my dołożymy wszelkich starań, ażeby się już nie powtórzyły.

I Renata oparła usta na spoconych włosach siostry.

Janina zaczęła opowiadać:

— Wyobraź sobie, że już było zupełnie widno i że ja nie byłam ani w łóżku, ani w moim pokoju, lecz w parku, siedziałam na ławeczce darniowej nad brzegiem stawu, pełnym łabędzi, przychodzących do mnie po rzucane kawałki ciasta... Raul, pochylony nademną, trzymał ręce me w swych dłoniach... Ty byłaś także tam... i ojciec i Lazaryna... Nigdy nie widziałam nieba tak czystego i słońca, tak świetnie błyszczącego... Ptaszki wyśpiewywały najpiękniejsze piosenki... kwiaty roztaczały woń tak rozkoszną, że

czułam jakby upojenie, oddychając tem aromatycznym powietrzem... słowem, czułam się bardzo szczęśliwą...

Janina przerwała sobie.

— Czy we śnie, czy w przywidzeniu, obrazek ten był bardzo wdzięczny... — wyszeptała Renata.

— Poczekaj... Nagle gęsta mgła, choć nie nie zwiastowało jej nadejścia, rozpostarła się jak szara zasłona i zakryła słońce... Niebo stało się ciemniejszym, niżli w grudniu w dniu śnieżnym... Ptaki przestały śpiewać. Zapanowała zupełna cisza i naraz ozwały się dzwony, jakby bijące pogrzebowo... Spytałam, co znaczy ten dźwięk żałobny, ale nikt mi nie odpowiedział... Rozejrzałam się dokoła... Wszyscy już odeszli... Ździwiłam się, żeście mnie opuścili i uczułam jakiś nieokreślony przestach... Na żaden sposób nie mogłam iść... Nogi nie były w stanie udźwignąć ciężaru mego ciała... Zdawało mi się, że w ziemię wrosłam i że nie mogę z miejsca się poruszyć...

Gdy tak walczyłam napróżno przeciw temu odrętwieniu, zobaczyłam nadeciągający ku mnie orszak długi i milezący... Mężczyźni i kobiety, ubrani czarno od stóp do głowy, otaczali trumnę, którą niesiono na cmentarz przy odgłosie dzwonów.

Za trumną postępował Raul... Wyglądał zrozpaczony... duże łzy spadały mu bezustannie z oczu i staczały mu się po policzkach; żal mi się go zrobiło, że taki smutny, i mówiłam do siebie: Któż to umarł? Kogóż tak oplakuje?

W tejże chwili, jak gdybym pytanie, zadane sobie, wymówiła głośno, żałobnicy zatrzymali się, mężczyźni i kobiety odsunęli się, czyjaś ręka zdjęła czarne sukno z wymalowanym po środku białym krzyżem i podniosła deski trumny.

Ciekawość gorączkowa popychała mnie, pomimo przerażenia, i rzuciłam okiem na tę trumnę otwartą... I wiesz, co zobaczyłam, Renato?

Siostra Janiny kiwnęła mileżąco głową.

— Tą, którą niesiono na cmentarz — podchwyciła pani de Gordes — tą, którą czekała mogiła, tą, którą Raul opłakiwał tak gorzko, słyszysz, Renato, to byłam ja!.. Widziałam się leżącą, sztywną, bielszą od białego całuna w który mnie zaszyto, i patrzyłam błędnie na trupa, który był moim...

— O! — szepnęła Genowefa — to okropne...

— Poczekajcie — powtórzyła hrabina — poczekajcie, to nie jeszcze... Niema, przerażona, drżąca ze zgrozy, patrzyłam ciągle... Widziałam jak mój obraz znika, roztapia się, jakby wosk pod wpływem ognia... Po chwili wszystko znikło... trumna była pusta...

Wtedy oczy wszystkich zwróciły się na mnie, ręce wszystkie wyciągnęły się ku mnie wskazująco i słyszałam czyjś głos, przemawiający wśród ciszy:

— Patrzcie! nieboszczka wstała i opuściła trumnę i oto stoi, na drodze, jakby umarłym wolno było przyglądać się swemu pogrzebowi. Nie powinniśmy tego ścierpieć... Grabarz wykopał dół; dzwony już

dzwoniły za konających, ksiądz odśpiewał *de Profundis*, wszystko jest w porządku; oddajmy nieboszczkę mogile, która na nią czeka, położmy ją znów w całun, zamknijmy trumnę i zabijmy wieko tak dobrze, ażeby tym razem już nam nie wymknęła...

Zaledwie głos zamilkł, gdy uczułam ręce zimne, kładące się na mych ramionach i porywające mnie za suknie...

Wydałam okrzyk zgrozy, wyrwałam się otaczającej mnie czarnej zgrai i uciekłam... Ludzie z orszaku rzucili się w moje ślady za mną, z dzikim krzykiem... To już nie była gonitwa, ale obława... Oni byli chartami, ja zwierzyną... Biegłam, aż tchu mi brakło... nie dając się nikomu ani niczem zatrzymać, ciągle przed siebie biegnąc, jak gdybym miała skrzydła...

Chwilami odwracałam się, sądząc, że mdaleko za sobą pozostawiła mych prześladowców... Ale niesfóra ludzka była wciąż po za mną... Ani na cal się od niej bardziej nie oddaliłam, a znużenie już mnie ogarniało...

Nagle zostałam otoczona...

— Do trumny umarła!.. do trumny!.. krzyczeli ludzie, ubrani czarno, i chcieli mnie wrzucić do tej samej trumny, w której widziałam swego trupa sztywnego...

Walczyłam, jak mogłam najlepiej... Straszne wysiłki czyniłam dla odepchnięcia mych katów... Miałam już zostać pokonaną... Byłam nią już, gdy weszłyście do mego pokoju...

Sen czy halucynację rozpędziła wasza obecność, a światło świec rozproszyło widziadła... Co to znaczy, Renato?.. czy mam umrzeć, powiedz mi siostrzyczko? Czy to złowroga przepowiednia?.. Któż może mnie nienawidzić?.. Któż chce ażeby umarła? kto chce zawczasu wykopać mi mogiłę?..

XX.

— Kochana siostrzyczko — odpowiedziała Renata, całując znów Janinę — pojmuję twoje cierpienia, bo [ten sen czy przywidzenie doprawdy może przerazić najbardziej nieustraszone serca... ale nie trzeba się tem zbyt mocno przejmować... Wiesz, że takie senne marzenia nie mają najmniejszego znaczenia, że nie są żadnymi przestrożami, ani przepowiedniami...

Hrabina potrząsnęła głową.

— Nie, nie wiem wcale... — rzekła. — Może jestem przesadną, będąc słabą, ale wierzę w te widzenia, które Bóg zsyła, gdy dusza jest odosobniona od ciała, i patrzę na nie, jako na tajemnicze ostrzeżenie, którego nie należy lekceważyć.

Renata wstrząsnęła ramionami i odrzekła:

— E! to tylko stan chorobliwy... miałaś gorączkę...

Hrabina, wyczerpana wreszcie rozmową i uspokojona zresztą obecnością Renaty i Genowefy w swym

pokoju, oparła głowę o poduszki i usnęła prawie natychmiast snem ołowianym, który trwał aż do godziny dziewiątej zrana.

Wtedy chciała wstać, jak zwykle, ażeby pójść na śniadanie, aby się Raul nie zaniepokoił jej nieobecnością.

Ale tego dnia siły ją zupełnie zawiodły.

Niepodobna jej było utrzymać się na nogach i musiała uprzedzić pana de Gordes o tem, co się z nią działo.

Natychmiast przybył i zadrżał na widok śladów, jakie na twarzy Janiny pozostawił atak nocy poprzedniej.

Wyglądała jak męczennica.

Raul powściągnął swój smutek i ukrył twogę swą przed hrabiną, na którą mogłaby ona najfatalniej oddziaływać.

Wypytywał ją, chciał się od niej dowiedzieć wszystkiego i, pomimo wymijających odpowiedzi, poznał całą prawdę, zwłaszcza, że Genowefa wcale się nie kłepowała w opowiadaniu.

— Kochana siostrzyczko — szepnął po cichu do Renaty. — Zostaw mnie na chwilę z Janiną, proszę cię.

Renata wyszła z pokoju a za nią Genowefa.

Raul usiadł przy łóżku. Janina usiłowała się doń uśmiechać.

Ujął jej obie ręczki, trochę już wychudłe, i przycisnął do ust, potem uśmiechając się smutnie i powstrzymując łzy, cisnące mu się do oczu, wyszeptał:

— Moja droga, czy chcesz mi sprawić wielką przykrość?

— O! — wykrzyknęła Janina — niech mnie Bóg broni...

— To nie upieraj się przy swym niedorzecznym kaprysie... Pozwól mi sprowadzić sobie doktora...

— Więc myślisz, że ja bardzo jestem chorą? — zapytała Janina żywo.

— E, nie!

— Więc po co?

— Nie jesteś chorą — odparł Raul — ale możesz się rozchorować... Gorączka może się powiększyć... trzeba temu zaradzić śpiesznie, bo później mogą być następstwa poważniejsze...

— Jeżeli koniecznie tego potrzeba, ażeby cię uspokoić... — odparła hrabina — niech się stanie twoja wola... Wezwij lekarza, zgadzam się, ale pod jednym warunkiem...

— Pod jakim?

— Zawsze pod tym samym — niech lekarzem tym będzie doktor Maksym Giraud...

Hrabia zmarszczył brwi.

— Moja pieczętka — rzekł — czy zapomniałaś, że doktor Giraud stanowczo odmówił przyjazdu do zamku Gordes?

— Nie zapomniałam wcale... Maksym odrzucił twą propozycję, przekonany będąc, że jego opieka lekarska jest dla mnie zbyt dobrą — i wówczas miał słuszną rację — ale gdybyś powiedział mu dzisiaj: pani de Gordes potrzebuje pana, — pewna jestem, że do-

któr Giraud odpowiedziałby ci: „Jadę natychmiast,“
Może być, że na tem ucierpi trochę miłość twoja własna, dotknięta jego odmową. Ale ja też spodziewam się od ciebie tego poświęcenia... Uczynź to, mój drogi Raulu, bez wahania...

Hrabia już wstał.

— Jadę — odrzekł poprostu.

— Dokąd?

— Do Rancey.

— Dzisiaj? — zawołała Janina z pewnem przeżeniem. — Dlaczego tak zaraz? Mógłbys się zatrzymać do jutra.

— Nie będę zwlekał ani chwili, trzeba jak najprędzej przeciwdziałać temu... Jeżeli przewidywania twoje ziszczą się, będę tu za trzy godziny z Maksymem Giraud...

Raul ucałował Janinę, przywołał Genowefę i opuścił pokój.

Kazał natychmiast zaprzęgać do faetonu, a zaledwie się posilił, już mu oznajmiono, że konie gotowe.

Wziął kapelusz, rękawiczki i wyszedł.

Renata znajdowała się na ganku *przypadkiem*.

— Dokąd jedziesz, mój szwagrze? — zapytała.

— Jadę po doktora dla mej drogiej Janiny, siostrzyczko — odpowiedział.

— Do Orleanu?

— Nie, do Rancey.

— Czyż w tej wsi jest doktor?

— Tak, jest tam doktor, do którego Janina ma zupełne zaufanie.

— Jedź, mój szwagrze, i wracaj czempredzej, wracaj z uzdrowicielem...

Hrabia wsiadł do powozu i popędził konie.

Renata pogoniła wzrokiem za faetonem.

Lekarz wiejski nie będzie niebezpieczny...

W niespełna godzinę powozik Raula zatrzymał się przed domkiem doktora w Rancey.

Służąca otworzyła mu drzwi.

— Pan doktor zaraz nadejdzie — rzekła — zaprowadzę pana do jego gabinetu.

Po chwili wszedł Maksym. Na widok gościa, zadrżał.

— Pan de Gordes! — zawołał.

— Tak, panie — odpowiedział Raul — dziwi pana moja wizyta, nieprawdaż?

— Przestrasza ona mnie...

— Zeszłym razem — ciągnął dalej hrabia — uczyniłem panu propozycję, której pan nie przyjąłeś, ale w chwili, kiedym odchodził, rzekłeś pan: Jeżeli, czego Boże nie daj, pani hrabina była by kiedy cierpiącą... tak cierpiącą, że byłby pan niespokojny... to niech mnie pan uprzedzi... Na pierwsze wezwanie, przybędę... Wszak to pańskie własne słowa...

— Jakto? — rzekł Maksym wzruszonym głosem — czy pani de Gordes jest cierpiącą?

— Czyż gdyby nie to ja byłbym u pana tutaj?..

Doktor zbladł.

— Cóż to za choroba? — zapytał.

— Nie wiem...

— A jakież są objawy?

Raul opowiedział wszystko, co mu było wiadome.

— Co o tem mówi lekarz domowy pani hrabiny? — zapytał Maksym.

— Pani de Gordes nie chciała mieć żadnego lekarza... Ma ona zaufanie tylko do pana... Pańska nieusprawiedliwiona odmowa dotknęła ją boleśnie, przyznaję, ale nie zachwiała wiary w pana... Wzywa ona pana i czeka...

— Czy może mnie pan z sobą zabrać?

— Mogę.

— To jedźmy.

Maksym zadzwonił.

Pożegnawszy się z matką, której Raul się uklonił z szacunkiem, Maksym wsiadł do powoziku z hrabią.

W drodze zamieniono tylko kilka słów o zdrowiu pani de Gordes.

Dzięki rączym rumakom, prędko przyjechano na miejsce.

Renata, uprzedzona turkotem powozu, znalazła się na ganku w chwili powrotu, tak, jak była w chwili odjazdu.

Ogarnęła Maksyma powłóczystem spojrzeniem badawczem.

— Jakże się miewa Janina? — zapytał żywo Raul.

— Lepiej, jak sędzę... Jest w salonie.

— W salonie! — powtórzył hrabia zdumiony.

— Tak... wiem, że to z jej strony nieroztropnie... ale czyż mogłam jej nie pozwolić... Koniecznie

chciała tam być... trzeba było przenieść biedaczkę i ułożyć na szeslongu... słysząc tętent koni, spytała mnie, czy doktor z tobą przyjechał... Odpowiedziałam twierdząco... A ona krzyknęła z radości...

— Doktorze — rzekł hrabia — chodź prędeej... Może sama twoja obecność zdoła uzdrowić moją kochaną chorą.

— Dałby Bóg — odrzekł Maksym, podążając za panem de Gordes.

XXI.

Po raz pierwszy w życiu Janina postanowiła dnia tego postępować, według własnego upodobania, nie zważając na wolę innych.

Daremnie Renata prosiła ją, ażeby pozostała w łóżku, a przynajmniej aby nie opuszczała swego pokoju.

Lecz hrabina nietylko udała się do salonu, ale kazała się ubrać nader starannie.

— Po co to wszystko, droga siostrzyczko? — zapytywała Renata. — Po co się trudzisz daremnie.

Janina odpowiedziała mu z uśmiechem.

— Wiesz, jak mało jestem zalotną, ale doktor nie widział mnie od czasu mego zameżenia?..

— Więc cóż?

— Nie chciałabym, ażeby przyjaciel Janiny Le-roux przestraszył się pani de Gordes... Chodzi tu o moją miłość własną względem Raula...

Kiedy hrabia i Maksym weszli do salonu, młoda chora, jak powiedzieliśmy, leżała na szeslongu przy otwartem oknie.

Zachwycające włosy jasne, podniesione w górę i przewiązane na wierzchołku głowy, wieńczyły bladą a śliczną twarzyczkę.

Pasek jedwabny obciskał kibić smukłą, a szlafroczek z niebieskiego kaszmiru, otulający ją całą, pozwalał widzieć tylko koniuszki pantofelków tegoż co szlafroczek koloru.

Tak ubrana, z łagodną twarzyczką, trochę wychudłą, Janina wyglądała na lat piętnaście zaledwie.

Błysk nadziei zajaśniał w jej rozszerzonych źrenicach, gdy Maksym przestąpił próg wraz z panem de Gordes.

— A! to ty!.. kochany doktorzel — zawołała. — Pewna byłam, że cię Raul przywiezie... ale nie byłbyś przyjechał, aż ja musiałam zachorować... to nie ładnie... to bardzo nie ładnie... No, nareszcie jesteś, przebaczam ci z całego serca... Wszak zdrowa matka pana?

Mówiąc to, wyciągnęła jedną rękę do męża, drugą do doktora...

Jak wyrazić, co Maksym uczuwał w tej chwili?

Są uczucia takiej siły, tak niezwykłych rozmiarów, że rozbierając je, tylkoby się je pomniejszało.

Młodzieniec, wzruszony aż do głębi swej istoty, wobec tej, dla której zachwył jego niemy i cześć czynił z jego duszy świątynię, a z serca ołtarz, szedł, jak się idzie we śnie, i tracił zdolność myślenia.

Bledszy był od Janiny i prawie bezwiednie ujął drżącą ręką dłoń, którą wyciągnęła ku niemu.

Przed oczyma jego rozpościerała się, jakby mgła; widział za ledwie, nie czuł swego ciała...

Na szczęście, poczucie obowiązku górowało nad wszystkim w tej naturze silnej, zahartowanej, która mogła się ugiąć chwilowo, lecz zaraz wracała do równowagi.

Może Janina znajdowała się w niebezpieczeństwie...

Trzeba było walczyć z chorobą, trzeba było ją pokonać koniecznie...

Tylko jako lekarz znajdował się na tem miejscu, w zamku de Gordes... Człowiek, zakochany szalenie nigdyby nie przestąpił tego progu...

Maksym wszystko to sobie powiedział, i obowiązek szybko rozproszył przygnębienie, wywołane przez miłość.

— Kochany doktorze — zapytała Janina, trochę zdziwiona i prawie niespokojna milczeniem lekarza — czy mnie uważasz za bardzo chorą?

Maksym drgnął. Czyżby się zdradził wyrazem twarzy? Uczynił wysiłek, ażeby być jak najspokojniejszym i odpowiedział:

— Nie, pani hrabino, dzięki Bogu, nie zastaję pani tak chorą... Masz pani tylko trochę gorączki,

i spodziewam się, że za parę dni będziesz mogła powrócić do tych, których jesteś dobrym aniołem tutaj, jakim byłaś w Zielonych Liściach...

— Przyjmuję ten komplement, drogi doktorze — rzekła Janina z uśmiechem — i przyjmuję również dobrą wróżbę, wiesz bowiem, że jestem bardzo czynną... a zresztą sprawa to tyle zmartwienia Raulowi i Renacie, że mnie widzą cierpiącą, a także i biednej Genowefie...

— Genowefie... — powtórzył Maksym.

— Naszej Genowefie — podchwyciła pani de Gordes. — Znasz ją pan dobrze... Biedaczka panu zawdzięcza swoje zdrowie... Jest ona teraz moją pokojówką...

— Pamiętam... pocziwa kobieta... Ale zajmijmy się panią... Niech mi pani opowie wszystko o swych cierpieniach... Mogą być takie szczegóły, które w oczach pani nie znaczą, a w oczach lekarza nabierają doniosłości...

Janina opowiedziała z całą prostotą i prędko wszystko, cośmy już przytoczyli.

— Czy to panu wystarczy, kochany doktorze? — zapytała z nowym uśmiechem, kiedy skończyła.

— Najzupełniej.

— To może mi pan powiedzieć, co mi jest?..

— I owszem...

— To powiedz pan prędko... Jestem bardzo ciekawa dowiedzieć się, jak się nazywa moja choroba?

— Ma pani lekką newrozę.

— Co to jest newroza?

— Cierpienie systemu nerwowego.

— I wyleczysz mnie pan?

— W jak najkrótszym czasie, spodziewam się...

A zanim wyzdrowienie zupełne nastąpi, postaram się o natychmiastowe ulżenie.

— W jaki sposób?

— Usuwając od dziś bezsenność gorączkową, która jest następstwem choroby i jeszcze bardziej ją powiększa... Halucynacje znikną też zupełnie...

— O! — zawołała Janina. — Co za szczęście. Ta bezsenność była dla mnie męczarnią... A jakim sposobem będziesz pan z nią walczył?

— Bardzo proste lekarstwo wystarczy... Czy w zamku jest apteka?

— Jest, doktorze, i nawet bardzo zasobna... — odrzekł pan de Gordes.

— To znajdę zapewne to, czego mi potrzeba... Może każeśz mnie, panie hrabio, tam zaprowadzić...

— Zaprowadzę pana sam — odrzekł Raul, powstając.

— Jestem na rozkazy pańskie, panie hrabio — podchwycił Maksym, również wstając.

— A wracajcie, panowie, prędko... — odezwała się Janina, gdy wychodzili obaj.

Apteka w zamku Gordes, jak w bardzo wielu siedzibach magnackich, była w istocie bardzo dobrze zaopatrzona.

Znajdowało się tu na półeczkach dużo słoików i fiaszeczek, z widniejącymi na nich napisami, stały

na stole wagi, moździerz, tłuczki, miseczki, i wszelkie przybory do przyrządzania rozmaitych lekarstw.

— Doktorze — odezwał się Raul, zamykając drzwi apteczki za Maksymem i za sobą — jesteśmy tu sami... powiedz mi pan otwarcie... Czyś pan przed chwilą mówił prawdę pani de Gordes?

Maksym potrząsnął głową.

— Nie, panie hrabio — odpowiedział.

Raul zbladł, jakby pchnięty został nożem.

— Mój Boże! — zawołał — więc to poważna choroba?

— Tak, poważna.

— Ale przecie uleczalna, nieprawdaż?

— O! spodziewam się... i śmiem nawet twierdzić, że tak.

— Sądziłem, że newroza nigdy nie grozi poważnym niebezpieczeństwem...

— Tu nie chodzi o newrozę.

— Ależ powiedziałeś pan... — wyjąkał pan de Gordes.

— Potrzeba było wybrać nazwę prawdopodobną — przerwał Maksym — wymieniłem więc tę...

— Jakaż więc jest choroba pani de Gordes?

— Oryginalność odpowiedzi mej świadczyć będzie o jej szczerości... Zapytuje pan, na co chora jest pani de Gordes?.. *Ja nie wiem!..*

XXII.

— Nie wiesz pan? — powtórzył Raul osłupiały.

— Nie...

— Ależ to niepodobne?..

— Niestety, nie jest to niepodobieństwem — odparł Maksym Giraud. — Zawód, któremu poświęciłem życie, wydaje mi się pięknym i wielkim, pośród innych, ale pod warunkiem, że obcy będzie wszelkiej szarlatanerii... Otóż choćbym miał dać panu bardzo złe wyobrażenie o mej wiedzy skromnej, powiadam panu otwarcie, że wszystko jest dla mnie niezrozumiałem w stanie pani de Gordes... Znałem pannę Janinę przed jej zamążpójściem, jak panu wiadomo, i podziwiałem jej kwitnące zdrowie i obfitość sił żywotnych w młodej panience... Nie chorowała nigdy ani fizycznie, ani moralnie... Nie więc nie mogło jej usposobić do tej dziwacznej choroby, którą nazwałem newrozą, a która nieznaną mi jest, chociaż stan nerwowy niewątpliwie odgrywa tu rolę bardzo czynną... Jestem wobec zagadki... Ciemności najgłębsze zasłaniają przedemną przyczynę choroby i pochodzenie ataków nocnych, jakie doprowadzają panią de Gordes do osłabienia, które mnie rzeczywiście przeraża...

— Ale pan zwalczać będziesz te ataki? — przerwał hrabia.

— O! niezawodnie... Trzeba jednak widzieć nieprzyjaciela przed sobą, ażeby móż go zwyciężyć, a nie postępować po omacku...

— To pan rozświetl te ciemności.

— O! niech pan będzie spokojny. Wszystko, na co się może zdobyć poświęcenie, uczynię... Znajdę słowo zagadki... Wydrę sfinksowi sekret...

— Jakim sposobem?

— Próbą... badaniem...

— Ale czas nagli!..

— Daję panu słowo honoru, że niebezpieczeństwo, jeżeli istnieje, a chciałbym jeszcze wątpić, nie jest tak raptowne... Zresztą, niech mi pan wierzy, nie stracę naprózno ani jednej minuty... Biblioteka moja, nie będąc bogatą, zawiera jednak dzieła cenniejszych mistrzów wiedzy. Rozmyślać sam będę, ale przede wszystkim w pracach nie ocenionych tych dobroczyńców cierpiącej ludzkości, szukać będę rozwiązania zagadki, która przytłacza mój umysł. Ci olbrzymi nauki wszystko zauważyli, wszystko zanotowali, wszystko opisali. A gdy ich badać będzie najskromniejszy, ale zarazem najzarliwszy ich uczeń, zapewne nie odmówią swej odpowiedzi.

— Dałby Bóg!

— On to uczyni... Nie należy do tych moich kolegów, których natura prowadzi do materjalizmu... Ja zaś mam wiarę... Pani de Gordes jest aniołem i Bóg nie zechce jej zabrać z ziemi, gdzie tyle czyni dobrego... Za godzinę zawiezie mnie pan z powrotem do Rancey... Pracować będę całą noc, a jutro kiedy tu powrócę, znajdę już może...

— Znajdziesz pan niezawodnie! — zawołał Raul którego teraz Maksym Giraud, pomimo otwartości wy-

znania, a może właśnie skutkiem tej otwartości, przejmował zupełnem zaufaniem tak, jak Janinę. — Ale — dodał — przyrzekłeś pan pani de Gordes ulgę niezwłoczną.

— Przyrzekłem, że noc przyszła będzie spokojniejszą... słowa dotrzymam...

Doktor obejrzał apteczkę, spoglądając na etykiety słoików i flaszek.

— Widzę tu — rzekł — wszystko, co mi jest potrzebne do przyrządzenia lekarstwa, uspakajającego i działającego niezawodnie.

— Pani de Gordes spać będzie?

— Tak i to snem głębokim, a sen ten przywróci jej nawet część sił, wyczerpanych bezsennością.

— Więc to będzie wielki krok, uczyniony ku zdrowieniu? — szepnął hrabia pytająco.

Maksym potrząsnął głową.

— Nie — odrzekł — ten sen sztuczny, otrzymany przez użycie narkotyków w dalszym ciągu mógłby dać rezultaty bardzo wątpliwe a nawet szkodliwe... Za pomocą bezpośrednich środków należy wykorzenić chorobę u źródła i jutro dopiero, jeżeli me badania nie odniosą pożądanego skutku, będę mógł działać naprawdę...

Mówiąc to, mieszał różne lekarstwa, które razem miały złożyć się na dobroczynną miksturę.

W kwadrans później wchodził do salonu z panem de Gordes.

— I cóż, drogi doktorze? — zapytała Janina wesoło — czy przynosisz mi ów cudowny napój, któ-

ry mnie uspi snem dziecka, skoro przyłożę głowę do poduszki, i ochroni mnie od przykrych snów...

— Oto jest, proszę pani — odrzekł doktor, pokazując hrabinie butelkę średniej wielkości, napelnioną płynem koloru brunatnego i nieprzezroczystego. — Uprzedzam panią jednak, że to bardzo gorzkie.

— O! to dla mnie wszystko jedno... byleby skutek spodziewany nastąpił, a ja wiem, że nastąpi... Znasz pan zaufnie moje do siebie, panie Maksymie... Z pańskiej ręki przyjąłabym truciznę — dodała, śmiejąc się — i trucizna z pewnością by mnie uzdrowiła!..

— Co za egzaltacja! — wtrąciła Renata.

— To nie egzaltacja, kochana siostrzyczko, to wiara!.. widziałam doktora u dzieła... Cud go nie nie kosztuje... Gdy tylko wejdzie do chorego, chory już ocalony...

Renata podchwyciła: —

— W takim razie pan Maksym Giraud jest do prawdy bardzo skromny... Dlaczego pan siedzi na prowincji?.. kiedy w Paryżu byłby prędko milionerem...

Doktor, nie nie odpowiedział, spojrzawszy, spojrzał na młode dziewczę i pomyślał:

— Doprawdy, sądzićby można, że panna Leroux jest mi bardzo nieprzychylną... Dlaczego?..

Joanna zaś zawołała:

— O! pan Maksym niedba o miliony... Milioner rozdawać umie tylko pieniądze... Doktor jest o wiele

bogatszy... rozdaje zdrowie i życie! Panie Maksymie, jak trzeba brać to lekarstwo?

— Począwszy od godziny ósmej wieczorem — odparł Maksym — brać pani będzie dziesięć kropel na łyżeczce od kawy co kwadrans, aż dopóki pani nie uśnie... Upraszam o najściślejszą punktualność...

— Niech pan doktor będzie spokojny — odparła Renata — już ja to wezmę na siebie... Ja będę nalewała krople i liczyła.

W tejże chwili lokaj oznajmił, że powóz czeka na doktora.

— Jakto! — zawołała Janina — pan już odjeżdżasz?

— Natychmiast, pani hrabino.

— Dlaczego pan nie zostaniesz u nas na obiedzie? Chciałam, ażeby mnie przeniesiono do pokoju jadalnego i ażebyśmy pomówili z sobą dłużej... O tyle rzeczy mam pana zapytać co do moich dawnych protegowanych w Zielonych Liściach, którzy są teraz pańskimi...

— Dzisiaj to niepodobna... Pan hrabia pani zaświadczy, że muszę jechać... Muszę dużo czasu dziś wieczorem poświęcić dla dobra pani kuracji...

— Rzeczywiście... — potwierdził Raul.

— Ale przynajmniej powrócisz pan prędko?..

— Jutro, pani hrabino... I zaraz podam pani plan kuracji...

— Więć do jutra, doktorze... Ucałuj pan ode mnie matkę... Ucałuj ją serdecznie tak, jak ja ją kocham...

— Dziękuję pani za nią... dziękuję z całej duszy...

Maksym uściśnął rękę Janinie, uklonił się Renacie i wyszedł, odprowadzony do powozu przez pana de Gordes.

W godzinę po jego odjeździe, Janina uczuła się bardzo słabą. Było to jakby ogólne przygnębienie.

— A mówiłam ci, droga pieszczoszko — szepnęła Renata, nachylając się ku niej i całując — że nie powinnaś się męczyć wychodzeniem ze swego pokoju.

— Tak, ale tego nie żałuję... Zresztą po lekarstwie będzie mi lepiej.

— Czy chcesz wrócić do swego pokoju?

— I owszem... Zdaje mi się, że w łóżku będzie mi lepiej... Pomyśl tylko, że będę miała noc spokojną... Bez gorączki... Bez snów... Tak, dobrze się wyśpię...

Renata zawołała.

Służące przeniosły hrabinę do jego pokoju i położyły do łóżka.

— Jakże się czujesz? — zapytała Renata.

— Jak ptaszek w swem gnieździe!.. O wiele mi lepiej... Jeś mi się chcę, a doktor nie nakazał mi wcale dyjety!.. co za szczęście!..

Janina zjadła kilka łyżek rosółu, ćwiartkę kurecica, skosztowała trochę wina i uczuła się sytą.

Renata opuściła pokój, a Genowefa otrzymała polecenie, ażeby ją zastąpiła przy pani de Gordes.

Przekonawszy się, że Raul jest w stajni, gdzie wydawał rozkazy, Renata bocznymi schodami udała

się do ogrodu zimowego i zbliżyła się do olbrzymiej euforbii abisyńskiej.

Wyjęła z kieszeni seczyryk i zebrała ostrzem do małego flakonika, zawieszzonego na sznureczku złotym, kilka kropli żywicy z kory euforbii...

XXIII.

Godzina ósma wieczorem wybić miała za kilka minut.

Renata, zjadłszy obiad ze szwagrem prędko i w milczeniu, opuściła jadalny pokój i udała się do hrabiny.

Janina, leżąc nieruchomo, wydawała się zupełnie z sił wyczerpaną.

Powieki jej opuszczały się na oczy zmęczone a jednak nie spała.

Genowefa, siedząc przy jej łóżku, patrzyła na nią tkliwie, jak matka na swoje dziecko.

— Jakże się miewasz, droga siostrzyczko? — zapytała Renata.

— Nie cierpię wcale — odpowiedziała Janina zagasłym głosem — ale jestem bardzo osłabiona...

— Sen w nocy cię pokrzepi... Lekarstwo doktora da ci ten sen, a właśnie chwila się zbliża wzięcia pierwszej dozy... Genowefo, gdzie jest buteleczka?

— Tutaj, panienko.

— Daj mi łyżeczkę od kawy... Potrzebuję także rurki do nalania kropli...

— Pójdę po nią do apteki...

— To idź prędzej.

Genowefa wyszła.

Podczas jej nieobecności Renata przebyła dwa gabinety, oddzielające pokój jej od pokoju Janiny, otworzyła flakonik, umaczała w nim długą szpilkę do włosów i gotowa była wpuścić na łyżeczkę kawy kroplę strasznej trucizny roślinnej, zaczerpniętej z euforbii abisyńskiej.

Ale się zastanowiła.

— Nie — wyszeptwała — jeszcze nie dziś, niecierpliwość czyni mnie szaloną... chcę się zanadto śpieszyć...

I, nie dokonawszy przerażającego dzieła, udała się do pokoju hrabiny.

Genowefa wchodziła jednocześnie z rurką kauczukową do wpuszczania kropli.

Renata naliczyła kropli dziesięć.

Godzina ósma wybiła.

Młoda dziewczyna zbliżyła się do łóżka i, podtrzymując Janinę lewą ręką, ażeby jej pomódz do picia, rzekła do niej:

— Pij, moja droga...

Pani de Gordes usłuchała biernie.

— Al! jakie to niedobre — wyjąkała, opuszczając głowę na poduszkę.

Trzy razy jeszcze, co kwadrans, jak zalecił Maksym, Renata dała Janinie przepisaną dozę.

Skutek oczekiwany nastąpił prędzej jeszcze, niż śmiano się spodziewać.

Przed dziewiątą już Janina zasnęła spokojnym snem, którego nie przerwały żadne halucynacje udęczające, a przeciągnął się on aż do rana.

Renata, wciąż godna podziwu, w swoim przywiązaniu, pół nocy przepędziła przy łóżku siostry, a kiedy znużenie zmusiło ją do spoczynku, zastąpiła ją Genowefa.

O świcie Raul na palcach wszedł do pokoju.

— I cóż?... — zapytał z cicha.

— Moja droga pani spała jak dziecko — odpowiedziała Genowefa. Niech pan hrabia posłucha, jak oddycha spokojnie, i jaki spokój na twarzy pani hrabiny...

I oboje czekali na przebudzenie.

Janina, otwierając oczy, ujrzała pana de Gordes, siedzącego przy łóżku.

Uśmiechnęła się doń, podała mu rękę, i nie czekając na zapytanie, zawołała:

— A! jakem dobrze spała i jak dobrze czuję się dzisiaj! Zdaje mi się, że jestem już wyleczona... Widzisz, czy nie miałam słuszności, mówiąc, że mój przyjaciel Maksym Giraud, czyni cuda...

— Zaczynam podzielać zaufanie twoje, droga pieczoszko — odparł hrabia, całując Janinę. — Pówołz pojechał do Rancey już oddawna. Doktor zapewne przyjedzie niebawem.

Przewidywanie to spełniło się. Turkut kół wkrótce dał się słyszeć i Raul z twarzą rozradowaną pobiegł na spotkanie doktora, któremu nie omieszkął zwiastować dobrej nowiny, dodając:

— Chodź pan prędzej nacieszyć się swoim dziełem... Skutek lekarstwa jest cudowny... Nie poznasz pan dziś pani de Gordes!...

Maksym odetchnął z wyraźną ulgą.

— O! jakie szczęście!.. — wyszeptał — przybywałem bardzo niespokojny...

— Dlaczego?

— Dla bardzo prostej przyczyny... Wieczór i noc poświęciłem zawziętej pracy... przerzuciłem ze sto tomów, spodziewając się jakiegokolwiek promyku światła, a jestem wśród takich samych ciemności, jak wczoraj... Nigdzie nie znalazłem zadawalającego objaśnienia o przyczynach choroby pani de Gordes... Gorączka nie powinna wywoływać ani takich ataków, jakie mi pan opisał, ani tych nie zrozumiałych dla mnie halucynacyj.

— A jednak muszą one mieć jakąś przyczynę — przerwał Raul.

— Niewątpliwie, ale jaką?.. Tylko pewne rodzaje otrucia przedstawiają rezultaty podobne do tych objawów... Są trucizny roślinne, które powodują halucynacje i doprowadzają do obłądzenia... Czy przypuszczasz, pan możliwość przypadkowego otrucia?..

— Nie! — odpowiedział Raul — zaprzeczam temu stanowczo. Siostra żony i ja zawsze jedliśmy te same potrawy co i żona, a zresztą dojadali ich służący...

I nikt nie zachorował... Wreszcie gdyby nawet przypuścić otrucie, miałyby ono swój naturalny przebieg, coraz bardziej pogarszając stan chorej, gdy w zdrowiu żony zachodzą częste zmiany, to czuje się ona zupełnie dobrze to znowu chora.

— Bardzo słuszna uwaga... Muszę więc poprzestać na tem, co powiedziałem wczoraj pani de Gordes, nie bardzo w to sam wierząc... muszę przypisać przyczynę choroby tylko rostrojowi nerwowemu... Nerwy są ostatnią ucieczką dla lekarzy w kłopotcie... Nerwami tłumaczą wszystko...

— Zresztą —podechwycił Raul—mniejsza o przyczynę, bylebyś pan osiągnął skutek... Chodź pan zobaczycie hrabinę...

— Dzień dobry, drogi doktorze, — rzekła Janina z uśmiechem, — dzisiaj będziesz zadowolony ze mnie. Jestem zdrowa i to dzięki panu...

Doktor ujął drżącą rękę pani de Gordes i oparł palce na dłoni.

— Rzeczywiście — wyszeptał — wszystko jest bardzo dobrze... Gorączki niema... Wiem już, że spała pani, jak się spodziewałem...

— O! usypiaj mnie tak zawsze, drogi doktorze. Po tylu nocach bezsennych, sen tak smakuje...

— Będzie pani spała, przyrzekam pani...

— Co mi pan zapisiesz?

— Nic...

— Jakto, nie?

— To jest, żadnych lekarstw. Wystrzeganie się wszelkiego zmęczenia, tryb życia bardzo prosty i re-

gularny, jaki pani nakreślę, przyprowadzą panią wkrótce jak sądzę, do zwykłego zdrowia...

— Zatem, kochany doktorze, choroba już się skończyła i nie wróci?..

— Tak, spodziewam się i na to liczę...

Na nieszczęście, Maksym omylił się.

W ciągu tygodnia Janinie było coraz lepiej. W nocy spała spokojnie, siły i apetyt wracały szybko.

Ósmego dnia mogła już chodzić po parku, pod rękę z Raulem lub z Renatą.

Żywa radość zapanowała w zamku i na wsi, służący zarówno jak i wieśniacy, uwielbiali jak wiemy, hrabinę.

Doktór, spełniwszy swój obowiązek, oświadczył, że odtąd wizyty jego codzienne nie mają celu, i że bywać będzie teraz już rzadziej, ale w każdym razie pośpieszy na każde wezwanie.

Niestety sposobność dotrzymania obietnicy nie dała na siebie czekać.

Nazajutrz dnia tego, kiedy Maksym uważał już kurację dalszą za zbyteczną, przysłano po niego powóz, którym przyjechał zdziwiony i przerażony.

Cóż się stało?

Hrabina znów miała atak, i to już niepodobny do poprzednich.

Ciągłe zmiany, ciągle nadspodziewane uspokajania się cierpień, to znów powstawanie ich nagle, obracały w niwecz wszelkie logiczne rozumowania i obezwładniały wiedzę Maksyma.

Młodego lekarza ogarnęło głębokie zniechęcenie, rozpacz łatwa do zrozumienia.

Ta, którą kochał bardziej niż wszystko na świecie, dla której chętnie oddałby własne życie, cierpiała i gasła powoli w jego oczach, a on nie mógł jej ulżyć, nie mógł jej ratować.

— Panie hrabio — rzekł pewnego dnia do Raula. — Sam nie mógłbym sobie wybaczyć, gdybym przed panem ukrywał poważne niebezpieczeństwo... Choroba postępuje, a ja czuję się względem niej bezbronnym... Odpowiedzialność moralna, jaką biorę na siebie, sam lecząc panią do Gordes, wydaje mi się zbyt ciężką... przygniata mnie... Czy pan mnie upoważnia do zwołania konsylium. Ja jestem sobie biedny i prosty lekarz... Niech pan tu zaprosi kilku z pośród znakomitych kolegów moich paryskich... Gdzie ja widzę ciemności, oni zapewne wniosą światło...

Renata obecna była przy tej rozmowie. Niedostrzegalne drżenie powiek wskazało tylko jej wzruszenie.

— Masz pan słuszość, czuję to dobrze — wyrzekła głosem bardzo powolnym — ale czy nie obawiasz się pan przestraszyć mej siostry, wynurzając przed nią swój niepokój. Sprowadzać do niej lekarzy z Paryża, czyż to nie jest uprzedzić jej o wielkości niebezpieczeństwa? A może z tego przerażenia, jakie nią owładnie wtedy, wynikną jeszcze gorsze następstwa.

— Renata ma słuszość, niestety... — wyjął Raul boleśnie. — To konsylium, którego aż nadto od-

czuвам pilną potrzebę, z pewnością pogorszyłoby jeszcze stan mej ukochanej żony. Waham się...

— Chcesz więc pan dopuścić, ażeby pani de Gordes umarła bez pomocy lekarskiej? — podchwycił żywo Maksym. — Ja czuję się bezsilnym, a jeżeli mi pan odmówi tej pomocy, której żądam, sam się też usunę. Tak mi nakazuje sumienie.

— Skoro tak, doktorze — zawołał hrabia — niech się dzieje wola twoja... Ale jak do tego przygotować Janinę, jak oszczędzić jej gwałtem tego wzruszenia...

— Ja się tego podejmuję... — odrzekł Maksym. — Pani de Gordes ma do mnie zaufanie...

— Czyń doktorze, co uznasz za stosowne... Masz zupełną swobodę działania.

Młody lekarz nie stracił ani chwili i bez trudności przekonał Janinę, że dla dobra jej prędkiego wyzdrowienia, musiał zasięgnąć rady kilku starszych, a więc bardziej doświadczonych kolegów.

— Dobrze — szepnęła ulegle chora — niech przybędą, skoro pan chcesz ich pomocy do tego czemu nawet sambyś pan podolał; o! leczcie mnie, panowie, bo doprawdy to już trwa bardzo długo...

Następnego tygodnia trzech słynnych lekarzy paryskich przybyło do Gordes.

Zgodzili się oni jednogłośnie, że mają do czynienia z cierpieniem nerwowem, zupełnie nie znanem i że nie wiedzą, jaką nazwę mają nadać tej kameleonowej chorobie, której przypadłości zmieniały się co dzień, a nawet co godzina.

Zgodzili się też zupełnie na metodę leczniczą, stosowaną w przeszłości przez młodego lekarza, ale nie mogli się zgodzić na obranie systemu dla przyszłej kuracji, i każdy, choć z całą uprzejmością, obstawał przy swoim zdaniu, zupełnie odmiennem od innych.

Wreszcie odjechali, zaopatrzeni w pokaźne honorarium i, zobowiązawszy swego kolegę, w interesie nauki, nadsyłać do akademii lekarskiej szczegółowe wiadomości o tak ciekawym wypadku.

— Więc znów jestem sam — pomyślał Maksym — sam do walki na polu, opuszczonem przez słynnych moich mistrzów. Nieprzyjaciel kryje się w ciemnościach... Broni mi brak przeciw niemu... A jednak trzeba zwyciężyć... zwyciężyć lub umrzeć...

Poszedł do Raula.

— Panie hrabio — rzekł — każ mi dać pokój w zamku... Dopóki pani de Gordes grozi niebezpieczeństwo, nie powrócę do Rancey...

XXIV.

Pozwólmy rozwijać się w zamku de Gordes prologowi posępnego dramatu, a powrócmy do Lazaryny oraz innych wybitniejszych osób naszego opowiadania.

Widzieliśmy, jak młoda wdowa po margrabi Robercie opuściła zamek Tour-du-Roy, udając się do Paryża.

Juliusz Leroux, najlepszy z ojców, (bankier sam sobie przyznawał ten tytuł z całą naiwnością i z jak najlepszą wiarą) oczekiwał ją na dworcu w Paryżu.

Ze stacyi kolejowej zawiózł córkę, na ulicę Murilla do pałacyku, który wynajął dla niej za dwadzieścia tysięcy franków rocznie, elegancko umeblowanego.

Margrabina, pomimo zmęczenia podróżą, obejrzała zaraz cały pałacyk od dołu do góry, i wyraziła najzupełniejsze zadowolenie.

— Wspaniale i ładne... Dziękuję papie... ale umieram z głodu.

— I to jest przewidziane, zaraz rozkażę. Za dziesięć minut pani margrabinie podadzą obiad...

— A ty będziesz towarzyszył pani margrabinie? dotrzymasz jej kompanii?

— Jeżeli pani margrabina pozwoli?

— Jesteś ojczulku prawdziwą perłą, a takich już więcej niema...

W dziesięć minut później Juliusz Leroux wraz z córką zasiadł do obiadu, sprowadzonego z pierwszorzędnej restauracji.

Rozmowa, bardzo ożywiona, potoczyła się o dwudziestu rozmaitych rzeczach.

Mówiono o słabości Lazaryny, o chorobie Janiny i o przemianie, jaka zaszła w Renacie.

Potem margrabina zapytała:

— A cóż twój stary przyjaciel?

— Mówisz o księciu?

— Naturalnie.

Juliusz Leroux pokiwał głową.

— O! o! nie widziałem go już od wieków.

— Czyście się poróżnili?

— Bynajmniej ale opuścił Paryż.

— Gdzież się obraca.

— Nie wiem... Przyszedł do mnie pewnego dnia, zadumany, z miną bardzo poważną i oznajmił mi tajemniczo, że wyjeżdża na pewien czas, a dawał do zrozumienia, że nie jedzie sam. W takiej przyjaźni, w jakiej my z sobą byliśmy, nie uważałem za niewłaściwe zadać mu kilka pytań, ale on jednak dał mi odpowiedzi wymijające, tak, że poznałem, iż nie chce mi wyjawić prawdy...

— Czy to idzie o jakąś kobietę?

— Nie wiem, ale mógłbym się założyć... Bo gdzieżby Godfryd podróżował z mężczyzną...

— Wiesz co, papo, ale taka awanturka w wieku księcia.. To paradne...

— Mnie przyszło na myśl... czy w tem nie kryje się... małżeństwo...

— Cóż znowu...

— A tak, mój Boże... a nawet prawie jestem pewny, gdyż Godfryd przebąkiwał mi coś o zmianie położenia, o nadziei wzbogacenia się i to w krótkim czasie... A zkądżeby mu się wziął majątek, jeżeli nie z ożenku? Wdów milionowych nie brak wcale, zwłaszcza gotowych zapłacić chętnie za tytuł księżęcy.

— Księżę by się ożenił... — podchwyciła Lazaryna — a to byłaby zabawna farsa...

— Tylko nie dla jego żony... — odparł Juliusz Leroux ze śmiechem.

Niebawem będziemy mieli dowód, że przypuszczenie bankiera było mylne, pomimo wszelkiego prawdopodobieństwa.

Lazaryna otoczyła się w swym pałacu liczną służbą, ale, zawsze przezorna, pozostaawiła w Tourdu Roy starego kamerdynera, Dominika.

Powód tej ostrożności nie trudno odgadnąć.

Ponieważ niepodobna było myśleć o niemożliwości odwiedzin Marcela Laugier, a z pośród służby tylko Dominik znał oficera i miał z nim do czynienia podczas przejazdu jego przez Orlean i zakwaterowania się w zamku po śmierci margrabiego.

Upłynęły dwa tygodnie.

Młoda kobieta, której stan nie pozwalał nawet przejażdżki w powozie, miała tylko jedyną rozrywkę w codziennych odwiedzinach ojca i zaczynała się już nudzić niezmiernie.

Przypomniała sobie, iż obiecała Marcelowi Laugier zawiadomić go, kiedy się urządzi zupełnie z mieszkaniem, i wtedy mu przesłać adres, upoważniając go do wizyty.

— Zabawnym wcale nie jest — myślała — ale prędzej mi zejdzie z nim godzina lub dwie.

Wzięła więc kartkę papieru bez herbu i bez cyfry i skreśliła te wyrazy mało kompromitujące, a nie podpisane żadnem nazwiskiem:

„*Ulica Murilla, Nr. . . .*”

Jutro, we czwartek, o trzeciej.“

A na kopercie zaadresowała:

*Panu Marcelowi Laugier
w Hotelu Wielkim.*

I kazała jednej ze służących zanieść na pocztę to lakoniczne pismo.

Wiemy już, że pani Tour-du-Roy nie czuła dla porucznika nic, co zbliżka lub zdaleka podobne być mogłoby do miłości. Ten bohater przygody w Orleanie pozostawił jej serce zupełnie spokojnem.

A jednak (i wytłomacz tu tajemnicze natury kobiece) nazajutrz w miarę, jak się zbliżała oznaczona godzina, Lazaryna czuła, że serce jej bije prędeej niż zwykle i czekała z pewną niecierpliwością, aż się rozlegnie dzwonek u drzwi, zwiastujący wizytę Marcela.

Z pewnością przyjdzie wcześniej! — mówiła do siebie... Gotowam się założyć, że oddawna już błąka się jak dusza pokutująca w pobliżu pałacu...

I margrabina śledziła oczami pomimowolnie wskazówki na cyferblacie zegara w buduarze.

Godzina trzecia wybiła. Dzwonek pałacowy milczał.

Niecierpliwość Lazaryny przeszła w zdziwienie, a to zdziwienie przemieniło się następnie w rozdrażnienie nerwowe, które wzmagало się *crescendo* w miarę, jak upływały kwadranse.

Tak minęło całe popołudnie.

Marcel nie pokazał się wcale.

Rozdrażnienie hrabiny ustąpiło miejsca pewnemu niepokojowi, a nawet smutkowi... tylko przerażająco poważna przyczyna mogła przeszkodzić człowie-

kowi, tak zakochanemu, jak Marcel, nie przyjść na schadzkę, wyproszoną tak usilnie.

Cóż to mogła być za przyczyna?

— Zapewne niebezpiecznie jest chory — myślała hrabina. — A może umarł...

Na tę myśl zbladła i prawie przez godzinę kochała porucznika. Gorączkowa ciekawość, przekazana przez jasnowłosą Ewę jej prawnuczkom, ogarnęła ją i nie dała jej spokoju. Chciała koniecznie wiedzieć, jaka przeszkoda niespodziewana wznosiła się między nią a porucznikiem, chciała o tem mieć wiadomości za jakąbądź cenę.

Tego wieczora Juliusz Leroux nie jadł wcale obiadu przy ulicy Murilla. Lazaryna kazała sobie podać obiad do swego pokoju, ale pozostawiła jedzenie nietkniętym.

Kiedy noc zapadła zupełnie, pod pozorem znużenia, odprawiła służące, zaryglowała drzwi od sypialni; zarzuciła na czarne ubranie duży szal, twarz zasłoniła gęstym woalem, bocznymi schodami dostała się do ogródka, przyległego do parku Monceaux, otworzyła kluczykiem furtkę, znalazła się w parku, a potem w alei Królowej Hortensji, zatrzymała pierwszą przejeżdżającą dorożkę, nie myśląc wcale o niebezpieczeństwach przy jej stanie jazdy po nocy tak niewygodnym powozem, wsiadła i zawołała na woźnicę:

— Do Hotelu Wielkiego.

XXV.

W niespełna kwadrans dorożka zatrzymała się przed wspaniałymi drzwiami hotelu, a pani Tour-du-Roy, przedostawszy się przez tłum przechodniów, krążący zwykle na eleganckich bulwarach, udała się do kancelarji hotelowej.

— Czy pan Marcel Laugier jest u siebie? — zapytała szwajcara.

Widocznie znał on bardzo dobrze porucznika gdyż, nie zaglądając do książki, odpowiedział:

— Pana Laugier niema w Paryżu...

— To niepodobna! — zawołała margrabina.

— Ależ tak, proszę pani... Pan Laugier przed tygodniem otrzymał jakiś ważny telegram i zaraz wyjechał... Zresztą zatrzymał dla siebie mieszkanie, numer 220, i może lada chwila powrócić... Mamy polecenie przysyłać mu wszystkie listy... Czy pani chce napisać?.. To mu pošlemy.

— Nie... dziękuję panu...

Margrabina wsiadła znów do dorożki i w pół godziny znajdowała się już w swem mieszkaniu, zmęczona, ale uspokojona.

Miłość jej własna została ocalona; nieobecność młodzieńca w Paryżu tłumaczyła i usprawiedliwiała wszystko.

Pozostawała tylko ciekawość, co mogło spowodować tak raptowny wyjazd.

Zresztą, ciekawość ta została zaspokojoną niebawem.

W dwa dni później zrana Lazaryna otrzymała list z obwódką czarną i z marką, noszącą stempel poczty w Cherbourgu.

Poznała pismo Marcela i rozerwała kopertę z pewnem wzruszeniem, jakie już zaznaczyliśmy, gdy przed trzema dniami pani Tour-du-Roy czekała na porucznika.

List był niezmiernie długi.

Postaram się go streścić.

Marcel Laugier — jak donosił — otrzymał owo zawiadomienie Lazaryny w głębi Normandji, we wsi pod Cherbourgiem. Wyrażał głęboki żal, iż mimo-wiednie dał na siebie czekać i nie przybył do ukochanej, którą kocha nadewszystko w świecie, i z gorącym zapałem malował wzrastające uczucie; wreszcie tłómaczył przyczyny swej niespodziewanej podróży.

Brat jego matki, stary kawaler, mieszkający w zameczku na wzgórzu nad brzegiem morza, w okolicy Cherbourga, czując zbliżającą się śmierć, wezwał do siebie siostrzeńca, którego bardzo lubił.

Nazajutrz po przyjeździe wuj jego umarł, zapisując Marcelowi ku wielkiemu jego zdziwieniu, cały swój majątek, wynoszący w akcjach Banku Francuzkiego i w innych papierach wartościowych przeszło milion.

Wraz ze swem własnem skromnem mieniem porucznik miał teraz rocznie co najmniej sześćdziesiąt tysięcy dochodu.

Wreszcie był jedynakiem i mógł się jeszcze spodziewać po ojcu ośmuset tysięcy franków. Lada dzień więc mógł posiadać sto tysięcy rocznego dochodu, co jest fortuną piękną dla prostego porucznika, a nawet i dla pułkownika.

Marcel natychmiast przesłał swą dymisję ministrowi wojny. Dla różnych powodów, których nie wyłuszczał, lecz je Lazaryna odgadywała z łatwością, pragnął być najzupełnie wolnym i panem swych postępów.

Zresztą czuć było w liście tę pewność siebie i siłę woli, którą nadaje wybrańcom swoim Jego Wysockość Pieniądz.

Pismo kończyło się tak, jak się zaczynało — przysięgami wiecznej miłości, których szczerokość nie pozostawiała wątpliwości. Marcel zapowiadał przyjazd swój do Paryża blizki, prawie bezwłoczny.

Lazaryna, czytając ten list, to się uśmiechała, to znów lekka zmarszczka zarysowywała się między jej brwiami czarnymi, to wreszcie wzruszała zlekka ramionami.

Kiedy skończyła, położyła list na stoliczku i zaczęła rozmyślać.

Chwilami usta się jej poruszały.

— Po co ta dymisja — mówiła. — Urlop półroczny aż nadto wystarczyłby. — Później zobaczyłoby się, co należy zrobić... Marcel, mający wszystek czas wolny, prędko stanie się nieznośnym... nie licząc już nie możliwych myśli, które mu przyjdą do głowy bezwątpienia... A może już przyszły...

Przerwała sobie, a potem dodała:

— Sto tysięcy dochodu... to coś znaczy... to prawie bogactwo... Nareszcie *czemś* jest... Renata poprzestałaby na tem z podziękowaniem... Dwadzieścia sześć lat... dystyngowany... elegancki... na nieszczęście nazywa się tylko Laugier... *Marcel Laugier* to tak pachnie mieszczaństwem, jak *Juliusz Leroux*, a może nawet więcej, a ja jestem wdową po margrabi Tour-du-Roy... Były porucznik jest więc niemożliwy do poważnego traktowania... Jako rozrywka to co innego... Niech przyjdzie, a zobaczymy...

Następnego dnia, około godziny trzeciej, *najlepszy z ojców* był u swej córki i namawiał ją na przejażdżkę do lasku.

Wtem odezwał się dzwonek.

— Spodziewasz się kogoś? — zapytał Juliusz Leroux.

— Nikogo... — szepnęła Lazaryna głosem nie dość pewnym.

W tejże chwili wszedł służący, niosąc na srebrnej tacy bilet wizytowy.

— Czy pani hrabina przyjmuje? — zapytał.

Lazaryna spojrzała na bilet.

— Tak... — odpowiedziała.

Lokaj wyszedł, a Juliusz Leroux wziął bilet do ręki.

— *Marcel Laugier!*.. — przeczytał głośno — nie znam tego nazwiska... Któż to jest?

— Młody człowiek... oficer... zresztą bardzo bogaty...

— Gdzieżeś go poznała?..

— W Wenecyi... — odparła Lazaryna bez wahania.

— Czy to przyjaciel twego męża?..

— Zwyczajna znajomość... — rzekła młoda kobieta, która mimo zwykłej pewności zacierwieniła się tym razem.

Pobłażliwy ojciec bardzo dobrze zauważył to pomieszanie, ale się nazbyt nie zdziwił, przypuszczając jakąś przygodę w rodzaju z Bégourdem... Wreszcie pomyślał:

— Będę tu przeszkadzał... Za parę minut wyniosę się!..

Lokaj oznajmił:

— Pan Marcel Laugier.

— O! ładny chłopiec! — mruknął pod wąsem Juliusz Leroux.

Rzeczywiście ładnym był Marcel w grubej żalobie, z postawą energiczną i szykowną i długimi wąsami jedwabistemi. Miał minę szlachcica i zarazem artysty.

Lazaryna ledwie się podniosła z fotelu i rzekła:

— Mój, ojciec, pan Marcel Laugier... Pan Marcel Laugier, mój ojciec...

Przedstawieni sobie wzajemnie obaj panowie ukłonili się sobie, a margrabina, chcąc przestrzedz czemprędzej gościa, odezwała się:

— Jak to grzecznie z pańskiej strony, że pan sobie przypomniał o mnie po tak długim czasie... Nie-

obecni zwykle sobie szkodzą... czy długo pan jeszcze byłeś w Wenecyi?.. Miałeś pan jeszcze zostać dwa miesiące... Byłeś pan na urlopie, nieprawdaż? Jesteś pan jeszcze ciągle w wojsku?.. Może się mylę, ale zdaje mi się, że pan chciał porzucić służbę wojskową...

Marcel zrozumiał i pomimo wzruszenia odpowiedział bez najmniejszego zakłopotania.

— Pani nie może należeć do tych osób, o których się zapomina — wyrzekł — i, dzięki łaskawemu upoważnieniu pani magrabiny, byłbym już oddawna złożył u nóg jej uszanowanie, ale podróż moja przedłużyła się po nad wszelkie przewidywanie... Spędziłem w Wenecyi pół roku... termin urlopu przestał mnie krępować... Nie mam już zaszczytu należeć do armii francuskiej... Podałem się do dymisji.

Juliusz Leroux powstał.

— Niech mi pan wierzy, że mnie pan nie wypędza bynajmniej... — rzekł. — Ale miałem właśnie wyjść, gdy pan wszedł... żałuję, że pana tak prędko opuszczam... ale na mnie czekają...

Uklonili się sobie znowu i dawny bankier, nachylając się ku Lazarynie, ażeby ją ucałować, szepnął jej do ucha:

— Ładny!..

Potem wyszedł.

Rozmowa margrabiny i Marcela Laugier była o wiele ozięblejsza, niżby można się spodziewać, a jednak ta oziębłość była logiczna.

Oba widzenia poprzednie, i w Orleanie i w parku Tour-du-Roy odbyły się w okolicznościach, jak wiadomo, niezwykłych.

Tego dnia po raz pierwszy, Marcel Laugier przyjęty został w domu Lazaryny w sposób jawny, pod swem prawdziwym nazwiskiem, bez żadnej tajemnicy, a margrabina przedstawiła go ojeu, dając mu tem samem już miejsce w stosunkach rodzinnych.

Zresztą powaga, jaką margrabina Tour-du-Roy otaczała się w jego oczach onieśmielała go wyraźnie i paraliżowała uniesienia człowieka szczęśliwego.

On tę kobietę trzymał był w swych objęciach, ojcem był jej dziecka... A jednak nie mniej pozostawała ona dlań patrycejuszką, wielką damą, imponującą swem stanowiskiem społecznem i otoczeniem, tak, jak przyciągającą przez swą piękność.

Ztąd to onieśmienie, nieuniknione u Marcela Laugier.

Zakłopotanie Lazaryny było także zupełnie naturalne i jeszcze łatwiejsze do zrozumienia...

W tych warunkach pierwsza wizyta byłego porucznika nie mogła długo potrwać i rzeczywiście nie potrwała długo.

W pół godziny potem opuścił salon przy ulicy Murilla, mówiąc:

— Do jutra, pani, nieprawdaż?

— Tak... — odpowiedziała margrabina — do jutra...

XXVI.

Marcel stał się codziennym gościem, Lazaryna przyzwyczaiła się go przyjmować, zakłopotanie wzajemne rozprasało się powoli i zażyłość prawdziwa, ale więcej przyjacielska, niż kochliwa, wytwarzała się między młodymi ludźmi.

Bo zresztą czyż podobna mówić o miłości kobiecie w tym stanie, w jakim się obecnie znajdowała Lazaryna?

Marcel czuł to dobrze.

— Cierpliwości — mówił do siebie. — Ona do mnie powróci... Najważniejsze teraz... że tu jestem... że mam... Nikt bez mej wiedzy nie zbliży się do mego skarbu... ażeby go ukraść... zresztą potrafię go obronić...

Czekało go zmartwienie, ale dawało się ono łatwością przewidzieć, jako naturalne.

Pewnego dnia, Lazaryna rzekła do niego:

— Dziś, mój przyjacielu, widzimy się po raz ostatni na kilka tygodni...

— Jakto! — zawołał Marcel — nie chcesz mnie pani przyjąć?..

— Nie będę teraz przyjmowała nikogo... chwila straszna się zbliża... drzwi mego mieszkania będą otwarte tylko dla ojca mego i doktorów...

— Ale pomyśl pani... — zaczął Marcel.
I sam sobie przerwał.

— Tak, rozumiem pana dobrze... — odparła Lazaryna z uśmiechem. — Nikt o tem nie wie... a jabym się skompromitowała w oczach całego świata... Zresztą będę do pana pisywała... będziesz pan mógł widywać się z moim ojcem.

— Ha!.. — rzekł Marcel z westchnieniem — to spełnij pani przynajmniej moją prośbę...

— Prośbę?..

Marcel się zawahał.

— Jaką? Mów pan...

— Chciałbym być ojcem chrzestnym pani syna... Bo to będzie syn... Wszak się zgodzisz, nieprawdaż?

Pani Tour-du-Roy zaczęła się śmiać.

— Biedny mój przyjacielu — rzekła — przeczuwałam, że w tej prośbie będzie jakieś szaleństwo...

— Szaleństwo! — powtórzył młodzieniec. — A to dlaczego?..

— Miałbyś zostać ojcem chrzestnym? — a to z jakiej racji?..

— I pani o to pytasz... Czyż...

— O! nie kończ pan — przerwała młoda kobieta. — O! wiem... wiem doskonale... Ale pomimo to jesteś pan szalony...

— Nie rozumiem... — odezwał się Marcel.

Lazaryna przerwała mu znów z widoczną niecierpliwością.

— Doprawdy! — rzekła ironicznie. — Doprawdy, czy nie pojmujesz pan, w jakim świetle przedstawiałaby się margrabina Tour-du-Roy, przyjmując na

ojca chrzestnego dla swego dziecka, człowieka którego zaledwie znać jest w możności. Cóżby świat na to powiedział? O! mój drogi... nie myśl nawet o tem!.. Ojciec chrzestny już wybrany... Chrzest odbędzie się wspaniale...

— I któż jest tym ojcem chrzestnym? — zapytał Marcel, a bladość jego przejęłaby lit ością każdego, tylko nie Lazarynę.

— To mąż mojej siostry, hrabia de Gordes... Wybór chyba uznasz za dobry...

Były oficer schylił głowę, nie nie odpowiedział. Do siebie zaś szepnął:

— Więć dla tego dziecka nie będę niczem... tylko ojcem...

W godzinę później odchodził, bardzo zasmucony, a nazajutrz, jak zapowiedziała margrabina, drzwi pałacyku przy ulicy Murilla pozostały zamknięte dla wszystkich.

Marcel Laugier był dobrym prorokiem... Lazaryna została matką syna...

Powodzenie najzupełniejsze wieńczyło zuchwały plan margrabiny. Prawa młodej wdowy były niezachwiane. Teraz nie w świecie nie mogło zubożyć najstarszej córki Juliusza Leroux.

Jeżeli dziecko żyć będzie, matka przez dwadzieścia jeden lat zarządzać będzie dochodami, a następnie otrzyma używalność trzeciej części tych dochodów...

Gdyby dziecko umarło, weźmie po niem spadek.

Lazaryna — powiedzmy natychmiast — nie okazała się wcale złą matką, nie dlatego, ażeby uczyła

zbyt żywe uczucie dla tej małej istotki, ale że wydała się jej zabawną ta laleczka, z twarzą wielką jak pięść i ledwie widoczną w falach białych koronek.

Zawczasu sprowadzono mamkę, zdrową i urodziwą normandkę.

W tydzień odbył się chrzest.

Raul de Gordes, któremu choroba Janiny, nie pozwoliła opuścić Loiret, nawet na dwadzieścia cztery godzin, reprezentowany był przez Juliusza Leroux przy tej ceremonii.

Matką chrzestną była księżna Espany de Lantrec, dość bliska krewna nieboszczyka margrabiego Roberta.

Próżny Juliusz Leroux, wbrew zwyczajowi, rozesłał liczne zaproszenia. Piękny kościół Św. Trójcy zapełniał też tłum osób.

Rzecz zbyteczna chyba nadmieniać, że Marcel Laugier znajdował się tam w pierwszym szeregu, przyglądając się dziecku z rozrzewnieniem!

Pe chrzcie podążył do zakrystji za Juliuszem Leroux, którego od pewnego czasu odwiedzał, dla przyczyn nam znanych.

— I cóż, drogi przyjacielu? — zapytał go ojciec Lazaryny, podając mu rękę — jakże ci się podoba ten malec?

— Wspaniały — odrzekł Marcel z przekonaniem — nigdy nie widziałem tak pięknego dziecka.

— Podobny do mnie bardzo, nieprawdaż? — mówił dalej Juliusz Leroux i, nie czekając odpowiedzi, dodał:

— Chcesz go pan pocałować?

O! czy Marcel tego chciał...

Podniósł go w swych ramionach i pokrył pocałunkami tę wątłą istotkę, która przy tych pocałunkach jego zaczęło wydawać nieludzkie okrzyki.

— Panie... panie... — odezwała się mamka — tylko ostrożnie... Za mocno całujesz tego cherubinka... robisz mu siniaki... Niech mi go pan odda... bo mu pan jeszcze co złamie...

Marcel, trochę zawstydzony, oddał dziecko mamce.

A Juliusz Leroux mówił dalej, zacierając ręce:

— Słyszysz tego cherubinka, jak go nazywa mamka!.. Nie krzyczy, ale ryczy!.. o! co za organ głosu!.. Prawdziwy baryton... Zuch to będzie nielada... W jego wieku taki sam byłem... A, proszę pana, ten chłopiec, jest już milionerem... Co za przyszłość. Dobrą furtką wszedł do życia... Wiesz pan co, margrabia mój zięć dobrze zrobił, że się pośpieszył... Tydzień jeszcze później, a ród Tour-du-Roy byłby wygasł... A nieszczęście byłoby niepowetowane...

Słyszając to zdanie ostatnie, Marcel Laugier, pomimo wzruszenia żywego, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

* * *

Lazaryna prędko wracała do zdrowia.

W ośm czy dziesięć dni po chrzcie dziecka, doktorzy pozwolili młodej kobiecie siedzieć już przez część dnia.

Pałac przy ulicy Murilla otworzył wtedy znów swe podwoje, nie tylko dla byłego porucznika, ale i dla innych gości, którzy licznie napływali.

Juliusz Leroux miał dużo znajomych z dawnych czasów, a nadto w Paryżu mieszkało dużo arystokratycznych rodzin, spokrewnionych z nieboszczykiem margrabią.

Znano już margrabinę po jej zamęczeniu, bywano na balach, wydawanych przez jej męża, i teraz znowu odczuwano sympatję, jaką roztaczała dokoła siebie młoda i piękna wdowa.

Szczególnie mężczyźni często składali wizyty.

Marcel Laugier, wobec tego ciągłego przyływu gości, nie mógł się sam na sam znaleźć z Lazaryną ani razu, i gniew głuchy zaczynał wrzeć w jego duszy...

XXVII.

Rzeczywiście położenie było zbyt fałszywe i zbyt naprężone, ażeby mogło potrwać długo.

Lazaryna, przy sprycie żywym i przenikliwości kobiecej, czytała w sercu Marcela, jak w otwartej księżce i widziała, jak młodzieniec gotów był się zbuntować.

Nie dała czasu mu wybuchnąć.

Pewnego dnia, kiedy były oficer wydawał się bardziej jeszcze zachmurzonym, niż zwykle, szepnęła doń, przestępując próg, już zapełnionego salonu:

— Przyjdź pan jutro o godzinie trzeciej. Przyjmę tylko pana...

Pani Tour-du Roy znajdowała się w chwili przesilenia...

Życie, które pędziła od kilku tygodni, wydawało się już jej niezwykle jednostajnem.

Żaloba jej, już się kończąca, pozwalała jej przyjmować i składać wizyty, ale zabraniała jej wydawać bale, lub na nich bywać. A ci goście codzienni, zawsze ci sami, już ją nudzili osobami swemi i rozmowami.

Lazaryna chciała siebie rozerwać, chciała skosztować i zakazanych owoców paryzkich.

O godzinie oznaczonej przybył Marcel z sercem bijącym.

— Nareszcie — wyszeptał namiętnie, ujmując piękne rączki, lśniące od pierścionków i przyciskając je do ust. — Nareszcie jesteś pani sama i mogę do ciebie mówić inaczej niż do obcej... Czy wiesz, pani, że o mało co nie oszalałem zazdrości, widząc cię otoczoną ciągle przez tylu... a pani wszystkich słuchasz i przyjmujesz z taką uprzejmością.

— O! mój przyjacielu — odparła Lazaryna, uśmiechając się do Marcela — gdybyś ty wiedział, jak oni mnie nudzą...

— Nudzą cię — powtórzył młodzieniec.

— I to śmiertelnie...

Margrabina ziewnęła zalotnie, pokazując prześliczne ząbki i mówiła dalej:

— Widzisz, ziewam na samą myśl o tych ludziach...

— To po co ich przyjmujesz?

— Bo nie mogę inaczej uczynić... Muszę dźwigać to jarzmo.

— Ale któż zmusza?

— Wymagania światowe, których niepodobna wyminąć, kiedy się jest margrabiną Tour-du-Roy i ma się tak liczne stosunki...

— Ale czy to jeszcze racja, że mnie poświęcasz dla tych natrętników?

— O! nie, i tego żałuję... a najlepszy dowód mego żalu jest, że znajdujesz się tu w tej chwili sam ze mną i całujesz mi ręce...

— O! Lazaryno! jesteś aniołem...

— Naturalnie! ponieważ czynię, co chcesz — rzekła młoda kobieta ze śmiechem.

— Na przyszłość już mnie poświęcać nie będziesz?

— Nie.

— Przyrzekasz mi?

— Najzupełniej.

— Zamkniesz drzwi przed tą gromadą szlachciców i finansistów, którzy traktują twój salon, jak zdobyte miasto?

— Bynajmniej... Będę ich i nadal przyjmowała i to jak najuprzejmiej.

— W takim razie nie się nie zmieni?

— Nic.

— A... a ja?..

— Twoja noga tu nie przestąpi, drogi przyjacielu...

Marcel spojrział na Lazarynę zdumiony.

— Więc ty drwiłaś sobie ze mnie? — wyszeptał tonem zrozpaczonym.

Margrabina potrząsnęła głową.

— Bynajmniej nie drwiłam, i kiedy powiem wszystko... skakać będziesz z radości... Tu nie będziesz już przychodził... Czyż właściwe jest, ażeby człowiek przezemnie wyróżniany mieszał się do tej bandy szlachty i finansistów, o której mówiłeś... Obojętnym dawać będę moje popołudnia, a dla ciebie zachowam wieczory... Czyś zadowolony?

— Ledwie śmiem wierzyć w swe szczęście... Ale...

— Ale co?

— Skoro nie będziesz mnie przyjmowała u siebie, będziesz bywała u mnie?

Lazaryna zaczęła się śmiać i zawołała:

— U pana!.. w Hotelu Wielkim!.. A cóż znowu! nigdy w życiu... Głowę tracisz, mój przyjacielu!..

— Więc gdzież się z panią będę widywał?

— Wszędzie...

— Czy śmiać się będzie pani ze mnie, gdy powiem, że nie a nie nie rozumiem?

— Bądź spokojny, zaraz zrozumiesz... Czy masz powóz...

— Nie... nie mając stałego mieszkania w Paryżu...

— Naturalnie... Więc wynajmij karetkę miesięcznie... Wybierz karetkę dość zwyczajną, umiarkowanej elegancji. Ale woźnica niech będzie sprytny, a koń angielski... Od jutra więc, bądź codziennie o godzinie szóstej wieczorem z tą karetką naprzeciw nr. 5 przy alei Królowej Hortensyi... Ja od siebie wychodząc będę przez park Monceau, ubrana czarno, w gęstym woalu... Gdybym się o godzinie siódmej nie pokazała, to na mnie nie czekaj, bo dnia tego nie przyjdę...

— A — zapytał Marcel, nie wierząc własnym zmysłom, czy dobrze słyszy — a dokąd pojedziemy oboje?

— Powiedziała ci już, że *wszędzie*... Zawieszysz mnie od czasu do czasu na obiad podmiejski, do jakiej restauracyi nad wodą, albo do gabinetu restauracyjnego na bulwarze... Tam będzie szalenie wesoło... Wyglądać będziesz na podporucznika, fetującego gryzетkę... Zaprowadzisz mnie do teatru, ale do jakiej zaciemnionej loży... Będziemy bywać i gdzieindziej... Ja mam upodobania dziwaczne... Pójdziemy na koncerty w kawiarniach na Polach Elizejskich, do cyrku... kto wie, może i do Mabilie..

— Do Mabilie! — powtórzył Marcel zdziwiony i prawie zgorszony. — Chcesz iść do Mabilie?

— Jeszcze sama napewno nie wiem, ale dla czegożby nie? Powiadają, że tam się dobrze bawią... choć trochę za swobodnie, ale widzisz, ja się od roku wściekle nudzę, i mam wielki apetyt na takie ekscentryczne rozrywki... Zresztą, któż mnie pozna pod

grubym woalem?.. Kto mógłby się domyślić, że pod rękę z porucznikiem dymisjonowanym, panem Marcelem Laugier, chodzi margrabina Tour-du-Roy!.. Krzywisz się pan... a ja wyobrażałam sobie, że pan będziesz szalał z radości... Omyliłam się widzę...

— Lazaryno!.. droga Lazaryno! — wyszeptał młodzieniec. — Chcę dowieść ci, jak cię Kocham... Powinienem być jak najszcześliwszym w świecie, mając w życiu teraz takie miejsce jakie mi ofiarowujesz.

— A dlaczego nim nie jesteś?

— Bo projekty twoje mnie przestraszają.

— Jakto?

— Bo mam dla ciebie tyle szacunku, ile miłości... bo chciałym, ażebyś zawsze była otoczona szacunkiem, równym mojemu.

— Czyż mi tego szacunku brak?

— Ale chcesz go stracić... Czyniąc tak, jak sobie wymarzyłaś, nieodzownie musisz się skompromitować...

— W oczach czyich?

— W oczach całego twego otoczenia... Przypomnij sobie coś mówiła przed trzema miesiącami w parku Tour-du-Roy: Słudzy to są szpiedzy domowi. Tajemnicze wychodzenia pani wieczorem zaintrygują ich niewątpliwie... Śledzić cię będą... szpiegować... dowiedzą się o wszystkim... plotkom nie będzie końca i dojdą one z przedpokoju do salonu.

Na to Lazaryna odezwała się tonem obrażonej godności:

— Dzięki ci za taką czułą ostrożność, drogi przyjacielu! — odparła. — Czyż twa troska o moją reputację przeszkadza panu aż do brania udziału w tem, co nazywasz szaleństwem? Ja widzisz jestem wolną, zupełnie wolną, nie zależę od nikogo... Jednego tylko mam dla siebie sędziego... sumienie moje własne. Radzę się go, a ono mi mówi, że nie czynię nic złego... Nie wyrzeknę się wcale tego, co postanowiłam sobie, ale skoro mosz skrupuły a ja pewna jestem że jako człowiek honoru, zachowasz to wszystko przy sobie w tajemnicy, wybiorę sobie innego towarzysza, mniej drażliwego... Cóż?.. namyśl się prędko i odpowiedz!..

Marcel myślał:

— Postąpiłem jak głupiec! Zkąd mi się wzięło takie kazanie?.. Co mnie zresztą obchodzi reputacja margrabiny, byleby ją skompromitowała dla mnie, a żoną moją nie jest i prawdopodobnie nie zechciałyby nią zostać... Przy takiej zaś zabawie i rozrywkach za trzy dni będę znów jej kochankiem... Czegóż mi więcej potrzeba?

Milczenie młodzieńca drażniło Lazarynę.

— Cóż, namyśliłeś się pan? — rzekła niecierpliwie. — Widzisz, że czekam, a nie mam wcale zwyczaju czekać.

Marcel chciał ją wziąć za rękę, ale ją żywo cofnęła.

— Droga Lazaryno — rzekł z uśmiechem — powiedziałem, co powinienem był powiedzieć, ale pomimo to nie mniej jestem ci zupełnie oddany... Rozpo-

rzządzaj mną całkiem i wierzaj mi... że wola twoja spełniona będzie we wszystkim i że będę zbyt szczęśliwym, biorąc udział w twych szaleństwach.

Margrabina wypogodziła się.

— To co innego... — odparła. — Należałoby cię ukarać za to, żeś się zawahał, ale ja jestem dobrą i przebaczam... Teraz idź sobie...

— Już...

— Tak... rozdrażniłeś mi nerwy... nie chcę cię już widzieć dłużej dzisiaj... Do jutra o godzinie sto-stej, tam, gdzie wiesz...

— Do jutra... powtórzył Marcel, biorąc znów za rękę Lazarynę, która tym razem jej nie usunęła.

XXIII.

Rzeczy tak się działy, jak chciała margrabina.

Nazajutrz o godzinie umówionej Marcel czekał naprzeciw numeru 5 przy alei Królowej Hortensji.

Pani Tour-du-Roy, zasłonięta gęstym woalem, wymykała się ze swego pałacu, jak żona wiarołomna, dążąca na schadzkę ze swym kochankiem; wreszcie wsiadła do karety i wybuchła srebrzystym śmiechem.

— To ja... — wyrzekła — co myślisz o mej punktualności? czy przynajmniej zadowolony jesteś z tego, że mnie widzisz?

— Jestem tak szczęśliwy, że nie wiem, jak mam wyrazić moje szczęście...

— Ta odpowiedź romantyczna była nieunikniona, ale przyjmuję ją za gotówkę.

— Co pani chcesz, ażebyśmy dzisiaj robili?

— Najprzód zjemy objad... Umieram z głodu... Usiadłam u siebie do obiadu, ale pod pozorem migreny, niczego się nie tknęłam...

— Gdzież jeść będziemy obiad?

— Gdzie chcesz.

Marcel opuścił szybę karetki i rzucił woźnicy adres pobliskiej restauracji w Porte-Maillot.

W kwadrans później oboje młodzi ludzie zasiadali do stołu w gabinecie, a były porucznik, kierowany przez Lazarynę, zamówił wspaniały wybór potraw.

Obiad był bardzo przyjemny.

Pani Tour-du-Roy, ucieszona, iż może zadowolić swój kaprys i puścić wodze swej fantazji, była wesołą niezwykle.

Słowem była to Lazaryna z czasów dawnych.

Chwilami wstawiała od stołu, siadała do pianina, brała dwa trzy akordy, śpiewała kilka kupletów z operetki, naśladując Judic lub Teresę, i wracała do Marcela, nadstawiając kieliszek, który napelniał szampanem.

Przy deserze podano papierosy.

Marcel, z początku zakłopotany dziwnem obejściem, którego się wcale nie spodziewał, dostroił się wreszcie do tegoż tonu.

Jednakże, ilekroć chciał się zapuścić w krainę
ezulości, zawsze mu się to nie udawało.

Lazaryna śmiała się, żartowała, ale nie dała so-
bą kierować; czyniła tak, jak sama chciała.

Były oficer liczył wiele na chwilę podniecenia
wśród gorączkowego, które zwykle następuje po do-
brym obiedzie. Ale nie brał w rachubę usposobienia
swej towarzyszki.

— Prędko! prędko! karetkę! — zawołała margra-
bina, wysączywszy kieliszek likieru po kawie — jedzie-
my pod *Zegar* albo do *Ambasadorów!* i przybędzie-
my już i tak późno... Chciałabym wszystko słyszeć
i wszystko widzieć...

Marcel spełnił rozkaz nie bez westchnienia głę-
bokiego, i karetka potoczyła się ku Polom Elizejskim.

Bezwątpienia Lazaryna chciała utrzymać swego to-
warzysza w ścisłych granicach, ale nie chciała go
zniechęcić, podczas bowiem tej przejażdżki nie prze-
szkodziła mu, ażeby objął delikatnie jej cienką kibić,
a nawet oparła ładną główkę na jego ramieniu z nie-
bezpiecznym zaniebdaniem, i młodzieniec mógł się być
odurzyć wonią włosów, które go muskały.

Karetka się zatrzymała.

Marcel, uważając, że przyjechano na miejsce za
prędko, westchnął znowu, ale pocieszył się w myśli
temi słowy:

— O! to się tylko odwlekło...

I, podając rękę Lazarynie, wprowadził ją do
ogródka, który okalały gęste konary wielkich drzew

i cały szereg płonących latarni gazowych, rzucających światło białe i ciepłe.

Wieczór był wspaniały.

Tłum ruchliwy, żądny piwa i melodii, tłoczył się w wązkim przejściu, w przybytku muzyki popularnej, mazagranu, kufli piwnych i wody sodowej.

Zaledwie kilka miejsc pozostało wolnych po za orkiestrą.

Marcel wprowadził tam Lazarynę i obok niej usiadł.

Naprzeciw nich, najwyżej o jakie dziesięć kroków, otwierały się kulisy małego teatrzyku, zbudowanego w rodzaju estrady, którą zalewały jarzącym światłem lampiony i kinkiety.

Na scenie, po prawej i po lewej stronie, na fotelach, ustawionych w półkole, siedziało ze dwanaście dziewcząt w strojach balowych bardzo przejrzystych, pretensjonalnie uczesane, wydekoltowane na zabój, z gołemi rękoma aż po łopatki, trzymały ogromne bukiety i rzucały publiczności wyzywające spojrzenia.

Te *panny*, a niektóre z nich były piękności iście zwierzęcej, nie śpiewały wcale i nie należały do żadnej kategorii świata artystycznego, nawet do najpodrzedniejszej. Stanowiły one niejako część dekoracji, stanowiły niejako wystawę ciała, ku wielkiej radości amatorów plastycznych wdzięków, z których najmniej młodzi zawzięcie przecierali szkła lornetek, ażeby się uraczyć lepiej tak delikatnym widowiskiem.

Wśród tego podwójnego szeregu figurantek, na przodzie sceny, przed budką suflera, śpiewaczka ulubiona, z wielkiem powodzeniem śpiewała kuplety komiczne.

Była to młoda jeszcze dziewczyna, mała, dość ładna, dobrze zbudowana, śmiała jak paż, a bezczelna jak uczeń malarski.

Nosiła na sobie tak zwany w teatrze *kostjum wieśniaczki*.

Przy powtarzaniu zwrotek śpiewaczka składała dowody wysokiej umiejętności i w sztuce chereograficznej bo od jednego zamachu zrzucała nogą kapelusz swego kolegi.

Zachwyty publiczności nie znał granic, wrzeszczało na całe gardło *bis! bis!* i rzucano na scenę chmurę buketów.

A tancerka, upojona swym tryumfem, rozpoczęła znów swe ćwiczenia, uśmiechała się, kłaniała, przesyłała pocałunki i zbierała kwiaty.

Marcel Laugier, chociaż oficer od huzarów, doznawał pewnego obrzydzenia. Dałby on wiele za to — naiwny młodzieniec — ażeby pani Tour-du-Roy daleko była ztąd, nie kalala uszu swych i oczu zetknięciem się brutalnem tych sprośności.

Lazaryna nachyliła się ku niemu.

— Zapewne chce odejść — pomyślał.

— Ta dziewczyna jest naprawdę zabawna! — szepnęła mu do ucha margrabina.

— Tak pani sądzisz? — podchwycił ma rkotny.

— Ależ naturalnie... Wystarasz mi się o słowa i muzykę tej śpiewki... Ja dobrze ją wystudjuję i urażę cię nią, kiedy będziemy sami...

— Więc jeszcze nie idziemy?

— A naturalnie!.. Bawię się tu szalenie!.. Od dwóch lat tak się nią bawiłam...

Marcel nie odpowiedział nic, schylił się tylko i pomyślał, że kobiety bywają niekiedy bardzo dziwne.

Po wieśniacze odbył się występ kłownów.

Dwaj anglicy długi, jak dzień dla głodnych, a tak chudzi w trykotach czarnych, iż wydawali się przejrzystymi, weszli na scenę, idąc razem na rękach.

Młoda smukła dziewczyna, ładna jak sylf, istny djabełek w trykotach czerwonych i w bncikach złocistych, stanęła na białych podszwach obu kłownów a głową sięgała gżemu w górze.

Ludzie czarni, wywinąwszy następnie cztery koziółki, stanęli na nogach.

Djabełek zaś czerwony trzy razy zrobił koziółka w powietrzu i spadł na ręce, z nogami w górze, pośród swych kolegów.

Wtedy zaczęła się rzecz niezwykła, trudna do objęcia wzrokiem, niepodobna do opisanja, jakaś fantazja wściekła, fantastyczna, niepojęta.

Było to wirowanie trzech ciał, które to się rozciągały, to kurezyły, to się wzajemnie obejmowały i tworzyły taki chaos, że niepodobna było rozróżnić, do kogo należy głowa, piersi, ramiona, nogi. Były to jakby dziwaczne sploty potwora o trzech ludzkich postaciach.

Djabełek czerwony wyglądał jak płomień, ślizgający się wśród węgla zagasłych i chcący je rozniecić.

Potem szkielety czarne zaczęły się bawić djabełkiem jak piłką. Rękami, długimi i nerwowymi — prawdziwymi łapami goryla — jeden z nich rzucał młodą dziewczynę z jednego końca sceny na drugi z gwałtownością moździerza, ciskającego bombę. Drugi chwycił ją w powietrzu, ażeby natychmiast ją odrzucić, tak, że co sekundę ciało giętkie przelatywało w przestrzeni obracało się dokoła siebie i przerywało błyskiem czerwonym biały blask oślepiającego gazu.

Trwało to prawie dziesięć minut.

W ciągu tych dziesięciu minut Lazaryna, drżąca od stóp do głowy, ale zachwycona, nie oddychała wcale i nerwowo uczepliła się rękoma poręczy swego fotela.

Kiedy się to widowisko skończyło, nachyliła się ku Marcelowi Laugier, tak samo, jak przy śpiewie, i rzekła doń po cichu:

— To cudowne... Jeden fałszywy ruch, jedna omyłka, roztargnienie, a zabiliby tę biedną małą. Czy sobie wyobrażasz, jakby upadła i rozbiła się o te deski... Co za widok!.. Aż strach przejmuje... Dreszcze... Tu człowiek czuje, że żyje... O! mój drogi, przyjacielu!.. jakie to dobre... Wszak tu jeszcze przyjdziemy?..

Marcel musiał przed sobą przyznać, że Lazaryna, mówiąc tak, nie zdradziła zbyt wiele serca, ale przypomniawszy sobie kobiety hiszpańskie, czy to patrycjuszki, czy mieszczańki, czy zwykłe zalotnice, wszystkie

tak się ochoczo przyglądają walce byków i mają przyjemność patrzeć na krew, broczącą powoli na arenie i na toreadorów, igrających z życiem.

— Wszędzie są widocznie jednakowe — pomyślał, i uspokoiła go ta uwaga.

Nieco przed północą Lazaryna, upojona widowiskiem, wysiadła z karetki na rogu alei Mesyńskiej, ażeby wrócić do swego pałacu przez park Monceaux i żegnęła Marcela Laugier, mówiąc:

— Do jutra!

— Jutro — szepnął młodzieniec, ścigając spojrzeniem oddalającą się postać elegancką — jutro będzie miał nowe prawa, i margrabina Tour-du-Roy stanie się znowu *Marjetta*.

XXIX.

Marcel Laugier łudził się pod tym względem.

Margrabina chętnie wzięła sobie byłego oficera za przyjaciela poufałego, za towarzysza w rozrywkach, ale stanowczo przeciwna była na dawanie mu nowych praw. Strachem ją nawet przejmowała myśl ukucia dla siebie oków, przez zostanie kochanką Marcela. Dlatego też usiłowania młodzieńca roztrącały się o opór, wesoły, bynajmniej nie okrutny, lecz jak najzupełniej nieprzewyciężony.

Zbyt delikatny, ażeby mógł się posunąć do użycia brutalnej siły, pojmując zresztą, że zbyt natar-

czywość mogłaby zniweczyć nawet i ten zażyły stosunek, postanowił czekać na odpowiednią chwilę i sposobność.

Dwa czy trzy razy na tydzień pani Tour-du-Roy ponawiała swe wyprawy, zresztą bardzo niewinne, które podobały się bardzo jej naturze dziwacznej, zwłaszcza że ją nęciła ta tajemniczość, jaką musiała się otaczać.

Szczególniej miały dla niej wielki powab obiady wiejskie w knajpach pod Paryżem, zapewne dla kontrastu ich prostoty z przepychem, pośród którego żyła.

Marcel zaprowadził ją z kolei do *willi* Soresnes, gdzie ta epikurejka, przesycona arcydziełami swego kucharza, uznała przyprawy i kotlety restauracyjne za nieporównane; potem do restauracyjki, wznoszącej się jak domek z kart nad brzegiem stawu Ville-d'Arvey i złożonej z mnóstwa maleńkich tarasów i maleńkich 'gabinetów, do których się wchodziło po schodach skrzypiących, podobnych do drabiny młynarskiej, a z kądem pośród gęstych liści winogrodu dojrzeć można pagórki, zarosłe drzewami po drugiej stronie rzeki, które swe grzywy zielone odbijają w niebieskiem przezroczu stawu; oryginalny zakątek, który byłby uroczy prawdziwie, gdyby jedzenie, podawane gościom nie było tak wzruszające, jak krajobraz czarowny.

Wieczorem zwykle chodzono do jakiego teatru na bulwarze.

Te rozrywki jakby pierwszej lepszej szwaczki margrabinę bawiły niezmiernie.

A na każdej schadzce bezwiednie dla niej, zachodziła w niej zmiana, którą Marcel spostrzegał z gorączkową radością.

Powoli zniknęła jej poważna postawa, poufałość stawała się serdeczniejszą, uczucie kobiecości łączy się zaczynało z obejściem *dobrego koleżki* i niezawodnie to serce lekkie, ta natura chłodna, zaczęła się poddawać ciepłemu wpływowi męskiej namiętności młodzieńca.

Marcel mówił sobie, że *chwila psychologiczna* jest blizką i zdawało się, że jego rachuby są już uzasadnione.

Było to na początku sierpnia.

Biła godzina siódma wieczorem.

Karetka, do której Lazaryna wsiadała w zwykłym miejscu, toczyła się szybko przez aleję Cesarzowej.

— Dokąd mnie zaprowadzisz na obiad? — zapytała margrabina.

— Do Kaskady — odrzekł Marcel — jeżeli nie masz przeciw temu.

Kaskada jest to restauracja, położona w najładniejszej części Lasku Bulońskiego.

Krajobraz, który ją otacza, zewsząd przedstawia widoki, kuszące pędzel artysty. Jest to, co prawda, natura, sztucznie urządzone, ale urządzone tak zręcznie, tak umiejętnie, że sztuczność nie daje się uczuć a nawet odgadnąć.

Po prawej stronie drogi cienistej, która łagodnym spadkiem prowadzi od stawów na równinę Longchamps, wielka kaskada ze swem przezroczem, łoskotem i wrzeniem Niagary w miniaturze; masy jej skaliste i uwieńczone roślinnością rozkoszną, grotty ciemne, z kąd widać jak we śnie dalekie horyzonty przez ruchomy kryształ spadającej wody...

Po lewej stronie polanka, usiana drzewami olbrzymiemi, zawsze krzepkimi i pełnemi siły żywotnej, które osłaniają swym cieniem niezmiernym murawę zieloności szmaragdowej i kępy jaskrawych kwiatów.

Dokoła tej polanki krążą wszelkie powozy z całego Paryża, wszelkiej formy i wszelkiego zaprzęgu. W głębi restauracya Kaskady, skapana blaskiem dziennym wśród liści, jarząca ogniami wieczorem, jak pałac czarodziejski w balecie.

To, cośmy opisali jest oazą nie w pustyni, ale pośród raju.

Wszędzie w okolicy są cuda.

Bagatela, siedziba, pełna wspomnień. Młyn, klejnocik, opięty bluszczem, jakby wyjęty z obrazu Ruysdala, plac wyścigowy Long-Champs z nieźrównaną ramą masy zieloności i pagórków, zapelnionych willami, a w głębi panujący wysoką sylwetką szarą na wesołem tle krajobrazu, fort Mont-Valerien nieogwałcony...

Powóz się zatrzymał.

Pani Tour-du-Roy, bardziej zadowolona niż zwykle, wysiadła i powiodła spojrzeniem dokoła.

— To mi przypomina moje młode lata — rzekła ze śmiechem. — Kiedy byłam jeszcze małą Leroux, przyjeżdżałam tu zrana na mej klaczy *Norze*, albo powozikiem, sama powożąc i nie zsiadając z konia, ani nie wychodząc z powozu naturalnie, wypijałam dwa naparstki *xeresu*. W Madrycie czasem tak samo jeździłam, ale tutaj było daleko weselej...

Margrabina i Marcel weszli na pierwsze piętro. Otworzono gabinet, z kądem między wierzchołkami drzew pokazywał się Młyn i część polanki.

Z gabinetu sąsiedniego dochodziły wybuchy głosów, śmiechy perliste i dźwięki gamy na fortepianie, rozpoznać i zaraz przerwanej.

— Któż tam jest? — zapytała Lazaryna garsona, który przyszedł po rozkazy.

— Panowie i panie z teatru, proszę pani — odpowiedział — młodzi ludzie, bardzo przyzwoici... Dlatego tak tam wesoło.

I wymienił kilku artystów i artystek, należących do dwóch głównych scen operetkowych.

— Może zmienić gabinet? — odezwał się Marcel.

— Zmienić gabinet? — powtórzyła Lazaryna — A to po co?

— Tu słyszeć będziemy prawie wszystko, co mówić się będzie po tamtej stronie, bo ci panowie i panie mówią głośno, a to może być żenujące...

— Bynajmniej, drogi przyjacielu... — odparła margrabina. — Tem lepiej, jeżeli będzie słyhać... To będzie doprawdy zabawne...

Istotnie, głosy dolatywały wyraźnie, ale nie podobna było rozróżnić słów, po za kilkoma wyrazami, wymówionemi szczególnie dobitnie.

Podano do stołu.

Ciepło wieczorowe pozwalało a nawet zniewalało pozostawić okno otwarte na rozcież. Kiedy artyści w gabinecie sąsiednim milkli, do pokoju oknem tem wbiegał łagodny, jednostajny szmer kaskady, wraz z aromatycznym zapachem siana ze stogów, ustawionych na błoni Long-Champs.

Słońce skryło się za wzgórzem. Szarawy zmrok zapadał powoli ale nie miał wcale ustąpić miejsca ciemności, gdyż księżyc w pełni, okrągły i biały, wynurzał się na widnokregu po nad dawnym cmentarzem bulońskim.

Lazaryna i Marcel siedzieli naprzeciw siebie i jedli, nie a nie nie mówiąc.

Młoda kobieta była widocznie mniej wesołą, a zwłaszcza mniej ożywioną, niż zwykle.

Były poręcznik patrzył na nią prawie ciągle, ale ukradkiem, jakby się czegoś spodziewał.

Przyniesiono deser, a jednocześnie w wazce platerowanej butelkę szampana, obstawioną lodem.

— Czy pani każe zapalić lampę gazową, czy świece? — zapytał garson.

— Nie, a nie — odpowiedziała margrabina — tak jest bardzo dobrze.

I rzeczywiście ten blask bladej, oświetlając przedmioty, bez uwydatnienia ich wyraźnych konturów, był niezmiernie przyjemnym.

Garson znikł.

— Nieprawdaż, Marcelu, że tu bardzo gorąco?.. — podchwyciła Lazaryna.

— Tak — odparł młodzieniec — zdaje się, że się ma na burzę.

— Pić mi się chce... nalej mi czegoś bardzo zimnego.

— Jest wino mrożone...

— Dziękuję...

Margrabina wychyliła jeden po drugim dwa kieliszki, napełnione po brzegi.

— Al jak to orzeźwia!.. — rzekła.

Potem, wstając, dodała:

— Chodź do okna...

Oboje oparli się na krawędzi.

Księżyc srebrzysty nadawał równinie Longchams szczególną postać... wydawała się ona jakby pokrytą szronem. Młyn i kępy wielkich drzew rzuciły na to tło śnieżyste cienie czarne jak atrament. Cytadela fortu Mont-Valerien, oświetlona w połowie, odbijała się swą białością na niebie ciemno niebieskiem.

Lazaryna i Marcel przyglądali się w ciszy przez kilka minut temu krajobrazowi.

Drzwi, otwierające się po za niemi, odwróciły ich od okna.

Przyniesiono kawę, likiery i pudełko z cygarami.

— Na rachunek zadzwonię — rzekł Marcel.

— Śpieszmy się... — podchwyciła Lazaryna. — Nie wiem, co mi dziś jest... Chciałabym jechać...

— Już...

— Tak.. Czuję się smutną bez powodu... Nerywy!...

— Czyż ztąd nie pojedziemy nigdzie?..

— Nie... Chcę do domu wrócić... Widzisz, że jestem nie w humorze.

I, nie zmieniając tonu, dodała:

— Cicho!.. słuchaj!..

Fortepian w gabinecie sąsiednim, pod umiejętną ręką, odezwał się świetnem preludjum...

Potem, dał się słyszeć głos mężki słodki i poważny zarazem, śpiewał on pierwsze takty zdania, którego nie słyhać było wyrazów, ale wszystko wyrażało wzruszającą miłość...

Odpowiedział głos kobiecey, głos czysty, ładny, ciepły, przenikający, namiętny.

Później głosy te połączyły się w jedno i wówczas rozległ się duet miłosny niezrównanej słodyczy.

Lazaryna doznawała uczucia głębokiego, którego nie mogła sobie wytłumaczyć, a nawet określić.

Osunęła się na szeroką kanapę gabinetu, głowę przechyliwszy w tył, zasluchana najzupełniej, zatopiona w niespodziewanej błogości, jaką sprawiła jej ta muzyka.

Marcel obok niej usiadł, prawie dotykając jej ramię, a ona jakby tego nie zauważyła.

Śpiew w gabinecie sąsiednim stawał się coraz pieszczotliwszym.

Lazaryna zwiesiła głowę na ramię Marcela.

Marcel objął kibić margrabiny, która się mu wcale nie opierała...

Nastała chwila psychologiczna...

XXXI.

Kiedy śpiewacy ukończyli duet miłosny w gabinecie sąsiednim, na odgłos oklasków ich kolegów, Lazaryna jakby się obudziła, widząc Marcela, klęczącego przed nią i całującego jej rękę z upojeniem miłości wdzięcznej i szczęśliwej.

Nie słuchając nawet gorących słów, jakie młodzieniec szeptał u jej nóg, czuła się zdjętą ku niemu gniewem, prawie równym nienawiści, i, nie pojmując swej własnej słabości, oskarżała po cichu Marcela o domieszkę do wina jakiego narkotyku miłosnego, którego romansopisarze starej szkoły tak często używali, naturalnie w swoich opowiadaniach.

Ale na co się zda nienawiść, na co niedorzeczne oskarżenie?

Nie nie mogło zmienić spełnionego faktu.

Lazaryna, skutkiem niespodzianki zmysłów, zostawszy kochanką Marcela Laugier, którego nie kochała nigdy, teraz kochała go jeszcze mniej, nie mogła mu przebaczyć zwycięstwa i zapytywała siebie z przerażeniem, co jej trzeba będzie przedsięwziąć, ażeby pozbyć się go i usunąć ze swej drogi.

Na to pytanie nie mogła dać sobie odpowiedzi.

Młodzieniec w pierwszych dniach nie okazał się pochopnym do nadużywania swego tryumfu; został uległy najmniejszym kaprysom swej kochanki; zdawało się, że nie chce w jej życiu grać wybitniejszej roli po nad tę, jaką miał przedtem, i margrabina, wdzięczna mu będąc za to umiarkowanie, postanowiła przynajmniej chwilowo patrzeć na stan rzeczy jako na złe bez lekarstwa.

Wycieczki na wieś trwały dalej, jak przed *wypadkiem* w Kaskadzie, a Lazaryna, nie mając skrupułów moralnych, nie stawiała już wcale oporu.

Marcel nigdy nie zachowywał się jako pan położenia, zrzekał się inicjatywy swej i woli. Przy każdym spotkaniu przysięgał swej kochance, że chciałby być i pozostać jej niewolnikiem i że w zupełnym posłuszeństwie dla niej znajduje największą rozkosz.

Były poręcznik, mówiąc to, mówił prawdę.

Gotów był najzupełniej się poddać we wszystkim; zgodzić się na wszystko, z wyjątkiem zerwania. Miłość jego, zamiast się zmniejszać, rosła.

Tak rzeczy się działy przez pewien czas, potem, powoli, jak to zwykle bywa, Marcel nie czuł się już zadowolonym z tego, co mu się wydawało z początku ideałem szczęścia, i zaczął pragnąć więcej.

— Po co te potajemne miłości? — zapytywał siebie. — Nazwisko, które noszę, jest uczeiwe, a majątek mój, chociaż nie dorównywa bogactwu Lazaryny, jednakże dość znaczny jest, ażeby wyłączyć cię wszelkiej rachuby z mej strony... Czyż to poniekąd nie jest dla mnie upokarzającą tajemnica, która otacza

związek mój z kobietą, co zależy od siebie samej i może dowolnie rozporządzać swą ręką... Czyżby się Lazaryna wstydziła tego, że mnie kocha...

Od takich myśli do rozmowy o małżeństwie może być tylko krok jeden...

Krok ten został przebyty.

Pewnego dnia, wśród bardzo czułego sam na sam, Marcel odezwał się nieśmiało:

— Droga pieszczoszko, wiesz, jaka mi myśl przyszła?

Margrabina potrząsnęła głową.

— Czy nie sądzisz tak jak ja — mówił dalej Marcel — że szczęście, choć jest zupełne, wzmaga się jeszcze bardziej, gdy ma rękojmię trwałości...

— Być może — odparła Lazaryna, z pewną podejrzliwością — ale wyraz trwałość oznacza nieraz *jednostajność*.

— Ale nie w sprawach miłości.

Pani Tour-du-Roy spojrzała Macelowi bystro w oczy.

— Do czego zmierzasz? — zapytała.

— A do tego — odpowiedział nie bez gwałtownego drżenia wewnętrznego — dlaczegożbyś z najczulszego kochanka nie miała uczynić najwierniejszego, najuległego i najlepszego męża!..

Lazaryna drgnęła, a czarne brwi jej zmarszczyły się mimo jej woli.

— Co za szaleństwo! — zawołała ze śmiechem, brzmącym fałszywie.

— Szaleństwo, dlaczego? — podchwycił żywo Marcel.

— Bo wszystko, co niepotrzebne, jest nierozsądne... Złudzenie to, że można zyskać na zmianie, można też i stracić... Nieraz to bywało... Czyż nam tak nie jest dobrze... Czy więcej będziemy się kochać, gdybyśmy się pobrali?

— A czy kochalibyśmy się mniej?

— Kto wie...

— Nie mów tak, droga Lazaryno — odparł Marcel — i pomyśl, jakie to szczęście wyznać przed wszystkimi miłość, którą można się poszczycić...

Margrabina znowu potrząsnęła głową.

— O! to paradoks... Prawdziwe uczucie lubi tajemnicę... Wierzaj, pozostaniemy przyjaciółmi i nie mówmy o takich niedorzecznościach.

Marcel zamilkł markotny, ale w myśli nie dawał za wygranę.

Wiemy dobrze, dlaczego Lazaryna miała taką odrazę do małżeństwa z byłym porucznikiem.

Sama myśl wyrzeczenia się tytułów i nazwiska margrabiny Tour-du-Rou i nazywania się po prostu panią Marcelową Laugier przejmowała ją wstrętem nieprzepartym.

Marcel, nie wiedząc o tych pobudkach, nie tracił nadziei, iż Lazaryna prędzej czy później zostanie jego żoną.

Tymczasem na nieszczęście czy też na szczęście dla Marcela Laugier, zaszła nieprzewidziana przez

nikogo okoliczność, która nadzieje te zniweczyć miała zupełnie...

Jak wiadomo, Lazaryna, poświęcając wieczory Marcelowi, który się już u niej wcale nie pokazywał, przeznaczala znów popołudnie na przyjmowanie gości, lub też na składanie wizyt.

Pewnego wtorku pani Tour-du-Roy znajdowała się na przedmieściu św. Honorego u księżny Aloinzi, którą poznała we Florencji, a u której był to dzień przyjęć.

W salonie księżny gromadziło się zwykle dużo osób z arystokracji i dyplomacji.

Wtem lokaj księżny oznajmił:

— Księżę Castel-Vivant.

— Kochany księżę — pomyślała Lazaryna — nie widziałam go już od wieków...

Jakże sobie wyobrazić jej zdumienie na widok tego, którego oznajmiono przed chwilą.

Nowy przybysz nie był wcale starym szlachcicem, lecz młodzieńcem lat dwudziestu pięciu, niezmiernie przystojnym, niezwykle eleganckim, postawy arystokratycznej, i rzecz szczególna, nieprawdopodobna, młody ten patrycjusz podobny był uderzająco do ucznia malarskiego, Hektora Bégourda.

A jednak przypuścić to wydawało się niedorzecznością. Jakże sobie wytłumaczyć to nazwisko, ten tytuł, tę przemianę?

Lazaryna nie próbowała nawet i w pierwszej chwili przypuszczać podobieństwo przypadkowe, ale zdumienie jej się podwoiło, kiedy usłyszała, jak ów

młodzieniec, skłoniwszy się przed panią Aloinzi, rzekł do niej:

— Czy raczysz, księżno, przedstawić mnie pani margrabinie Tour-du-Roy, która niezawodnie wcale mnie nie poznaje, chociaż mam zaszczyt być dla niej nie zupełnie obcym.

Niepodobna było wątpić dłużej.

To był on!.. Hektor Bégourde, książę de Castel-Vivant!..

XXXI.

Wymagania tej opowieści zmusiły nas pozostawić na uboczu naszą dawną znajomość, Hektora Bégourda, od dnia, kiedy delikatnie wypędzony z zamku Tour-du-Roy przez Juliusza Leroux, musiał rejterować, bardzo upokorzony, zwłaszcza nie przyjsciem Lazaryny na umówioną schadzkę w alei cienistej.

Po powrocie do Paryża niedorzeczny artysta wrócił do dawnego życia cygańskiego, bez troski i bez ładu, pracując niekiedy, ażeby starczyć na potrzeby życia, ale przeważnie oddając się słodkiemu *farniente*, jakkolwiek przy takim trybie życia długi się mnożyły wszędzie u krawców, szewców, w restauracjach i t. d., a wierzyciele, cały już pułk stanowiąc, poczynali go tropić, ścigać i zaczepiać na ulicy, a nie mogąc nic od niego odebrać nie szczędzili wcale głośnych nazw wcale dlań niezaszczytnych. Wogóle zaś

trzeba przyznać, że im wysokość długu jest mniejsza, tem wierzyciel jest hałaśliwszy. Węglarz, tracący jednego franka robi więcej wrzawy, niż bankier, tracący sto tysięcy franków.

Komorników Bégourde nie obawiał się wcale, gdyż nie miał takich rzeczy, które mogliby mu zająć, a zresztą tak się z mieszkaniem urządzał, iż zawsze teraz nocował u któregośkolwiek z licznych swych kolegów, wprawdzie nie bogatych również, ale bądź co bądź znajdujących się w świetnem położeniu w porównaniu z nim.

Zaskarbił sobie też względy jednej z „gwiazd“ podrzędnego teatryku w Batignolles, która tam występowała pod nazwiskiem przybranym Celinizy a w świecie wesołym znana była dawniej jako *pani Bobino*.

Z owych też czasów, dla ucznia malarskiego lepszych, znała go ona, a że podobał się jej jako bardzo przystojny chłopiec, obdarzała go i teraz swemi względami bezinteresownie, a nawet nieraz przychodziła mu w pomoc drobną pożyczką.

Wszystko to jednak nie ratowało Hektora od staczania się coraz niżej w biedę.

Razu pewnego przyszła mu myśl udać się do swego dawnego mistrza Védla i zapytać, czy nie miałby dlań jakiego zajęcia.

Trafił szczęśliwie, malarzowi poruczono malowanie salonów pewnego finansisty, dopuścił więc do pomocy swego dawnego ucznia i ten w tydzień, odpowiednio, po napracowaniu się sowitem, otrzymał

wynagrodzenia dwadzieścia pięć luidorów, co mu pozwalało różowiej spoglądać na świat cały.

Uczuł się prawie bogatym, zwłaszcza iż postanowił nikomu ze swych wierzycieli nie dać, kierując się zasadą, że wierzyciel, któremu raz się da powaćać pieniędzy staje się tygrysem.

Zaprosił ze sześciu swych przyjaciół, z których mieszkań korzystał, na hulanekę w mniej wykwintnej restauracji. Zebrali się wszyscy, jak zwykle w dobrym humorze. O kolacyjce tej dłużej nie pisalibyśmy, gdyby nie ta szczególna okoliczność, iż każdy z przyjaciół Bégourda przyniósł nadesłany pod jego adresem list, Hektor otworzył listy i w każdym z nich znalazł blankiet jakiejś agencji „Roche i Fumel“, załatwiającej wszelkie interesa, prowadzenie spraw, inkasowanie dokumentów, pisanie prośb i t. d. Agencja wzywała Hektora Bégourda, ażeby się w biurze jej stawił niezwłocznie w nader pilnym interesie.

— Ani myślę — powiedział sobie młodzieniec — zapewne chodzi o moich wierzycieli, którzy może chcieliby mnie wpakować do kozy.

Tymczasem przewidywania były błędne; w kilka dni później wyszukał Hektora jakiś jegomość, dość podejrzaney miny, który, przedstawivszy się za współpracownika agencji „Roche i Fumel“ zapewniał go, że nie chodzi w tej sprawie bynajmniej o zapłacenie pieniędzy wierzycielom, lecz przeciwnie o otrzymanie nawet jakiejś sumy.

Choć niedowierzająco, Hektor udał się do kantoru agencji.

Tu mu oświadczone, że może się spodziewać pieniędzy, które mu się dostaną naturalnie, jeżeli sprawę swą powierzy agencji i jeżeli jej aktem formalnym przeznaczy czwartą część z tej sumy, którą ma dostać.

Młodzieniec targował się wprawdzie, chcąc ofiarować część dziesiątą, ale odpowiedziano mu na to z uśmiechem, że w takim razie pozostawiony będzie samemu sobie, a że on sam nie mógł się wcale domyślić, z kąd mają mu wpłynąć te pieniądze, musiał się więc w zupełności oddać szanownej agencji, przystając na stawiane przez nią warunki.

Gdy zażądał pewnego zaliczenia, zgodzono się dać mu dwa tysiące franków, ale wprzód podpisać musiał akt, przeznaczający czwartą część jego przyszłego majątku na rzecz sprytnej agencji. Proszono ażeby przyszedł nazajutrz po wiadomości bliższe.

Gdy się zjawił dnia następnego, odsłonięto przed nim karty zupełnie!

Pieniądze dostawały mu się, a właściwie spadek, po bracie jego matki, Julian Lefore, którego Hektor uważał za dawno nieżyjącego. Wuj ten jego, przed laty wyemigrował do Ameryki, gdzie długo bardzo, jak i w Paryżu, kołatał się w biedzie, aż dopiero na kilka lat przed śmiercią los się dlań uśmiechnął, zarobił bowiem kilka tysięcy dolarów na jakiejś spekulacji a potem zakupił sporo gruntu, leżącego odłogiem, na którym odkrył obfite źródła nafty. Wtedy, przy eksploataowaniu nafty, szybko jął się dorabiać bajecznego majątku, a kiedy umarł, przed kilku miesiącami.

zostawił ośm milionów w gotowiznie i kopalnie, przynoszące około miliona rocznego dochodu.

Wszystek majątek swój zapisał siostrze swej Urszuli, lub jej dzieciom, w razie zaś gdyby ani ona nie żyła, ani jej dzieci, miliony przeszłyby na rzecz zakładów dobroczynnych w Paryżu.

Ponieważ zmarły bogacz znalazł w Ameryce wykonawcę testamentu, tenże podał do gazet francuzkich ogłoszenie, ażeby Urszula Lefore, lub jej dzieci zgłosiły się do wskazanego w Paryżu regenta w ważnym interesie.

Ogłoszeń tych Hektor Bégourde wcale nie czytał, i to bardzo naturalnie, nie interesując się działem ogłoszeniowym, ale zostały one natychmiast zauważone przez agencję „Roche i Fumel“, której właściwie jednym z głównych zadań było wietrzyć spadki, wyszukiwać spadkobierców, i od nieświadomych stanu rzeczy korzystać na zyskownem pośrednictwie.

I tym razem również agencja, rozwinięta swą działalność, wyszukała potomka Urszuli Lefore, a odnalazszy, przeprowadziła korespondencję z amerykańczakiem, czuwającym nad wykonaniem ostatniej woli nieboszczyka.

Gdy Hektor Bégourde usłyszał, jaki go czeka kolosalny majątek, o mało co nie zemdleł, niemniej jednak skrzywił się bardzo, gdy mu szef agencji przypomniał, iż czwarta część milionów, podług sporządzonego aktu, przechodzi na własność agencji rzezonej.

Aktu cofnąć już nie mógł, ale pocieszył się prędko, otrzymawszy przedewszystkiem miliony, które do banku francuzkiego przesłane zostały z Ameryki.

Wtedy jak każdy, kto się najadł biedy, chciał wypróbować swego obecnego majątku. Zwołał wierzycieli swych, popłacił ich wszystkich, ale doprawdy zawstydzony był ogólną sumą swych długów, że nie mógł sobie zdobyć większego kredytu, niż na jakieś marne parę tysięcy franków.

Przyjaciółom swoim wywzajemniał się hojnie za doznaną od nich pomoc. Pomyślał o urządzeniu się na stopie, odpowiedniej swojemu bogactwu, kupił pałacyk, umeblowany wykwintnie, a wystawiony na sprzedaż po jakimś zbankrutowanym giełdziście, nabył konie, powozy, nie tyle gustowne, ile okazałe, wydawał obiady dla swych dawnych przyjaciół i dla nowych przyjaciółek z pośród kobiet modnych, które dawniej nie spojrzałyby na niego, a teraz chętnie darzyły łaskami swemi nowoupiecznogo milionera. Wszystko to jednak prędko go przesyciło, zbrzydło mu towarzystwo, złożone z knajpiarzy i półświatówek, zapragnął wejść do pierwszych towarzystw, ale chociaż wiedział, że podwoje mogą mu otworzyć miliony, to jednak zawsze tam patrzeć będą z lekceważeniem i wymawiać będą z pogardą jego nazwisko mieszczańskie.

Dawnego zagorzałego demokratę truda teraz myśl o gminnem pochodzeniu.

Na to wszakże nie było środka, a przynajmniej, jak się zdawało, nic na to nie mogło pomódz.

Jednakowoż sposób i na to się znalazł, wprawdzie dość niespodziewanie.

Pewnego dnia Hektor przeglądając niedbale *Figaro*, spostrzegł nagle ogłoszenie treści następującej:

„Szlachcie już wiekowy, bezdzietny, z nazwiskiem historycznym i tytułem pierwszorzędnym, z przykrością widziałby, gdyby to nazwisko i tytuł razem z nim zgasły, chciałby więc przekazać je drogą przyznania, adoptacyi, młodzieńcowi, posiadającemu *znaczny majątek*. — Odpowiedź, poste-restante X. Y. Z. 2. 113.“

Ogłoszenie to zdawało się być jakby umyślnie napisane, dla ulżenia kłopotów Hektorowi.

Czemprędej też pośpieszył przesłać odpowiedź w której skreślił pokrótce swoje życie i obecne swe położenie materialne, przyczem powołał się na swego notariusza i prosił o zawiadomienie, gdzie mógłby się w tej sprawie bliżej porozumieć.

W kilka dni później, gdy już przypuszczał w wielkiej irytacji, że ogłoszenie to jest po prostu jakimś żartem, otrzymał list, a na widok mitry książęcej na kopercie nie mógł się powstrzymać od gwałtownego wzruszenia.

List zawierał te kilka wierszy:

„Książę Godfryd de Castel-Vivant będzie miał przyjemność przyjąć pana Hektora Bégourde jutro we środę, w południe. Ulica Caumartin nr. ***.“

— Książę de Castel-Vivant! — zawołał Hektor z uśmiechem zadowolenia! — O, prześliczne nazwi-

sko!.. Znam go... To przyjaciel wielki Juliusza Le-roux... Widział mnie on z dziesięć razy na drabinie, gdy malowałem w pałacu bankierskim na bulwarze Haussmana... ale wątpię, czy mnie pozna... bo czyż on wtedy zważał na ucznia malarskiego... O! będę księciem Castel-Vivant! a Lazaryna niewdzięczna jest tylko margrabiną Tour-du-Roy! Pogardziła mną... Teraz ja będę miał odwet... Chyba, że będzie żałowała i zwyciężona pokocha mnie na dobre...

Te kilka dni zwłoki w odpowiedzi, łatwo się domyślić, jak były przez starego księcia użyte... Musiał się on wprzód dowiedzieć dokładnie, co to za młodzieniec ucieka się pod jego skrzydła. Zebrane wiadomości u osób, na które się Hektor powołał, a nadto dostarczone księciu przez pewnego urzędnika z prefektury, którego dobrze znał, zadowolili go w zupełności.

Księżę Castel-Vivant wyznaczył Hektorowi widzenie się, jak wiadomo, w mieszkaniu, które zajmował przy ulicy Coumartin.

Umeblowanie lokalu tego było bardzo wykwintne i bogate, ale utrzymane w jak najlepszym tonie. Księżę, jako człowiek doświadczony cenił bardzo te „swoje piórka“, bo, chociaż ze sprzedaży ich mógłby osiągnąć bardzo przyzwoity fundusik, wiedział dobrze, że dodają mu one powagi i poważania wśród znajomych i że bez nich raz na zawsze wyleciałby z ram stosunków arystokratycznych. Dla niego były one tak niezbędne niemal, jak frak na balu.

Spodziewał się też w danym razie, że to otoczenie właśnie, ten pozór wielkich dostatków i wielkiej pańskości, oddziała niezawodnie na młodego kandydata do tytułu ksiązęcego i olśni go skutecznie.

Bynajmniej się też nie omylił.

Hektor, stawivszy się punktualnie o oznaczonej godzinie, i oznajmiony przez jedyne go lokaja księcia, wszedł do jego pokoju tak nieśmiało, tak niezgrabnie, że odrazu to zauważył ksiązę, który go bacznie zmierzył przenikliwym wzrokiem od stóp do głowy.

Nie będziemy tu przytaczali szczegółowo całej rozmowy, jaka się między nimi odbyła.

Ksiązę dał do zrozumienia Hektorowi, że wywie-dział się dobrze o jego przeszłości, że się zgadza go uznać za syna, a warunki tak delikatnie postawił, że, nie wymagając bynajmniej z góry zapłaty, wykazał tylko konieczność, iżby syn z tytułem ksiązęcym dał możność ojcu swemu żyć na odpowiedniej stopie, i dlatego zaproponował, ażeby młody milioner, zapewnił mu sto tysięcy franków dożywotniej pensji. Ażeby zaś uniknąć przykrych zarówno dla ojca jak i dla syna rachunków piędźnych, jako najwłaściwsze po-dał projekt, iżby Hektor odrazu u rejenta złożył na imię księcia odpowiedni fundusz, któryby rocznie da-wał w procencie wyż oznaczoną sumę na dożywocie.

Młodzieniec zachwycony dystynkją księcia i je-go stosunkami w świecie, o których mu wspominał, jak najchętniej zgodził się na tę propozycję, a nawet chciał wysokość dożywocia powiększyć...

Ale książę był pod tym względem niewzruszony. Co więcej, jak przystoi na dobrego ojca, sam się zaofiarował pokierować edukacją swego syna, który jak przyznawał ładnym jest chłopcem, ale nie mającym najmniejszego pojęcia o obejściu się wielkoświatowym.

Radził więc jak ma się uczyć jeździć konno, tańczyć — nie tak jak w Mobile i innych wesołych miejscach, jak wreszcie umeblować się gustownie, słowem, jak zostać człowiekiem, któregooby nietylko miliony ale i cała ogłada mogły odpowiadać książęcemu stanowisku.

Hektor cieszył się na samą myśl, na jakiego wyjdzie arystokratę, i uważał już cały interes za ubity, gdy stary książę wspomniał, iż zachodzą jeszcze poważne trudności.

Wziął kodeks Napoleona do ręki i zaczął młodzieńcowi czytać z niego różne artykuły, dotyczące adoptacji.

Hektora już poczynały nudzić te przepisy prawne, gdy jego przyszyły ojciec, podnosząc głos, jakby dla zwrócenia większej uwagi rzekł:

— A teraz posłuchaj pan pilniej, oto właściwie poważna bardzo kwestja, którą nastęrcza w danym razie artykuł 345.

— Jakaż to kwestja? — zapytał Hektor Bégourde, trochę zaniepokojony.

— *Artykuł 345* opiewa: Adoptacja odbyć się może tylko względem osoby, której w ciągu jej mało-

letności przynajmniej przez miesiąc sześć dawano pomoc i otaczano ją staraniami bez przerwy.

Księżę zamilkł.

— O! to źle!.. — zawołał Bégourde. — Bardzo źle... przecie pan się mną wcale nie opiekował, kiedy byłem małoletni... o! to przeszkoda...

— I byłaby ona nieprzewyciężona — ciągnął dalej księżę — na szczęście tenże artykuł dodaje: Albo względem tego, który ocalił adoptującego bądź w walce, bądź wydobywając go z płomieni, lub z fal.

— No tak! — zawołał Bégourde — ale ja panu nie ocaliłem życia w taki sposób.

— Ale nie panu nie przeszkadza teraz jeszcze ocalić mi życie.

— A to jak?

— Czyś pan nigdy nie wyjeżdżał z Francji?

— Nigdy...

— Młodzieniec z takim stanowiskiem jak pańskie powinien podróżować... My też pojedziemy...

— Dokąd?

— Do Włoch, Niemiec, Austrii, Szwajcarii... Z powrotem zatrzymamy się w Genewie, Lozannie... lub w jakimkolwiek mieście nad brzegiem jeziora Lemañskiego... Tam urządzić będziemy wycieczki po jeziorze, zapraszając na nie kilku z wybitniejszych gości, z jakimi się poznamy przy stole restauracyjnym. Czy umiesz pan pływać?...

— Umiem. I to wybornie.

— Ja pływam również, a przynajmniej pływałem niegdyś wcale nieźle i chyba dałbym sobie radę i teraz; ale nikt o tem nie wie, co właśnie bardzo do brze... Rozumiesz pan?

— Zaczynam.

— Wybierzemy dzień jaki upalny; ubierzemy się lekko; pojedzie z nami kilka zaproszonych osób; udamy się na jezioro, ja na samym przodzie statku będę się przyglądał przez lornetkę widokom malowniczym...

Książę zamilkł.

— A w tym zachwycie — podjął Hektor z uśmiechem — tracisz pan równowagę... Nieprawdaż?

— Tak... tracę równowagę... i wpadam do wody, krzyżąc o ratunek...

— A ja rzucam się w wodę i ratuję ci życie...

— Więc cóż mówisz pan o moim planie?..

— Znakomity... do prawdy, gdybyś pan nie był księciem, niezawodnie pisałby pan świetne romanse i komedje...

— Zatem rzecz ułożona... jedziemy...

XXXII.

Była to podróż owa, o której wspominał książę przyjacielowi swemu, Juliuszowi Leroux, żegnając się z nim na czas dłuższy, a o której ojciec Lazaryny wprowadzał wnioski tak złośliwe i tak zarazem błędne.

Nie z żoną, jak mniemał były bankier, wyjechał księżę, lecz z kandydatem na jego syna.

Podróżować mieli, jak sobie zastrzegł księżę, na wspólny koszt, lecz [cóż dziwnego, że w drodze pan Castel - Vivant, patrzył pobłaźliwie na załatwianie wszelkich rachunków przez Hektora, którego przecież stać na to było zupełnie, a zresztą uczniowi, korzystającemu wiele z rad takiego mentora, wypadało przecie ponosić koszt utrzymania nauczyciela.

Zwiedzili tak razem Bruksellę, Berlin, Wiedeń, Petersburg, Rzym, Wenecję, Neapol, Turcję, oraz wiele innych miast i przybyli wreszcie do Genewy, która miała być dla nich ostatnim przystankiem przed powrotem do Francji.

Tu zamieszkali w jednym z najokazalszych hoteli i zajęli się przygotowaniem do komedji, obmyślanej przez Godfryda.

Zgodnie z ułożonym planem, zabrali znajomość z kilku Francuzami, stojącymi w tym samym, co i oni hotelu, a którym też pochlebiała wielce uprzejmość tak dystyngowanego arystokraty, jak księżę Castel-Vivant.

Podług programu, księżę wraz ze swym młodym przyjacielem, jak nazywał Hektora, odbywali wycieczki po jeziorze, zapraszając kilku gości i zabierając z sobą obfite śniadanie i kosze szampana.

Pewnego dnia, gdy na pokładzie statku znajdowało się, oprócz nich, trzech francuzów i dwóch angiłków, odegrała się z góry ułożona komedja.

Księżę zaczął się wpatrywać w oddalony punkt, utrzymując, że widzi żagiel zbliżającego się statku, i, ażeby się lepiej przyjrzeć, poszedł na sam przód parowca i tak się przechylił że aż sternik jął go ostrzegać, żeby się miał na baczności i nie stracił równowagi.

Księżę odparł żartem, ale w tejże chwili zachwiał się na nogach i z krzykiem wpadł do wody. Fale rozwarły się przy upadku ciała, ale wnet się zaraz zamknęły.

Wprawdzie ukazał się prawie natychmiast na powierzchni jeziora, ale na statku podróżni i majtkowie tak potracili głowy, przerażeni tym wypadkiem, iż biegali tu i owdzie, a żaden z nich nie przedsięwziął doraźnego ratunku.

Nie będziemy opisywali szczegółowo przebiegu całego tej sceny gdyż dramatyczności pozbawia ją, jak wiadomo, jej komedjancki charakter.

Po upływie kilku sekund, które naiwnym widzom wydały się śmiertelnie długimi, Bégourde ukazał się na powierzchni wody, trzymając wpół ciało księcia, który z oczyma zamkniętymi nie dawał żadnej oznaki życia.

Na pokładzie parowca ozwały się frenetyczne oklaski i wreszcie za pomocą sznurów wciągnięto Hektora wraz z księciem na statek.

Pan de Castel-Vivant, który udawał wciąż zemdlonego, po kilku minutach trzeźwienia go, otworzył nareszcie oczy i, powiódłszy wzrokiem dokoła, wyjąkał głosem zaledwie wyraźnym:

Co może pieniądz. T. II.

— Kto mnie ocalił?

A gdy Bégourde odpowiedział:

— Pójdź w me objęcia — zawołał książę — mój synu...

I obaj uścisnęli się serdecznie.

Była to scena, doprawdy wzruszająca, o której z zachwytem rozprawiano przez cały wieczór w Genewie.

Na prośbę księcia, sporządzono w słowach szumnych protokół ocalenia, który podpisali wszyscy, znajdujący się na statku, a mając w kieszeni ten nieodzowny dokument, Hektor i Godfryd, nie potrzebowali już przedłużać swego pobytu w Szwajcarji. Udali się więc nazajutrz do Paryża i tu w prędkim czasie załatwili wszelkie formalności, dotyczące adoptacji, a jednocześnie książę zajął się gorliwie edukacją towarzyską Hektora, tak, ażeby jego obejście nabrało dystynkcji, odpowiedniej dla nazwiska nowego, ozdobionego mitrą książęcą.

XXXIII.

Pewnego dnia młody książę, jadąc konno w lasku bulońskim, przez aleję Akacjową, ujrzał Lazarynę, której nigdzie jeszcze nie spotkał od czasu przygody romansowej, przerwanej w zamku Tour-du-Roy.

Wiedział, że jest wdową. Wydała mu się piękniejszą jeszcze i powabniejszą.

Wspomnienia z przeszłości napływały całą falą. Gniew, jaki miał dla niej za to, że nie przyszła na ową schadzkę, rozproszył się, jak dym. Nawet przyznał w myśli, iż postąpiła jak najsluszniej, że się nie chciała skompromitować dla człowieka z takim marnem stanowiskiem, jakie zajmował on naówczas.

— Ale teraz czasy się zmieniły — pomyślał. — Książę de Castel-Vivant jest co najmniej równy margrabinie Tour-du-Roy. Lazaryna jest wdową, zależy tylko od siebie... Mnie, dawniej tak nisko stojącego, prawie już kochała... Dlaczegożby nie miała mnie pokochać dzisiaj, kiedy się wzniosłem tak wysoko?

Zaraz też pomyślał, że jego przybrany ojciec, jako przyjaciel domowy bankiera, mógł być go wprowadzić do domu Lazaryny, ale wnet tę myśl porzucił, uważając, iż widzenie to pierwsze byłoby zbyt błahe, że należało mu ukazaniem się pierwszym niespodziewanem wywołać raczej efekt i w ten sposób oddziałać silniej na margrabinę.

Dowiedział się więc, w których domach arystokratycznych bywa Lazaryna, i książę-ojciec wprowadził go też tam, aż nareszcie byliśmy świadkami zdumienia Lazaryny, kiedy w salonie międzynarodowym księżny Aloinzi ujrzała młodzieńca, zamiast spodziewanego starca, i poznała w nim ucznia malarzkiego, Hektora Bégourda, swego dawnego wielbiciela.

A oto stanęła przed nią pani domu, przedstawiając go jej.

— Kochana margrabino, księżę de Castel-Vivant...

Lazaryna, prawie nieprzytomna skutkiem zdumienia, ledwie zdołała odpowiedzieć skinieniem głowy na głęboki ukłon młodzieńca...

Lepszego efektu teatralnego Hektor nie mógł wymarzyć.

Sprawione wrażenie przewyższało jego nadzieje. Usiadł obok margrabiny.

— Czy przebaczysz mi, pani — wyrzekł głosem bardzo cichym, ledwie dosłyszalnym, wśród szmeru powszechnych rozmów w całym salonie, napełnionym gośćmi — czy przebaczysz mi pani, że się przed nią stawiał, nie prosząc wcale o tę łaskę?.. Winien jestem, dobrze to wiem, ale czy mi nie będzie wolno liżyć na pobłażliwość pani?..

Lazaryna, której zdumienie się rozpraszało, spojrziała ze zdziwieniem na tego młodzieńca, który tak przemawiał z prawdziwą dystynkcją wyższego towarzystwa. Jego postawa, jego słowa, jego obejście, wydały się jej również niepojętymi, jak to nazwisko, pod którym go ujrziała. Przemiana była zupełna...

— Więc to doprawdy pan... panie Hektorze? — wyszeptała młoda kobieta, zniżając wachlarz, którym twarz na w pół zasłoniła, a z której rumieniec już znikł. — Więc to pan jesteś?

— Czy mnie pani nie poznała?

— Nie, przyznaję... a przynajmniej nie byłam pewna... Przecież nie mogłam się spodziewać...

Lazaryna zamilkła.

— Że mnie pani spotka w salonie, gdzie dawniej byłbym płamą? — dodał młody książę. — Nieprawdaz?..

— Bo jakaż zmiana!..

— Czy na korzyść moją? — podchwycił były artysta ze śmiechem.

— Nie mówię tego...

— Ale może pani myśli?..

— O! pan wiesz, że nie... — odparła margrabina z mimowolnem uniesieniem.

Mileczenie nastąpiło po tych wyrazach.

Hektor przerwał je po chwili:

— Nie możesz pani odgadnąć, z jaką niecierpliwością gorączkową oczekiwałem na to spotkanie, które nie jest bynajmniej rezultatem przypadku. Jeżeli prosiłem o wprowadzenie mnie do domu księżny Aoinzi, to jedynie dlatego, że spodziewałem się panią tu spotkać... Przed chwilą, przychodząc tu, poznałem pani powóz przed bramą... O! jak mi serce biło, gdym przestępował próg salonu, w którym miałem znów panią zobaczyć... Drżałem ze wzruszenia, gdy lokaj księżny otworzył przedemną drzwi i wygłosił moje nazwisko...

— Nazwisko pańskie?.. — powtórzyła Lazaryna. — Pańskie prawdziwe nazwisko?..

— Tak.

— Jesteś pan księciem de Castel-Vivant?

— Jak najzupełniej...

— Ależ księżę Godfryd, którego wybornie znam, nie miał dziecka żadnego... czyżby istniała inna jeszcze gałąź tego rodu?..

— Bynajmniej... Księżę Godfryd jest jedynym swego rodu potomkiem...

— A pan jesteś jego synem?

— Prawnie tak, i najzupełniej przez sympatję i przywiązanie...

— Nie rozumiem... wszystko to dla mnie niepodobną do rozwiązania zagadką...

— To ja pani dostarczę rozwiązania.

XXXVI.

Lazaryna, bardzo zaintrygowana, przybrała mi-
nę, znamionującą wielkie zaciekawienie.

Hektor zaczął mówić.

— Od czasu owego, o którym zaledwie mam śmiałość wspomnieć — rzekł — bo przypomina mi śmiałość występna, ukaraną okrutnym zawodem i połączoną z głębokim zmartwieniem, zaszły w życiu mojem bardzo poważne okoliczności... przynajmniej z tego punktu widzenia osobistego...

— Czy mogę je poznać? — zapytała Lazaryna.

— Nietylko pani może, ale nawet powinna je pani poznać, bo one dadzą pani klucz do tej zagadki... Byłem, jak pani wiadomo, bardzo biedny... Otóż dostał mi się majątek...

— Ze spadku?

— Tak, pani... Krewny zagranicą, o którym nie wiedziałem, umarł, pozostawiając mi wszystko, co miał...

— Dużo?

— O! nieprawdopodobnie wiele... Mam dzisiaj więcej niż milion rocznego dochodu...

— Milion dochodu! — powtórzyła pani Tourdu-Roy zdumiona, spoglądając na Hektora rozszerzonymi oczami. — Mój Boże!.. ja uważałam się za bardzo bogatą... a toż mój majątek przy pańskim fraszka!..

— Otrzymawszy ten niespodziewany spadek — mówił dalej młody książę — zrozumiałem, że wykształcenie moje nie odpowiada memu nowemu położeniu... Nie umiałem nic prawie, nie widziałem prawie nic... a nawet owo zmartwienie, o którym pani wspomniałam przed chwilą, a którego przyczynę może pani odgaduje, przejmowało mnie chęcią chwilowego oddalenia się z Francji... Postanowiłem opuścić Francję, podróżować po Europie, a przypadek dał mi za towarzysza podróży księcia Godfryda de Castel-Vivant.

— O! — pomyślała Lazaryna — więc to był on towarzyszem księcia, którego nazwisko ukrywał przed moim ojcem...

Hektor ciągnął dalej:

— Pan de Castel - Vivant uczuł dla mnie żywą sympatję, którą ja ze swej strony podzie-

liłem... Odtąd już nie rozstawaliśmy się wcale... Ja wiele się w jego towarzystwie nauczyłem...

— O! uczeń przynosi mu zaszczyt — wyrzekła Lazaryna tak cicho, jakby mówiła sama do siebie.

Młodzieniec skłonił się jej z uśmiechem.

— Powracając do Francji — podjął — zatrzymaliśmy się w Genewie na kilka tygodni... Tu odbywaliśmy częste wycieczki po jeziorze... Pewnego dnia książę o mało co nie zginął... Straciwszy równowagę, wpadł w głębinę wód i znikł w nich... Na szczęście, ja umiem dobrze pływać... Obowiązek mój był wyraźny a serce me zgadzało się z tym obowiązkiem... Chciano mnie powstrzymać... Nie słuchałem perswazji i w ubraniu rzuciłem się do wody, dałem nurka i po długich wysiłkach miałem szczęście ocalić księcia z niebezpieczeństwem własnego życia.

Lazaryna klasnęła w drobne rączki?

— O! — rzekła rozpromieniona — to bardzo piękne, coś pan uczynił! To wielkie!.. zachwycające!.. Jak musiałeś pan być szczęśliwy i dumny, widząc rezultat taki swego czynu bohaterskiego.

— W istocie byłem bardzo szczęśliwy... — odparł Hektor z godnością — ale z kądże miałbym być dumnym? Powtarzam pani, spełniłem swój obowiązek i nic więcej...

— Jak ja mało pana znałam... — wyszeptała margrabina.

— Postępek tak zwyczajny zasługiwał zaledwie na pochwałę — ciągnął dalej opowiadający — tym-

czasem otrzymał prześwietną nagrodę... Pan de Castel-Vivant, tysiąc razy wdzięczniejszy, niż nim być powinien, przesadzając najzupełniej dług, jaki względem mnie zaciągnął, zresztą powodowany uczuciem ojcowskiem, chciał ze mnie w sposób prawny uczynić swego syna.

— Więc to możebne? — przerwała Lazaryna.

— Tak, pani margrabino, w pewnych wypadkach, a my właśnie, książę i ja, znajdowaliśmy się w wymaganych warunkach... adoptacja moja nastąpiła więc i jestem dzisiaj księciem de Castel-Vivant z najformalniejszego aktu...

— Co za przygoda!.. — wyrzekła pani Tour-du-Roy. — To ciekawe i dziwne, jak romans!..

— A to jest romans prawdziwy...

— Nie umiem panu powiedzieć, jak dalece jestem uszczęśliwiona pańskim szczęściem, które mi się wydaje najzupełniej zasłużonem. Teraz, kiedy wiem, że z pana bohater, dumna jestem z tego, że się zaliczam do pańskich przyjaciółek...

— I przebaczasz mi pani? — spytał żywo Hektor.

— A cóż mam panu do przebaczenia?

— Zbyt śmiałe wyznania, które w owym czasie stanowisko moje czyniło niemożliwemi do wybaczenia...

— Dlaczego?.. Czyż nie były szczere?..

— O! wiesz pani dobrze, że były takimi. Jak *Ruy-Blas* „robak ziemny, zakochany w gwiazdzie“ uległem nieprzewycięzonemu czarowi, i to może jest okolicznością łagodzącą dla mego szafu.

— Niepotrzebnie nazywasz pan to szaleństwem. Alboż dla miłości istnieją różnice społeczne?

— A! masz pani słuszność, nie byłem winien — rzekł Hektor, a serce biło mu szybko. — Rozgrzeszenie, którego mi pani udziela, otwiera mi oczy, alboż mogłem walczyć ze świetlaną pięknnością, która natchnęła mnie miłością. Nie, stokroć nie!.. walka niemożliwa, walka nierozumna!.. a instynkt, który mnie ku pani przygnał, może szeptał do mnie zeicha: Możesz kochać... będziesz z czasem księciem...

— W istocie być może — adrzekła Lazaryna.

Takie słodkie słowa zamieniane były prawie przez pół godziny, półgłęboko, po za wachlarzem, między nowym księciem a syreną o włosach barwy płomienistej.

Nikogo nie gorszyła bynajmniej ta rozmowa znacząca między dwojgiem młodych ludzi.

Kilka słów, wyrzeczonych przez Hektora do pani Aloinzi, przed przedstawieniem go, dowodziły, że Lazaryna i on byli znajomymi starej daty. Zresztą książe był kawalerem a margrabina wdową.

Oboje, będąc wolni, mogli bez obrazy moralności, kochać się wobec wszystkich.

Taka była opinia wszystkich.

Hektor powstał.

— Pani margrabino — zapytał — czy będę miał zaszczyt wkrótce panią zobaczyć?

— Kiedy zechcesz, kochany książę...

— Więc pozwalasz pani, ażebym się stawił w jej domu?

Lazaryna, nie nie odpowiedziawszy, prawie nie-dostrzegalnie wzruszyła ramionami, co zdawało się mówić:

— Co za niedorzeczne pytanie!

Potem odezwała się głośno:

— Codziem, prócz czwartku, jestem u siebie od trzeciej do szóstej dla wszystkich mych przyjaciół... Będziesz pan mile widziany w mym salonie.

— Jak wszyscy przyjaciele pani? — wyszeptał młody książę.

— Zapewne...

— A gdybym marzył, iż będę wyróżniony pośród wszystkich? Gdybym miał pani powiedzieć, czego nikt nie powinien słyszeć? Gdyby trzeba było samotności, ażeby pomówić z panią o przeszłości... i o przyszłości?

— Słowem, błagasz mnie pan o sam na sam? — rzekła Lazaryna ze śmiechem.

— Tak, pani.

— Jeszcze o tem pomówimy.

— Czy mogę przynajmniej mieć nadzieję.

— Dlaczegoż nie? Mieć nadzieję nikomu się nie wzbrania...

— Do widzenia więc jutro, pani margrabino...

— Do widzenia, drogi książę...

Tego wieczora pani Tour-du-Roy nie miała wcale schadzki z biednym Marcelem Laugier, tak poważnie zagrożonym w miłości, która dlań była życiem i którą uważał za zupełnie dlań zapewnioną.

Juliusz Leroux tego dnia miał wraz dwiema czy trzema osobami być na obiedzie w pałacu przy ulicy Murrilla...

Przyszedł pierwszy.

— Co się z tobą dzieje, moja piękna margrabi-no? — zapytał odrazu na wstępie, spojrzawszy na córkę badawczym spojrzeniem.

— Dlaczego, papo?

— Wyglądasz jakoś rozgorączkowana, jakby wzruszona... O! ja się na tem znam... Musiało ci się coś niezwykłego przytrafić...

Wtedy Lazaryna opowiedziała całe spotkanie swe z Hektorem Bégourde i rozmowę, jaką z sobą mieli.

— O! — wyrzekł bankier, wysłuchawszy z ciekawością — teraz ja przeciw niemu już nie mam... wyjdź za niego, moja droga... Będiesz księżną Bégourde... Nie... księżną de Castel-Vivant... Zgóry daję swoje przyzwolenie... i tym razem nie wyrzucę go tak, jak wówczas w zamku Tour-du-Roy...

Przybywający goście przerwali rozmowę ojca z córką...

XXXV.

Nazajutrz Hektor, korzystając skwapliwie z udzielonego mu pozwolenia przez Lazarynę, stawił się w pałacu przy ulicy Murilla...

Pani Tour-du-Roy przyjęła go z wdziękiem niepozbawionym zalotności, a to przyjęcie do reszty zawróciło głowę młodzieńcowi.

Ponowił wizytę dnia następnego, a odtąd nieomieszkał bywać codziennie...

Lęklivość jego pierwotna znikła; teraz wywodził on w sposób delikatny wspomnienia z przeszłości, ażeby przy ich pomocy przygotowywać przyszłość.

Nie oświadczał się młodej wdowie formalnie, dawał jej do zrozumienia, że zawsze kochał ją i że jego jedynym celem życia, jego jedynym pragnieniem jest z margrabiny uczynić księżnę.

Lazaryna tego też tylko pragnęła.

Zapewne, iż osoba nowego wielbiciela nie zachwycała jej nadmiernie, ale Hektor bardzo się jej podobał.

Pomimo nauk Godfryda i pomimo własnych wysiłków, dawny Bégourde jeszcze się nie pozbył tak zupełnie dawnej swej skóry, ażeby nieraz nie zapomnieć się i z dystyngowanego człowieka nie przemienić się nagle w dawnego cygana artystycznego. Kiedy się więc niestosownie odezwał, albo przybrał jaki ruch zbyt swobodny, Lazaryna wybuchała śmiechem, a to do rozpaczki przyprowadzało Hektora.

Biedny chłopiec niepotrzebnie się martwił. Bo właśnie ta strona jego natury podbijała margrabinę, której usposobienie cygańskie poznaliśmy już dobrze.

— Taki mąż — mówiła do siebie — byłby tak zabawny jak kochanek. Pojmowałby wszelkie szaleństwa... podzielałby wszelkie ekscentryczności...

sam nawet wynajdywałby jakie koncepty nowe...
A jaka kaskada złota toczyłaby się, dzień i noc z naszych kufców na cały Paryż!

Lazaryna mówiła to do siebie i wzdychała głęboko.

Bo między nią a księciem wznosiła się z winy jej przeszkoda, pierwszej wielkości, trudna do odwrócenia a prawie niepodobna do obalenia.

Przeszkoda ta nazywała się Marcel Laugier.

Jak zerwać z tym człowiekiem, któremu w chwili niepojętego zapomnienia pozwoliła nad sobą pozyskać jeszcze nowe prawa?..

Jak się wyrwać tej namiętności pożądlivej, nienasyconej, nigdy niezadowolonej, która z pewnością teraz byłaby gwałtowniejszą i rozkazującą, im bardziej widziałaby się zagrożoną?..

Złamać ją, o tem niepodobna było pomyśleć, ale może ukłuciami szpilek, możnaby ją zdenerwować, zniechęcić i nad znużeniem jej odnieść tryumf.

Pani Tour-du-Roy postanowiła to przedsięwziąć.

Od tego dnia, kiedy powzięła to postanowienie, zaczęło się dla Marcela życie iście nieznośne.

Czytelnicy nasi nie zapomnieli, że, z woli Lazaryny, zakazane mu zostało przestępować progi pałacu, zawsze pełnego gości, natomiast trzy lub cztery razy na tydzień margrabina ukradkiem wymykała się z pałacu na schadzki ze swym kochankiem...

W przewidywaniu tego spotkania Marcel co wieczór znajdował się w karetku naprzeciw numeru 5 przy alei Królowej Hortensji.

Otóż Lazaryna zaczęła czynić te widzenia coraz mniej częstemi, a wkrótce stały się one rzadkie...

Były oficer musiał nieraz czekać po pięć, a nawet sześć dni z rzędu daremnie...

Gdy usiłował się żalić, kiedy nareszcie zjawiała się roztargniona i zamyślona, odpowiadała mu:

— Cóż mogłam zrobić... Miałam już wyjść... Wtem ojciec przyszedł... Czy to moja wina?.. Wy-mówki twoje, mój przyjacielu, niesłuszne i bolesne, a ja się nie poczuwam, ażebym na nie zasłużyła.

— Więc pan Leroux bywa teraz codzień? — zapytał Marcel.

— Bywa często, jak mu się podoba... Czyżbyś przypadkiem chciał, abym dom swój wypowiedzia-ła ojcu?

— Ale ja także pragnę cię widzieć!.. To i mnie u siebie w domu przyjmuj!..

— Wiesz dobrze, że to niemożliwe... Prosiłeś mnie już o to... i odmówiłam ci wręcz... odmawiam i teraz i zawsze...

Niebawem wymyśliła nowy powód.

Żałoba jej się skończyła... Salony paryskie do-magały się jej. Nie mogła ani nie chciała uchylać się od zaproszeń i bez widocznych powodów stronić od świata.

— Ależ — zawołał Marcel — czy towarzystwa-gdzie bywasz, są dla mnie zamknięte...

— To postaraj się je dla siebie otworzyć, mój drogi, jeżeli ci się spodoba — odparła Lazaryna to,

nem prawie pogardliwym. — Przecie nie liczysz na to, ażebym ja cię dopiero tam wprowadziła.

— Przez cały tydzień nie pokazywała mu się wcale i nie dała żadnych o sobie wiadomości.

Były porucznik nie mógł już mieć wątpliwości o zamiarach swej kochanki.

Lazaryna zacierała przeszłość. Chciała zerwania, chciała go za jaką bądź cenę, a Marcel na to zgodzić się nie chciał. Zobojętnienie młodej kobiety, zamiast zniechęcić jego namiętność, jeszcze bardziej ją podsycało.

Szalał zarazem z miłości, z gniewu i z zazdrości.

— Gdyby *ona* tylko przestała mnie kochać — mówił do siebie — to nie posunęłaby tak daleko brutalnej wzgardy, miałyby jakąś jeszcze litość... zawahałaby się udrećzać kochanka, którego zna gorące i głębokie uczucie, poświęcenie bez granic. W tem coś innego jest... odebrała mi swe serce po to tylko, ażeby je oddać innemu... mam rywala... ale kto tym rywalem jest?..

Marcel zaczął szpiegować.

Godziny całe po południu przepędzał w karetkę z zapuszezonymi firankami, na ulicy Murilla, naprzeciwko bramy pałacowej.

Brama ta otwarta była na rozcież. Lazaryna przyjmowała sporo gości. Powozy zajeżdżały za powozami.

Jakże odgadnąć, kogo pani Tour-du-Roy wyróżniała wśród tych eleganckich ludzi.

O! Bogu wiadomo, że Marcel byłby oddał część życia za nazwisko tego człowieka!.. Z jaką zazdrością okrutną byłby poszedł ku niemu!.. Z jaką rozkoszą złowrogą byłby go wyzwiał i zaprowadził na miejsce pojedynku... Zabić lub umrzeć... Jedno lub drugie... mniejsza... Gdyby zwyciężył, byłby pomszczony, gdyby umarł, jużby więcej nie cierpiał.

Nieraz też myślał sobie:

— Pójdę... wejdę tam... Lokaje mnie znają; obecność moją uważać będą za naturalną... przestąpię próg salonu, z kądem jestem wypędzony, i zobaczę, z czem się przedemną kryją... to przecie proste i łatwe.

Rzeczywiście było to łatwe, a jednak Marcel nie poszedł.

Ten żołnierz, silnie zahartowany, energiczny i gwałtowny, gotów uderzyć swego rywala w twarz lub w serce, drżał jak dziecko przed wolą kobiety, którą ubóstwiał.

Lazaryna zabroniła mu przychodzić do pałacu. Nie śmiał jej być nieposłusznym.

Pewnego dnia, zrozpaczony tem oczekiwaniem, które mu targało nerwy i paliło krew, postanowił wywołać objaśnienie stanowcze i skreślić następujące wyrazy.

„Nie widziałem cię już przeszło tydzień. Tak dłużej żyć niepodobna. Dziś wieczorem, od godziny szóstej do dziewiątej, czekać na ciebie będę w miejscu, gdzie czekam codzień nadaremnie... Musisz przyjść dzisiaj... musisz... ja chcę... Zadługo uginałem głowę

przed twemi kapryсами... Dzisiaj przestaję być posłusznym... Dziś rozkazuję... Jeżeli do mnie nie przyjdiesz... ja przyjdę do ciebie... Jeżeli cię do dziewiątej nie zobaczę... zadzwonię do twych drzwi i pewnie mi je otworzą... Choćbyś nawet opuściła swój pałac, choćbyś nawet była w jednym z salonów, dla których mnie poświęciłaś, i tam za tobą pójdę, a choćby nawet z tego wyniknąć miał skandal, wejdę i mówić będę: O! Lazaryno, nie wyzywaj mnie... Nie mów sobie, że nie potrzebujesz mnie się obawiać i że zawałabym się w chwili stanowczej... Szaleńcy są niepočetalni, a ja szaleję...”

Marcel włożył ten list do koperty i kazał go zanieść do pałacu przy ulicy Murilla.

Tegoż wieczora, o godzinie szóstej punktualnie, pomimo trawiącej go gorączki, zajechał w karetkę przed nr. 5 od alei Królowej Hortensji i czekał.

Oczekiwanie było długie.

Godzina upłynęła i jeszcze godzina...

Co pięć minut spoglądał na zegarek przy świetle latarni gazowej, obok której stała karetką; zbliżał go do ucha i dziwił się, że wskazówki się posuwają, gdyż wydawało mu się, że chyba są nieruchome, tak czas dlań powoli upływał.

Wybiła godzina ósma.

Aleja była prawie pusta.

Wtem ozwał się odgłos drobnych kroków na asfalcie chodnika i szmer sukni jedwabnej.

Marcel, któremu serce bić przestało, chciał się z karetki wychylić...

Nie zdążył.

Drzwiczki karetki otworzyły się nagle i Lazaryna wsiadła, a raczej wskoczyła...

Przyspieszony oddech świadczył, iż biegła prędko.

— Nareszcie!.. — wyszeptał młodzieniec, usiłując margrabinę ująć za rękę i uścisnąć.

Ale ręka ta została mu cofnięta z gniewem!

— Zjesz ze mną obiad, Lazaryno? — zapytał głosem, drżącym ze wzruszenia.

— Nie — odparła ośchle pani Tour du-Roy.

— Dokąd chcesz jechać?

— Dokąd zechcesz... Przed siebie... Mam dla ciebie tylko godzinę czasu.

— W aleje Pól Elizejskich aż do placu Zgody — rzekł Marcel do woźnicy.

Karetką potoczyła się z miejsca!

Po kilku sekundach kłopotliwego mileżenia były oficer wyszeptał.

— Rozdrażnioną jesteś, Lazaryno, widzę to dobrze.

Margrabina nie odpowiedziała nie i znów zapanaowała cisza.

Odbłyśk latarni rzucił mdłe światło do wnętrza karetki, wybitej atlasem ponsowym.

Młoda kobieta, siedząc w lewym narożniku, miała głowę w tył pochyloną i zawołowaną. Wpatrzyła się uporeczywie w jeden punkt a po przez czarną woalkę widać było jej błyszczące źrenice.

Ruchy faliste jej łona zwiastowały burzę, lada chwila mającą wybuchnąć. Nawet to milczenie jej zapowiadało burzę.

Między temi dwiema istotami, które niedawno jeszcze łączyły tak ściśle więzy, zawiązać się miała dziwna walka, pojedynek na zabój.

Lazaryna należała do Marcela. Marcel był ojcem dziecka Lazaryny...

Wszelkie słowa czarowne miłości przebiegły były po ich ustach, z sobą złączonych...

Te wspomnienia Marcel starał się wywoływać. Lazaryna usiłowała je odpędzić.

Z jednej strony miłość gwałtowna, z drugiej nieubłagana nienawiść.

Lazaryna rozpoczęła ogień i zadała pierwszy cios...

XXXVI.

Pani Tour-du-Roy skrzyżowała ręce na piersiach, zwróciła się ku Marcelowi i głosem, którego tonu pogardliwego trudno byłoby wyrazić, rzekła do niego:

— Więc teraz już grozisz?

Były porucznik, zrażony nie słowami, lecz ich tonem (bo jeżeli zniósłby był gniew, nie mógł ścierpieć pogardy), odparł ostro:

— A widzisz, żem dobrze uczynił, grożąc, ponieważ przysłaś... Dobrze zrobiłem, rozkazując, bo usłuchałaś...

Lazaryna mówiła dalej, jak gdyby nie słyszała tej odpowiedzi.

— Więc to się tak do kobiety pisze?

Jeżeli nie znajdziesz sposobu być swobodną, kiedy mnie przyjdzie fantazja, ażebyś była swobodną... Jeżeli nie poświęcisz dla mnie względów przyzwoitości, świata, rodziny swej, wreszcie wszystkiego, ażeby przyjsć do mnie, wedrę się do ciebie przemocą, ścigać cię będę, zrobię skandal, skompromituje cię, zgubię. Tak, napisałeś do mnie! Jeżeli nie takie są słowa, to takie są myśli... A ja miałam cię za dżentelmana... A pan... A pan co jesteś, panie Marcelu Langier?

— Ja jestem człowiekiem, który za wiele cierpiał a cierpieć więcej nie chce — odpowiedział chłodno Marcel.

— A czyżbym ja przypadkiem miała być odpowiedzialną za pańskie cierpienia?

— Tak, pani, ponieważ na mnie je sprowadzasz...

— A w jaki sposób, podług pana, mam im położyć kres? — zapytała Lazaryna z ironią.

— Ażebyś stała się taką, jakąś była niedawno, gdyż takie życie, jakie mi dzisiaj wytworzyłaś, wydaje mi się niemożliwem.

— Niemożliwem... — powtórzyła margrabina — o! tak, masz pan słuszność... niemożliwe... tak! niemożliwe... ale nie dla pana, tylko dla mnie...

— A zatem — spytał Marcel, niezrażony jej chłodem — więc to ja jestem winien?

— A któż więcej?

— Cóż mi wyrzucasz?

— Że więcej mnie tyranizujesz, niż mąż nawet może to czynić z żoną!.. Narzucasz mi swą wolę!.. Chcesz sobie igraszkę zrobić z mego stanowiska, z mego honoru!..

— Uwielbiam ciebie i chcę cię widzieć, czy to zbrodnia?

— Uwielbiasz mnie, powiadasz!.. O! niech największą mą nieprzyjaciółkę Bóg uchowa od takiego uwielbienia!.. Lepszą byłaby nienawiść od podobnej miłości!..

— Lazaryno, jesteś okrutną... jesteś nieubłaganą...

— Bo odwagi już mi brak, dla ulegania pańskim wymaganiom, coraz bardziej wzrastającym!.. Żądania pańskie mnie drażnią!.. Groźby pańskie mnie obrażają!.. Jakiem prawem chcesz mnie zgubić w oczach świata?

— Wiesz dobrze, że tego nie chcę... Wiesz dobrze, że twój honor jest mi droższy niż tobie samej!.. Wiesz dobrze, że mojem gorącym pragnieniem byłoby uprawnić małżeństwem węzły, które nas łączą!..

— Ja! pańską żoną!.. Nigdy!.. Przyjąć pana za swego pana!.. uwiecznić męczarnie bez nazwy... Raczej śmierć natychmiast...

Marcel podchwycił.

— Lazaryno, ty mnie już nie kochasz?

— A gdyby tak było?..

— To już jest...

— Więc cóż z tego?

— A przestałaś mnie kochać zbyt prędko i zbyt stanowczo, ażeby ta zmiana w sobie nie ukrywała czego innego... Ty nietylko mnie nie kochasz, ale kochasz, innego...

— Nie.

— O! nie zaprzeczaj... po co? ja mam tę pewność...

— A! masz pan tę pewność... — odparła margrabina drwiąco.

— Tak...

— Sądzisz pan może, że będę zadawała sobie fatygę wyprowadzać cię z błędu?.. Jeżeli tak myślałeś... to mnie nie znasz dobrze... Zresztą, co dzisiaj jest mylne, jutro może być prawdziwem... Mam lat dwadzieścia... będę kochała...

— Lazaryno, błagam cię, zamilknij!

— A to dlaczego mam zamilknąć?.. Słowa moje ranią pana... Żałuję mocno, ale nic na to nie poradzę... Nie trzeba ich było wywoływać...

— Powtarzam ci, Lazaryno, że tak nie może być dłużej...

— To jedyna rzecz rozsądna, którąś powiedział od początku tej burzliwej rozmowy... Skończmy z tem... To moje pragnienie gorące...

Marcel drgnął i zapytał:

— Jakto? co przez to rozumiesz?

— To co i pan rozumiesz, przypuszczam... Te więzy są podwójnie ciężkie, ale, dzięki Bogu, nie są nierozzerwalne... Wzajemna wola sama wystarczy dla ich rozerwania... Nie możemy już być kochankami,

ale możemy pozostać przyjaciółmi... Zerwijmy ten łańcuch... Pan jesteś wolny i ja również...

Usta Marcelowi zbieleły.

— Mylisz się! — odparł głosem dziwnym, który syczał mu między zębami zaciśniętymi. — Mylisz się, pani... Nie chcę mojej wolności, ale nie chcę jej dać i pani... Nie, pani wolną nie jesteś...

— Jakto? — zawołała Lazaryna.

— Nie! nie! i stokroć nie! — przerwał gwałtownie młodzieniec. — Wolną pani nie jesteś? Czyż ja panią znałem? Czy ja panią szukałem? Czy ja myślałem o kochaniu pani i o zostaniu zawadą na drodze fantazyj pani? Przyszłaś pani sama, ofiarowałaś mi się i oddałaś... Syn pani jest moim synem! Rozpaliłaś w sercu mojem ogień, który je pożera... W żyły me przelałaś lawy gorące, zamiast krwi, a dzisiaj powiadasz mi, jakby rzecz zupełnie naturalną, której powinienem się był spodziewać: „Bądź wolny!.. Ja chcę być wolną!“ Otóż nie! nie tak to naturalne, i ja nigdybym nie był przewidział podobnego rozwiązania, i teraz przyjąć go ja nie chcę! Kocham cię, Lazaryno, i myślałem że mnie kochasz, bo dałaś mi prawo tak sądzić!.. Serce moje jest twoje całkiem.. i nie będę mógł go cofnąć... Nie chcesz być moją żoną... Dobrze! Nie mogę ci narzucić swego nazwiska... ale jestem twoim kochankiem, z twej woli, i pozostanę kochankiem twoim.

— O! szepnęła margrabina ze drżeniem, a cała się jej istota wzdrygała. — Więc pan mi gwałtem grozisz!..

— Wiesz dobrze, że tak nie jest — odpowiedział Marcel. — Może nie będziesz już do mnie należała, to możebne, ale nie będziesz należała i do innego, to rzecz pewna. To serce, które było mojem, choćby przez chwilę, nie będzie biło na sercu rywala. Jeżeli mnie już nie kochasz, nie będziesz kochała nikogo... Zabraniam ci miłości... Bądź żoną moją, Lazaryno, lub bądź moją kochanką, bo, dopóki ja żyję nie będziesz miała nademnie żadnego innego męża, ani też żadnego innego kochanka...

— A jak temu przeszkodzisz pan? — zapytała pani Tour-du-Roy tonem wyzywającym.

— Wszędzie i zawsze między sobą a tym, którego wybierzesz, znajdziesz mnie.

— Tak się to mówi... ale się nie robi...

— Spróbuj, a zobaczysz, czy tego nie zrobię.

— Każdego mężczyznę, którego dziś wyróżnisz, wyzwę wieczorem, a nazajutrz zabiję!..

— Jeżeli tylko on pana nie zabiję! — odparła Lazaryna tonem niewysłowionej nienawiści.

— To pani jedyna szansa... — rzekł Marcel. — Jeżeli umrę będziesz pani wolną...

— Dobrze!.. Będę czekała.

Po chwili milczenia odezwała się margrabina:

— Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, nieprawdaż?

— Nie, nie więcej...

— To mnie pan odwieź.

Były porucznik zawołał na woźnicę:

— Aleja Królowej Hortensji.

Karetka zawróciła się i potoczyła szybko.

Już ani jedno słowo nie zostało zamienione między młodzieńcem a młodą kobietą, aż do chwili, kiedy karetka zatrzymała się w zwykłym miejscu.

— Zatem — spytała Lazaryna, mając wysiąść — jesteście nieprzyjaciołmi?..

— Nie jestem nieprzyjacielem... ponieważ panią kocham... — odpowiedział Marcel.

— Ale nie cofasz pan swych słów i tych pogrózek, co przed chwilą...

— Nie cofam nic.

— A więc to wojna?..

— Jeżeli chcesz pani wojny, będzie wojna.

— Żegnam pana, panie Marceli Laugier.

— Do widzenia, pani margrabino.

Lazaryna otworzyła drzwi, wyskoczyła z karetki, a odgłos szybkich kroków na asfalcie chodnika szybko się oddalił i uciekł.

— O! — szepnął były oficer, zostawszy sam — dzień, w którym los postawił tę kobietę na mej drodze, był dniem fatalnym.

Pani Tour-du-Boy wróciła przez małą furtkę od parku Monceaux, z szybkością gorączkową przebiegła po bocznych schodach pałacyku i zamknęła się w swym pokoju.

Świece, zapalone przed jej wyjściem, paliły się wciąż na kominku.

Stanąwszy przed wielkiem lustrem weneckiem, zerwała woalkę i kapelusz i przejrzała się machinalnie.

Przestraszyła się sama siebie.

Cera sina, ołowiana zastępowała idealnie świeżą i przezroczystą barwę jej twarzy.

Szeroka obwódka niebieskawa zarysowywała się jakby pręga jakaś dokoła jej zaczerwienionych powiek.

W źrenicach jej płonął ponury ogień, podobny do płomienia złowrogiego, jaki zapalił się w oczach Renaty, gdy młoda dziewczyna zbierała kroplę po kropli płyn z trującej euforbii abisyńskiej.

Nigdy wściekłość, dochodząca, do paroksyzmu, nie nacechowała wyraźniej twarzy ludzkiej.

Lazaryna trzymała chusteczkę, z wyhaftowanym herbem Tour-du-Roy przybraną koronkami.

Gryzła tę chustkę, podarła, poszarpała w kawałki potem upadła na krzesło, załamując ręce.

Czkawka konwulsyjna wstrząsnęła jej gardłem. Zdawało się, że się lada chwila rozplacze, ale oczy jej pozostały suche, tylko blask złowróbnny bardziej się w nich ożywił.

Usta jej, poruszając się, wymawiały wyrazy bez związku. Miotła się, jakby w jakimś śnie, z położeniem ją przygniatającem.

Jakto! człowiek, z którego uczyniła narzędzie dla dojścia do majątku, człowiek, którego wspólnictwo nieświadome, oddało w jej ręce spadek po margrabim, ten człowiek stawał się teraz prześladowcą... On teraz mącił jej życie... więził ją swoją miłością... wykopywał otchłani między nią a jeszcze lepszym losem!..

Czyż podobna to znieść?

O! stokroć nie!

Człowiek ten powiedział szyderczo:

— Jeżeli ja umrę, będziesz wolną.

— Sam na siebie wyrok wydał — pomyślała pani Tour-du-Roy... — Usuwa się przeszkodę... usunąć więc można i nieprzyjaciela... Jestem w prawie bronić się...

Uspokoila się nagle i, wziawszy éwiartkę papieru listowego, bez cyfry, napisała:

„Byłam szczęśliwą... Ofiaruję ci pokój... Zapomnij o wszystkim i czekaj na mnie jutro wieczorem w zwykłym miejscu i o zwykłej porze.“

Nakreśliła na kopercie adres Marcela Laugier, potem, zadzwoniwszy na pokojówkę, kazała list ten zanieść na pocztę.

XXXVII.

Zdumienie i radość Marcela, kiedy otrzymał ten list trudno doprawdy wyrazić.

Był on łatwowiernym zresztą, jak wszyscy zakochani. Bez żadnej trudności wyrozumiał, że Lazaryna nie przestała go kochać i że scenę straszną, z dnia poprzedniego należało przypisać jedynie rozdrażnieniu nerwowemu, które nieraz u kobiet dochodzi niemal do szaleństwa.

Zaczął więc znowu mieć nadzieję, przyszłość, jeszcze tak czarna przed kilku minutami, teraz rozjaśniła się w różowych barwach.

Lazaryna stawiała się punktualnie, a była jeszcze czulszą niż zwykle.

— Musimy sobie wzajemnie wybaczyć, mój przyjacielu — rzekła z uśmiechem — bo oboje nie mieliśmy żadnej racji, ty z powodu żądań, zbyt rozkazujących stawianych, ja z owym buntem, który w swej istocie był słuszny, lecz, jak dzisiaj czuję, był zbyt rażący swoją formą. Bądź odtąd rozsądny, proszę cię, ja chcę być rozsądną i zamiast się ranić wzajemnie, starajmy się w miłości odnaleźć, o ile można, największe szczęście... Jesteśmy z sobą skuci razem, jak powiedziałeś, a rzekłeś prawdę, ale od ciebie zależy, ażeby łańcuch ten był ciężki lub lekki... Nie spodziej się odemnie więcej, niż mogę uczynić. Nie bądź zazdrosny o towarzystwo, do którego należę, i od którego nie mogę, ani nie chcę się usunąć... Kochany jesteś... zatem położenie twoje najlepsze... Wielu mogłoby ci tego pozazdrościć, ale przysięgam ci, że zazdrość ich pozostanie bez skutku... Zbieg okoliczności nieznośny zmusił mnie w ostatnich czasach kilkakrotnie opuścić dzień naszych spotkań... Wierząc mi, że ja przedewszystkiem cierpiałam... Oczekiwanie denerwuje, ja to rozumiem, ale nie nie usprawiedliwia słów gniewnych i pogroźek gwałtownych czynionych kobiecie, której serce do ciebie należy... Zresztą postaram się odtąd oszczędzać ci męczarni daremnego oczekiwania... Uczynię wszystko, ażeby

się od ludzi uwolnić, gdy będę wiedziała, że na mnie czekasz... Ale, jeżeli jaka przeszkoda zatrzyma mnie, wbrew woli, przyrzec mi, że będziesz spokojny...

— O! przyrzekam! — zawołał Marcel, pokrywając pocałunkami ręce margrabiny.

— I dotrzymasz obietnicy?

— Tak, jak cię kocham...

— To co innego — rzekła Lazaryna z nowym uśmiechem. — Przebaczam ci wszystko.

Lazaryna przebaczała.

A Marcel Laugier, uważając to za rzecz bardzo naturalną, przyjmował to przebaczenie wdzięcznością.

Czem jednak zawinił?

Doprawdy byłby w kłopotcie, gdyby mu przyszło co powiedzieć?

W ciągu pierwszych tygodni, po tem widzeniu, Marcel był człowiekiem szczęśliwym.

Lazaryna, wierna obietnicom, przemieniła się tak zupełnie iż kochanek zaledwie mógł ją poznać.

Zawsze znajdowała sposób nie chybić na żadne spotkanie i byłemu porucznikowi zawsze czekać dawała zaledwie kilka minut.

Miała dla niego słówka czułe, prawie namiętne, a nawet pozwalała mu się spodziewać, że, prędzej czy później, zgodzi się na to małżeństwo, o którem, dawniej myśl samą odtrącała tak porywezo.

Marcel nawet we śnie nie marzył o szczęściu tak zupełnem, to też mówił do siebie z naiwnem przekonaniem:

— Cóżby się jednak było z nami stało, gdybym nie dał dowodu nadludzkiej energii? Wszystkoby szło jak najgorzej!.. Tylko stanowczości charakteru zawdzięczam swe szczęście... Kobiety lubią, aby je poskramiano... O! gdyby wszyscy mężczyźni o tem wiedzieli!..

Biedny Marcell!..

Pani Tour-du-Roy, grając komedję, której widzieliśmy akt pierwszy, a której łatwo odgadnąć ciąg dalszy, miała przed sobą cel, nietrudny do zrozumienia.

Chciała wygrać na czasie, uspić w Marcelu wszelką nieufność, ażeby przeprowadzić plan, który, jak sądziła, wyzwolić miał ją zupełnie.

Nieomieszkamy planu tego przedstawić.

Lazaryna, jakieśmy wyżej powiedzieli, przyjmowała ze szczególnem wyróżnieniem Hektora Bégourde, księcia de Castel-Vivant.

Nazajutrz, po scenie gwałtownego zerwania z Marcelem Laugier, zerwania, połączonego z natychmiastowem prawie pogodzeniem się rzekomem, jeszcze bardziej uprzejmą stała się dla młodego księcia, ażeby podbić go zupełnie, co zresztą nie przedstawiało nic tak trudnego.

Po upływie tygodnia Hektor Bégourde formalnie szalał, już nie dlań nie istniało na świecie całym po nad panią Tour-du-Roy.

Kokieterja jej działała nań odurzająco.

Ponowił on wkrótce swą prośbę, ażeby mu raczyła udzielić rozmowy w domu u siebie, bez obecności osób trzecich.

Margrabina, z pewnem wzdraganiem, zgodziła się nareszcie.

XXXVIII.

Margrabina, elegancko ubrana, w stroju swym czarująca, oczekiwała w saloniku na Hektora.

Zegar wydzwoił oznaczoną godzinę, a jednocześnie prawie, dał się słyszeć turkot kół powozu, zatrzymującego się przed bramą.

— To on... — pomyślała Lazaryna.

Po upływie minuty drzwi od salonu otworzyły się i lokaj oznajmił:

— Książę de Castel-Vivant.

— Dobry wieczór, drogi książę — rzekła margrabina, podając rękę przybyłemu, gdy służący dorzucił drzewa na kominek. — Ojciec mój niebawem przyjdzie... Wszak napijesz się pan ze mną herbaty... Baptysto, herbata...

Hektor przyłożył do ust podaną mu rękę.

— Jak pani dzisiaj jesteś piękną!.. — wyjąkał.

— Czy piękniejszą jestem niż zwykle? — zapytała młoda kobieta ze śmiechem.

— O! pani codziennie jesteś piękniejsza...

— Kiedyz to ustanie?..

— Nigdy.

— Jakiś zabawny, drogi książe, mówiąc to poważnie.

— Zabawnym nie jestem, ale bardzo poważnym, bo mówię, co myślę.

— A kiedy się zestarzeję?

— Pani się wcale nie zestarzejesz... Zobacz, pani, w muzeum... Czyż starzeją się kobiety Rafaela lub Tycyana?.. ;

— Rzecz naturalna, bo są malowane, a ja tylko używam pudru.

— Panna de Lenelos, jak pani wiadomo, była piękną w osmdziesiątym roku życia.

— Ja mam dwadzieścia... Za sześćdziesiąt lat o tem pomówimy... Ale dziś... Widzisz pan, że dotrzymałem danego słowa... jesteśmy sami...

— Zachwycającą pani jesteś!.. ale czy pozostaniemy sami?

— Prawdopodobnie... Nikt nie wie, że o tej porze jestem u siebie... Któż może więc przyjść w ciągu dwudziestu minut! bo daję panu dwadzieścia minut, ani minuty więcej... — dodała Lazaryna z miłym uśmiechem.

— Jesteś pani okrutną!

— Dobryś! przed chwilą mówiłeś pan, że jestem zachwycającą... Na co się pan skarżysz? Przez dwadzieścia minut można sobie wiele powiedzieć.

Lokaj wszedł, niosąc na tacy herbatę, cukierniczkę kryształową, filiżanki ze starej porcelany sa-skiej, butelkę araku, ciasteczka i inne niezbędne dodatki.

— Sama panu usłużyć — rzekła Lazaryna, potem patrząc na zegar, kiedy się lokaj oddalił, podchwyciła: — Czas upłyniony, odkąd pan tu jesteś, nie liczy się... dwadzieścia minut teraz się zaczyna... Czekam na te zwierzenia wysokiej doniosłości, które mi pan wczoraj zapowiedział.

— Jakże mam mówić, kiedy pani, jakby ze mnie żartujesz.

— Bynajmniej, drogi książę!..

— Jednakże śmiejesz się pani...

— Cóż robić?.. jestem trochę trzpiotem, z panem przynajmniej, bo w istocie bardzo poważna. A zresztą oto cała prawda... Uśmiecham się mimowoli z pańskiego zakłopotania, wiedząc również jak pan, jeżeli nie lepiej, co pan mi chcesz powiedzieć...

— Jakto? — zawołał młodzieniec — pani wiesz?

— Źeś mnie pan trochę kochał dawniej? jeszcze na bulwarze Haussmana, kiedy byłam młodem dziewczęciem... Źe kochałeś mnie pan trochę więcej przed dwoma laty w zamku Tour-du-Roy, kiedy byłam młodą mężatką... i że wreszcie kochasz mnie pan bardzo, dziś, kiedy jestem starą i wdową.

Hektor sposepniał.

— A zatem — podchwycił z uniesieniem — pani wiesz, że cię uwielbiam i że nie przestałem do ciebie należeć cały?

— Wybacz, drogi książę — przerwała Lazaryna z tym wdziękiem, nieco szyderskim, który ku niej pociągał niewymownie — nie całkiem się na jedno zgadzamy... W pańskiej namiętności wielkiej ku mnie wiele było przerw, kiedy myślałeś pan o wszystkim innem, tylko nie o moich słabych zaletach... O! nie bierz pan bynajmniej tego za wyrzut?.. Bądź co bądź jednak powracasz pan do mnie cały, a to rzecz najgłówniejsza...

— Lazaryno! — ciągnął dalej Hektor z podwojonym zapałem — w tych przerwach nawet obraz twój zajmował myśl moją i nie opuszczał mnie nigdy. Jeżeli nie starałem się z tobą zobaczyć, zbliżyć się do ciebie, to dlatego, że, gdy obecność twoją przestawała mnie czarować, pojmowałem zaraz aż nazbyt ogromną między nami różnicę, tak, że nie śmiałem przebyć tej odległości...

— Jednakże usiłowałeś pan... a nawet wielce się ośmieliłeś...

— Spojrzenia pani mnie odurzyły... zapomniałem, że jestem niczem... ale dzisiaj, Lazaryno, wszystko się zmieniło... dzisiaj ja istnieję... dzisiaj ja jestem czemś... dzisiaj ty jesteś wolną... dzisiaj jedna tylko rzecz mogłaby nas rozdzielić?

— Cóż to?

— Wola twoja... Od ciebie zależy uczynić mnie najszcześniejszym z ludzi, albo najnieszcześniejszym... Czy kochasz mnie?..

— Ależ to formalne oświadczyń... — wyszeptowała młoda kobieta, spuszczaając oczy i udając zawstyżenie, rzeczywiście zachwycające.

— Tak... ale czemu miałabyś się pani wahać... Biedny artysta mógł ci ofiarować tylko serce... Książę de Castel-Vivant składa u twych stóp swoje imię... Czy raczysz je przyjąć?..

I przy tych słowach Hektor, wielce wzruszony, zgiął kolano.

— O! podnieś się pan — rzekła żywo. — Pomyśl pan, że może kto nadejść...

— O! odpowiedz mi — wyrzekł młody książę — błagam cię, odpowiedz...

— Hektorze — odrzekła pani Tour-du-Roy wzruszonym głosem — to, o co mnie prosisz, nie jest prostą odpowiedzią... To spowiedź jest.. Więć dobrze, wypowiadam się przed tobą...

XXXIX.

Margrabina zamilkła, poczem odezwała się po chwili:

— Bardzo szczęśliwą nie byłam nigdy. Ojciec mój jest człowiekiem zacnym... ale kochał nas, mnie i siostry, na swój sposób, bo pozostawił swobodę na popelnianie wszelkich dziwactw, a to życie nasze ruchliwe i hałaśliwe, ożywione niezmiernie, ale i zarazem czeze, nie mogło zastąpić życia cichego i spokojnego

u ogniska domowego przy boku matki, kochającej, ale troskliwej i baczej... Niestety, nie miałyśmy już matki...

Margrabina przerwała sobie, ażeby ukradkiem otrzeć łzę, która się zaperliła na jej długich rzęsach.

Hektor, niezmiernie wzruszony, byłby uszczęśliwiony, gdyby na usta jego spadła ta łezka tak droga z oczu anioła.

Młoda kobieta ciągnęła dalej:

— Pewnego pięknego poranku ojciec obudził się zrujnowanym... Pojechaliśmy na wieś i życie nader monotonne zastąpiło życie pełne zgiełku... nudy nadeszły zamiast rozrywek męczących... Nie zyskałam nic na tej zmianie i nie mogłam sobie powinszować swego losu...

W tym czasie margrabia Tour-du-Roy, ujęty mą pięknnością, jaką raczono mi przypisywać, oświadczył się o moją rękę...

Opierałam się ze wszystkich sił... Myśl o dziwnym związku starca z takim dzieckiem (bo naówczas dzieckiem jeszcze byłam) oburzała mnie niezmiernie...

Ojciec mój jednak swemi rozumowaniami tak zaczął mnie przekonywać, że wreszcie odniósł tryumf nad moim wstrętem.

Związek ten miał dać mi majątek, piękne imię i wielkie stanowisko w świecie. Wszystko to wydawało mu się godnem zazdrości dla dziewczęcia bez posagu, i musiałam przyznać, że pod tym względem miał słuszność.

Po długiej walce, poddałam się... Niech Bóg mnie zachowa, ażebym słówkiem nieopatrznem chciała przynieść ujmę pamięci tego, któremu głęboki mój szacunek towarzyszył do grobu...

Margrabia Tour-du-Roy był bardzo dobrym człowiekiem, miał tylko przeciw sobie wiek, co naturalnie nie było już od niego zależne...

Nie zaniedbał niczego, co mogło mnie uszczęśliwić... Otaczał mnie przepychem królewskim, ale niestety otaczał mnie i czułością, nazbyt namiętną, tak, że znów burzyła się we mnie młodość przeciw miłości siedmdziesięcioletniego starca...

Cierpiałam wiele w milczeniu, bez skargi, bez najmniejszego uzalania... Margrabia nie podejrzewał wcale, co się działo we mnie... Sumienie mówi mi, że spełniła swój obowiązek. Wtem nastąpiła katastrofa!..

Zostałam wdową... Zostać miałam matką... Byłam bogatą... byłam wolną... miałam więc nareszcie warunki zostać szczęśliwą... a jednak nie jestem szczęśliwą...

— Teraz od pani tylko to zależy — zawołał młody książę. — Zaufaj mi, Lazaryno... Powierz mi swoją przyszłość... Zostań moją żoną... O! powiedz, Lazaryno, błagam cię, powiedz, że się na to zgadzasz.

Pani Tour-du-Roy potrząsnęła łagodnie głową.

— Dotąd słyszałeś pan dopiero opowiadanie — rzekła — a ja mówiłam o spowiedzi, pozwól mi dokończyć.

— O! — żywo odparł Hektor — cóż mnie obchodzi ta spowiedź? czyż się potrzebuję dowie-

dzieć czego jeszcze... Kochaj mnie a reszta nie zna-
czy nic...

— Powinieneś pan jednak wiedzieć — podchwyciła margrabina tonem łagodnego rozkazu. — Powinieneś... Ja tego chcę...

Hektor pochylił głowę.

— Mów więc — wyszeptał.

— Bądź pan zresztą spokojny... — rzekła pani Tour-du-Roy. — Spowiedź to będzie krótka... Proszę cię tylko, nie przerywaj mi wcale.

Księżę skinął potwierdzająco.

— Najwyżej szesnaście miałam lat, drogi księżę, kiedy po raz pierwszy przypadek dał nam się spotkać w pałacu mego ojca, a wtedy jeszcze nie byłś księciem. Zobaczyłam cię i uczułam się ku tobie pociągniętą odrazu... dla ciebie zabiło serce moje dziecięce... po raz pierwszy.

Dwa lata upłynęły... — ciągnęła dalej margrabina — wrażenie, jakie wywarłeś na mej młodej wyobraźni zapewne osłabło, ale się nie zatarło...

Trudno wyrazić, co się działo w mej duszy, kiedy po raz drugi przypadek czy przeznaczenie znowu nas razem postawiło naprzeciw siebie...

Ja byłam mężatką... zrozumiałam wtedy, że cię kocham... byłam tyle słabą, że dałam ci to poznać... a jedynie dla mnie były świetlane te chwile, kiedy w alei ciemnej parku Tour-du-Roy słuchałam tych słów miłosnych, które szeptałeś mi do ucha...

Wtenczas i przez dni kilka następnych żyłam jak we śnie. .

Niestety, przebudzenie nieomieszkało nastąpić.

Ojciec przyjechał do zamku, poznał cię. Dał ci do zrozumienia, że obecność twoja w domu mojego męża jest niemożliwą. Zapewne też rozmawiając z tobą w imię mego honoru zagrożonego... Zażądał twego wyjazdu... List twój zawiadomił mię o tej smutnej nowinie, błagając, ażebym po raz ostatni przyszła...

— Jednakże nie przyszłaś wcale — odezwał się Hektor ledwie dosłyszalnym głosem.

— Tak, nie przyszłam — powtórzyła — i zapewne uważałeś mnie za okrutną, za kobietę z sercem jak lód... Bądź szczerzy, wszak myślałeś tak, nieprawdaz?

— Tak — wyjąkał młodzieniec. — To prawda, i odjechałem zrozpaczony.

— O! — podchwyciła Lazaryna, — gdybyś wiedział, co ja cierpiałam, zamiast złorzeczyć mi, byłbyś się nademną litował.. Jaki ja wieczór przepędziłam... i co za noc!.. Jeszcze teraz dreszcz mnie przejmuję, gdy o tem pomyślę... Płakałam, przyciskając do ust twój list... Ten drogi list, który mnie odtąd nie opuszczał.

— Jakto, masz go jeszcze? — zawołał młody książę.

— I nie rozstanę się z nim nigdy... Jeżeli chcesz to ci go kiedy pokażę.

Margrabina, mówiąc to, skłamała z zadziwiającą bezczelnością... W pięć minut bowiem po przeczyta-

niu owego listu Bégourda, nie bez szyderczego uśmiechu, zapaliła go przy świecy i zniszczyła.

— W dwa miesiące po twym odejździe z zamku — ciągnęła dalej margrabina, głosem coraz bardziej wzruszonym. — pan Tour-du-Roy zawiózł mnie do Włoch wraz siostrą moją Renatą...

Z radością zgodziłam się na tę podróż... Byłam smutna, pojmujesz dlaczego...

Potrzebowałam rozrywki... Staralam się zapomnieć... widzisz, jestem szczerą...

W miastach, gdzieśmy kolejno zamieszkali, odwiedzało nas wiele osób i myśmy też składali liczne wizyty...

W Wenecji mąż mi przedstawił młodzieńca, francuza, którego znał oddawna, Marcela Laugiera.

Młodzieniec ten nie należał wcale z urodzenia do naszego świata, ale był to chłopiec bardzo bogaty, bardzo dobrze wychowany, dymisjonowany oficer, odznaczony orderem, i skończony dżentelman.

Margrabia bardzo go mile przyjmował. Myślał wydać za niego moją siostrę. Na nieszczęście, Renata nie spodobała się wcale panu Laugier, który, na większe jeszcze nieszczęście, zakochał się we mnie, ale nadskakiwał mi w sposób tak delikatny, że nie zauważył tego ani mąż mój, ani siostra.

Nie wabiłam pana Laugier — czyż mam powiedzieć?... Źnie mogłam go kochać, ale jestem kobietą i pomimowoli czułam się mile głaskaną w swej miłości własnej zwycięstwem, odniesionem nad moją siostrą, która jest niezaprzeczenie piękną.

Spowiadałam się przed tobą, książę, a każda spowiedź wymaga przyznania się do winy,

Miłość pana Laugier bawiła mnie... Zwłaszcza, że nie wyszła po za granicę najzupełniejszej przyzwyczajoności... Wreszcie, gdyby to miało nastąpić, byłabym potrafiła całą znajomość zerwać.

Ale tymczasem margrabia, po dość długim pobycie naszym w Wenecji, postanowił powrócić do Francji.

Myślałam, że z naszym wyjazdem wszystko się skończy i cieszyłam się z tego.

Ale pan Laugier bynajmniej tak postąpić nie chciał.

Zamiast pozostać jeszcze we Włoszech, jak poprzednio zamierzał, pojechał za nami...

Mąż mój go chętnie przyjął w zamku Tour-du-Roy, i stał się on stałym gościem, ponieważ, ażeby się zbliżyć, osiadł w Orleanie...

Siostra moja powróciła do Zielonych Liści, do ojca, a ponieważ obecność jej już nie tłómaczyła tak częstych odwiedzin młodzieńca, margrabia powinien był wszystko odgadnąć... ale się nie domyślał niczego... Mężowie wszyscy do siebie podobni... Wszyscy są ślepi.

Laugier, nie dość, że bywał tak często, zaczął pisywać do mnie listy, na które nie odpowiadałam, ale milczenie nie zrażało go wcale.

Dwadzieścia razy chciałam wszystko powiedzieć mężowi swemu, lecz za każdym razem powstrzymywa-

ła mnie myśl, iż starzec ten szlachetny; uniesiony słusznem gniewem, wyzwie Laugiera i bić się będzie za mnie...

Myśl tego pojedynku przejmowała mnie zgrozą.. wyrazy zamierały mi na ustach... Nic nie może dać pojęcia, ile przez ten czas przecierpiałam... Wtem niespodziewana katastrofa nagle zaprowadziła gwałtowną zmianę w mem życiu...

Zostałam wdową...

Mogłam się spodziewać, nieprawdaż? że zupełne odosobnienie, jakie nakazywało mi wdowieństwo moje, zabezpieczy mnie od natarczywości pana Laugiera... Oprócz ojca, siostr i szwagra, hrabiego de Gordes, nie przyjmowałam nikogo... Czyż mogłam przypuszczać, że zuchwalec jakiś śmie naruszyć tę moją samotność.

A jednak pan Laugier to uczynił.

Wiedząc dobrze, że w zamku nie zostałyby przyjęty, dwa czy trzy razy zdołał się przedostać do parku, nie zważając na żadne względy przyzwoitości, nie zważając na to wcale, że mógłby skompromitować moje dobre imię...

Dopiero pogróżka, że o postępowaniu jego zawiadomię szwagra, położyła kres podobnym jego wyprawom...

Przyjechałam do Paryża... Otworzyłam dom... Niepodobna mi było zamknąć drzwi przed człowiekiem, którego pan Tour-du-Roy przyjmował... Zawsze by starano się dociec przyczyn takiego usunięcia, a nie chciałam, ażeby to brano na języki... Wówczas bar-

dziej jeszcze, niż kiedykolwiek, pan Laugier stał się moją zmorą... moim prześladowcą...

Na każde zebranie towarzyskie przychodził pierwszy a zostawał jeszcze po wyjściu wszystkich.. wszędzie nawet po za domem spotykałem go zawsze na mej drodze...

Było to ohydne... nie do zniesienia... Rozdrażnienie moje wznagało się coraz bardziej... Czułam pierwsze objawy rozstroju nerwowego...

Trzeba było już raz z tem skończyć... Zezwoliłam na rozmowę z panem Laugier, bez świadków, w tym samym salonie, gdzie jesteśmy, i powiedziałam mu wyraźnie, bez żadnych ogródek, że nie kochałam go nigdy i że nigdy kochać go nie będę i błagam, ażeby zaprzestał tego prześladowania, które nie może doprowadzić go do niczego, a mnie zatruwa życie i unieszczęśliwia... Człowiek, jak należy, niezawodnie byłby się wobec tego oddalić...

— Naturalnie! — zawołał mały książę.

— Ale pan Laugier inaczej myślał — ciągnęła dalej Lazaryna z goryczą. — Ośmielił się on mi odpowiedzieć, że ma do mnie prawa, a gdy ja zdumiona spytałam, co by to były za prawa, wyznał mi, że wywołała a potem zachęciła jego miłość swoją zalotnością i że dawałam mu takie nadzieje, jakie równe są zobowiązaniu samemu... Z oburzeniem zaprzeczyłam temu, wdrygnęłam się na takie kłamstwo bezwstydnę... On dodał, a powtórzę ci prawie dosłownie wyrazy, wyrzeczone przez niego z całą zimną krwią, wryły się one bowiem w mej pamięci:

„Teraz pani się podoba zerwać zobowiązanie, które ci się wydaje ciężkiem, i wyłamać się z pod następstw przeszłości, ale nie ustąpię przed pani kaprysem, ja nie zrzeknę się żadnego z mych praw... Pani jesteś wdową... rozporządzasz swoją osobą... Postanowiłem, że będziesz moją żoną!“

Na to ja zawołałam:

— Nigdy.

A on podchwycił:

— Nie mogę, co prawda, nakazać pani tego małżeństwa, do którego potrzebne jest pani zezwolenie, ale odemnie zależy doprowadzić panią do tego małżeństwa, czyniąc je niezbędnem. Będziesz pani musiała wybrać między mną a wdowieństwem do końca życia... Jeżeli mnie pani nie kochasz, nie będziesz kochała nikogo... jeżeli ja nie będę twym mężem, zostaniesz pani wdową... ja nie dam z siebie zadrwić... będę ja bacznie pilnował i strzegł... ktokolwiek zechce się do pani zalecać i żenić się z panią... mnie znajdzie na swej drodze... ja panią uwięzę w swej miłości... wywę każdego z twych wielbicieli i zabiję... brońcie do ciebie będzie dostępu barykada z trupów...

Hektor przerwał Lazarynie.

— Ależ to nędznik ten człowiek!

— O! — szepnęła margrabina — Bóg wie, że i ja tak o nim myślę!

— Cóżes odpowiedziała?

— Nic. Cóż mogłam odpowiedzieć? Ruchem i gestem rzekłam: Wyjdź pan!

— A on co uczynił?

— Skłoniwszy mi się z uśmiechem, który jeszcze widzę przed oczyma, skierował się ku drzwiom. W chwili, kiedy się już do nich zbliżył, obrócił się i, wciąż się uśmiechając, wyrzekł na pożegnanie te słowa: „Nie zapomnij, pani margrabinol.. ja będę pamiętał..“

— Jak dawno to się działo?

— Sześć tygodni temu...

— A potem?

— Pan Laugier potem już nie przyszedł, ale jego pogródka nie jest czczym wyrazem... Czuję, odgaduję dokoła siebie jakiś tajemniczy dozór. Pewna jestem nawet, że służba moja została przekupiona i szpieguje mnie we wszystkim.

— I między tobą a nim — spytał księżę po chwili milczenia — nie było nic więcej nad to, co mi powiedziałaś? Zalotność niewinna z twojej strony!.. bezwstydną prześladowanie z jego...

Lazaryna załamała ręce i, nadając twarzy wyraz niezwyklej żałości:

— Przyjacielu mój — wyjąkała głosem stłumionym, wpatrując się w Hektora. — Czyżbyś o mnie wątpił?

— O! uchwaj mnie, Boże!.. Chciałem się tylko dowiedzieć, czyś czego nie zapomniała...

— Nie zapomniałam nic... Ale widzisz, że miałam słuszność... Widzisz, że marzenie nasze się nie ziści... że małżeństwo nasze jest niemożliwe...

— Ja tego wcale nie widzę — odparł młodzieniec — a położenie przedstawia mi się jak najprostszym w świecie.

XL.

— Więc chyba nie zrozumiałeś?

— Zrozumiałem doskonale... I widzę, że dość będzie tylko dać temu Laugierowi poważną nauczkę... Jeżeli ta nauuczka uleczy go na zawsze z popędów tyrańskich, a rodzinę jego okryje żałobą, wierzaj mi, nie będę miał żadnych wyrzutów sumienia...

— Chcesz go wyzwąć? — zawołała margrabina.

— A naturalnie! i to jak najprędzej...

— Pojedynek!.. Nigdy... Hektorze, zabraniam ci się pojedynkować...

— Droga Lazaryno — odparł młodzieniec z uśmiechem — cóż robić, ale będę musiał ci być nieposłusznym...

— Nawet jeżeli cię będę błagała?..

— Czyniłabyś to nadaremnie... Oparłbym się nawet twoim łzom...

— Ale to byłoby narażenie twego życia...

— Narażone zostałoby ono stokroć więcej, gdybym się nie pojedynkował... Czyż mogę żyć bez ciebie? Wiesz dobrze, że nie...

— Pomyśl tylko, że ten człowiek był żołnierzem...

— Cóż z tego?

— Musi doskonale władać bronią!

— Zaręczam ci, że to dla mnie wszystko jedno.

— Czyś się już pojedynekował?

— Nie...

— Widzisz więc...

— To tylko dla braku sposobności... Trzeba przecie raz zacząć...

— Więć nic nie może zmienić twego postanowienia?..

— Nic...

— To ustępuję... i powiem tylko, że cię uwielbiam i kocham!. O! prawdziwym jesteś księciem, zarówno z odwagi jak i z tytułu... Walcz za mnie, mój Hektorze... Szpadą zdobądź tę, która będzie twoją żoną...

— Wobec takiej nagrody czyż nie będę zwycięzcą?

— O! będziesz nim... takie mam przecucie...

— To dobra dla mnie wróżba — rzekł Hektor, z uśmiechem.

— Lecz jakże wyzwiesz tego człowieka?

— Jak najnaturalniej w świecie... Pójdę do niego wprost i powiem mu: Pan jesteś panem Laugier, a ja jestem książę de Castel-Vivant. Pani margrabina Tour-du-Roy, którą kocham i która czyni mi zaszczyt być dla mnie przychylną, żaliła się przedemną na pańskie postępowanie, a ja za to wzywam pana do rachunku. Uważasz się pan za dzentelmana, a byłeś

żołnierzem... Z tego podwójnego tytułu chyba pan, jak sądzę, nie zechcesz się narazić na zniewagę publiczną... Załatwimy tę sprawę, jak ludzie przyzwoieli... I wtedy powiemy sobie nazwiska naszych sekundantów... Wszak będzie dobrze, nieprawdaż?

— Cóż znowu! — odparła żywo margrabina — czyż nie pomyślałeś, że w ten sposób skompromitowałbyś nieochybnie reputację przyszłej księżny Castel-Vivant... Imię moje nie powinno być wymienione, w przeciwnym razie świat, cheiwy skandalu, rozgłosi, że przyczyną pojedynku między wami była margrabina Tour-du-Roy, i jakikolwiek będzie tego pojedynku rezultat, ja w każdym razie będę skompromitowaną... Czyż tego nie pojmujesz?..

— O! pojmuję to dobrze... i odczuwam nieszczęście, ale jest ono, jak mi się zdaje, nieuniknione... bo jakże tę rzecz załatwić?.. Pan Laugier i ja nie znamy się wcale... Jakże go wyzwać, nie wymawiając twego nazwiska...

Lazaryna wzruszyła zlekka ramionami:

— Pojmujesz więc także, że chodzi tu jedynie o pozór... ale pozór prawie zawsze jest rzeczą wyobraźni, gdy pomyślisz trochę, to i ty go wynajdziesz...

— Dobrze... będę odtąd śledził tego człowieka... stanę się jego cieniem... ale... ale zachodzi ta przeszkoda, że ja go wcale nie znam... nigdy go nie widziałem... nie wiem więc wcale, jak wygląda...

Lazaryna po raz drugi wzruszyła ramionami nieostrzegalnie.

— Nie bardzo tęga głowa u tego książątka! — pomyślała — poczem dodała głośno: — Pan Laugier jest młodzieniec przystojny, szczupły, brunet, wygląda na wojskowego, nosi czerwoną wstążeczkę i delikatne wąsiki; mieszka przy ulicy Amsterdamskiej nr. 40.

Marcel przed kilku dniami wyprowadził się z Hotelu Wielkiego i wynajął czasowo mieszkanie przy ulicy Amsterdamskiej.

— A przysięgnij mi — dodała — że cokolwiek się stanie, nie będzie wiedział wcale, co jest za powód rzeczywistego waszego pojedynku... niechaj nawet nie wie, że mnie znasz...

— Przysięgam ci!

— To dobrze... Jestem spokojną... A teraz drogi Hektorze, jest już późno... opuść mnie...

— Już... zaledwie przyszedłem...

Lazaryna uśmiechnęła się, wskazując mu zegar. Duża i mała skazówka za kilka minut miały się połączyć na cyfrze XII.

— Blizko już dwunasta — rzekła — a my jesteśmy sami... co pomyśli służba... Odejdź pan prędko... bo jeszcze zostanie skompromitowaną...

— Przez przyszłego męża?

— Przyszły mąż tak samo kompromituje jak każdy... a ja chcę pozostać bez zarzutu, i to bardziej jeszcze przez wzgląd na ciebie, niż na siebie...

— Jestem posłuszny... Kiedyż się zobaczę z tobą?

— Tu, codzień, po południu. jak zwykle...

— Wraz ze wszystkimi?.. — zawołał młodzie-
niec.

— Naturalnie... Przecie nie żądasz chyba co-
dziennej rozmowy sam na sam... Zanim tydzień upły-
nąłby, cały Paryż nazywałby cię moim kochankiem.

— A jeżeli będę miał ci coś nadmienić o panu
Laugier?...

— Upredzisz mnie jakim znakiem ledwie do-
strzegalnym, który przedemną jednak nie ujdzie,
a wieczorem o godzinie dziesiątej, punktualnie cze-
kać będziesz na mnie na rogu ulicy Murilla i alei
Ruysdaela?

— W swym powozie?

— Nie. W karetkę najętej... nie zwróci ona
uwagi tak, jak twoje powozy wspaniałe, a my musimy
otaczać się najgłębszą tajemnicą...

— Przyjdiesz więc do mnie?

— Tak.

— Jakim sposobem opuścisz pałac swój, nie
zwracając uwagi służby?

— Nie lękaj się o to...

— Stanie się, jak sobie życzysz... Do widzenia,
droga margrabino, do widzenia...

— Do widzenia, księżę... do widzenia...

Hektor ucałował piękne rączki, które mu podała
Lazaryna i pozwoliła z wielką łaskawością przycisnąć
mu je do ust; potem skierował się ku drzwiom.

Lazaryna, pozostawszy sama, po odegraniu ko-
medyi w sposób tak wyborny, postanowiła dalej pro-
wadzić rozpoczęte dzieło.

Napisała do Marcela, co następuje:

„Przyrzekłeś mi, przysięgłeś, mój przyjacielu, że nie będziesz już o mnie wątpił, że mi okazywać będziesz w przyszłości zaufanie bez granic...

„Honor mój jest zagrożony... Jestem śledzona... szpiegowana... Przez kogo? Jest to dla mnie tajemnicą, ale co do samego faktu na nieszczęście wcale nie mogę wątpić... List bezimienny, który wydaje się życzliwym, a zapewne jest tylko zdradzieckim, przysłano mi dziś wieczorem. Dowiedziano się, że wymykam się z pałacu furtką od parku Monceaux i że się widuję z pewnym młodzieńcem, którego nazwiska, jak gdyby nie znano wcale.

„Najelementarniejsza przezorność (pojmujesz to chyba tak dobrze, jak ja), wymaga stanowczo, ażebyśmy na kilka dni przerwali nasze spotkania...

„Niemniej zapewne od ciebie z żalem to czynię, ale konieczność to niezbędna!.. Zresztą jedno mnie pociesza... że to nie potrwa długo... a ja ze swej strony uczynię wszystko, ażeby to jak najbardziej skrócić...

„Między służącymi moimi musi być szpieg... Podejrzenie mam na pewną z moich pokojówek... ale postąpię sobie z nią odpowiednio, albo ją przekupię, albo ją oddalę, i w każdym razie nie będę potrzebowała niczego się obawiać...

„Pisuj do mnie codziennie, tak, jak ja codziennie pisywać do ciebie będę. Nie wątp o mnie, jak ja nie będę wątpić o tobie... Kochaj mnie, jak ja cię kocham...”

Lazaryna włożyła do koperty ten list niepodpisany (listów podobnych nie podpisywała weale) a Marcel Laugier otrzymał go nazajutrz zrana.

XLI.

Kiedy Marcel przeczytał ten list, przedewszystkiem ogarnęła go podejrzliwość i gniew.

— Znowu mnie od siebie oddała — wyszeptał, mnąc papier bez podpisu i bez cyfry — a więc przygotowywa zdradę... Ale nie dam z sobą igrać... ja czuwać będę... I biada temu, kto stanie między mną a nią.

Ale przy drugim czytaniu listu, młodzieniec zastanowił się bardziej i powróciła mu zimna krew.

— A jednak może to prawda, co ona do mnie pisze — podchwycił. — Sam ją przecie ostrzegałem, że służba może ją szpiegować... Tak, to naturalne... Dlaczegoż mam ją zaraz podejrzewać? Nigdyby mi nie przebaczyła, gdybym nie dotrzymał mej obietnicy... Lepiej będzie wierzyć i czekać... zwłaszcza iż oczekiwanie nie będzie długie, jak mi przyrzeka.

Tak uspokoiwszy samego siebie, Marcel ubrał się pośpiesznie i wyszedł, ażeby zjeść śniadanie w restauracyi na bulwarze.

Dwunasta dochodziła, gdy stanął na chodniku ulicy Amsterdamskiej.

Na tejże ulicy, ale po drugiej stronie, czekał już przeszło od godziny naprzeciw jego domu jakiś młodzieniec, paląc cygaro.

Czytelnicy domyślają się zapewne, że był to Hektor Bégourde, ksiązę de Castel-Vivant.

Kiedy Marcel wyszedł, dawny artysta poznał go z opisu, jakiego mu udzieliła Lazaryna.

— To on — wyrzekł do siebie.

Pozwolił Marcelemu przejść ze dwadzieścia kroków, poczem prędko podążył do domu, z którego bramy ukazał się ten młodzieniec, i przy pomocy hojnego datku upewnił się z odpowiedzi odźwiernego, iż rzeczywiście był to ten sam człowiek, którego szukał.

Wtedy Hektor rozpoczął polowanie, a pośpieszył się tak prędko, że gdy były porucznik wszedł do kawiarni na bulwarze, Hektor znalazł się w niej w parę minut później i usiadł tak, ażeby nie stracić Marcela z oczu, bez zwrócenia na siebie jednocześnie uwagi.

Marcel bardzo zajęty myślami i bardzo zafrasowany, mały miał apetyt, jednakże śniadanie jego przeciągnęło się dłużej niż zwykle. Starał się zabić godziny, jak człowiek, który się nudzi, lub na razie ma zmieniony tryb życia.

Przeczytał z pół tuzina gazet, ani słowa nie zrozumiawszy z tych zdań politycznych, które przebiegał oczyma...

Umysł był czem innem zaprzątnięty.

Potem poprosił o papier i napisał długi list, który schował następnie do pugilaresu.

Trzecia biła, kiedy Marcel zapłacił rachunek i wyszedł.

Na ulicy czekała nań karetka, w której jeździł razem z Lazaryną, ile razy przybywała na schadzkę.

Teraz, wsiadając do niej kazał się stangretowi zawieźć do lasku Bulońskiego, przejechać po alejach i powrócić do kawiarni Helder.

Hektor, usłyszawszy to polecenie, wydane woźnicy, przestał na razie ścigać byłego porucznika i postanowił nań czekać w oznaczonej kawiarni.

Istotnie przesiedział tu przeszło godzinę z gazetą w rękę, która mu służyła za parawan, gdy zatrzymała się karetka, wysiadł z niej Marcel i wszedł do kawiarni, witając się z kilku znajomymi oficerami, usiadł pośród nich i potoczyła się ożywiona rozmowa.

Niepodobna więc było go zaczepić.

Rozwodzić się nie chcemy nad niecierpliwością Hektora, powiemy tylko, że daremnie wysiadywał w kawiarni, daremnie wyszedł później na ulicę, gdyż Laugier przechadzał się ze swymi dawnymi kolegami, i dopiero w Hektora wstąpiła nadzieja, gdy prześladowany przezeń młodzieniec kupił sobie bilet do teatru Rozmaitości.

Przysłuchawszy się z boku, Hektor kupił bilet w tym samym rzędzie co i Laugier.

A następnie gdy w sali teatralnej szedł na swe miejsce, przechodząc w krzesłach, obtarł się naumyślnie o siedzącego Marcela.

Ten jednak, zatopiony w myślach o Lazarynie, nie zwrócił na to wcale uwagi.

— A to cierpliwy! — rzekł do siebie mały książę. — Dziwna rzecz jak na oficera... Ale zobaczmy zaraz...

Pierwszy akt operetki przeszedł bez żadnego wypadku.

Zaledwie kurtyna zapadła przy ostatnim akordzie finału, Hektor opuścił swe miejsce śpiesznie, tak, żeby Marcel jeszcze nie zdążył wstać z krzesła, i z głową, podniesioną w górę, w kapeluszu na bakier, z monoklem w oku, przeszedł obok byłego porucznika i znów go potrafił, jakby nie zwracając na to uwagi.

Marcel zmarszczył brwi, usta mu się poruszyły i gotów był już powiedzieć:

— A to źle wychowany jegomość!

Lecz, nie przypuszczając, ażeby się to stało namiętnie, powstrzymał się, wzruszył ramionami i szepnął tylko do siebie z cicha:

— Awantura w teatrze... po co?

— O! — rzekł do siebie Hektor — ten dawny huzar ma cierpliwości za wiele... I tacy to ludzie grożą kobietom!.. Ciekawa też rzecz za co mogli mu dać order?

Przybrany syn Godfryda czekał z niecierpliwością końca antraktu. Zatrzymał się, dopóki nie wrócili do krzesel wszyscy widzowie, potem, kiedy już dyrektor orkiestry zaczynał dyrygować, wszedł jak przedtem z miną junacką.

Marcel, postanowiwszy unikać wszelkiego zajścia, podniósł się na wpół, cofnął kolana, tak, ażeby idącego najswobodniej przepuścić.

Ale przezorność ta była daremną wobec powziętego zamiaru przez Hektora — młodzieniec poprostu nastąpił na nogi swego rywala.

Tego było już zawiele, tego Marcel nie mógł ścierpieć. Starał się jednak nie doprowadzać rzeczy do ostateczności.

— Kiedy kto jest tak niezgrabny — rzekł głosem hamowanym, ale najzupełniej wyraźnie, — przynajmniej powinien przeprosić...

Hektor zatrzymał się.

— Czy to do mnie pan stosujesz? — zapytał z miną wyzywającą.

— Do pana, jeżeli to pan do siebie bierzesz — odparł Marcel.

— Więc to ma być nauczka?

— A tak.

— Ja sam je daję niekiedy, ale nigdy ich nie przyjmuję...

— A ja daję często je młodzieniaszkom, źle wychowanym...

— Zuchwalcze!.. — zawołał Hektor, podnosząc rękę...

Ale ręka ta nie opadła.

Marcel schwycił pięść swego przeciwnika i ścisnął tak, że o mało co nie zgruchotał. Jednocześnie podchwycił:

— O! tego zanadto!.. Bez brutalstw... zobaczymy się po akcie.

— Spodziewam się... — wyszeptał księżę, prostując pięść zgniecioną i przedostając się na swoje miejsce.

Był już wielki czas.

Kurtyna się podniosła, a publiczność już głośno poczyniała szemrać, że ci dwaj panowie przeszkadzają jej swą rozmową i zasłaniają widok.

Akt ciągnął się niedługo i kurtyna zapadła.

Marcel opuścił miejsce swe, rzucając Hektorowi spojrzeń, które mówiło wyraźnie:

— Pójdź pan, czekam na pana.

XLII.

Hektor Bégourde odpowiedział również wzrokiem:

— Nie dam na siebie czekać.

Spotkali się na korytarzu.

Marcel Laugier był bardzo spokojny, ani na chwilę nie stracił zimnej krwi.

— Pan widzi, że niepodobna tu rozmawiać swobodnie — wyrzekł półgłosem, kłaniając się Hektorowi. — Czy zecheesz pan towarzyszyć mi na bulwar?

— I owszem — odparł były malarz skłoniwszy się również Marcelowi Laugier.

Przeciwnicy wyszli razem i zatrzymali się na ulicy Vincenne.

— Panie — odezwał się Marcel chłodno, lecz bynajmniej nie wyzywająco — pozwól mi przedstawić pokrótce fakty: Trzy razy potrafiłeś mnie z uporczywością tak nieprawdopodobną, że uważałbym ją za obmyśloną zniewagę, gdyby nie to, że jesteśmy dla siebie całkiem obcy... Za pierwszym i drugim razem nie powiedziałem nic i zdziwiła może pana moja cierpliwość. Cóż pan chcesz? ja uważam za rzecz śmieszłą igrać z życiem dwóch mężczyzn, z powodu potracenia, zapewne mimowolnego... Za trzecim razem odezwałem się z uwagą... Było to moje niezaprzeczone prawo...

— A ja miałem niezaprzeczone prawo tej uwagi nie przyjąć — przerwał Hektor.

— Tak, ale jest sposób i sposób wyrażać swe myśli... Gdybyś pan poprzestał na odpowiedzi trochę grzeczniej, bylibyśmy się porozumieli mniej więcej zgodnie podczas antraktu, ale pan podniosłeś na mnie rękę, a jeśli ona nie opadła, to tylko niezależnie od pańskiej woli... Ja wiem, żeś policzek otrzymał... Tak poważna zniewaga wymaga już nie usprawiedliwień, lecz zadość uczynienia... Sprawa nie może się zatrzeć...

— Alboż ja wyglądam na człowieka, który zacierą sprawy?.. — zapytał Hektor szyderczo.

Marcel skłonił się.

— Nie zaprzeczasz mi pan charakteru obrażonego, nieprawdaż? — podchwycił były oficer.

— Mógłbym z pewnością, bo podniosłem na pana rękę, po to, ażeby odpowiedzieć na uwagę

zuchwałą, ale nie obchodzie mnie wcale wybór broni...

— Sekundanci moi czekać będą na pańskich u mnie, jutro od południa. Nie śmiem oznaczać godziny wcześniejszej, gdyż nie wiem, czy spotkam wieczorem mych przyjaciół...

— Dobrze, od południa.

— Mam zaszczyt pana pożegnać...

— Sługa pana...

Obaj młodzieńcy rozstali się w sposób najzupełniej przyzwoity i o kilka kroków od siebie zawrócili w stronę teatru...

— Słowo honoru — pomyślał Hektor — chłopiec ten nie tak znów mi się bardzo nie podobał, jak sądziłem... prezentuje się wcale dobrze... Gdyby nie to, że Lazaryna mi mówiła, nigdybym nie przypuszczał, że to brutal, prześladujący kobiety.

Marcel Laugier zatrzymał się przy latarni gazowej i spojrzał na bilet wizytowy, który mu wręczony został przez przyszłego przeciwnika.

Bilet ozdobiony był herbem i koroną książęcą.

— *Książę Hektor de Castel - Vivant* — podchwycił były oficer prawie głośno z głębokim zdziwieniem. — Więc to książę... — dodał — a nawet prawdziwy książę... nazwisko jest mi znane... To wyzwanie i tak już dziwne, staje się jeszcze bardziej zdumiewającym, bo książęta nie mają zwyczaju pojedynkowania się bez przyczyny z pierwszym lepszym... a ja właśnie jestem pierwszym lepszym dla tego mło-

dego książątka... A jednak na awanturnika nie wygląda...

Marcel myślał jeszcze przez chwilę, a potem dodał:

— A! wiem już... Zapewne to elegancik, polujący na pierwszy pojedynek... Nie dba zatem o powód i o przeciwnika, byleby się bił... Wszystko to się tłómaczy...

XLIII.

Nazajutrz o godzinie trzeciej po południu Hector przybywał do salonu, przepelnionego gośmi, przy ulicy Murilla.

Lazaryna która go nie widziała w przeddzień wcale, i zaczynała się niepokoić brakiem wiadomości o nim, poczęła go badać spojrzeniem...

Książę odpowiedział poruszeniem głowy w sposób znaczący.

— Musi być coś — pomyślała margrabina — wieczorem będę wiedziała, czego mam się trzymać...

Tegoż samego dnia, około godziny szóstej Juliusz Leroux przechadzał się po bulwarze Włoskim. Spotkał Marcela Laugiera, z którym jak wiemy, był na stopie uprzejmej.

— Witaj, kochany panie — rzekł doń, biorąc młodzieńca pod ramię. — Nigdzie cię, nie widać... Co się z panem dzieje... Czyś wyjeżdżał z Paryża...

— Bynajmniej — odparł były oficer — ale pędzę życie odosobnione...

— To przyjaciele pańscy, do których się liczę, mogą mieć żal do pana... Cóż nowego?..

— Nic... Tylko mam pewną nieprzyjemność...

— Cóż takiego?

— Pojedynek jak najzabawniejszy, bo bez żadnego powodu... przynajmniej bez powodu poważnego...

— Pojedykujesz się pan! — zawołał Juliusz Leroux.

— Jutro zrana.

— Ale pojedynek ten jeżeli nie ma powodu, musi mieć jednak jakiś protekst?

— Głupią sprzeczkę w teatrze, z zuchwałym zdechłaczkiem.

— O kobietę...

— Bynajmniej... Zdechłaczek nastąpił mi na nogę... a nie podobały mu się uwagi, z jakimi się wobec tego odezwałem...

— Wszystko, co pana dotyczy, bardzo mnie obchodzi... Któż jest pańskim przeciwnikiem?

— Książę Hektor de Castel-Vivant!

Juliusz Leroux drgnął.

— Bé gourde. — pomyślał. — Albo się bardzo mylę, albo też Lazaryna zamieszana jest w tę sprawę, chociaż ten pocziwiec ani się domyśla...

— Czy znasz pan księcia? — zapytał Marcel Laugier.

Były bankier nie chciał narażać swej córki ani też siebie, odpowiedział więc:

— Znam go z nazwiska i z widzenia... Ale opowiedz pan, jak się to stało...

Marcel opowiedział wypadki, znane już naszym czytelnikom.

Kiedy skończył, Juliusz Laroux uścisnął mu rękę z miną rozrzewnioną, życząc mu szczęśliwego powodzenia; potem, zamiast pójść na obiad do kawiarni Angielskiej, jak miał wprzód zamiar, zawołał dorożkę i kazał się zawieźć na ulicę Murilla.

XLIV.

Juliusz Leroux zastał Lazarynę w pokoju sypialnym z mamką małego Raulu.

— Przychodzisz na obiad, papo? — zapytała margrabina.

— Tak, jeżeli ci nie zrobię subjekeji.

— Ojciec mi nigdy nie robi subjekeji, a dzisiaj tem przyjemniej dla mnie, żeś przyszedł, bo jestem sama i nudzę się.

Wydała rozkazy służbie, poczem mówiła dalej:

— Zanim nakryją do obiadu, zachwycaj się tymczasem swoim wnukiem.

Lazaryna wzięła krzyczące dziecko z rąk piastunki i podała je ojcu.

Juliusz Leroux ucałował je delikatnie.

— Prawda, że ładny? — rzekła młoda matka, która się nie bardzo zajmowała wątlą istotką, ale lubiła je jak ładne i wartościowe cacko.

— Ładniuchny! A mina, słowo honoru, dystyngowana. Nieprawdaż, że podobny do mnie bardzo?

— A tak, papo — odpowiedziała Lazaryna ze śmiechem. — Wykapany twój portret... No, ale zabierz go Marysiu.

Mamka Marysia, wzięła dziecko, a jednocześnie ojciec z córką przeszli do salonu.

— Wiesz, po co przyszedłem? — zapytał były bankier.

— No, na obiad, wszak już powiedziałeś.

— Tak, ale nie tylko po to... Mam ci powieścić wielką nowinę...

— O!

— Która cię zajmie niezawodnie...

— To powiedz ją zaraz...

— Zgadnij, kogo spotkałem na bulwarze przed kwadransem?..

— Papo, umrę z niecierpliwości, zkądże mogłabym zgadnąć.

— Spotkałem się z Marcelem Laugier...

— A cóż mnie to może obchodzić?

— Marcel Laugier pojedynkuje się jutro zrana... — ciągnął dalej Juliusz Leroux, rachując się z efektem — i pojedynkuje się z kimś, kogo znasz bardzo dobrze...

— Ja znam?..

— A tak dawnego Bégourda... młodego księcia de Castel-Vivant...

— Doprawdy! — rzekła Lazaryna, niewzruszona. — A z jakiego powodu ten pojedynek?..

— Podobno jakaś sprzeczka w teatrze... ale to tak na pozór.

— Na pozór... Więc o cóż właściwie idzie?..

Juliusz Leroux uśmiechnął się znacząco i zapisał:

— To naprawdę się nie domyślasz?

Lazaryna przybrała niewinną minę i odrzekła:

— Nie rozumiem cię, ojcze.

— Więc ty wcale się w to nie mieszasz?..

— Nie wiedziałam nawet, że księżę zna pana Langier... nigdy się u mnie nie spotkali...

— A właśnie wcale się nie znali, i to Bégourde wyzwał Marcela za jakąś drobnostkę. Moznaby myśleć, że działał z czyjegoś rozkazu.

— Jeszcze mniej cię rozumiem. A gdzież i kiedy ma się odbyć pojedynek?

— Jutro zrana o dziewiątej, w Ville d'Avray na drodze przy stawie.

Lazaryna mimowolnie drgnęła...

Przypominała sobie to miejsce...

Kilka tygodni temu — jakeśmy powiedzieli — jadła obiad z Marcelem, w Ville d'Avray, w owej restauracji, która podobna jest do domku, zbudowanego z kart.

Po obiedzie, korzystając z cudnej pogody, przechadzała się przy blasku księżyca dokoła stawu pod

rękę z porucznikiem, po tej samej ścieżce, na której jutro może, i to z jej rozkazu padnie Marcel trupem.

Kontrast ten zbyt był uderzający, ażeby jej nie wzruszyć, ale wzruszenie trwało zaledwie kilka sekund.

— Papo — odezwała się — chcesz być prawdziwie kochanym ojczulkiem?

— Przecie byłem nim zawsze... ale co mam zrobić?

— Pojedynek, w którym osoby biorące udział zna się dobrze, jest bardzo interesujący... Ja, przyznaję, jestem bardzo ciekawa dowiedzieć się, jaki będzie rezultat?

— Bardzo dobrze... Będę czekał u Marcelego na jego powrót i zaraz przybiegnę do ciebie z nowinami...

— Lepiej zrób... jedź jutro zrana do Ville-d'Avray... Bądź przy pojedynku i daj mi zaraz znać...

Bankier usiłował to córce wyperswadować, ale tak nalegała, że wreszcie musiał jej przyrzec.

Tegoż wieczora, w trzy godziny później, karetka z latarniami czerwonymi, stała w alei Ruysdaela, obok sztachet parku Monceaux.

W karecie tej znajdował się Hektor, wzruszony niezwykle tą myślą, że pani Tour-du-Roy miała dla księcia Castel-Vivant uczynić to, co niegdyś czyniła nieraz dla malarza Bégourde, spotykając się z nim tajemniczo w ciemnościach...

Lazaryna, dowiedziawszy się od ojca, co się dzieje, byłaby chętnie powstrzymała się od tej wycieczki

nocnej. Ale obiecała tak stanowczo, a książę życie narażał przez posłuszeństwo dla niej, więc byłoby nieopatrzenie z jej strony nie dotrzymać słowa.

Zresztą należało dać mu ostatnią zachętę, i zelektryzować go pocałunkiem, pierwszym, jakiby od niej otrzymał, gdyż przy zalecankach to na bulwarze Hausmana, to w parku Tour-du-Roy, usta Bégourda zaledwie dotknęły tylko końca paluszków Lazaryny.

Kilka minut brakowało do dziesiątej, gdy Hektor usłyszał na chodniku asfaltowym odgłos szybkich kroków lekkich, tych samych, jakie przyspieszały dawniej w alei Hortensji bicie serca Marcela.

Postać smukła zatrzymała się przy powozie, głowa, zasłonięta koronkami, ukazała się w oknie karetki i głos Lazaryny zapytał:

— Czy to ty, drogi książę?

Wszystko, co Hektor powiedzieć miał pani Tour-du-Roy, wiemy już dobrze. Obecny więc nie będziemy przy rozmowie, która zresztą trwała krótko.

Wpół do jedenastej biło, kiedy margrabina wróciła do swego pałacyku.

Cel został osiągnięty.

Pocałunek, złożony na czole Hektora, przejął dostateczną ilością elektryczności serce i nerwy księcia de Castel-Vivant.

* * *

Nazajutrz zrana, około godziny ósmej, dwie karety przywoziły przeciwników i sekundantów ich na

miejsce spotkania w pobliżu Ville d'Avray i znajdującej się tam restauracji.

Przyjeżdżającym przyglądał się z okna jednego z gabinetów Juliusz Leroux, który zgodnie z życzeniem córki, przybył także na miejsce i zajął punkt obserwacyjny.

Przeciwnicy zatrzymali się na polance, wśród gaju, naprzeciw restauracji, gdzie jadł śniadanie był bankier.

Rozlosowano szpady, rzucając w powietrze dwudziestofrankówkę.

Przypadek, sprzyjający Marcelowi, zrzucił, iż użyć miano broni, przywiezionej przez niego.

Hektor się uśmiechał. Miał on minę tak spokojną, bez najmniejszej troski; najmniejszego nie zdradzał wzruszenia, tak, że niktby nie był uwierzył, że się pojedynkuje po raz pierwszy w życiu.

Obaj przeciwnicy zdjęli surduty i stanęli naprzeciw siebie na długość szpady.

W równym prawie wieku i prawie tego samego wzrostu, obaj byli bardzo przystojni, ale przedstawiali sobą zupełnie odmienne typy.

Nieco wychudła twarz Marcela, kształty jego smukłe i nerwowe, niezmiernie regularne, znamionowały niezwykłą siłę i energię.

Hektor, również dobrze zbudowany, ale o liniach bardziej zaokrąglonych, wdzięczniejszych. Całość była więcej kobieca, albo inaczej mówiąc, mniej męzka.

Wyraz twarzy także się różnił.

Marcel wyglądał poważnie, prawie ponuro, jak człowiek, który bez dostatecznego powodu ma zabić może lub umrzeć.

Księżę uśmiechał się, jak przed rozpoczęciem zabawy.

Zresztą spokój ich był jednakowy, a zimna krew jednego mogła współzawodniczyć z niewzruszoną drugiego.

Julusz Leroux w swej spostrzegalni na górnem piętrze restauracji pozwalał stygnąć kotletom.

Wyjął z kieszeni lornetę dużego kalibru i, przyłożywszy ją do oczu, przyglądał się jakby widowisku, bez wzruszenia.

Marcel Laugier był dobrym szermierzem drugiego stopnia. Nauczył się robić bronią od fechtmistrza korsykańskiego, a taktyka ta dziwaczna, jaką sobie przyswoił, a zarazem duża zręczność i wprawa czyniły go niebezpiecznym nawet dla potężniejszych od niego przeciwników.

Hektor był nowicjuszem, ale przynosił zaszczyt swoim nauczycielom fechtunku. Spokojny i uśmiechnięty, gotów był do odbijania ciosów, przed przejściem do atakowania.

Wszczęła się walka.

Marcel pragnął dać nauzkę młodemu księciu którego wyzwanie zirytowało go wielce, od początku więc użył całej swej zwinności i wprawy, ale nie mógł dotknąć Hektora.

Taktyka tego ostatniego była prosta.

Cheąc, jeżeli nie zabić byłego porucznika, to przynajmniej zranić go tak poważnie, ażeby uwolnić Lazarynę od jego prześladowań nieznośnych, postanowił go zmęczyć i czekał sposobności dla zadania pewnego ciosu.

Z zadziwiającą też przytomnością umysłu korzystał z nabytej wprawy w lekcjach fechtunku, zasłaniał się szpadą jak puklerzem i zwycięzko odpierał najcięższe ataki.

Marcel zdziwiony tym oporem biernym, po za którym domyślał się jakby zasadzki, ożywiał się, coraz bardziej się irytował i denerwował.

Blade jego policzki stawały się ponsowemi i kilka kropli potu perliło się na włosach; oddech wydobywał się przez zaciśnięte zęby syczący, zdradzając gwałtowne poruszanie się piersi.

Nacierał zawzięcie bez żadnego skutku, a jednocześnie gdy gniew go ogarniał coraz bardziej, zjawiało się i znużenie.

Hektor zaś nie bardziej wzruszony, niż w chwili gdy miał skrzyżować żelazo ze szpadą przeciwnika, odbijał dalej ciosy, wciąż z tym samym uśmiechem.

W tym stanie umysłu, w jakim się znajdował obecnie Marcel, ten ciągły uśmiech wydawał mu się nowem wyzwaniem, szyderstwem, zniewagą, i dlatego przyprowadzał go do wściekłości. Podwoił wysiłki. Teraz zwyczajna rana wydawała mu się zbyt bagatelną rzeczą dla jego zemsty. Szpada jego biegła jak błędne ogniki, szukając prostej drogi do piersi nieprzyjaciela...

Hektor, olśniony błyskiem żelaza przez setną część sekundy, zapóźno się zasłonił. Cios prosty Marcela zdarł mu skórę na ramieniu, tworząc ranę długą na kilka centymetrów, ale nie głęboką.

Jakkolwiek rana była lekka, krew trysnęła obficie. Rękaw koszuli stał się czerwonym.

Natychmiast też sekundanci wdali się między walczących, jak było to ich obowiązkiem i walka była przerwana.

Chirurg rozciął płótno i od pierwszego rzutu oka stwierdził, że koniec szpady rozdarł tylko powierzchnię ciała.

— Honorowi stało się zadość — wyrzekli sekundanci — krew popłynęła; na tem winna się sprawa skończyć.

Jeżeli nie zbyt chętnie, to przynajmniej bez zbyt wielkiego oporu, Marcel byłby się na to zgodził, ale Hektor — którego pobudki znamy, — utrzymywał, że pojedynek, wstrzymany z powodu zadrapania, byłby tylko żartem, i nalegał, ażeby natychmiast wziąć znów szpada do ręki.

Sekundanci musieli wreszcie zgodzić się na to. Szpady znowu się skrzyżowały.

Widok własnej krwi sprawił na przybranym synu Godfryda zwykle wrażenie.

Z kolei on się też ożywił.

Zrozumiał, że mało brakowało, ażeby szpada byłego oficera, zamiast drasnąć ramię, przedziurawiła mu piersi.

Otóż bogaty, szczęśliwy, i jak myślał kochany, nie chciał bynajmniej umrzeć. Wyrzekając się więc bierności obronnej, zaczął sam atakować.

Tydzień temu wyborny jego nauczyciel fechtunku nauczył go mało znanego pchnięcia, które obecnie postanowił zastosować w praktyce.

Zgiął kolano i, zrobiwszy najprzód fałszywe pchnięcie, z całą siłą podając się naprzód, zadał cios Marcelemu.

Ale były porucznik ruch ten zauważył i dla odbicia go nadstawił szpadę, a Hektor, rzuciwszy się zbyt naprzód, sam się na nią natknął.

Szpada przeciwnika przeszła mu piersi.

Hektor jęknął przeciągle i, wypuściwszy broń swą bezużyteczną, zachwiał się z wyciągniętymi rękoma.

Byłby upadł na ziemię, gdyby go nie podtrzymali sekundanci.

— Panowie — wyrzekł kochanek Lazaryny z wyrazem twarzy bardzo zasmuconym, patrząc na swoją szpadę zakrwawioną — w rozpaczę jestem z powodu tego nieszczęśliwego ciosu. Byłem wyzwany, a Bogu wiadomo, że nie chciałem śmierci pana de Castel-Vivant... Oddacie mi, panowie, tę sprawiedliwość, że się zachowywałem, jak człowiek honorowy...

Sekundanci skłonili się na znak potwierdzenia.

Złożyli na murawie ciało swego przyjaciela, opierając je o pień drzewa...

Blady, omdlały, z zamkniętymi oczyma, Hektor oddychał z trudnością.

Chirurg znowu rozciął koszulę i zbadał ranę; przyglądał się długo, kiwając głową z miną nie zwiastującą nic dobrego.

— I cóż? — zapytał Marcel, a widoczne było, że go oględziny lekarza wielce zaniepokoiły.

— Albo się grubo myłę — odparł doktor — albo biedny chłopiec ten jest zgubiony... a nie zdaje mi się, ażebym się mógł mylić...

XLV.

— Zgubiony! — powtórzył Marcel z przygnębieniem. — Jakto niema nadziei?..

— Niestety... — odezwał się lekarz.

— Ale pan będziesz go ratował!.. — podchwycił były porucznik.

Chirurg przewiązał rękę Hektorowi i ukłął żyłę. Krew popłynęła zrazu wolno, prawie kropla po kropli, kreśląc purpurową smugę na białości skóry...

Po kilku sekundach trysnęła z większą siłą.

Na usta rannego mniej już występowało krwawej piany.

Hektor westchnął, ale nie otworzył oczu i nie odzyskał przytomności.

— Czy trochę nie lepiej? — zapytał były porucznik.

— Zapewne, ale nie chciałbym dawać nadziei daremnych... Przedewszystkiem trzeba byłoby ranne go przenieść do jakiego miejsca wygodnego.

— Jest tu naprzeciwko oberża, po drugiej stronie stawu — odpowiedział Marcel.

— To niech który z panów — rzekł doktor, zwracając się do sekundantów Hektora — idzie do tej oberży i wraca z ludźmi i noszami.

— Ja pójdę — odezwał się Marcel. — Ja znam tę oberżę...

I oddalił się szybko...

Juliusz Leroux, uzbrojony w dobrą lornetkę, widział dokładnie cały przebieg tego pojedynku, zobaczył też Marcela Laugier, zmierzającego do restauracyi.

Po co przychodził?

Były bankier, którego ciekawość dosięgła najwyższego stopnia, zszedł z pierwszego piętra na dół i był pierwszą osobą, z którą się spotkał młodzieniec.

— Pan tutaj! panie Leroux?.. — zawołał.

— A tak, mój drogi przyjacielu...

— Co za szczególny traf?..

— Wcale nie traf — przerwał najlepszy z ojców — ja tak wielce interesuję się tobą, że chciałem się jak najprędzej przekonać, czy ci się nie przytrafiło co złego...

— O! drogi panie... godzien jestem pożalowania...

— Nie tak znów bardzo, jak mi się zdaje, ponieważ wyszedłeś z tej sprawy nawet bez zadraśnięcia...

— Wolałbym stokroć być zranionym, nawet poważnie, niż zabić swego przeciwnika.

— Książę nie żyje? — zapytał Juliusz Leroux.

— Nie zupełnie, ale chirurg nie ma żadnej nadziei...

— Tem gorzej... Prawdziwe nieszczęście w wieku księcia... zwłaszcza gdy się ma milion dochodu... Rzeczywiście na tym świecie życie ludzkie wisi na takim włosku... Mimowoli każdy na myśl o tem staje się filozofem...

W dwadzieścia minut później dwaj służący restauracyjni, zaopatrzeni w nosze improwizowane, przynieśli ciało bezwładne ranionego; złożono je na posłaniu w małym pokoju przy tarasie.

Na tym właśnie tarasie przed kilkoma tygodniami Marcel jadł obiad z Lazaryną.

Juliusz Leroux dokończył obfitego śniadania i zapłacił rachunek.

Wszedł do pokoju, który stał się podobnym do kaplicy pogrzebowej, potem, upewniwszy się na własne oczy, iż syn przybrany Godfryda, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przejdzie z omdlenia w stan śmierci, kazał zaprzęgać do swego powoziku wynajętego i pojechał do Paryża, paląc doskonale cygaro, z tą powagą filozoficzną, z jakiej się szczylił.

Zatrzymał się nawet pięć minut w kawiarni Kaskady, ażeby dokończyć trawienia, przy pomocy gorącej szklanki grogu.

Około pierwszej przybył na ulicę Murilla.

Lazaryna czekała oddawna, niecierpliwa i zgorączkowana.

— Tak późno przychodzisz!.. — zawołała.

— El — odparł Juliusz Leroux — to daleko ztąd do Ville-Avray zwłaszcza gdy się ma lichego konia...

— Przynosisz mi nowiny?..

— Naturalnie... Gdyby nie to, po co byśmy mieli się oboje trudzić. Byłem jak w łoży pierwszego piętra, a miałem do patrzenia wyborną lornetkę... przedewszystkiem muszę przyznać, że obaj dzielnie wyglądali... Zuchy co się zowie!.. przynajmniej takimi byli, bo niestety...

— Jeden z nich umarł? — zapytała Lazaryna, dysząc ze wzruszenia.

— Jeżeli nie umarł, to już prawie nie żyje... Chirurg wojskowy skazał go na śmierć... nieodwołalnie...

— Ale któryż to, mój Boże!.. który?

— O! o! to cię intryguje... No, nie będę cię niecierpliwił ogólnikami... Szczerze nie miał Bégourde... to jest chciałem powiedzieć książę Hektor de Castel-Vivant...

Margrabina zbladła.

— Książę de Castel-Vivant... — powtórzyła głucho — powiadasz, że książę umarł?

— Teraz to już zapewne, bo ledwie oddychał, gdy odjeżdżałem...

Pani Tour-du-Roy powstała blada, z drżącemi ze wzruszenia rękoma i z wybuchem gniewu, jakiego się ojciec nie spodziewał, zawołała:

— Marcel Laugier zabił księcia!.. O! nędznik!..
I dziesięć razy raz po raz powtórzyła.

— Nędznik!.. nędznik!..

— O! — zapytał najlepszy z ojców — toś ty kochała tego Hektorka?

— Kto ci mówi o kochaniu? — odparła margrabina gwałtownie. — Chciałam jego milionów... chciałam jego tytułu... Przysięgłam sobie, że zostanę księżną... A zresztą, kto wie?.. Może go kochałam... Tak, zdaje mi się teraz, że go kochałam... O! Marcela tego nienawidzę! to moja plaga ten człowiek...

— Z czym znowu plaga? — zapytał Juliusz Leroux tonem zdziwionym. — Czyżby między nim a tobą było coś tak szczególnego, o czym ja nie wiem?

Lazaryna wzruszyła ramionami.

— Może mnie będziesz wypytywał? — rzekła. — Czyż ja mam zdawać rachunki przed tobą, co?.. Zostaw to i opowiedz mi o tym pojedynku... Widziałeś wszystko... Powiedz mi wszystko... Chcę wszystko wiedzieć...

Były bankier posłusznym stał się natychmiast, a córka jego słuchała z uwagą okrutną, ze wzruszeniem głębokim, ale w oczach jej nie zabłysła ani jedna łza.

Kiedy skończył opowiadanie, Lazaryna zapytała:

— Więc w Ville d'Avray zostawiłeś nieszczęśliwego księcia?

— Nie można go było przewozić, byłby umarł w drodze... Przywiozą jego ciało do Paryża na pogrzeb... a będzie to wspaniały pogrzeb... jeżeli spad-

kobiercy mają choć trochę wstydu... Ale czy chłopiec ten bez rodziny ma jakich spadkobierców, to pytanie. Miliony jego przypadną może skarbowi.

— I niema wcale nadziei?.. — podchwyciła Lazaryna zamysłona, nie słuchając gadaniny ojeowskiej.

— Ani najmniejszej... Mam tylko nadzieję spodziewać się, że mój przyjaciel Godfryd, jako człowiek rozsądny zabezpieczył się dostatecznie... i że będzie otrzymywał nadal dożywocia sto tysięcy franków.

Margrabina tymczasem mówiła do siebie:

— Książę kochał mnie, to pewna... A gdyby pomyślał o napisaniu testamentu przed tym fatalnym pojedynkiem!.. z pewnością zostawiłby mi cały swój majątek... Jak ja o tem nie pomyślałam...

— A teraz — ciągnął dalej Juliusz Leroux — spełniłem sumiennie moje zadanie... Powinnaś być zadowolona ze swego ojca, chyba, że ci niczem nie można dogodzić... Nie mamy sobie już nic do powiedzenia; pójdę do Godfryda opowiedzieć mu wszystko i zobaczyć, jak się on uregulował z interesami. Do widzenia, moja piękna margrabino.

— Poczekaj... — odparła Lazaryna. — Ty nie masz mi już nic do powiedzenia, ale ja mam...

— Co takiego?

— Dziś dzień złych wiadomości... Otrzymałam zrana list z zamku de Gordes...

— Od Renaty?..

— Nie, od Raula...

— I cóż?..

— Nasza droga Jańcia bardzo źle...

— Biedna hrabina!... — szepnął Juliusz Leroux — zmartwiłem się tem bardzo, słowo honoru...

XLVI.

Kiedy Juliusz Leroux wyszedł, Lazaryna rozkazała służącym nikogo nie wpuszczać z gości, a sama ponura, milcząca, z oczyma wciąż suchemi, ze spojrzaniem osłupiałem, pozostała aż do wieczora wyciągnięta na szeslongu w stanie, graniczącym z zupełnym zdrętwieniem.

Pozory zwodniczel!

Pani Tour-du-Roy nie była taką kobietą, ażeby poddać się zupełnie przygnębieniu. Burza szalała w jej mózgu, burzyła się wobec doznanego zawodu, a gniew, jakkolwiek hamowany, niemniej jednak był straszny.

— Plany jej, jak najlepiej obmyślane, runęły w opłakany sposób.

Broń, której chciała użyć, zwróciła się teraz przeciw niej samej

Jakąż głęboką nienawiść czuła w tej chwili Lazaryna przeciw temu człowiekowi! jakież budziły się w niej marzenia zemsty!..

Godziny biegly, a młoda kobieta, zatopiona w rozmyślaniach, wcale tego nawet nie spostrzegala.

Dopiero, gdy zmrok zupełnie zapadł, myśli jej wzięły nagle inny obrót.

— Zresztą nie dowodzi jeszcze, ażeby umarł — odezwała się prawie głośno. — Doktorzy mylą się nieraz. Muszę sama zobaczyć ..

Zadzwoiła na lokaja i kazała zaprządz do karety, poczem ubrała się przy pomocy pokojówki.

— Daj mi suknię czarną — rzekła do niej — ale jak najzwyczajniejszą. Będę jadła obiad u mego ojca.

W dziesięć minut Lazaryna była ubrana, ale, nie poprzestając na woalce u kapelusza, wsunęła do kieszeni inny jeszcze woal bardzo długi i gęsty, jaki nieraz zarzucała na siebie jakby mantylę hiszpańską.

Lokaj oznajmił, że kareta czeka.

— Do mego ojca! — zawołała na stangreta, otwierając drzwiczki.

Juliusz Leroux, odkąd Renata przeniosła się do zamku Gordes, prowadził znów życie kawalerskie i nie mieszkał już w pałacu, wynajął i umeblował sobie małe mieszkanko na bulwarze Magdaleny.

W pięć minut kareta margrabiny zatrzymała się przed bramą.

— Czy trzeba zaczekać na panią margrabinę? — zapytał lokaj.

— Nie.

— O której godzinie przyjechać po panią margrabinę?

— O północy... A może sam ojciec mnie odwiezie...

I Lazaryna weszła do domu, ale nie po to, ażeby pójść do Juliusza Leroux, którego prawdopodobnie nie było w domu, ale po to, ażeby służący odjechali z kareta.

Po chwili wyszła z bramy. Kareta już znikła.

Noc zapadała. Gaz, zapalony w sklepach, rzucał smugi świetlane na całej linii bulwarów.

Margrabina zawołała karetkę do najęcia.

W pół godziny później jechała już przez most na Sekwanie.

Pogoda była ładna, ale niebo bez gwiazd nie słało żadnego światła na ziemię. Latarnie karetki rzucały jedynie blask drżący na drogę.

Ta jazda w nocy, w najzupełniejszej samotności, wśród głębokiej ciszy, ta podróż, mająca na celu zobaczenie trupa człowieka, zabitego dopiero zrana, była straszliwie smutną. Lazaryna czuła, że się jej serce ścisza i jakkolwiek wcale nie była zabobonna, jednakże nie mogła się oprzeć złowrogim przeczuciom, które ją opanowały.

Bała się prawie.

Gorzej było jeszcze, gdy karetką potoczyła się bez najmniejszego turkotu wśród wysokich drzew, okalających drogę do Villeneuve.

Gałęzie, gęsto liśćmi obrosłe, łącząc się z sobą u góry po nad gościńcem, podwajały ciemność. Zdało się, że karetką wjeżdża w głąb kopalni węgla. To znów, gdy słaby blask padał z latarni na drogowskazy, tu i owdzie umieszczone na drodze, przybie-

rały one postać kościotrupów, wyciągając kościste ręce ku jakiemuś złowrogiemu miejscu.

Wtedy margrabinie zdawało się, że widzi młodego księcia z piersią przedziurawioną, zakrwawionego trzymającego się zaledwie na nogach.

Zdawało się jej, że słyszy, jak on szepcze:

— Umieram, Lazaryno... i to dla ciebie!..

Wreszcie dostała się na długą aleję Ville d'Avray, i halucynacje, owe córy ciemności, rozproszyły się zupełnie; nie dlatego, ażeby ulica była bardziej oświetlona, ale że głosy dolatywały z szynków, z pozamykanymi oknami, a rzadcy przechodnie dążyli do domów...

Była dopiero dziewiąta wieczorem, ale o tej godzinie, dość jeszcze wczesnej, okolica podmiejska już zasypia.

Pani Tour-du-Roy, wychyliwszy się przez okienko karety, rozglądała się bacznie, chcąc poznać dom, gdzie była raz jedyny.

Wspomnienia jej zbudziły się dopiero, gdy przejeżdżała przez małą uliczkę, prowadzącą do stawu. Powóz prywatny, stojący przed bramą oberży, dał jej prawie pewność, że się wcale nie myli.

— To musi być powóz doktora — rzekła do siebie i kazała zatrzymać się karetee.

Młoda kobieta zakryła twarz gęstym woalem, który tak przezornie zabrała z sobą, wysiadła i pchnęła nawpół uchylone drzwi, po za którymi rozmawiało kilka osób.

Znalazła się w sali dość obszernej, gdzie z pół tuzina gości piło piwo i paliło tytoń, rozprawiając o dramatycznych wypadkach dnia tego.

Wejście Lazaryny, jej elegancka postawa, bogactwo kostjumu czarnego, który uważała za bardzo skromny, woal, służący jej za maskę, wszystko to sprawiło wielkie wrażenie.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku niej a ciska najzupełniejsza przerwała ożywioną rozmowę.

Gospodarz zbliżył się ku Lazarynie.

— Czem pani służyć? — zapytał z grzecznością interesowaną, człowieka, który trzyma potrójny zakład, oberżę i kawiarnię od strony ulicy, a restaurację od strony stawu.

Margrabina odpowiedziała pytaniem:

— Młodzieniec, zraniony dziś w pojedynku, jest u pana, nieprawdaż?

— Tak, pani... Książę pan... bo to książę... książę pan jest w moim domu.

— Czy żyje jeszcze? — wyszeptała Lazaryna przygasłym głosem.

— Przynajmniej przed chwilą żył... ale nie przetrzyma nocy... Lokaj jego, który tu jest, mówił mi, jedząc obiad, że będzie musiał szukać sobie innego miejsca... Zresztą przyjechał doktor z Paryża... Słynny doktor... już dzisiaj trzeci... Powóz jego stoi przed bramą...

— Chciałabym zobaczyć się z rannym... — podchwyciła margrabina. — Czy można?

— Dlaczego nie?.. jeżeli doktor nie będzie miał nie przeciw temu... Zaprowadzę panią i pomówimy z lokajem.

Oberżysta-restaurator wziął lichtarz ze świecą i poprowadził młodą kobietę przez korytarze wązkie, potem przez mały ogródek, wreszcie po schodach skrzypiących zawiódł ją do pustego przedpokoju i zapukał do drzwi sąsiednich.

Lokaj, bardzo porządnie wyglądający, z faworytami angielskimi i miną odźwiernego ministerjum, wyszedł natychmiast.

— Czego pan chcesz? — zapytał pocichu.

— Ja, nie — odparł oberżysta — ale pani pragnęła złożyć wizytę rannemu panu...

Lokaj spojrział na Lazarynę ze zdziwieniem.

Twarz młodej kobiety okryta była woalem, ale postawa znamionowała kobietę światową.

Lokaj poznał się na tem i odezwał się tonem pełnym uszanowania:

— Pani zna księcia pana?

— Tak... — szepnęła margrabina.

— Pani wie, że pan nie może ani słyszeć, ani odpowiedzieć?..

— Nie myślę wcale mówić do księcia, ale gdyby miał umrzeć, czego Boże nie daj, chciałabym go zobaczyć jeszcze po raz ostatni...

— Nie mogę panią wprowadzić, gdyż nie jestem sam przy panu, ale zapytam doktora, i jeżeli się zgodzi...

— Zrób to... — podchwyła Lazaryna, kładąc luidora do ręki lokajowi — a prędko. Zaczekam...

— To musi być jakaś kochanka pana — pomyślał służący, opuszczając przedpokój — ale nie kokotka... za to ręczę... nigdy nie była u nas...

Po chwilowej nieobecności, znowu się pokazał.

— Może pani wejść — rzekł.

XLVII.

Lazaryna weszła.

Lokaj oddalił się delikatnie i zamknął drzwi po za sobą, zostawiając młodą kobietę z rannym i z doktorem.

Pokój, dokąd weszła pani Tour-du-Roy, był wązki i niski. Umebłowanie wyglądało nader skromnie, składała je komoda, toaleta, stoliczek nocny, dwa fotele i jedno krzesło.

Dwie palące się świece rzucały na pokój niedostateczne światło.

Zamiast iść naprzód, Lazaryna zatrzymała się; jednym spojrzeniem objęła to wszystko, cośmy opisali, potem oczy jej zwróciły się ku łóżku.

Hektor, leżący na wznak, podobny był raczej do trupa, niż do człowieka jeszcze żywego.

Głowa zagłębiała się w poduszce. Twarz była sina. Długie rzęsy opuszczonych powiek kładły cień na policzki. Usta, na wpół rozchylone, jak u nieboszczyka, pozwalały widzieć białe zęby.

Bielizna poplamiona była krwią w okolicy piersi, które chwilami podnosił prawie niedostrzegalnym oddech.

Doktor, młody jeszcze, a już słynny, siedział przy łóżku i, trzymając dłoń umierającego, naciskał dwoma palcami żyłę.

Wstał, ażeby ukłonić się margrabinie, która odpowiedziała na jego ukłon lekkim skinieniem głowy.

Jakkolwiek Lazaryna mało była wrażliwą, nie mogła powstrzymać nerwowego wzruszenia, przygniatającego ją na widok złowróżbnego widoku, jaki się jej przedstawił.

Całe ciało jej drgnęło, łzy popłynęły, ręce złączyły się w ruchu bolesnego współczucia.

— Kocha... — pomyślał doktor. — Biedna kobieta!..

I zdjęty litością dla boleści niemej, którą, jak mu się zdało, odgadywał, zbliżył się do margrabin.

— Odwagi, pani... — szepnął jej do ucha głosem cichym i łagodnym. — Pojąłem, że co innego po ciekawością, sprowadza panią tutaj, i nie wzbrowniłem pani wejść do tego pokoju... Bądź pani mężną, błagam...

Dość było tego głosu, ażeby margrabinę przywrócić do jej właściwej natury.

Poskramiając, a raczej odpędzając wzruszenie, odpowiedziała:

— Będę mężną, panie, ale jakie to smutne... widzieć życie takiego człowieka gasnące...

— O! wielka to prawda.

— Czy nie masz pan żadnej nadziei uratowania księcia?

Lekarz potrząsnął głową.

— Zatem został już ostatecznie skazany? — podchwyciła pani Tour-du-Boy.

Lekarz znów skinął potwierdzająco.

— Czy nie spróbujesz pan niczego więcej?

— Nie mam nic już do spróbowania... Tylko natura mogłaby podzielać... Ale zło zbyt poważne, żeby mogła pomóc...

— Czy księżę cierpi?

— Nie, pani... W tej chwili nie doświadcza on żadnego uczucia?

— Zemdłony?

— Nie... śpi...

— Czy mógłby nas usłyszeć?

— Tak, gdybyśmy mówili podniesionym głosem.

— A zrozumiałby?

— Sądzę, że nie... a nawet mogę to twierdzić...

— Czy chwila ostatnia blizka?

— Jeżeli księżę przetrwa noc, będę zdziwiony?

— Czy się przedtem obudzi.. zanim zaśnie na zawsze...

— Prawdopodobnie, a nawet z pewnością... Teraz właśnie wzmaga się puls, ledwie wprzód namacalny... gorączka się powiększa, a z nią zbliża się chwila przebudzenia.

— Księżę zatem będzie mógł patrzeć i słyszeć...

— Wątpię, gdyż nieprzytomność towarzyszyć będzie gorączce, a pan de Castel-Vivant skończy

właśnie w tym ataku... O, patrz pani... patrz... słuchaj... gorączka się zbliża... atak nadchodzi...

Hektor zaczął coś szeptać niezrozumiale; głowa jego, dotąd nieruchoma, przechyliła się to na prawo to na lewo na poduszki.

Doktor wziął świecę i przystąpił do łóżka a Lazaryna podążyła za nim.

Twarz chorego straciła siność. Zastąpiła ją ciemna czerwonosć.

Powieki zapuchnięte drżały, ale się nie otwierały wcale, jakby księżę daremnie usiłował je podnieść. Rysy zmienione wyrażały boleść. Usta drgały. Zęby szczykały.

Margrabina zbladła pod woalem.

— O! — wyszeptała — to przerażające...

— Czy pozwoli pani dać sobie rozsądną radę? — zapytał lekarz.

— I owszem.

— A usłucha jej pani?

— Może...

— A więc opuść pani ten pokój...

— Dlaczego?

— Bo konanie zacznie się lada chwila... a może być straszne...

— Jestem mężną i odważną, powiedziałam to już panu — odparła Lazaryna — chcę widzieć wszystko do końca... Zostanę...

— Ha! jak pani chce...

Margrabina usiadła u wezglowia łóżka.

Doktor mówił do siebie zeicha:

— Co to za dziwna istota i po co ona przyszła tutaj?.. Przed chwilą łudziłem się, myśląc, że kocha tego pana... Wzruszenie jej trwało zaledwie chwilę... Ani pomyślała o ucałowaniu ręki temu umierającemu... Ani miłości niema w jej sercu, ani łez w jej oczach. Czegóż więc ona chce? Jaka pobudka kieruje nią, ażeby się narażać na widok tak tragiczny?.. Ciekawość tego nie objaśnia... Musi być w tem coś innego... Ale co?..

I doktor nie mógł na to sobie odpowiedzieć.

Niema, z załamaniem rękoma na kolanach, z oczyma, wpatrzonemi w twarz Hektora, Lazaryna powtarzała sobie:

— Z ostatniem jego tchnieniem uleczę moje marzenia... Marcel, zabijając Hektora, skradł mi tytuł księżny i miliony!.. Jakiż straszny mam z nim porachunek.

W pokoju zaległo milczenie dość długie, przerywane tylko silnemi jękami, a raczej niezrozumiałemi szeptami, pochodzącymi z ust konającego.

Księżę poruszył się, najprzód zlekka; poczem nagle, jakby się budząc znienacka, unióśł się na łokciach, zwrócił w głąb pokoju oczy, szeroko rozwarte, i wyjąkał głosem głuchym, syczącym, który boleśnie było słuhać:

— Już jasny dzień... Słońce świeci... Dlaczego pozwolono mi spać... Przecież wydałem rozkazy... Wypędzę nieposłusznego lokaja... Z Paryża do Ville d'Avray daleko... chcę być pierwszy na miejscu spot-

kania... zawsze muszę być pierwszy!.. Winienem to swemu nazwisku,.. Trzeba się śpieszyć... kaźcie zaprzęgać... Jaki powóz zapytujecie?.. Karetę... W dwa konie, czy w cztery?.. W cztery... Sam będę powoził... będzie to wielki szyk... Jeżeli margrabina zobaczy mnie tak jadącego, powie z pewnością... Młody książę jest prawdziwie stylowy!

Hektor przerwał sobie.

Oddychał z wysiłkiem, słowa wymykały mu się z ust wolno, jedno po drugim.

Po upływie kilku sekund, jakby zachwyt odmawiał się na jego twarzy.

Tonem namiętym podchwycił:

— Czuję jeszcze jej usta na mem czole, woń jej włosów upaja mnie... Tak, o! tak, będę zwycięzcą... Tak, zabiję tego nikezemnika, który prześladowuje moją ukochaną, który staje między nią a mną... Zabiję go... Margrabina będzie zadowolona... i zobaczy, jak ją ubóstwiam...

Nowe milczenie. Usta rannego poruszały się ciągle, ale nie wydawały żadnego dźwięku.

Doktór pochylił się nad Lazaryną.

— Słyszałaś, pani? — zapytał ją.

— Słyszałam.

— Czy zna pani tę kobietę, o której mówi książę?..

— Znam...

— Jeżeli ona kocha tak, jak jest kochaną, musi okrutnie cierpieć, bo kochanka swego posłała na śmierć?..

— E! mój panie — odparła Lazaryna — książę nie był wcale kochankiem tej kobiety... sprawa której bronił, była sprawą dobrą... a któż zresztą panu mówi, że ta kobieta nie cierpi...

Doktór pomyślał:

— Ta jestem pewny, nie ma, ani serca, ani duszy.

Hektor podniósł rękę i przyłożył do piersi, odzywając się nagle...

— Jakież to oparzenie bolesne... zdaje mi się, że rozpalone żelazo przesywa mi ciało... Co to jest?

I dwa czy trzy razy powtórzył:

— Cóż to jest?.. Nie rozumiem...

Potem wydał okrzyk i, dysząc, ze zmienioną twarzą, ciągnął dalej, a głuchy jęk przerywał każde zdanie:

— To szpada... szpada zakrwawiona... rękojeść leży u mych nóg... a ostrze w mych piersiach... posuwa się wprost... do serca... Wyjmijcie ostrze... wyjmijcie, przez litość... za sekundę będzie już za późno... Torturuje mnie, pali, zabija... Wyrwijcie je... wyrwijcie je... umieram...

Nagle zdjęty okropnym szaleń, książę, pomimo wysiłków doktora, który mu nie pozwalał, z przerażającym krzykiem, sądząc, że wyrывa ostrze z piersi zdarł wszystkie bandaże, przykrywające ranę.

Dwa strumienie czerwone popłynęły natychmiast, a jednocześnie i krew rzuciła się ustami.

Poczem Hektor, chwytając rękami powietrze, opadł sztywny całym ciężarem, a głowa jego obita się głośno o drzewo łóżka...

— Odejdź, pani, odejdź! — zawołał doktor — to już koniec!..

Lazaryna, ukrywając twarz w dłonie, uciekła...

XLVIII.

Pani Tour-du-Roy, szalejąca z przerażenia, wbiegła na korytarz ciemny, którędy ją przedtem przeprowadzał oberżysta.

Traf chyba tylko zrządził, że się nie pomyliła w drodze, gdyż nie myślała wcale, którędy idzie, myślą jej było tylko pozostawić zdala od siebie pokój złowrogi, gdzie konał młody książę.

Przebiegła wązki ogródek, weszła do sali na dole i, nie odpowiadając gospodarzowi, wypytującemu ją o rannego, pośpieszyła czempředzej na ulicę i wskoczyła do karetki, wołając na woźnicę:

— Do Paryża... prędko! prędko!..

Karetką z powrotem do Paryża jechała półtorej godziny i przybyła na plac Genowefy jeszcze przed północą.

Podczas drogi, młoda kobieta (prawie zbytecznie tu dodać) odzyskała całą zimną krew.

Woźnica zatrzymał się przy Łuku Tryumfalnym.

— Dokąd mam panią zawieźć? — zapytał.

— Bulwar Magdaleny, nr. 17 — odparła margrabina.

Wysiadła przed tym numerem i zapytała o ojca. Juliusz Leroux nie powrócił jeszcze; przewidywała to dobrze i kazała się zawieźć do jednego ze znanych klubów paryzkich.

Tu zapytała znowu.

— Tak, pani — odparł jeden z lokajów w bramie klubu. — Pan Leroux jest tutaj.

— Proszę mu powiedzieć, że pewna dama pragnie z nim pomówić i czeka nań przed bramą w karetkce.

Lokaj, dobrze wytresowany, ukrył uśmiech, zjawiający mu się na ustach, i z miną poważną i pełną godności, spełnił polecenie, dane mu przez margrabinę.

W pięć minut później głowa byłego bankiera ukazała się w okienku karetki.

— Czy to ty, Nano? — zapytał.

— Nie, papo, to nie Nana! — odparła Lazardyna.

— Jako — zapytał — to ty?

— Tak, papo.

— I czegoś odemnie chcesz, drogie dziecko?

— Czy możesz poświęcić mi pół godziny?

— I owszem... Czekają na mnie dopiero o północy...

— U Nany?..

— Ciekawska!..

— Mam z tobą do pomówienia... Wsiadaj do mnie i odprowadź mnie na ulicę Murilla, a później powóz cię odwiezie tam, dokąd zechcesz...

Juliusz Leroux, bardzo zaintrygowany, był zupełnie posłuszny.

— Co masz mi do powiedzenia moja margrabi-no? — spytał, kiedy karetka ruszyła z miejsca.

— Chcę ci powiedzieć, że opuszczam Paryż jutro bardzo wcześnie.

— Na długo?

— Nie wiem.

— Dokąd jedziesz?

— Do Orleanu, a ztamtąd do Tour-du-Roy.

— A co u djabła będziesz porabiała w Tour-du-Roy?

— List Raula bardzo mnie niepokoi... Powtarzam ci, że z Janiną bardzo źle... Pragnę zobaczyć się z siostrą i dlatego chcę być najbliżej od zamku Gordes!

— Tak, to bardzo dobrze... To zachwycające... pochwalam to bardzo i chciałbym wielce naśladować twój przykład... Na nieszczęście, w tej chwili mam na głowie bardzo poważne interesa; wszakże, gdyby stan mej biednej Janiny jeszcze się bardziej pogorszył, napisz do mnie... pojadę natychmiast.

— Dobrze, papo...

— Ale miejmy nadzieję, że nie tak złego nie będzie. W wieku małej hrabiny natura sama jest wyborynym doktorem!.. A czy co innego jeszcze nie skłania cię do opuszczenia Paryża?..

— A cóż takiego mogłoby być?.. Ale, wiesz papo, książe umarł?

— To było do przewidzenia!.. Biedny chłopiec!..
A kiedy umarł?

— Przed dwiema godzinami.

— Zkądże ty o tem wiesz?

— Byłam tam... Jadę z Ville-d'Avray...

— Sama!.. w nocy!.. co za szaleństwo!.. No, widoecznie, bardzo byłaś zajęta tem książątkiem. Zresztą, rozumiem to, rozumiem! Taki był bogaty!.. Więc widziałaś go umierającego?..

— Tak... po okropnem konaniu...

— Piękne widowisko dla kobiety? przynajmniej nikt cię nie poznał?..

— Pod woalem podwójnym?.. Niepodobna!

— To co innego. Wyszedłszy od ciebie dzisiaj, udałem się do Godfryda. On w zupełnym jest porządku, nie nie traci przez śmierć swego przybranego syna... Jednakże katastrofa, zdaje się, zmartwiła go... Kochany książe, zawsze miał dużo serca... o tak, zapewniam cię...

Karetka zatrzymała się przed bramą pałacu.

— Ot i jesteś u siebie — ciągnął dalej Leroux, —
Teraz cię pożegnám.

— Nie, podaj mi ramię, potrzeba, ażeby cię widziano.

— Po co?

— Powiedziałałam służbie, że jem obiad u ciebie.

— Bardzo dobrze!.. ani słowa! Zrozumiałem...

Najlepszy z ojców poprowadził z wielkim wdziękiem córkę, aż na ganek, ucałował ją, prosił, ażeby od niego uściskała hrabinę de Gordes, zalecił jej, ażeby niezwłocznie doniosła mu o stanie kochanej chorej, potem, ocaliwszy w ten sposób pozory, powrócił do powozu, który go odwiózł do kawiarni Angielskiej, gdzie miał jeść kolację z panną Naną i kilku innymi młodemi damami z wesołego świata.

Lazaryna wróciła do swego mieszkania.

— Co pani rozkaże? — zapytała jedna z pokojówek po rozebraniu swej pani.

Margrabina, jak wiadomo, nie jadła obiadu i umierała z głodu. Odpowiedziała:

— Przynies mi kolację...

— Czy mam obudzić kucharza?

— Niepotrzeba... Przynies co znajdziesz w kredensie... Byle co mi wystarczy...

Lazaryna postępowała bardzo rozsądnie, oświadczając z góry, że poprzestanie na byle czem.

Pokojówka ukazała się po upływie kilku minut, trochę zmieszana, bo w bufecie znalazła tylko trochę biszkoptów, konfitur i butelkę wina bordo.

— O! to wystarczy... — rzekła Lazaryna.

— Czy pani potrzebuje jeszcze mnie?

— Tak. Przyjdź za kwadrans.

Po zaspokojeniu głodu, margrabina usiadła przy małym biurku i napisała treść depeszy, adresowanej do rządcy zamku Tour-du-Roy, w której kazała mu przysłać powóz na stację orleańską.

W kwadrans weszła pokojówka.

— Każ zanieść tę depeszę do biura telegraficznego, skoro tylko wstaniesz jutro — rzekła do niej Lazaryna. — Obudź mnie o wpół do ósmej. Niech będzie na śniadanie bulion i kotlet o trzy kwadranse na dziewiątą. Powóz niech będzie gotów wpół godziny potem; kilka dni przepędzę w Tour-du-Roy... Zabiorę tylko najpotrzebniejsze rzeczy, ciebie i mamkę...

— Dobrze, pani margrabino.

— Teraz odejdz i nie zapomnij o niczem.

Pokojówka wyszła.

— Umieram ze znużenia — pomyślała Lazaryna, pozostawszy sama — a jednak muszę jeszcze pisać... napisać do tego człowieka, którego nienawidzę, a którego muszę jednak dalej łudzić... ażeby zemsta była możebną... Zemsta!.. W jaki sposób się ona spełni? Nie wiem, ale zemsta nastąpi, przysięgam.

I margrabina skreśliła te wiersze:

„Wybacz, mój przyjacielu, że opuszczam Paryż, nie uprzedziwszy cię weale... ale mam najlepsze usprawiedliwienie... Przed dwiema godzinami sama jeszcze nie przewidywałam tej niespodziewanej podróży... tej smutnej podróży... O! tak, podróż to bardzo smutna... Tylko co otrzymałam telegram od mego szwagra. Moja najmłodsza siostra jest bardzo chora i znajduje się nawet w wielkim niebezpieczeństwie... Biedne dziecko wzywa mnie... Pojmujesz, że miejsce moje przy jej łóżku...

„Czyż mam ci dodać, jak mocno mnie martwi, że wyjeżdżam tak nagle, nie zobaczywszy się z tobą?

„Jak długo potrwa moja nieobecność? Niestety, nie wiem, ponieważ zależeć to będzie od prędszego lub późniejszego wyzdrowienia mej drogiej siostry.

„Pisz do mnie często...

„Ja naturalnie pisywać nie będę mogła tak często, ale pocieszaj się tem, że cię zawsze mieć będę w swojej pamięci.

„Zresztą im więcej się zastanawiam nad twojemi projektami, tembardziej przyznaję im słusność.

„Dlaczegoż niemam rzeczywiście zostać twoją żoną?

„Nie trać zatem nadziei.

„I ta chwila przyjdzie z czasem... a może nawet prędzej, niżeli się spodziewasz...

„Jeżeli zdarzy się odpowiednia sposobność, jeżeli ojciec, którego oczekuję przyjazdu do Tour-du-Roy przybędzie, jak obiecuje, nic nie stanie na przeszkodzie, ażebym wtedy mogła i ciebie do zamku zaprosić..

„Przyjedziesz, a wtedy...

„Jeszcze raz ci powtarzam... czekaj i miej nadzieję...

Lazaryna.“

Tym razem margrabina podpisała list swoim imieniem, zresztą treść jego sama przez się mówiła wyraźnie, od kogo list ten pochodzi.

Skończywszy pisać, zamyśliła się głęboko.

Po chwili uśmiechnęła się złowrogo, a w oczach jej znowu zajaśniał ponury płomień.

— Tak — wyszeptała — im mniej będzie podejrzewał, im spokojniejszy będzie, tem łatwiejszą stanie się moja zemsta!

* * *

Nazajutrz kiedy margrabina ze stacji Orleańskiej powozem przyjechała do swego zamku, na spotkanie jej wyszedł Dominik, a w ręce list trzymał.

— Pan hrabia de Gordes, dowiedziawszy się, że pani margrabina dzisiaj przyjeżdża, przysłał ten list.

Lazaryna rozerwała szybko kopertę i wyczytała:

„Kochana Sostro!

„Ukochana nasza Janinka miewa się bardzo źle... Chciałaby się z tobą zobaczyć... niestety! śpiesz się! śpiesz!

Twój przywiązany brat

Raul de Gordes.“

Ale margrabina tak się czuła złamana na ciele i na duszy, że po przeczytaniu listu hrabiego Raula nie miała ani siły ani odwagi udać się natychmiast w drogę.

Dopiero nazajutrz zrana, o godzinie dziesiątej, chociaż cierpiąca jeszcze, po nocy prawie bezsennej, kazała zaprządz i pojechała do zamku de Gordes.

Raul, spodziewając się przyjazdu margrabiny, wyglądał oknem z pierwszego piętra na długą aleję, prowadzącą do zamku.

Kiedy powóz zatrzymał się na dziedzińcu, już był przy drzwiczkach, powitał Lazarynę i pomógł jej wysiąść.

— Zaprowadzisz mnie zaraz do Janinki?

— Nie... Pragnę pomówić wprzód z tobą... potem dopiero zobaczysz się z naszą drogą chorą.

Lazaryna towarzyszyła Raulowi do małego saloniku.

Usiadła, a hrabia przez kilka sekund stał przed nią nieruchomy, z oczyma spuszczone.

Wtedy dopiero pani Tour-du-Roy, spojrzawszy na niego, zobaczyła, jaka boleść głęboka malowała się na pięknej jego twarzy. Raul przez te kilka miesięcy postarzał się o jakie lat dziesięć. Głęboka zmarszczka przerywała mu czoło, oczy podkrążyły sine obwódki, a w źrenicach palił się jakiś blask gorączkowy. Policzki pobrały i wychudły, włosy bieliły się przy skroniach.

— Kochana sestro — odezwał się głosem pełnym łkania — jestem nieszczęśliwy, bardzo nieszczęśliwy...

— Przecie nie straciłeś jeszcze całej nadziei? — żywo zapytała margrabina.

— Nie tracę nadziei... aż dopóki Janina, przestawszy nawet żyć, nie zlodowacieje... Do tej chwili czekać będę cudu Boskiego... Ale z każdym dniem, coraz częściej, zmuszony jestem sobie powtarzać, że ta nadzieja jest szaloną...

— Janina jest tak młoda...

— Niestety! i ta młodość wiosną swą nie cofnie śmierci... Wiesz, kochana sestro, dlaczego nie chciałem cię odrazu wprowadzić do chorej?

— Chciałeś ze mną pomówić...

— Chciałem cię ostrzedz, ażebyś panowała nad sobą... ażebyś ukryła boleść swą i przerażenie... bo Janina, nie jest już taka, jak ją widziałas przed wyjazdem, to tylko już widmo mojej ubóstwianej żony...

— Mój Boże!.. więc do tego stopnia...

— Tak, do tego stopnia, droga Lazaryno... — pojmujesz, jakby się Janina zmartwiła, gdyby z oczu twoich wyczytała całą zgrozę...

— Nie obawiaj się, mój bracie... Z bólem serca potrafię powściągnąć swą boleść... Czy Janina nie podejrzewa tak fatalnego stanu...

— Nie wiem...

— Jakto?..

— Janina jest tak anielską, że może ukrywa swe uczucia, ażeby nie martwić, ażeby pozostawić mi jeszcze ostatnią nadzieję...

I Raul, usiadłszy obok Lazaryny i zakrywszy twarz rękoma, wybuchnął płaczem.

Na widok tego człowieka, przygnębionego i płaczącego jak kobieta, Lazaryna uczuła się szczerze wzruszoną, zwłaszcza że kochała Janinę, o ile zdolną była kochać... Serce się jej ścisnęło i połączyła lzy swe z gorącymi łzami Raula.

— Odwagi, mój szwagrze — wyjąkała. — Nie należy ci płakać... ale potrzeba walczyć do ostatka...

— Wszystko się już robiło... Cała wiedza lekarska nie nie pomogła...

— A mnie instynkt kobiecy mówi, że dopóki Janina jeszcze oddycha, ratunek jest możebny...

- Oby cię niebo wysłuchało.
- Niebo przychodzi z pomocą tylko tym, którzy się nie zaniedbują... Jakich doktorów się radziłeś?
- Najszlenniejszych... Przybyli z Paryża na konsylium...
- I cóż powiedzieli?
- Że wcale nie mogą poznać choroby.
- To dziwne.
- Nie! bo choroba to jakaś osobliwa... Objawy zmieniają się ciągle...
- A któż teraz Janinę leczy?
- Doktor Maksym Giraud.
- Cóż to za doktor?
- Jedyny, do którego ma zaufanie...
- A ty zaufanie to podzielasz?
- Najzupełniej... Doktor Giraud łączy z głęboką wiedzą wielkie przywiązanie... Janina, którą znał jeszcze w Zielonych Liściach przed jej zamężciem, nie jest dla niego pacjentką, ale po prostu jakby siostrą... Odkąd powstało niebezpieczeństwo, wcale nas nie opuszcza... W dzień, w noc, zawsze na nogach, walczą zapamiętałe z chorobą... Gdyby wiedza i przywiązanie mogły dokazać cudu, Janina byłaby ocalałą...
- O! z jakim zapałem mówisz o tym doktorze — wyszeptwała Lazaryna.
- Oddaję mu tylko sprawiedliwość — odparł hrabia.
- Ale cóż kiedy te wszystkie jego starania nie dały dotąd wcale pomyślnego skutku.

— Czyż mogę wymagać niepodobieństwa? Poświęca się on nam duszą i ciałem. Wszystko, do czego zdolna jest siła ludzka, połączona z wolą, wszystko to on czyni... O! nasza droga Janina otoczona jest uczuciem i troskliwością, na jakie zasługuje... Jej pierwsza pokojówka, wieśniaczka z okolic Zielonych Liści, która w swoim czasie doznała od Janiny dobrodziejstwa, prosta ale zaena istota, nie zawahałaby się, jestem tego pewny, oddać swego życia nawet, byleby ocalić życie swej pani.

— To bardzo piękne, mój szwagrze... A Renata? nie mi nie mówisz o Renacie...

— Renata to anioł! — rzekł Raul. — Słów mi brak dla wyrażenia zachwyty, jakim mnie ona przejmuje... Od pierwszego dnia choroby swej siostry, poświęca jej swój spoczynek, sen a nawet zdrowie, bo jakkolwiek się tego zapiera, łatwo poznać po niej, że zmęczenie ją przygniata... Siły się jej wyczerpują... Czasami drzę na samą myśl, ażeby i ona się nie rozchorowała... A teraz, kiedy wiesz o wszystkim, pójdź ze mną, droga siostrze, do Janinki...

Chora została już uprzedzona o przyjeździe Lazaryny, ażeby nagłe ukazanie się siostry nie wzruszyło jej zbyt mocno.

Pani Tour-du-Roy weszła do jej pokoju, przystąpiła do łóżka i ostrożnie ucałowała jej twarz i włosy.

Biedna hrabina wywzajemniła się jej pieczęcią, jękając:

— O! droga siostrzyczko, jakże się cieszę, żeś przyjechała... Jakże się miewa mój siostrzeniec, mały Raulek?

— Jak najlepiej... a ładny jest, jak jego ojciec chrzestny... Przedstawię ci go w tych dniach...

Lazaryna usiadła na fotelu, przystawionym jej przez hrabiego i spojrzała na siostrę.

O! pan de Gordes słusznie jej zalecił, ażeby powściągnęła przerażenie.

Gdyby nie to zalecenie, byłaby niezawodnie zdradziła się raptownem wzruszeniem, jakiego doznała.

Janina podobną była do posagu młodej dziewczyny, któryby naiwny artysta średniowieczny wymodelował z wosku, nie uwydatniając wcale konturów kobiecych, dla nadania wyrazu większej niewinności.

Hrabina stała się prawie literalnie istotą *bezzieżalną*, ale pomimo tego przerażającego wychudzenia, nie straciła wcale swego dziecięcego wdzięku.

Niezwykle bujne włosy jasne okalały zawsze jeszcze złocistą aureolą jej twarz, wzruszająco matową.

Duże jej oczy niebieskie, niepomiernie rozszerzone, zachowywały niezrównaną łagodność; uśmiech niewinny i poczciwy rozchyłał jak dawniej usta wybladłe, odsłaniając błyszczącą emalię zębów.

Raul trafnie się wyraził, Janina była już tylko widmem, ale widmo to pozostało pełnem wdzięku.

Lazaryna, mając się na bacności, powściągnęła łyzy, cisnące się do oczu.

Ażeby ukryć swe wzruszenie ujęła obie ręce siostry, biedne ręce blade i wymizerowane, i przyłożyła do ust.

— Może macie sobie co do powiedzenia... to na chwilę odejdę... — rzekł hrabia.

I oddalił się, ażeby ukryć łzy.

Janina utkwiała w margrabinie przeciągle spojrzenie, pełne czułości, i zapytała ją z uśmiechem:

— Gdybyś nie wiedziała, że to ja, czybyś poznała tego małego kopciuszka?

— Naturalnie — odparła żywo Lazaryna. — Przecież się tak nie zmieniaś.

Pani de Gordes pogroziła jej pieszczotliwie:

— E! kłamiesz! — szepnęła.

— Jaktó kłamię — podchwyciła margrabina zmieszana.

— Bo ja wiem doskonale, jak mnie teraz trudno poznać... Chyba byłabym ślepą, gdybym tego nie widziała.

— Ależ nie, zapewniam cię... Zeszczuplałaś, jak zwykle się to dzieje, po długiej chorobie... Ale zeszczuplenie nie jeszcze nie znaczy... Nie będzie po niem ani śladu w kilka tygodni po przyjsciu do zdrowia...

— W kilka tygodni po przyjsciu do zdrowia! — powtórzyła hrabina zwolna, z nieokreślonym uśmiechem...

— Naturalnie.

Hrabina znowu utkwiała spojrzenie w Lazarynie i wyszeptala:

— Alboż ty wierzysz, siostró, w moje uzdrowienie?

— Wierzę, bo już się zaczęło i, Bóg da, będzie postępowało dalej...

Janina zwiesiła głowę i nie odpowiedziała.

Przez kilka minut zapanowało milczenie, poczem nagle pani de Gordes odezwała się tonem przejmującym:

— O! bardzo są szczęśliwe te młode kobiety, które umierają nagle, zabite chorobą w jednej chwili.

— Szczęśliwe! Dlaczego? — wyjąkała margrabina zdziwiona.

Janina ciągnęła dalej:

— Giną w kwiecie swych wdzięków... i pozostawiają drogie wspomnienia u tych, którzy je kochali... Obraz ich ukazuje się jakby wśród promieni słonecznych temu, który je oplakuje... A jakież ja obraz pozostawię po sobie?.. Widma... Tak, to smutna myśl, moja siostró.

Margrabina chciała ją pocieszać... ale nie zdążyła się odezwać...

Drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się Renata.

— Jak się masz, droga siostrzyczko... — rzekła. — Przebacz, że cię nie powitała natychmiast po twoim przyjeździe... Ale dwie noce nie kładłam się wcale... znużenie mnie zmogło... spałam...

XLIX.

— Poczciwa Renata!.. ona się tak męczy dla mnie?.. — wyszeptła hrabina..

— O! kilka godzin snu pokrzepiło mnie zupełnie — odparła młoda dziewczyna, ucałowawszy Lazarynę — czuję się teraz już silną.

Pani Tour-du-Roy patrzyła na Renatę i dziwiła się zmianie, jaka zaszła w jej osobie przez te kilka miesięcy.

Córka średnia Juliusza nie straciła nic ze swej potężnej piękności, jaką już opisaliśmy, ale twarz jej nabrała jakiejś surowości dziwnej. Zmarszczka głęboka wyżłobiła się między jej brwiami. Usta nie uśmiechały się wcale. Oczy, podkrążone sinemi pręgami, były prawie ciągle spuszczone, jak gdyby młoda dziewczyna sama się niemi w siebie zagłębiała. Długie rzęsy rzucały cień przejrzysty na jej policzki wybladłe i marmurową błądź.

Kiedy powieki się podnosiły, dziwny płomień błyszczał w głębi jej czarnych źrenic. Takie błyski dają się widzieć nieraz w spojrzeniach niebezpiecznych szaleńców.

— Janina ma słuszność — pomyślała margrabina. — Renata się zabija... Nadużywa swych sił i nocie bezsenne ją wyczerpują...

— Moje drogie — odezwała się Janina, łącząc ręce Lazaryny z dłońmi Renaty — ponieważ mam tu was obie, czy chcecie mi sprawić wielką przyjemność?

— Czy chcemy! — zawołały obie siostry.

— Otóż — podchwyciła Janina z uśmiechem — nie zajmujcie się mną wcale i pomówmy we trzy tak, jak gdybym nie była chorą... mnie się będzie zdawało, że już wyzdrowiała...

— I owszem... — odparła margrabina — ale o czym mówić będziemy?..

— O wszystkim, byleby nie o mnie... Najprzód pomówmy o papie... Wszak zawsze zdrow i zawsze młody?.. potem opowiesz mi, co słychać w Paryżu...

Lazaryna zaczęła opowiadać.

Renata słuchała w milczeniu.

Opowiadanie to przerwał pan de Gordes, wchodząc do pokoju z Maksymem.

— Moja droga Lazaryno — odezwał się Raul — pozwól, że ci przedstawię naszego doktora, mego przyjaciela i gościa, doktora Girauda...

— Tyle mi szwagier o panu dobrego mówił — podchwyciła pani Tour-du-Roy, ściskając dłoń młodzieńcowi.

Maksym również był wielce zmieniony.

Ciągle myśli niespokojne, ciągle walka z nieznaną chorobą, poznanie bezsilności, zniechęcenie wreszcie, sprowadzające rozpacz, wszystko to pozbawiło świeżości i przygnębiało jego twarz o rysach nieregularnych, ale sympatycznych.

Zaledwie skończył lat dwadzieścia siedm, a wyglądał na czterdzieści.

— Niech mi, panie, wybaczą, że przeszkadzam — rzekł, odpowiedziawszy stosowną grzecznością na sło-

wa margrabiny. — Odwiedziny siostry ukochanej przynoszą naszej drogiej chorej znaczną ulgę, ale nie trzeba nadużywać najlepszych rzeczy. Wszelka rozmowa, która zbyt długo trwa, powoduje znużenie... a pani de Gordes potrzebuje wypoczynku. Proszę więc o kilka godzin dla niej samotności i snu...

— Kochany doktorze — rzekła Janina, z uśmiechem — wiesz, że jesteś tyranem... Zapomniałam prawie zupełnie o swej chorobie, rozmawiając tak wesoło, a teraz, z rozkazu lekarza, muszę zamilknąć, zamknąć oczy i spać... Ha! jestem posłuszną... wiesz o tem dobrze...

Renata odezwała się:

— Doktorze, wszak mam dać lekarstwo.

— Proszę panią.

Młoda dziewczyna opuściła pokój i przeszła do ubieralni, łączącej jej pokój z mieszkaniem siostry.

— Ale się jeszcze z tobą zobaczę dzisiaj, Lazaryno. Nieprawdaz?

— O! zostanę jeszcze... Odjadę dopiero o dziewiątej wieczorem...

— A jutro?

— Jutro znów u ciebie będę.

— I przywieziesz mi mego siostrzeńca... Przyrzekłaś...

— I dotrzymam słowa...

— O! jakaś ty dobra i jak ja cię Kocham!...

Renata wróciła z lekarstwem.

Pani de Gordes wzięła filiżankę i wypila z niej wszystko aż do ostatniej kropli.

— Jakie to gorzkie — wyszeptła...

— Chyba nie bardziej niż zwykle? — odezwał się doktor.

— O! bardziej!.. daleko bardziej...

Maksym zdziwił się.

— Doktorze... — wtrąciła Renata — buteleczka z lekarstwem jest jeszcze prawie pełna... Może pan spróbuje lekarstwa, ażeby się przekonać?

— Jak najchętniej.

Młodzieniec podążył za Renatą, nalał sobie na łyżkę kilka kropli lekarstwa, którego przygotowania sam prawie dopilnował i poniósł łyżkę do ust.

— I cóż? — zapytała Renata.

— To samo — odparł. — Widocznie szczególnie dziś usposobienie pani de Gordes zwiększa gorycz, nieznaczną w tem lekarstwie.

— Przynajmniej, nie jest to zły znak, nieprawdaż?

— O! nie...

— Sądzę więc, doktorze, że nie należy niepokoić Janiny ostrzeżeniem jej, że ma smak popsuty... Może lepiej byłoby, ażeby pan jej powiedział, że lekarstwo wydało ci się rzeczywiście bardziej gorzkim, niż zwykle.

— Dobrze, pani, odpowiednio postąpię...

I Maksym, wróciwszy do sypialnego pokoju, zastosował się do rady Renaty, ale pani de Gordes zawołała:

— O! miałam słusność... to jakaś bardzo przykra gorycz... zdaje mi się, że mam jej jeszcze pełne

usta... Czy nie mogłabym się napić kilku kropel syropu?

— I owszem — odpowiedział doktor. — A my odejdziemy — dodał — powiem Genowefie, ażeby była w sąsiednim pokoju na każde zawołanie pani hrabiny.

L.

Lazaryna wieczorem powróciła do swego zamku.

Nazajutrz, kiedy zasiadała do śniadania, stary służący Dominik podał jej na tacy obok gazet i listy, przyniesione z poczty.

Lazaryna spojrzała na koperty.

Dwie z nich odrazu ściągnęły na siebie jej uwagę — poznała pismo Marcela Laugier i Juliusza Leroux.

Pani Tour-du-Roy, odłożywszy na bok list byłego oficera, wzięła z roztargnieniem pismo *najlepsze z ojców* i rozerwała kopertę...

Zaledwie jednak przebiegła pierwsze zdanie, gdy wyraz obojętny na twarzy znikł, oczy się jej rozszerzyły niepomierne, a jednocześnie z ust wydarł się okrzyk zdumienia...

Rzeczywiście, zdumienie pani Tour-du-Roy było jak najzupełniej usprawiedliwione.

List Juliusza Leroux tak się zaczynał:

„Wielka nowina! droga margrabino, niezmiernie cudowna.

„Jako poczciwy i wzorowy ojciec, jakim zawsze byłem i jakim do dziś dnia jestem, a niezawodnie takim pozostanę i na zawsze, nie tracąc ani minuty czasu, chcę ci donieść o fakcie, który, jeśli się nie mylę, zajmie cię nadzwyczajnie.

„Idę więc prosto do celu, nie szukając efektów stylowych, jak może kto inny uczyniłby na mojem miejscu.

„Opowiadałaś mi, że widziałaś, jak nieboszczyk Bégourde — chcę powiedzieć księżę Hektor de Castel-Vivant — wydawał ostatnie tchnienie po pojedynku z Marcelem Laugier..

„Ładny pojedynek, słowo honoru...

„Otóż, moje dziecko, widziałaś źle.

„Nieboszczyk Bégourde wcale nie umarł, a nawet, zdaje się, wcale nie umrze, przynajmniej tym razem.“

Doszedłszy do tych ostatnich wyrazów, Lazaryna wydała właśnie okrzyk zdumienia.

— Żyje! — wyszeptała — żyje! Więc nie jeszcze nie stracone; wszystko można uczynić! Po co ja wyjechałam? Na szczęście Tour-du-Roy nie tak znów daleko od Paryża.

Potem czytała dalej.

Juliusz Leroux pisał:

„Dziś zrana około godziny jedenastej jadłem śniadanie w kawiarni Angielskiej.

„Na rogu bulwaru zatrzymał się powozik w bardzo ładnym stylu, i zobaczyłem wysiadającego księcia Godfryda, który podążył prędko w stronę kawiarni.

— Wybornie — powiedziałem sobie — będę miał wiadomość o pogrzebie.

Godfryd wszedł. Ale nie miał na sobie ani krepy żałobnej, ani też nic w jego postawie nie znamiowało smutku, co mnie tem bardziej zdziwiło, że znam księcia, jako człowieka, skrupulatnie przestrzegającego wszelkie formalności.

Przywitaliśmy się.

— Przyszedłem zjeść śniadanie naprędce — rzekł do mnie — bo się bardzo śpieszę... Jadę zaraz do Ville-d'Avray.

— A tak — odpowiedziałem, przybierając stosowną minę — na tę smutną ceremonję?

Godfryd spojrział na mnie zdziwiony.

— Na jaką smutną ceremonję? — zapytał.

— A no, na pogrzeb...

— Na czyj pogrzeb?

— Ależ tego dzielnego chłopca... twego syna przybranego...

Księżę zaczął się śmiać i odrzekł:

— To ty o niczem nie wiesz?

— A o niczem.

— Tym razem jeszcze pogrzeb sobie zaczeka...

Hektor za dwa tygodnie będzie tak zdrów jak ty i ja.

— Ależ miano go za umarłego...

— Tak, wyglądał na to. Doktor, po silnym u niego ataku, chciał już zarzucić na niego prześcieradło i odejść... Otóż doktor się mylił... Atak, który uważał za zabójczy, na szczęście, przeminął i doktor prędko się

spozstrzegł, że jest w błędzie, a że dobry z niego człowiek, więc się nie rozgniewał na rannego, że zawiódł jego przepowiednie, i wziął się do troskliwego pielęgnowania... Otóż mój zuch Hektor, dzięki organizmowi wyjątkowo silnemu, jaki posiada, jako Castel-Vivant (my wszyscy z ojca na syna jesteśmy tacy) wywinie się z tej awantury, w której o mało co nie zostawił skóry swej...

— Winszuję ci, drogi książę...

— Tak, ja jestem zachwycony... bo to dobry chłopak... Zresztą powinienem go kochać... przecie mi ocalił życie...

— Widziałeś go po pojedynku?

— Wczoraj.

— I poznał cię?

— Najzupełniej... Bardzo się nawet ucieszył z mej wizyty... Jadę właśnie do niego, ażeby się dowiedzieć, kiedy będzie można drogę dziecko przewieźć do Paryża, bez żadnego niebezpieczeństwa... bo w tej norze bardzo mu nie wygodnie...

— Spytałem księcia, czy zgadza się, ażebym mu towarzyszył. Przystał jak najchętniej. Pojmujesz, moja droga, że chciałem się naocznie o tem wszystkim przekonać.

W drodze Godfryd opowiedział mi legendę, jaką słyszał w przeddzień w oberży tej, w Ville d'Avray...

Ta legenda, która w okolicy nie tak prędko będzie zapomniana i zapewne przejdzie z pokolenia do pokolenia, jest bardzo malownicza i bardzo dramatyczna, a zdaje mi się, że ty ją trochę znasz.

Chodzi tu o Paryżankę (podobno wielką damę, jak zapewnia legenda), która, ubrana jak księżniczka, zawoalowana jak ulubienica sułtańska, i zapewne nad wyraz piękna (jakkolwiek nie widziano jej twarzy, przybyła o północy do zajazdu, odegrała scenę rozpacz przy księciu, którego miała za umierającego, a potem znikła tak, jak przysła, tajemniczo...

Czybyś przypadkiem nie odgadła nazwiska tej bohaterki?

Ja wydałem się bardzo zdziwionym tak samo, jak Godfryd, który nie wiedział o żadnym poważniejszym stosunku *nieboszczyka* Bégourda.

Przejechawszy de Ville d'Avray, weszliśmy do pokoju, a wprzód otrzymaliśmy zapewnienie doktora, iż możemy się widzieć z rannym.

Godfryd z prawdziwie ojcowskim uczuciem ujął rękę młodzieńca i uścisnął, a syn jego odplacił mu tu wzajemnością. Ranny blady był wielce, ale właśnie bladeść ta czyniła go bardziej dystyngowanym.

— Drogi mój Hektorze — wyrzekł ksiązę po chwili — jeden z moich najdawniejszych i najlepszych przyjaciół, pan Juliusz Leroux, zechciał mi towarzyszyć... Drogi Juliuszu, przedstawiam ci, księcia Hektora de Castel-Vivant, mego syna przybranego...

Nieboszczyk Bégourde zacerwienił się jak burak... Zresztą wydało mi się to bardzo naturalnem, ze względu na zajście, jakie z nim miałem w pewnym zamku...

Godfryd ciągnął dalej:

— Przyjaciół mój, Juliusz Leroux, jest szczęśliwym ojcem pani margrabiny Tour-du-Roy, tej zachwycającej kobiety, u której, jak wiem, miałeś zaszczyt bywać.

Ranny, pobladłszy znów, nabrał już niejakiej pewności siebie.

— Pozwoli mnie pan zapytać o panią margrabinę? — wyjąkał.

— Bardzo świeżych wiadomości — odpowiedziałem — nie mogę panu udzielić... Zięć mój, hrabia de Gordes, wezwał panią Tour-du-Roy depeszą do jej bardzo chorej siostry i zmuszona była pojechać tam, do Loiret, nazajutrz po tym dniu gdy pan zostałeś ranny...

Zdawało się, iż odpowiedź ta była nadzwyczaj obojętną...

A jednak nieboszczyk Hektor zmienił się na twarzy i odetchnął głęboko, jak gdyby ciężar mu spadł z piersi... Dlaczego?

Ja zaś pośpieszyłem dodać:

— Margrabina, moja córka, odjechała bardzo niespokojna, wiedząc, żeś pan ciężko ranny. Ale ja teraz ją uspokoję i zaraz dzisiaj napiszę, że rana pańska nie pociągnie za sobą żadnych smutnych następstw.

Na to nieboszczyk Bégourde przesłał mi takie spojrzenie wdzięczności, że aż sam uczułem się wzruszony...

Zdaje mi się, że ten chłopiec bardzo jest tobą zajęty, a jeżeli spodoba ci się go zaślubić, księżę będzie

dla ciebie wcale niezłą partją, zwłaszcza że ma milion dochodn...

Co do zdrowia jego doktor uspokoił nas zupełnie...

A teraz co innego?

Jak się miewa moja mała hrabina?

Wszak prawda, że kochany nasz hrabia zbyt mocno był przestraszony i że witałaś Janinkę na drodze zupełnego wyzdrowienia? To mi się wydaje zupełnie naturalnem, a jednak jestem niespokojny. Uspokój mnie prędko, proszę cię.

Oczekując od ciebie listu, całuję cię z tą miłością ojcowską, której, jak sądzę, przez całe życie dawałem dowody.

Juliusz Leroux.

P. S. Zapomniałem ci napisać, że pomiędzy Ville-d'Avray a Paryżem spotkaliśmy powóz Marcela Laugier. Sam on jechał, ażeby dowiedzieć się oświadczenia o zdrowiu swego przeciwnika. Nieprawdaż, że to bardzo z jego strony taktownie. Tegoż zdania jest i Godfryd.

Lazaryna zbladła.

Przerażały ją następstwa tej grzeczności byłego porucznika.

— Jedno słówko nieroztropne może zgubić wszystko! — wyszeptwała. — O! oni nie powinni się z sobą widywać!..

LI.

I raptownym ruchem margrabina rozerwała kopertę, zawierającą drugi list, list od Marcela Laugier.

Przytaczać nie będziemy wszystkich czułości byłego porucznika, jakimi zapełnione były cztery ćwiartki listu, podajemy tylko jego zakończenie.

„Powód twego odjazdu, droga Lazaryno, jest aż nadto uzasadniony, tak, że muszę się pogodzić z losem i poddać się cierpliwie boleści, jaką mi sprawia twoja nieobecność, ale boleść ta nie jest przez to wcale mniej głęboką... Dokoła mnie czuć się daje próżnia... Jestem ciałem bez duszy; dusza moja i ciało są razem z tobą tam, w zamku Tour-du-Roy.“

Lazaryna zmięła papier w rękę i upuściła na dywan, poczem znów powtórzyła myśl poprzednią.

— Nietrzeba dopuścić do zbliżenia się Marcela Laugier z księciem. Ale jak?

Rozwiązanie tego zagadnienia pochłonęło cały jej umysł.

Margrabina zjadła śniadanie prędko. Potem, zasiadłszy w pokoju swym bardzo szybko napisała jeden po drugim trzy listy.

W pierwszym, bardzo krótkim, przesyłała Julioszowi Leroux wiadomości o Janinie.

Drugi, przeznaczyła dla Marcela Laugier, brzmiał następująco:

„Zastałam moją biedną siostrę bardziej chorą, niż przypuszczałam... Zaledwie pozostaje słaby promyk nadziei, a boję się nawet, iżby i on nie zagasł...“

„Ażeby nabrać więcej otuchy i odwagi, czuję potrzebę mieć przy sobie taką osobę, o której przywiązaniu wątpić bym nie mogła.

„Zapewne masz mnie za dziwaczkę, mój przyjacielu.

„Zapewne przypominasz sobie owe słowa, które król-rycerz nakreślił brylantem na szybie:

„*Kobieta zmienną jest...*“

„Bądź cobądź dziś upoważniam cię do tego, czego ci stanowczo wzbraniałam jeszcze przed kilku miesiącami...

„Zabierz swój kostjum i pakunek malarski, przyjedź i osiadź jak dawniej w oberży pod „Białym Koniem...“ Łatwo upozorujesz przed oberżystą swój raptowny odjazd i niespodziewany przyjazd.

Donieś mi listownie z Paryża o dniu swego przybycia.

„Gdy zamieszkaż w oberży nie dawaj mi o sobie znaku życia; nie pokazuj się wcale w zamku, nie przełaż parkanów, jak najmniej rzucaj się w oczy mieszkańcom wsi; każ sobie przynosić jedzenie do swego pokoju, słowem tak postępuj, ażebyś nie ściągnął na siebie uwagi.

„Przyrzekam ci, że nie będziesz potrzebował czekać na nagrodę...

„Jest po za parkiem, w lesie, dotykającym parkanu, niedaleko od pewnego pawilonu, którego próg znienacka przekroczyłeś kiedyś, jest, powiadam, dąb ogromny, ze cztery wieki liczący, o którym krążą podania, co prawda wcale nieciekawe.

„Dąb ten nazywają *Patryarchą*.”

„W okolicy wszyscy go znają i każdy ci go pokaże, zresztą sam go z łatwością odnajdziesz, bo panuje on dumnie nad drzewami dokoła... Pień jego waleczyć może grubością ze słynnym kasztanem Robinsona.

Co dzień od południa ustaw sztalugi swe naprzeciw Patryarchy i usiłuj malować jego szanowne konary... Uzbrój się jednak w cierpliwość, może bowiem cały tydzień upłynie, a mnie nie zobaczysz, jeżeli choroba siostry zatrzyma mnie w Gordes, lub jaka niespodziewana przeszkoda nie pozwoli mi opuścić zamku... Pojmujesz, że tutaj muszę być jeszcze bardziej ostrożną, niżeli w Paryżu..

Jeżeli, jak sądzę najzupełniej, radością dla ciebie będzie zbliżyć się do mnie, jedź jak najprędzej...

„Zanim zaś wyjedziesz z Paryża, nie widuj się z nikim... Nawet ojca mego unikaj... Szczególniej zaś nie mów o mnie... Głos ci drży, gdy wymawiasz moje nazwisko, pomieszczenie to mogłoby nas zdradzić.

„Nie podzielam wcale twojej radości, że przeciwnik twój niespodziewanie wyzdrowiał.

„Ten głupi szaleniec mógł być cię zabić... więc zasłużył sobie na to, ażeby umrzeć...”

.....

Lazaryna napisała to szybko z natchnienia włożyła do koperty i zaadresowała, następnie przebiegła raz jeszcze list, otrzymany od ojca, aż znalazła w piśmie jego to zdanie:

„Doktor pozwoli jutro nieboszczykowi Bégourdo-
wi powrócić do Paryża.“

— Jutro to znaczy dzisiaj — wyszeptła pani
Tour-du-Roy. — Hektor będzie już u siebie w domu,
gdy mój list do niego nadejdzie.

Ujęła za pióro po raz trzeci i napisała:

„Czy powiedziano ci, drogi książę, że wieczorem
po tym fatalnym pojedynku przybyła z Paryża kobie-
ta jakaś, kobieta w żałobie, zawołowana, szalejąca
z rozpacz, i że kobieta owa płakała u wezglowia twe-
go, kiedy chciałeś w przystępie okropnej gorączki
wyrwać ze swej piersi ostrze zakrwawionej szpady?

„Tą kobietą, Hektorze, byłam ja...“

„Lekarz skazywał cię... Myślałam, że widzę cię
umierającego, i odeszłam w przystępie takiej rozpa-
czy, tak złamana, że sama nie wiem, jak mój umysł
ocalał od obłędu...“

Na szczęście jednak dowiedziałam się nazajutrz
o tym niejako cudzie, który się stał, że jesteś już
wolny od wszelkiego niebezpieczeństwa...“

„Gdyby nie to, przysięgam ci, Hektorze, że dziś
albo bym już nie żyła, albo byłabym obłąkana...“

„Bądź cobądź o mało co nie utraciłam cię,
a w tej walce szczególnie, jaką nazywano niegdyś
sądem Bożym, sprawa niecna odniosła tryumf!...“

„O! jakże słusznie ze wszystkich mych sił sprze-
ciwiałam się temu wyzwaniu, temu pojedynkowi, od
którego nie nie mogło powściągnąć twojej odwagi...
Powiadają, że przecucie kobiety kochającej nie za-

wodzi nigdy... Mnie ono ostrzegało, że wynik pojedynku będzie smutny...

„Hektorze, drogi Hektorze, dlaczegożes mnie nie usłuchał? Dlaczegoż ja nie miałam siły powstrzymać cię, gdy był czas po temu?

Lecz wreszcie, chwała niebu, ocalony jesteś, reszta więc jest tylko przykrym snem...

„Dziwisz się może (i masz do tego prawo, mój rycerzu!), że nie widzisz mnie przy łożu, na którym cierpisz... Wiesz dobrze, iż tam byłoby moje miejsce... Jeżeli zaś nie jestem tam, gdzie powinnam być i gdzie być chciałabym, to dla tego jedynie, że zatrzymuje mnie zdala od ciebie obowiązek nie mniej nakazujący i nie mniej święty, a nierównie smutniejszy...“

.....
Tu Lazaryna opowiadała obszernie o chorobie hrabiny de Gordes, poczem dodała:

„Wreszcie zajmijmy się przyszłością.

„Pomyśl drogi książę, że drugi pojedynek z twym ohydny przeciwnikiem jest odtąd niemożliwy.

„Zabraniam ci nawet myśleć o wyzwaniu go, kiedy wyzdrowiejesz, a gdybyś był o tyle szalony, że nie chciałbyś mnie słuchać, rzuciłabym się między wasze szpady, ażeby przeszkodzić tej okropnej walce... Rozumiem cię... Powiadasz sobie i chcesz mi powiedzieć, że położenie wcale się nie zmieniło.

„Nie! po stokroć nie... Jest ono przeciwnie, odmiennie całkiem.

„Odkąd o mało co nie straciłam ciebie, zrozumiałam rzeczywiście, jak wielce kocham cię...

„Ażeby zostać twoją żoną, gotowam na wszystko; ażeby cię nie narażać na niebezpieczeństwa nowe, poświęciłabym nawet swój honor, a raczej swoją reputację, bo wiesz, że honor mój jest dla ciebie świętym...

Gdyby była potrzeba, Hektorze, pojechalibyśmy razem, opuścilibyśmy Paryż, zacierając za sobą nasze ślady...

Ślub nasz odbyłby się w jakim dużym mieście, w Anglii, Włoszech lub Niemczech z wiadomością konsulatu francuzkiego...

Małżonkami będąc, już nie mielibyśmy się czego lękać, prześladowca mój uczulby się pokonanym, i nie ośmieliłby się czepiać ani mnie ani ciebie.

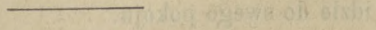
„Widzisz więc, drogi książę, że przyszłość do nas należy...

„Tylko teraz żadnej nieostrożności, a zwłaszcza, zdala od recydywy... Lecz się jak najprędzej... Staraj się być zdrowym, ażeby być kochanym... ażeby być szczęśliwym... żyj dla tej, której jesteś życiem...

.....

Lażaryna, która pismo do Laugiera nie podpisała, na tym liście podpisała się nazwiskiem i imieniem. Wszystkie trzy listy kazała wysłać na pocztę.

A teraz powróćmy do zamku de Gordes.



LII.

Trzy dni upływały.

Stan małej hrabiny pogarszał się coraz bardziej. Teraz już ogarniała ją złowroga senność fizyczna i moralna. Gdyby nie otwarte oczy, sądzić możnaby, iż ciągle spała... Nie ruszała się prawie wcale, nie mówiła nic...

Renata dni całe przepędzała milcząca, nieruchoma, przy łóżku swej siostry, w postawie tragicznej, z dziwnym wyrazem na pięknej a bladej twarzy.

Maksym z rozpaczcy załamywał ręce, wzdając zbliżające się oznaki katastrofy...

Raul chodził i siedział jak nieprzytomny.

Wiadomo, że nieraz w ostatnich dniach życia a nawet w ostatnich godzinach konania zdarzają się niespodziewane walki sił żywotnych z nieubłaganą śmiercią. Zdaje się wtedy, iż życie wraca, że wszystko zwraca się ku lepszemu... a to są tylko ostatnie wysiłki...

Tak się stało czwartego dnia i z Janiną.

Nagle się ożywiła, poczęła rozmawiać i przy pomocy Renaty i Raula usiadła na łóżku, a potem po chwili oświadczyła błagalnie, iż pragnie z mężem swym sama dłużej pomówić.

Renata wstała, zdziwiona tą tajemniczą odpowiedzią i nie chcąc przeszkadzać siostrze, oświadczyła, że idzie do swego pokoju.

Rzeczywiście jednak oddaliła się tylko pozornie, i ukryła się w garderobie za portjerą gobelinową, tak, że wybornie słyszeć mogła rozmowę małżonków.

— Mój drogi Raulu — rzekła Janina — usiądź tu przy mnie na łóżku i przytrzymaj mnie ręką, tak, ażeby usta moje były bliżej twoich uszu.

Pan de Gordes przybrał natychmiast żadaną postawę.

— Zanim mówić zacznę — szepnęła Janina — musisz mi coś przebaczyć i coś przyrzec.

— Ja mam ci przebaczyć? moja droga.

— Musisz mi zgóry przebaczyć zmartwienie, jakie ci sprawię... Ale musisz też przyrzec mi łaskę, o jaką cię proszę...

— Chociaż nie rozumiem, ale przyrzekam.

— Na honor?

— Na honor mój...

-- Przyjmuję twoją przysięgę, drogi Raulu...
A teraz posłuchaj...

Ale zamilkła w tejże chwili, jakby chciała wszystkie siły zebrać.

— Drogi Raulu — odezwała się głosem tak słabym jakby szmer jaki — oddawna już staram się pozostawić ci nadzieję, której już nie masz...

Przerwała sobie.

— Nie rozumiem cię... — przerwał pan de Gordes.

— Na mnie wyrok już zapadł, drogi Raulu...
Umierając, sprawię ci w życiu pierwsze jedyne zmar-

twienie, ale zmartwienie to przyrzekłeś mi przebaczyć...

Pan de Gordes czuł, że mu serce pęka.

— Ależ mylisz się, moja droga... Bóg jest dobry... Nie umrzesz...

Hrabina potrząsnęła głową.

— Wiem dobrze, że niedługo umrę... Ale nie płacz... nie rozpaczaj... bo mi odbierzesz resztę odwagi...

Raul czuł, że gdyby choć jedno słowo wymówił, wybuchnąłby łkaniem.

Milczał więc i tylko ścisnął rękę Janiny.

— Tak... Ofiara jest ciężka — ciągnęła dalej po krótkim milczeniu — umrzeć w ośmnastym roku życia... Ale się temu poddam z zupełną uległością... Jedna mnie tylko myśl niepokoi w tej chwili... Nie chcę, ażeby inna kobieta opanowała tobą w zupełności i kazała ci o mnie zapomnieć.

Pan de Gordes poruszył się gwałtownie.

— Inna kobieta! — powtórzył głosem zdławionym. — Czyż tak bardzo mną pogardzasz, że się możesz o to obawiać?.. Nie, ty nie umrzesz, ale gdyby cię Bóg zabrał, serce moje podążyłoby za tobą do grobu, zanim ciało złączyłoby się z tobą... a na to długobys nie czekała...

Janina zlekka potrząsnęła głową.

— Ja nie chcę, żebyś ty umarł — rzekła. — Raulu, ja ci żyć rozkazuję...

— Czyż ja mogę być w tem posłusznym?

— Przysiągłeś mi na swój honor, że mi wyświadcysz wszelką łaskę...

— To niepodobieństwo!..

— Przysiągłeś i o przysiędze pamiętaj!.. Do-
trzymaj słowa, a sprawisz mi tę ostatnią radość...

— Czegóż więc chcesz, Janino? — wyjąkał hrabia, walcząc z dławiącym go łkaniem.

Zwyciężony został, zaszlochał.

— Okrutną jestem, biedny przyjacielu, czuję to dobrze — podchwyciła hrabina po chwili, — ale nie moja to wina... Raulu, czy możesz mnie słuchać?

— Mów, moja droga, i może Bóg się ulituje nademną...

— Kiedy odejdę, świat ci się wyda pustym, bo wiem, że mnie tak kochasz, jak tylko można kochać... Samotność jest złą doradczynią... Samotność i zmartwienie zabiłyby ciebie, a ja ci nakazuję żyć... Otóż nie możesz żyć sam, Raulu, oto moja prośba ostatnia... Jest to ostatnia dla mnie łaska, a tyś mi ją obiecał, zaprzysiągł!.. W rok po mojej śmierci, ani wcześniej ani później... w rok po mojej śmierci ożenisz się!..

— Nigdy! — zawołał hrabia z uniesieniem. — Nigdy!.. przenigdy!

Pani de Gordes, jak gdyby nie słyszyła, bo ciągnęła dalej:

— Kobieta obca, zajmąwszy moje miejsce, chciałaby być wyłącznią ubóstwianą, kazałaby ci zapomnieć... Musiałbyś z serca swego usunąć obraz mój a nawet imię... Na samą myśl o tem, dreszcz mnie

przejmuje... Dlatego, ażeby sobie oszczędzić takiej katuszy, ażeby zgasnąć spokojnie, z uśmiechem na ustach, chcę ci dać kobietę, godną ciebie... kobieta, która, dlatego że mnie kochała, nie będzie usiłowała rozproszyć twe wspomnienia o mnie... Tę kobietę ty znasz... Kochasz ją jak siostrę... Przyzwyczaisz się prędko uwielbiać ją jako żonę... Razem myśleć będziecie o waszej biednej Janinie... Będziecie o niej mówili i modlić się będziecie, kładąc na mej mogile kwiaty... Ty ją pokochasz... Mniej jednak, niż mnie kochałeś... Proszę cię — trochę mniej... Nie można przecie dwa razy tak kochać, jak ty mnie kochasz, nieprawdaż? Raulu... mój drogi Raulu... ja także bardzo cię kochałam... Jak ja cię kochałam, mój Boże... jak ja cię kochałam!.. i mam umierać...

Głos Janiny zagasł. Łzy, powstrzymywane długo, popłynęły gwałtownie.

Ale silne wzruszenie trwało krótko.

Pani de Gordes znalazła w sobie dość siły, ażeby osuszyć łzy.

Po kilku sekundach mówiła dalej głosem, prawie pewnym:

— Domyśliłeś się już, o kim mówię... tą kobietą jest Renata, która tyle składa teraz dowodów dla mnie miłości... Przrzecz mi, drogi Raulu, przrzecz, że zaślubisz Renatę w rok po mojej śmierci...

Hrabia chciał odpowiedzieć, ale nie był w stanie wymówić ani słowa, ani dźwięku... Dusił się i zdawało mu się, że traci zmysły.

— Dlaczego milczysz? — zapytała hrabina. — Nie masz prawa odmówić, wiesz o tem dobrze... Mam twoją przysięgę, Raulu, odpowiedz mi!..

Pan de Gordes delikatnie ułożył głowę Janiny na poduszce, a gdy powtarzała jeszcze: Raulu, odpowiedz mi! odpowiedz! wybiegł z pokoju, jak człowiek rażony nagłym obłędem.

— Poprzysiągł na honor... — wyszeptała pani de Gordes. — Nie będzie śmiał złamać słowa, gdy umrę...

Renata, nieruchomo stojąca za portjerą, z wyciężonym słuchem, dobrze słyszała wszystko.

Uśmiech tryumfu zajaśniał na jej ponurej twarzy.

— Oto potężna i niespodziewana pomoc dla moich projektów! — rzekła do siebie. — Siostra jest za mną! powodzenie niezawodne! Teraz należy skończyć!.. Za tydzień Raul będzie wdowcem...

Zaledwie skończyła ten ze sobą monolog, gdy karetka zatrzymała się przed gankiem zamku, a z karety wysiadła pani Tour-du-Roy.

Lazaryna weszła do pokojów i w jednym z pierwszych zobaczyła siedzącego Raula i płaczącego.

Żywo przystąpiła ku niemu.

— Co ci jest mój szwagrze? — zapytała — czy stało się nieszczęście?

— Nie, moja siostrze — wyjąkał hrabia głosem zagasłym. — Janina nie umarła... ale wie, że ma umrzeć... Powiedziała mi to sama...

— Jakto? nie przedemną nie ukrywaj... proszę..

Pan de Gordes opowiedział Lazarynie wszystko, co wiemy...

— Trzeba jej przyrzec — odezwała się pani Tour-du-Roy, wysłuchawszy opowiadania. — Trzeba dać naszej drogiej umierającej tę ostatnią pociechę... Pozwól mi powiedzieć Janince, że się zgadzasz...

Pan de Gordes wahał się jeszcze, poczem schyliwszy głowę, odpowiedział:

— Idź, moja droga siostró, powiedz jej, skoro potrzeba.

LIII.

Lazaryna udała się do Janiny, a przywitawszy się z nią czule, rzekła:

— Znam szczegóły twojej rozmowy z mężem, wiem, że błagałaś hrabiego, ażeby, wrazie gdyby miał nieszczęście cię stracić, zaślubił siostrę naszą Renatę, po roku żałoby...

— Prosiłam o to Raula, to prawda — wyjąkała Janina bardzo osłabiona — ale Raul odmówił tej obietnicy, o którą błagałam... Czy i o tem wiesz?

— Wiem i przynoszę ci tę obietnicę... Jak teraz tak i w przyszłości, Raul może ciebie tylko kochać, moja pieczęszko, ażeby jednak zapewnić ci spokój, podda się żądaniom poświęcenia... Renata zostanie hrabiną de Gordes, skoro tego żadasz, jeżeli twoje posępne przeczucia ziszczą się, czego Boże nie

daj, lecz ona mieć będzie tylko nazwisko, tytuł i fortunę, bo hrabia nigdy nie przestanie być dla niej bratem... i tylko bratem...

Janina znalazła siłę, ażeby się podnieść i wielkie jej oczy zabłysły.

— Dzięki, droga siostrzko!.. — zawołała z uniesieniem. — Dziękuję ci!.. stokroć dziękuję... Jak to dobrze, żeś przyjechała... Wyświadczysz mi wielką przysługę... Wszak wyświadczysz, nieprawdaż?

— Jeżeli mogę uczynić, czego sobie życzysz, uczynię z całego serca — odpowiedziała Lazaryna. — O co chodzi?

— Pomów z Renatą i uzyskaj jej przyzwolenie... Mnie niepodobna byłoby z nią o tem mówić. Na ciebie tylko liczę, Lazaryno.

— Gdzież jest Renata?

— W swoim pokoju.

— Idę do niej...

Pani Tour-du-Roy udała się do saloniku Renaty, opisanego już poprzednio, i zastała siostrę, spoczywającą na sofie, z miną wielce zbolalą.

Nie wdając się wcale w długi wstęp, Lazaryna wprost przystąpiła do rzeczy i oznajmiła siostrze o życzeniu Janiny.

— Nasza siostra — dodała margrabina — uzyskała już od Raula solenną obietnicę, że po roku żałoby uczyni cię hrabiną de Gordes.

Renata zerwała się z okrzykiem zdumienia.

— Ależ to niedorzeczne co mi mówisz? — zawołała. — Zdaje mi się, że to sen.

— Nie, to nie sen — odpowiedziała margrabi-
na — wola Janiny jest prawdziwą i od ciebie zależy
ją urzeczywistnić... Dlatego proszę cię, ażebyś się
zgodziła...

— Ja mam się zgodzić tak nagle, bez namy-
słu? — podchwyciła młoda dziewczyna, jak gdyby
przestraszona.

— A jednak wiesz, iż jest to tak pilne, że mu-
sisz się zgodzić natychmiast...

— Ależ ja Raula kocham tylko jak brata i wąt-
pię, czy będę mogła pokochać inaczej.

— To też Janina chce ażebyście byli tylko dla
siebie bratem i siostrą... to nie obudzi w niej zazdrości
pośmiertnej...

Renata długo jeszcze wzdragała się po kome-
djancku z daniem obietnicy, wymaganej przez Laza-
rynę.

Wreszcie dodała jakby z rezygnacją.

— Ha! jak Opatrzność zrządzi... spełnię wolę
Janiny, ale miejmy nadzieję, że ona żyć będzie jesz-
cze dłużej dla szczęścia nas wszystkich.

LIV.

Tego samego dnia po południu Maksym Giraud,
poszedłszy do apteczki zamkowej dla przygotowania
lekarstwa, ze zdziwieniem zobaczył tam pokojówkę
Janiny, Genowefę, siedzącą przy stole i jakby śpiącą.

Chociaż jednak miała oczy zamknięte, nie spała, bo łyzy toczyły się po jej policzkach.

— Cóż to, moja Genowefo, co ci jest?

— O! panie! — odzwala się wierna pokojówka i zamilkła nagle, jakby się lękała więcej mówić...

— Widzę, że chcesz coś powiedzieć... mówże śmiało...

Genowefa rozejrzała się z obawą dokoła, poczem odezwała się głosem głuchym.

— Czy pan nie podejrzewał, panie doktorze, że w zamku popełniana jest zbrodnia...

— Zbrodnia! — powtórzył Maksym, drgnąwszy całym ciałem.

— Tak!.. Zbrodnia potworna... bo moją panią zabijają...

— Oszalałaś!.. — zawołał doktor, poblądłszy.

— O! nie.

— Któż więc dopuszcza się zbrodni?

— Nie wiem...

— A w jakim celu?

— Nie wiem...

— I w jaki sposób?

— Za pomocą trucizny...

— Ależ pomyśl tylko, Genowefo, panią de Gordes otaczają tylko ludzie, którzy ją kochają... To niepodobna. Kogóż więc z nich oskarżasz?

— Nikogo... niech mnie Bóg uchowal!.. Wierzę tylko w truciznę... oto wszystko.

— Ale z kądże się bierze ta trucizna?

— O! panie doktorze... pierwszy lepszy wieśniak nazbiera panu na łąkach różnych trucizn, jak szaleją, wronie oko, wilcze mleko, i jak tam je nazywają... A w cieplarniach zamkowych mało to jest drzew i krzewów z trucizną... Chcesz pan? zaraz pana przekonam...

— W jaki sposób?

— Niech pan ze mną pójdzie do cieplarni.

— Dobrze, idę z tobą... — rzekł Maksym coraz bledszy.

Słowa Genowefy ukazały mu nagle straszliwą otchłań. Przypomniał sobie dramaty małżeńskie, jakie rozgrywały się ostatecznie w sądzie, a w których mąż lub żona starali się rozerwać węzły ich łączące, za pomocą zbrodni podstępnej.

Kto wie, czy i Raul nie wszedł na tę drogę występku?

To straszne podejrzenie zrodziło się nagle w myśli doktora.

— O! jeżeli tak jest! pomszczę tę anielską istotę! — szepnął z rozpaczą — głowa mordercy spadnie na rusztowaniu!

Gdy Maksym mówił to do siebie, Genowefa szybkim krokiem zaprowadziła go do cieplarni zamkowej, którą opisaliśmy obszernie już poprzednio.

Otworzyła po cichu drzwi do oranżerji. Upał był duszący. Para gęsta unosiła się z wilgotnej ziemi i pokrywała szyby.

Rośliny podzwrotnikowe wydzielały z siebie woń cierpką.

— Pan doktor, czuje te trucizny w powietrzu?— rzekła pokojówka do Maksyma. — Ale ja zaraz coś panu ciekawego pokażę...

I Genowefa poprowadziła Maksyma ku euforbiom abisyńskim koleczastym, do pandanów z Jawy o liściach cienkich koronkowatych, nakrapianych białymi centkami, ku tangelom z Madagaskaru o łodygach lśniących.

Przy każdym z tych krzewów zat rzymywała się mówiąc tylko:

— Patrz pan!..

I jednocześnie pokazywała liczne na nich nacięcia, jedne dawniejsze, inne zupełnie świeże, poczynione scyzorykiem.

Z nacięć tych spływały krople soku, to przezroczyste i ciągnące się jak klej, to matowe i białe jak mleko.

— Widział pan doktor? — spytała Genowefa.

— Tak... — odpowiedział Maksym.

— To przecie chyba dzieje się nie przypadkowo?...

— Ale — odezwał się doktor — czy to trucizna płynie?

— O! na to będzie pan miał dowód zaraz...

— Gdzie?...

— W bibliotece... Pójdź, panie doktorze, nie mamy tu już co robić?..

Zanim jednak Maksym opuścił ogród zimowy, dotknął palcem najświeższego nacięcia tangenu madagaskarskiego, zebrał kropelkę mleczną i przyłożył ją do języka.

Natychmiast uczuł niezwykłą gorycz i dotkliwe palenie, jakby od żelaza rozpalonego. Daremnie spluwał gorycz i wycierał chustką język, podwójne to uczucie trwało dalej. Jednocześnie koniec palca poczynął go palić i boleć, a skóra tam, gdzie się dotknął soku tangenu, poezerniała jak od lapisu.

— O! tak! to trucizna!.. — zawołał — innej mi próby nie potrzeba!.. Jakże się nazywa ten krzew?

— Już nie pamiętam!.. Ale zobaczy pan jego nazwisko w książce.

— W jakiej książce?

— W tym grubym tomie, który czytał pan hrabia z wielkiem zajęciem tego dnia, kiedy pani posłała mnie do niego z oznajmieniem, że pan przyjechał... O! to bardzo ładna książka i bardzo ciekawa... Nieraz zajrzałam do biblioteki, ażeby się w niej rozczytać, i gdyby nie ta książka, nie byłabym się domyśliła tych rzeczy...

Maksym, coraz bardziej wzruszony, podążył za Genowefą na drugie piętro i przestąpił próg biblioteki.

LV.

Wielki stół hebanowy po środku sali bibliotecznej pokryty był atlasami, rycinami i różnego rodzaju książkami. Między innymi zwracały uwagę wspaniałe oprawne tomy, które Raul sprowadził z Paryża, ażeby zaspokoić fantazję siostry żony, pragnącej studiować roślinność podzwrotnikową, której okazy zawierała cieplarnia.

Jedna z książek otwarta była na prześlicznie kolorowanej rycinie.

Genowefa przystąpiła do stołu, wzięła książkę, przewróciła w niej kilka kartek i pokazała doktorowi inną rycinę.

— Niech pan spojrzy... Czy to nie podobny zupełnie portret... o, ja go odrazu poznałam.

Maksym spojrział i poznał odrazu wyborną podobiznę, jakby fotografię jadowego tangenu madagaskarskiego.

Objaśnienie do ryciny opisywało własności trujące krzewu, objawy charakterystyczne zatrucia sokiem lub odwarem z liści i wskazywało lekarstwa, używane przez mieszkańców Madagaskaru, dla zwalczania tej trucizny.

— O! zobaczy pan tu i inne — podchwyciła Genowefa — ani jednego tu nie brak...

I, odwracając znów kilka kartek, pokojówka pokazała Maksymowi euforbję abisyńską, pandan

jawski, wszystkie krzewy wreszcie, które miały na sobie nacięcia.

Wszystkie posiadały one własności okropne, wszystkie zajmowały pierwszorządne miejsce w hierarchii trucizn roślinnych.

Maksym złodowaciał ze zgrozy.

Do umysłu jego wracało raz już powzięte podejrzenie.

— Genowefo — zapytał zeicha, po długim milczeniu — czy te książki znajdowały się w zamku przed ożenieniem się pana de Gardes?

— Nie, — odpowiedziała bez wahania i spokojnie.

— Jesteś tego pewna?..

— Jak najzupełniej... Pamiętam, że pan po nie posyłał na kolej do Orleanu.

— Jak dawno?

— Na dwa czy trzy tygodnie przed chorobą naszej kochanej pani.

Maksym znów zadrzał.

Światło powstawało coraz większe.

Morderea nie tracił czasu przy działaniu.

— Genowefo — podchwycił doktor — a jakim sposobem zwróciłaś uwagę na te wszystkie podejrzanе rzeczy?

— Zdaje mi się, że sam Pan Bóg poprowadził mnie za rękę — odpowiedziała pokojówka. — Kiedym tu przyszła owego dnia po pana hrabiego, zobaczyłam zdaleka obrazki w książkach i byłam ich bardzo

ciekawa... Nazajutrz wróciłam tu, ażeby się im przyrzeć bliżej, gdy pan wyszedł, a panna Renata czuwała przy naszej drogiej pani. Zdawało mi się, że poznaję różne krzewy z cieplarni, gdzie bywam dość często, bo lubię bardzo kwiaty... Chciałam się upewnić, czy się nie mylę, i poszłam do ogrodu zimowego... Oczywiście zobaczyłam nacięcia... Z początku dziwiły mnie one, potem zaniepokoiły, tembardziej, że te krzewy, które były nacięte, zawierały, podług książki, truciznę niebezpieczną... Wtedy moja wyobraźnia zaczęła pracować... Pomyślałam o pani hrabini, o jej chorobie tak szczególnej, że nikt z doktorów nie mógł jej zrozumieć. Słowem, myśl o zbrodni przeszła mi przez głowę, ale prędko wzruszyłam ramionami, pytając sama siebie, czy nie oszalałam... Odpędziłam myśl tę, ale znów do mnie wróciła... I nie opuszczała mnie ani w dzień, ani w nocy... Narzeczcie musiałam panu to powiedzieć...

— I dobrze zrobiłaś... — odpowiedział Maksym.

— A co pan myślisz o tem, czy tak samo, jak ja?

Młodzieniec się zawahał.

— Ja ci odpowiem — rzekł przez ostrożność — tak i nie... Pozory wskazują zbrodnię, ale wydają się one tak potworne... iż pozory mogą mylić... Dlatego też, Genowefo, nie mów nikomu w świecie o tem, coś mnie powiedziała.

— O! nie pisnę ani słowa.

— I bądź taką, jaką byłaś przed straszliwym odkryciem.

— Ależ, panie doktorze — wyjąkała biedna kobieta — nie mogę jednak pozwolić, ażeby panią hrabinę truto w moich oczach! Za każdym razem, gdy nasza pani będzie dostawała rumianku lub lekarstwa odemnie, albo od panny Renaty, drzeć będę z obawy, czy ten napój nie zadaje jej ostatniego ciosu...

— Bądź spokojna, Genowefo... ja wszystkich starań dołożę, ażeby pani hrabina już nie była narażoną, ale potrzeba na to, ażeby morderca nie domyślał się dozoru, jaki odtąd rozciągniemy.

— Ale pan ocalisz naszą panią, nieprawdaż?
I pokojówka błagalnie załamała ręce.

— Niestety! — odpowiedział boleśnie młodzieniec — boję się, czy przekłety zamach za daleko już się nie posunął... czy wszystko już nie zostało stracone...

— O! Bóg panu dopomoże...

Kiedy Genowefa opuściła doktora ten zatopił się w myślach.

Podpatrzenie jego padło na męża, na Raula.

Wspomnienie jego przeszłości awanturniczkiej zdawało się uprawdopodobniać ten domysł...

Uwiedzenie cudzej żony, zranienie w pojedynku męża, wszystko to stwierdzać mogło przewrotność jego natury...

— Ale — mówił doktor do siebie jednocześnie — taka nikczemność byłaby zbyt potworną... Pan de Gordes ma twarz ucziwego człowieka... Znać na niej boleść głęboką... w oczach jego widziałem

ły... Lecz jeżeli on jest uczciwy, któż więc jest zbrodniarzem.

W tej walce myśli Maksym spędził długie godziny. Wyszedł z niej złamany, ale jeszcze nieoświetlony niczem.

Przy kolacji doktor znalazł się sam na sam z Ralem. Renata kazała sobie podać jedzenie w pokoju siostry, nie chcąc jej opuszczać.

Doktor, korzystając z tej okoliczności, poddał pana de Gordes, bez jego wiedzy, badaniu, jakiegoby mu pozazdrościł wytrawny sędzia śledczy.

Odpowiedzi proste, zgoła nie wykrętne, rozchwiały najzupełniej podejrzenie Maksyma. Taka głęboka boleść jaśniała w jego spojrzeniu, taką boleścią teńnęły jego słowa, że doktor rzekł sam do siebie w duchu:

— Hrabia nie jest winien... Trzeba kogo innego szukać...

Około godziny dziewiętej Maksym powrócił do swego pokoju i znów wyteżał daremnie umysł dla rozwiązania tej zagadki.

Dopiero na odgłos zegara zamkowego, wydzwaniającego północ, drgnął cały. Głowę miał całą w ogniu, krew uderzała mu gwałtownie w arterjach; powietrze wydało mu się duszącem. Otworzył okno, oparł się o parapet, wystawiając twarz na orzeźwiający podmuch wiatru.

Noc była piękna, ale bezksiężycowa. Miriady gwiazd błyszczały na czystym niebie. Masy ziolo-

nych gałęzi z drzew sięgały ku niebu. Mgła unosiła się oparami z wód.

Maksyma zdjęła ochota szukać ulgi w błędzeniu wśród alei parku, w ciemnościach.

Wyszedł na korytarz wyściełany makatami indyjskimi, potem na schody, na których dywany smyrneńskie głużyły odgłos kroków, i tak dostał się na ganek.

Po chwili był już na małej łączce przed zamkiem.

Pod wpływem myśli, oczy jego zwróciły się w stronę widocznego ztąd dobrze ogrodu zimowego i nagle zadrzał.

Po za szybami cieplarni ujrzał jakieś światelko migoczące, niby błędny ognik.

Światelko to pozostawało nieruchome w miejscu, to znów się poruszało.

Kto o tej godzinie nocnej, kiedy wszystko spało w zamku, przechadzał się tak po cieplarni z lampą w ręku? jaki cel mógł być tego nocnego spaceru?

— Bóg mi zsyła ten dowód, o który tak błagałem — rzekł do siebie z uniesieniem. — Bóg oddaje mi w ręce mordercę.

Bo któż jeżeli nie truciciel, zbierający jad, mógł błędzić po smutnym ogrodzie zimowym?

— Nikt!..

Doktor czempredzej podążył ku cieplarni.

W miarę, jak się zbliżał, coraz lepiej rozróżniał światelko. Był to blask latarki wśród mgły.

Maksym już był pod oszkleniem cieplarni. Zda-
wało się, że nie niema łatwiejszego jak zajrzeć przez
szyby.

Przyłożył do nich twarz, ale tam spotkał go zu-
pełny zawód. Para ciepła tak osiadła na szkle, iż
czyniła je nieprzezroczystem. Blask światła przezie-
rał przez szyby, ale nie można było widzieć przez nie
ani żadnej postaci, ani nawet konturów.

— Trzeba tam wejść! — pomyślał młodzieniec
i zaczął szukać miejsce, gdzie zwykle były otwarte
okna cieplarni. Ale tym razem zastał je zamknięte.
Widocznie ogrodnicy obawiali się wpływu powietrza
na rośliny, które już ochłodziło się od dni paru.

Maksym czuł, jak go ogarnia wściekłość.

Wiedział, że się znajduje tu, w pobliżu, nędznik,
którego należało tylko pochwycić i zdemaskować,
i nie był w stanie tego dokonać.

Przez chwilę doktor chciał potłuc szyby, choćby
musiał poranić sobie twarz i ręce, i rzucić się tym
otworem.

Lecz wstrzymał się po namyśle. W ten sposób
niczego by nie dopiął, a tylko obudziłby baczność
mordercy. Na odgłos szkła tłuczonego, nędznik zga-
siłby latarkę, zniknąłby w ciemnościach i odtąd pil-
nieby się strzegł.

— O! ale w każdym razie musi on wrócić do
sieni... Więc ja go tam wyprzedzę, a gdy bę-
dzie przechodził przedemną, zajrzę mu w twarz.

W kilka sekund Maksym był już na stopniach
ganku otworzył drzwi i cicho wsunął się do obser-

nego przedsionka. Ogromna ta sala przybrana była trofeami myśliwskimi i starodawnymi zbrojami.

Maksym schował się za jedną z tych zbroi, mogącą okryć barczystego rycerza od stóp do głowy i czekał. Oczekiwanie to trwało pięć czy sześć minut, a jemu wydało się niezmiernie długiem.

Wreszeie po upływie tego czasu, drzwiczki poboczne otworzyły się i światło drżące położyło plamę białą na krąg cieniów, zalegających posadzkę przedsionka.

Maksym czuł, jak mu się serce ścisła, a pot występuje na czoło.

Bo jakże wymarzyć położenie bardziej wzruszające?..

Ten, który za sekundę miał przestąpić próg był — ktokolwiekbaż — niewątpliwie mordercą.

Światło zwiększyło swój blask i Maksym zaledwie zdołał powściągnąć okrzyk przerażenia, wydobywający mu się z ust.

Bo w progu drzwi ukazał się *Raul de Gordes*, a obecność jego w tem miejscu i o tej godzinie nie dawała się tłomaczyć przypadkowym trafem...

Nie!.. Powracał on z ogrodu zimowego, a zresztą świadczył przeciw niemu i dowód rzeczowy.

Prawą ręką trzymał małą lampkę z kloszem matowym, a w lewej niósł pęk kwiatów podzwrotnikowych, barwy najświetniejszej, a więc zapewne najjaśdowitszych.

Powoli, z głową, nieco zwieszoną, z twarzą ponurą i spojrzeniem nieruchomem, jak lady Makbet,

ocierająca bez przerwy ręką arystokratyczną płamę krwawą, płamę niestartą, przeszedł przez przed-sionek.

Prawie otarł się o Maksyma, ani się domyślając jego obecności, i krokiem lunatyka wstąpił na stopnie wielkich schodów... i skierował się ku pokojom hrabiny.

— On! To on!.. — wyjąkał Maksym. — O! nie-kezemny!..

I sam pobiegł zcicha za mordercą.

LVI.

Hektor Bégourde rzeczywiście wyszedł już z wielkiego niebezpieczeństwa tak, jak *najlepszy z ojców* pisał do Lazaryny.

Słowa byłego bankiera o margrabinie, o jej współczuciu i powodach wyjazdu, takiej siły dodały rannemu, że czuł się niemi pokrzepiony i w błogiem usposobieniu znajdował się po wizycie Juliusza Leroux i swego przybranego ojca, gdy w kwadrans po ich odejściu, do pokoju restauracyjnego, gdzie leżał, wszedł jego lokaj i podał mu bilet wizytowy, mówiąc:

— Ten pan, który mi oddał bilet, nie prosi wcale, ażeby książkę pan go przyjął, ale chciał się dowiedzieć o zdrowiu jaśnie pana i powiada, że szczęśliwy jest z otrzymanej wiadomości.

Hektor wyczytał nazwisko, wypisane na welinie.

— *Marcel Laugier!* — rzekł. — O! słowo hono-
ru, to prawdziwie przyzwoity człowiek... Idź natych-
miast i powiedz panu Laugier, że jestem mu niesły-
chanie wdzięczny za jego uprzejmość.

— Słucham jasnie pana.

— Dodaj, że jutro będzie mi już wolno powrócić
do mego pałacu przy ulicy Franciszka I i że za kilka
dni będę miał przyjemność oddać mu w Paryżu wizy-
tę, za te dzisiejsze odwiedziny tak z jego strony ła-
skawe.

— Słucham jasnie pana.

Doktór kilka godzin jeszcze nie odstępował ran-
nego. Kiedy zeszedł do restauracyi na obiad, lokaj
Hektora zbliżył się doń tajemniczo i opowiedział swe-
mu panu, że go odwiedzała jakaś pani mocno zawoa-
lowana i że bardzo rozpaczała.

Z opisu szczegółowego, bo ksiązę jak najtroskli-
wiej o wszystko badał lokaja, nabrał Hektor prze-
świadczenia, że była to Lazaryna i ucieszył się tem
niewymownie.

Czuł w sobie coraz więcej sił, przywracających
go do życia, i czuł coraz większe pragnienie życia.

Z Ville d'Avray Hektor przewieziony został na-
zajutrz do swego pałacu w Paryżu.

Tu go niebawem spotkała nowa niespodzianka
przyjemna. Był nią od Lazaryny ów list obszerny,
którego treść dobrze nam znana. Młody ksiązę po-
zerał oczyma list i dwa razy go przeczytał.

Radość dodała mu nowych sił. Zdawało mu się,
że może się podnieść z łóżka i chodzić. Jednocześnie

jednak dziwny zamęt zapanował w jego myślach. Lazaryna w swym liście przedstawiała znów Marcela Laugiera tak potępiająco, a tymczasem były poręcznik tak przyjemnie sprawił wrażenie na Hektorze.

Przybrany syn księcia, Bégourde, doznawał dziwnego uczucia: bo, gdy pomyślał o słowach Lazaryny, nienawiść go przejmowała dla byłego huzara, a znów, gdy sobie przypomniał jego twarz sympatyczną, ochota go brała dłoń mu serdecznie uściśnąć.

Rezultatem tej walki myśli było, iż postanowił zachowywać się względem swego przeciwnika jak najostrożniej i nie dać się uwodzić złudnym pozorom.

Postanowił zarazem rzecz tę całą zbadać jak najskrupulatniej. Zawoławszy służącego, zapowiedział mu, że jeżeli przyjdzie zapytać o jego zdrowie pan Laugier, ażeby poprosił go doń do pokoju.

Rzeczywiście w kilka godzin później lokaj oznajmił Marcela Laugier, a wchodzącego przeciwnika księżę powitał uprzejmie.

Były poręcznik wydawał się nieco wzruszonym.

— Przedewszystkiem — wyrzekł — muszę panu oświadczyć, że w naszym stosunku wzajemnym nigdy nawet nie zamarzyłem, ażebym mógł być przez pana tak łaskawie przyjętym... nigdybym się nie ośmielił sam tu wejść... ale powiedziano mi, że sprawi to panu przyjemność.

— Rzeczywiście — przerwał Hektor.

— O! to bardzo się z tego cieszę!.. pozwól, panie, że ci podam rękę...

— Z jak największą ochotą — odparł książę.

Uściśnięto sobie ręce. Marcel usiadł.

— Wierzaj mi pan — rzekł — że bardzo się martwiłem, mniemając przez cały dzień, żeś pan z mej ręki zginął. Nie mogłem sobie przebaczyć pańskiej śmierci, chociaż, przynasz pan, nie byłem temu winien.

— Winy niema przy uczciwym pojedynku — wtrącił Hektor.

— Tak, a czyż mogłem temu pojedynkowi zapobiedz przy pańskiej żywości?

— Naturalnie...

— Dzięki Bogu, zakończenie nie ma w sobie nic strasznego. Wszystko się kończy dobrze, a my, cośmy się mieli pozabijać, teraz rozmawiamy z sobą po przyjacielsku... Ale niechże mi pan pozwoli wyświetlić pewien punkt tej sprawy, który dla mnie pozostał dotąd ciemnym.

— I owszem.

— Zaraz się wytłomaczę... Pańska usilność w wywołaniu między nami kłótni w teatrze bardzo mi się dziwną wydała.

— Doprawdy.

— Czyniłem więc różne przypuszczenia... i ciekawym, co pan powiesz na ten domysł, który mnie wydał się najprawdopodobniejszym ze wszystkich.

— Przypuszczałeś pan może — żywo przerwał książę — że pana znałem, choć nie byłem panu znany, i że zrobiłem z panem kłótnię z powodu jakiegoś stosunku romantycznego.

— Bynajmniej — odparł Marcel — tego nie mogłem przypuszczać.

— A to dlaczego?

— Dla względów czysto osobistych. Jakkolwiek nie jestem moralności surowej, jednakże żyję zupełnie po za światem awantur romantycznych... Oddałem się całej jednej miłości, należę do jednej tylko kobiety, a co do tej kobiety nie może być mowy o jakiejś zwykłej rywalizacji.

Hektor zbladł i gotów już był zawołać:

— Ta kobieta pana nie kocha... Ona cię nie kochała nigdy... Ona cię nigdy kochać nie będzie... Ty jesteś plagą dla niej, jej wrogiem... ażeby ją uwolnić od tego prześladowania, chciałem cię zabić.

Ale przypomniał sobie, że poprzysiągł milczeć, wyszeptał więc tylko:

— Znowu nie nie rozumiem... Cóż, pan zatem przypuszczasz?

— Wszak pan nigdy się jeszcze nie pojedynkował? — pytał Marcel Laugier.

— Nigdy — odpowiedział Hektor.

— I ja tak myślałem — ciągnął dalej z uśmiechem były oficer. — Otóż przypuszczałem, że pragniesz się pan pojedynkować z kimkolwiek pod jakimkolwiek bądź pozorem, i że moja postawa wojskowa przypadła panu do gustu i że uczyniłeś mi zaszczyt, wybierając mnie na swego przeciwnika... Czy się mylę?

— Nie zupełnie — odparł młody książę, ukrywając żywe zakłopotanie, gdyż niemiło mu było kłamać.

— Jestem zachwycony, że tak jest w istocie... — ciągnął Marcel, uważając za przyznanie odpowiedź niezbyt wyraźną. — Chrzesz broni odbyłeś pan z niezaprzeczoną odwagą, po nad wszelką pochwałę... Jeżeli również pan czujesz taką sympatję, jaką ja mam dla pana, nie pozostaniemy dla siebie obojętnymi... O! nie śpiesz się pan z odpowiedzią... Wiesz dobrze, że przyjaźń nie zawiązuje się tak prędko... Pan masz już moją przyjaźń... ja poczekam na pańską, a czekać będę cierpliwie, bo prędzej czy później przyjdzie na nią czas... jestem tego pewny.

Hektor bąknął kilka grzecznych słówek.

— Cieszę się, żeś pan mnie raczył przyjąć dzisiaj... bo jutro już nie mógłbym pana odwiedzić...

— Dlaczego?

— Bo opuszczam Paryż.

— Jutro?

— Tak.

— I na długo?

— Sam jeszcze nie wiem.

Wypytywać więcej byłoby rzeczą niedelikatną, ale Hektor powziął podejrzenie, że jego przeciwnik chce jechać za Lazaryną i znów ją prześladować. Zaczął więc swego gościa traktować coraz sztywniej. Marcel to zauważył, ale tę dziwną zmianę usposobienia przypisał stanowi gorączkowemu chorego i pożegnał go bez żadnej urazy...

Po jego wyjściu, Hektor, natychmiast zadzwonił na lokaja i chociaż siły nie zdawały mu się jeszcze dopisywać, kazał sobie podać przybory do pisania

i wnet skreślił list następujący, wprawdzie z wielkim wysiłkiem:

„Ubóstwiana Lazaryno!

„Drogi twój list, który przyciskam to do ust, to do serca uczynił ze mnie człowieka najszcześniejszego!.. i lepiej niż wszyscy doktorzy przyczynił się do mego wyzdrowienia... Jemu to zawdzięczam prędkie odzyskanie sił.

Życie moje za krótkie będzie, ażeby ci okazać mą wdzięczność!.. Kiedy będziesz pani moją żoną, kiedy cię nazwę księżną de Castel-Vivant, postaram się dług ten ci spłacić...

„Ale śpieszę cię ostrzedz przed grożącym niebezpieczeństwem.

Przeciwnik mój, z którym się widziałem, mając nadzieję, że rozmowa z nim przyniesie mi coś użytecznego, wyjeżdża z Paryża...

„Dokąd? tego nie wiem i obawiam się odgadnąć... Ale drzę, ażeby nie pogonił za twoim śladem i, korzystając z twojej samotności w wielkim zamku, ażeby nie chciał użyć wszelkich tych sposobów niegodnych, przed jakimi się nie cofa.

„A ja jestem tutaj!.. zdala od ciebie!.. niezdolny bronić cię wcale!..

„O! ta myśl przejmuję mnie dreszczem... zabija mnie!..

„Lazaryno ubóstwiana! wyświadczyć mi łaskę wielką!.. Siły moje wzmagają się, i za dni parę będę już na nogach...

„Jeżeli go więc zobaczysz krążącego koło zamku, natychmiast napisz do mnie, lub zatelegrafuj, a ja, nie tracąc chwili, przyjadę do Loiret.

„Jeden z moich znajomych, milioner—wydawca, dla którego wydawnictw, dawniej, kiedy byłem artystą, robiłem wiele rysunków, człowiek niezmiernie sympatyczny i uprzejmy, ma w pobliżu Tour-du-Roy ładny zamek... Poproszę go o gościnę, zapewne mi nie odmówi.

„Napisz mi słówko jedno... droga Lazaryno, a jadę...

„Wszak nie potrzebuję ci powiedzieć, że cię uwielbiam. A jednak ci to mówię, powtarzam i powtarzać będę przez całe życie.

Hektor.“

Zaledwie napisał ten list, młody książę opadł wyczerpany na poduszki, zasnął głęboko, i śniło mu się, że się znów pojedynkuje z Marcelem Laugier i że tym razem nadziewa go, jak bażanta na rożen.

LVII.

Nietylko Hektor napisał list do Lazaryny, uczynił to również i Marcel, donosząc jej, że nazajutrz wieczorem przybędzie do zajazdu pod „Białym koniem“, że zacznie następnie udawać malarza, a wiedząc, jak choroba siostry pochłania obecnie pa-

nią Tonr-du-Roy, cierpliwie czekać będzie na klucz do raję.

Właśnie Lazaryna jechać miała do zamku Gordes, gdy otrzymała jednocześnie oba listy, od Hektora i od Marcela Laugiera.

— O!—zawołała z gniewem, przeczytawszy listy, które następnie rzuciła w ogień, palący się na kominie — teraz niepodobna jednocześnie wdzięczyć się do tych ludzi... Szaleństwo zaś byłoby pchać po raz drugi księcia na huzara... Tym razem mieliby z sobą rozmowę przed wystąpieniem do pojedynku, i wszystkoby przepadło!.. O! trzeba z tym huzarem już skończyć!.. ale jak?

Margrabina ujęła pióro i napisała ten liścik lakoniczny:

„Na miłość Boską księżę, oddal od siebie wszelką troskę i niepokój.

„Mnie żadne niebezpieczeństwo nie grozi...

„Za dziesięć minut opuszczam zamek Tour-du-Roy i przenoszę się do Gordes, ażeby czuwać nad moją chorą siostrą... Opieka znów mojego szwagra uchroni mnie od wszelkich przykrości... Przeciwnik twój wie doskonale, że progi zamku de Gordes są dla niego niedostępne...

W każdym razie, jeżeli dowiem się o jego obecności w okolicy, natychmiast otrzymasz odemnie list, wzywający, ażebyś przybył. Ale myśl tylko o tem, ażebyś przyspieszył wyzdrowienie zupełne... ażebyś odzyskał nową krew w swych żyłach... w miejsce

krwi, przelanej dla mnie... krew, która do mnie należy z tego samego tytułu co i serce twoje.“

LVIII.

Rozstaliśmy się z Maksymem Giraud w chwili, gdy przerażony niespodziewanym widokiem pana de Gordes pobiegł za nim po schodach.

Ale hrabia znacznie go wyprzedził i z bukietem kwiatów trujących wszedł już do mieszkania Janiny, które składało się z przedpokoju, salonu, sypialni i garderoby.

Pan de Gordes zatrzymał się w przedpokoju, postawił na konsoli lampkę, którą sobie przyświecał, potem przez salon udał się do sypialni swej żony. Ponieważ drzwi wszystkie pozostawił otwarte, doktor wsunął się do przedpokoju i widział doskonale, co się dzieje w sypialni.

Postanowił winowającę pochwycić i ukarać... co prawda, nie wiedział jeszcze w jaki sposób...

Ku wielkiemu jednak zdziwieniu jego, w chwili gdy pan de Gordes wszedł, Janina ozwała się głosem słabym, prawie niewyraźnym, ale łagodnym i jeszcze harmonijnym:

- To ty, Raulu?
- Tak, moja droga...
- Przychodzisz z ogrodu zimowego?
- Tak, moja pieszczoszko, ponieważ pragnęłaś.

— Jakiś ty dobry!.. a masz kwiaty.

— Cały bukiet... Oto jest...

— Rozłóż je prędko na kołdrze... Ja tak pragnę zobaczyć je, oddychać niemi, dotykać... Opuszczam już te przyjaciółki... Chcę je pożegnać, jak i wszystko, co kocham... Jutro wezwiesz naszego pocziwego proboszcza... Chcę stanąć przed Bogiem z duszą tak czystą, jak w dzień chrztu... Proszę cię Raulu, nie płacz.. Nie odbieraj mi odwagi... Odpędźmy smutne myśli i podaj mi kwiaty...

Maksym, słysząc to wszystko, odetchnął swobodniej... Chciał jednakowoż próbę swą doprowadzić do końca.

Wycofawszy się bez szmeru na korytarz, zapukał z lekka do drzwi przedpokoju.

Odgłos ten zwrócił uwagę pana de Gordes który natychmiast podszedł do drzwi i zapytał pocichu:

— Kto tam?

— Ja, panie hrabio — odpowiedział Maksym.

— Pan o tej godzinie? co za traf?

— To wcale nie traf — odrzekł młodzieniec — nie mogłem spać, wyszedłem z zamku i zmierzałem do parku, gdy wtem zobaczyłem światło w cieplarni...

— Światło — przerwał mąż Janiny — to od lampki, którą niosłem.

— Ale ja byłem niespokojny...

— Niespokojny pan byłeś, dlaczego?

— Wszelka tajemnica mnie zajmuje, a szczególnie obecność niewiadomo czyja w cieplarni podczas

nocy zaintrygowała mnie i wydała mi się podejrzaną.

Maksym wlepił badawcze spojrzenie w twarz Raula i mówił dalej:

— Wszak nie jest panu hrabiemu niewiadomem, że ogród zimowy pełen jest roślin podzwrotnikowych obfituje więc w tyle trucizn, jakby jaka pracownia chemiczna...

— Tak — odpowiedział pan de Gordes, a na twarzy jego nie drgnął ani jeden mięsień — tak, wiem o tem... ale cóż z tego?

— Zbrodnię tak prędko można popełnić, gdy łatwą jest do popełnienia?

— A komuż mogłaby przyjść myśl zbrodni? — zapytał żywo hrabia. — Zabójstwo dokonywane jest z nienawiści, przez zemstę, albo dla interesu... A gdzież tutaj znajdziesz pan takie pobudki?..

— A czy zamiast nieprawdopodobnej zbrodni nie można przypuścić nieostrożności?

— Jakiej nieostrożności, czyjej?

— A mój Boże!.. a pańska naprzykład...

— Jakto?.. Cóż ja uczyniłem?

— Przyniosłeś pan do pokoju chorej i rozłożyłeś na łóżku bukiet kwiatów, których woń trująca stanowi dla niej straszne niebezpieczeństwo... pani de Gordes jest tak słaba, że ten zapach może ją zabić...

Bladość śmiertelna powlekła zmienioną twarz Raula i zatrzęsł się całym ciałem.

— O! ja nieszczęśliwy — wyjąkał zagasłym głosem — byłbym się stał zabójcą mojej ukochanej Ja-

niny... Doktorze... kochany doktorze... gdybyś mnie nie był objaśnił... co za rozpacz, wielki Boże... co za wyrzuty sumienia... Ale w ciągu zaledwie pięciu minut... złe nie może być tak wielkie... Pójdź pan ze mną... błagam... Daj do zrozumienia hrabinie, że trzeba usunąć te kwiaty fatalne... Widzisz pan, w jakim ja strasznym jestem niepokojem... W myślach mych zamęt... nie umiałbym się wytłomaczyć jasno... Pójdź, doktorze... Pójdź prędko..

Raul podążył do pokoju sypialnego, a za nim Maksym, szepejąc do siebie zcicha:

— Czyżby obłuda miała się tak daleko posuwać. Nie, hrabia nie jest winowajcą... a jednak mimowoli ja wątpię jeszcze...

LIX.

Nazajutrz po południu Janina czuła się jeszcze słabszą. Już ksiądz proboszcz wysłuchał ją spowiedzi i udzielił jej komunję.

Przy łóżku jej siedzieli zrozpaczeni Lazaryna i Raul, których umierająca trzymała za ręce... o kilka kroków stał strapiony Maksym.

Wtem Renata weszła do pokoju.

— Doktorze — odezwała się — już po drugiej. Czy przynieść Janinie lekarstwo?

— I owszem, proszę.

— Taką samą dozę?

— Taką samą.

Młoda dziewczyna udała się do garderoby, z kąką wyszła.

Doktor postąpił kilka kroków, ażeby za nią podążyć, ale zatrzymał się w połowie drogi.

Po chwili ukazała się Renata, niosąc kieliszek kryształowy, prawie cały napełniony płynem koloru opalowego. Zbliżyła się do łóżka. Maksym ją zatrzymał.

— Przepraszam panią — rzekł — byłbym pani wdzięczny, gdyby się pani zatrzymała sekundę.

— Dlaczego? — zapytała Renata.

Zamiast odpowiedzi, Maksym zawołał:

— Genowefo!

— Słucham pana doktora! — odezwała się pokojówka, wychodząc z sąsiedniego pokoju, gdzie czekała na rozkazy.

— Daj mi, proszę, łyżkę.

— Natychmiast, panie doktorze...

— łyżkę... — powtórzyła Renata, marszcząc brwi. — A to po co?

— Poprostu dla spróbowania lekarstwa. Pragnę się przekonać, czy nie ma tej goryczy, na którą pani de Gordes skarżyła się wczoraj...

— Masz rację, panie doktorze... Oto kieliszek.

Maksym wyciągnął rękę, gdy wtem kruchy kryształ, którego się już dotykał, wymknął się z palców Renaty i stłukł się na dywanie.

— O! doktorze, nie jesteś pan zgrabny! — rzekła młoda dziewczyna z ironią.

— Wybacz mi, pani — szepnął Maksym tonem jak najpokorniejszym.

— Zresztą, nieszczęście nie jest tak wielkie — podchwyciła Renata. — Flakon jest jeszcze prawie w trzech czwartych pełny... przyniosę inny kieliszek...

— Jesteś pani nieskończenie dobrą...

Miemaną *niezręczność* doktora została szybko powetowana i kieliszek kryształowy tym razem już bez żadnego przypadku dostał się z rąk Renaty do jego dłoni.

Maksym spróbował kilka kropli płynu.

— Sądzę — rzekł — iż pani hrabina tym razem wypije to ze smakiem.

I oddał kieliszek Renacie, która pośpieszyła po-
dać go siostrze.

Hrabina wypiła lekarstwo z zupełnem zadowo-
leniem.

— Dobrze... orzeźwia... — wyrzekła.

Maksym zwrócił cię nagle do średniej córki Ju-
liusza Leroux.

— Co się pani stało w rękę? — zapytał — czyś
pani zraniona?

— To nie — odpowiedziała, blednąc i rumieniając
się naprzemian,

— E! zawsze to coś jest...

— Sparzyłam się...

— A to jakim sposobem?

— Dziś rano pieczętując list do ojca, upuściłam
kilka kropli rozpalonego laku na palce...

— O! to musiało panią bardzo boleć — odparł Maksym.

— Trochę, przyznaję, ale z mojej to winy, nie mam więc prawa narzekać.

— Cóżes pani zrobiła ażeby sobie ulżyć?

— Włożyłam rękę do zimnej wody.

— To środek niewystarczający. Trzeba mnie było wezwać. Czy oparzenie jest silne?

— Chyba nie...

— Zobaczmy...

— Po co?

— Proszę panią.

— Dobrze, skoro panu tyle na tem zależy, ale powtarzam panu, że to bagatela.

— Pozwoli pani, że w tych razach będę bieglej-
szym sędzią niż pani.

Młoda dziewczyna czyniła daremne wysiłki, ażeby powściągnąć gniew głuchy, i zaledwie zdołała na wpół zagasić błyskawice w oczach i drgania nozdrzy. Rozwiązała a raczej zdarła przepaskę płócienną i pokazała obnażoną rękę.

Bez wątpienia Maksym już od chwili odgadywał, co ma zobaczyć; był też zupełnym panem siebie i nie, oprócz bladeści; zresztą niedostrzeżonej nawet przez świadków tej sceny, nie zdradzało ogromnego wzruszenia, jakiego doświadczał.

Spód dwóch palcy Renaty nosił na sobie niewątpliwe ślady spalania i to spalania specjalnego, sprawionego przez środek silnie palący.

Dokoła spalonych części skóry widniały plamy czarne, podobne do tych, jakie pozostawia dotknięcie się lapisu do skóry.

Ponieważ Maksym zbyt długo się przyglądał, młoda dziewczyna cofnęła gwałtownie rękę.

— Czy to niebezpieczne, doktorze? — spytała z wymuszonym uśmiechem. — Może trzeba mi odciąć całą dłoń, nieprawdaż? Wy, panowie doktorzy, zaraz lubicie straszyć...

Maksym podniósł głowę i, patrząc Renacie badawczo w oczy, odpowiedział tonem jak najnaturalniejszym:

Masz pani słuszność... to bagatela... Niech pani położy na skórze trochę waty z wodą karbolową, a jutro zgoi się zupełnie...

Słyszac te kilka wyrazów, z taką prostotą wyrzeczonych, młoda dziewczyna natychmiast zapanowała nad sobą a twarz jej się wypogodziła.

— Dziękuję panu doktorowi — odparła — rada jest dobra i zaraz się do niej zastosuję, wszak znajdę wodę karbolową w apteczce, nieprawdaż?

— Jest pani...

— To idę... bo doprawdy cierpię...

I Renata wyszła z pokoju prędko...

— Co się stało Renacie? — spytała Lazaryna. — Przed chwilą wyglądała tak zgorączkowaną... Czy widzieliście ją tak kiedy?

— Nigdy! — zawołał Raul. — Musi być chyba dzisiaj bardzo cierpiącą.

— Ona upada ze znużenia, pielęgnując mnie w dzień i w nocy — szepnęła pani de Gordes.

— Panna Renata cierpi na nerwy — wtrącił Maksym. — Poparzenie zresztą nie jest wcale groźne... Zapewniam, że się zgoi jutro.

Janina, po lekarstwie, które jej tak smakowało zasnęła głębokim, spokojnym snem, jakiego oddawna nie znała.

Lazaryna odjechała do zamku Tour-du-Roy.

— Panie hrabio — rzekł Maksym do Raula — Genowefa potrzebna mi będzie na godzinę... mamy przyrządzić różne lekarstwa... Czy pan tymczasem nie pozostałbyś przy chorej...

— Naturalnie, z największą chęcią.

Maksym zaprowadził Genowefę nie do apteczki, lecz do swego pokoju.

— Niech cię nie dziwią moje pytania, poczciwa Genowefo... Odpowiadaj mi więc, wcale mnie nie wypytując... Wszak znajduje się w zamku skrzynka do listów?

— Tak, w sieni...

— Kto wyjmuje z niej listy?

— Kamerdyner, kiedy listonosz miejski przychodzi do zamku.

— Otóż chciałbym się dowiedzieć, czy panna Renata pisała dziś list...

— Dobrze — odrzekła Genowefa i wyszła.

LX.

Maksym, pozostawszy sam, zapalił świecę, przytknął do płomieni laskę laku i nadstawił drugą rękę, na którą spadło kilka rozpalonych kropeł. Twarz jego nie wyraziła najmniejszego bólu, jak gdyby czynił doświadczenia na trupie. Po tej dziwnej operacyi zdjął z ciała ostygłe krople laku, zdzierając z niemi przylgłą do nich skórę.

— Byłem tego pewny! — wyszeptał, widząc, że znaku nie otaczała sina obwódka. — Zatem sparzenie ręki Renaty nie było wcale do tego podobne.

Spojrzał też natychmiast na palec u prawej ręki, którym się przed paru dniami dotknął tangenu madagaskarskiego. Plama czarna na palcu, jak gdyby od lapisu, przypominała zupełnie ślady, pozostałe na palcach Renaty.

— O! to prawie już pewność... — ciągnął dalej Maksym — trucizna roślinna takie miała działanie... Stłuczenie kieliszka to jeszcze jeden dowód... Renata popełnia zbrodnię na siostrze... Ale dlaczego? O! to oszaleć można..

Upadł na krzesło oszołomiony. Wtem do drzwi ktoś zapukał i ukazała się Genowefa.

— Proszę pana — rzekła — nikt nie pisał... w skrzynce nie było żadnego listu...

— O! teraz niema już żadnej wątpliwości... teraz już rzecz wiadoma...

Genowefa wpatrzyła się w niego, a oczy jej rozgorzały płomieniem.

— Wykryłeś pan mordercę? Któż to? — wyjąkała głosem, zdławionym przez wzruszenie.

— Renata!..

— Co pan mówisz?

— Tak... ona.

— Ona... to nie może być? masz pan dowody?

Maksym opowiedział jej wszystko.

— Cóż, czyś przekonana? — zapytał.

Służąca skoczyła z krzesła.

— Chodź pan ze mną!

— Dokąd?

— O! ja ją pochwycę! zetrę w proch... zabije...

Panie doktorze! prędkiej... czas ucieka... nie dajmy truć dłużej pani hrabiny...

— Genowefo! uspokój się... Słuchaj, takie odkrycie straszne zabiłoby twą panią... zresztą potrzeba większych jeszcze dowodów... Ja mam plan,.. pozwól mi działać... bo wszystko może się skończyć jak najgorzej... Cóż? będziesz spokojną?

— Będę — odrzekła Genowefa z wysiłkiem.

LXI.

Tegoż dnia wieczorem Lazaryna powróciła do Tour-du-Roy, zwątpiwszy zupełnie o wyzdrowieniu siostry.

W drodze i po przybyciu do zamku jedyną myślą jej było, jak pozbyć się Marcela Laugier.

W Paryżu pobyt jego wydawał się dla niej niebezpiecznym, jednakże nie mniej nieznośnym była dla niej obecność jego ciągnąca w pobliżu Tour-du-Roy. Co z nim iść? jak się go pozbyć? Myślała i myślała nadaremnie, nie mogąc wymyślić. W końcu zaczęła już żałować, że minęły te czasy kiedy ręka kobieca mogła za złoto uzbroić sztyletem rękę zbirą, dla usunięcia nienawistnej osoby.

Znużona rozmyślaniami ciąglemi, kazała nazajutrz zrana osiodłać ulubioną klacz Norę i wyjechała na przejażdżkę w okolicę. Pojechała dalej, niż zwykle, z towarzyszącym jej małym groomem.

Kiedy wracała do domu wypadła jej droga przez las niedaleko od oberży, a nie chcąc spotkać się, podług prawdopodobieństwa z mieszkającym w tym zajeździe byłym porucznikiem, skrzyła na drogę, dołączyła jej nieznaną. Ujechawszy paręsetkroków, zobaczyła ze zdziwieniem małą willę drewnianą, bardzo wątłej budowy, choć usiłującą naśladować strukturę zameczka. Na niskim parkanie widniał napis:

Willa do wynajęcia lub do sprzedania.

Lazaryna spojrzała na ten napis i obojętnie miała już obok willi przejechać, gdy naraz jakby myśl jakaś przesłała jej przez głowę, bo zatrzymała konia i spytała grooma, do kogo należy ten budynek. Groom opowiedział jej, że willa była własnością starego dymisjonowanego kapitana, a gdy ten przed pół rokiem umarł, osiadła tu spadkobierczyni, jego stara krewna, i ona to chciała domek wynająć lub sprzedać. Żdzi-

wił się wielce groom, gdy po tem jego opowiadaniu pani Tour-du-Roy zsiadła z konia i weszła do willi.

Tu Lazarynę powitała jakaś niemłoda kobiecina, a usłyszawszy, że chce ona willę obejrzeć, jak najchętniej oprowadziła ją po wszystkich pokojach, w liczbie kilku. Umeblowanie tu było skromne, a willa przedstawiła się wewnątrz bardzo licho sklecona, cała z drzewa.

— Ależ toby się wszystko, w razie pożaru, spaliło jak zapalka — zauważyła Lazaryna do obecnej właścicielki tej willi.

— A od czegoż ostrożność? — odrzekła kobiecina. — Ale jak się pani to wszystko podoba?

— O! bardzo... — wyrzekła Lazaryna.

— Więc się pani decyduje wynająć ten domek czy kupić... cały sprzedam za dziesięć tysięcy franków, a wynajmę po trzy luidory miesięcznie, z opłatą komornego za kwartał z góry...

— Nie, pani, ja nie kupię, ani nie wynajmę, ale opowiem znajomym o tej ładnej willi i zapewne znajdzie się na nią jakiś amator.

Pani Brechu, tak się nazywała właścicielka, prosiła jak najusilniej o protekcję i odprowadziła pięknego gościa aż na drogę.

Gdy Lazaryna wróciła do zamku, była godziną 11¹/₂ przed południem.

* * *

Marcel Laugier przyjechał w przeddzień wieczorem do oberży pod *Białym koniem*.

Gospodarz poznał go odrazu i ucieszył się ze swego gościa, tembardziej, gdy usłyszał, że zamierza tu dłuższy czas pozostać znowu dla malowania widoków.

Nazajutrz, chociaż godzinę spotkania pod dębem *Patryarchą* Lazaryna oznaczyła na dwunastą w południe, były porucznik już o godzinie jedenastej znajdował się na tem stanowisku ze sztalugami i szkicował krajobraz, ale co chwila przerywał robotę, wpadając w zadumę, lub spoglądając na zegarek.

Na wieży zamkowej wybiła wreszcie dwunasta.

— Niema jej! nie przyjdzie! — westchnął improwizowany malarz.

Ale zaledwie parę minut upłynęło, od strony parku ukazała się postać kobieca.

Była to Lazaryna. Szła prędko, oglądając się za siebie niby na suknię, ażeby się nie zaplątała o krzaki, a właściwie ażeby zobaczyć, czy w pobliżu niema kogo.

Gdy malarz ją poznał, chciał się zerwać na jej spotkanie, lecz ona, widząc jego ruch, zawołała zdaleka:

— Siedz pan i nie ruszaj się.

A zbliżywszy się, dodała:

— Musimy udawać, że się nie znamy... Mogłabym się skompromitować...

— O! Lazaryno!..

Pani Tour-du-Roy z przymrużonych oczu rzuciła błyskawicę gniewu, której jednak zakochany nie dostrzegł.

— O! Lazaryno! czego wymagasz!.. — wyrzekł młodzieniec z zapałem. — Ja jestem tutaj, ażeby ci powiedzieć, że cię kocham, i mam nadzieję usłyszeć od ciebie, że i ty mnie kochasz również.

— Chwila i miejsce chyba źle są wybrane na rozmowę tego rodzaju — wyszeptała margrabina tonem ironii, źle ukrytej, co nie uszło uwagi porucznika.

Nie dziwił się on jednak, przyzwyczajony do częstych zmian fantastycznego usposobienia pani Tourdu-Roy.

— To, moja ubóstwiana — odpowiedział z uśmiechem — oznacz mi miejsce i godzinę, kiedybyśmy mogli powrócić razem do tego duetu miłości, przerwanego od tak dawna?

Lazaryna, stojąc po za Marcelem, mogła się nie kępować wyrazem twarzy. Zajaśniała też na niej nienawiść.

— O! pomówimy o tem później — rzekła — ale teraz przedewszystkiem muszę cię zgromić za ten pojedynek niedorzeczny...

— Na to ci już odpowiedziałem, że nie mogłem tego pojedynku uniknąć...

— Nie mogę temu wierzyć...

— A jednak to zupełna prawda! wyzwał mnie bez żadnego powodu...

— Więc przeciwnik twój nie miał najmniejszej racji, jak powiadasz... A dlaczego byłeś u niego z wizytą onegdaj, jak mi doniósł ojciec... Ja przecież tak cię prosiliam w liście, ażebyś się z nikim nie widział przed wyjazdem z Paryża.

— Byłem rzeczywiście — odparł Marcel — ale po to jedynie, ażeby zostawić bilet swój u przeciwnika... Czyż mogłem się spodziewać, że księżę mnie poprosi do siebie... Zresztą nie żałuję bynajmniej, że się z nim widział, bo mały Castel-Vivant jest bardzo miłym chłopcem i zyskuje wiele na bliższem poznaniu.

— Ale spodziewam się, że przynajmniej nie wymówiłeś pan mego nazwiska?

— Czy mam przysiądz?..

— No, wierzę ci! i wreszcie przebaczam to nieposłuszeństwo... Ale podróż twoja tutaj o mało co nie była daremną...

— Jakto?.. — zapytał były porucznik niespokojnie.

— Bo zastanowiłam się po napisaniu listu, że głupio zrobiłam, sprowadzając cię tutaj... przecie niepodobna mi odwiedzać cię w oberży pod *Białym koniem*, gdzie wszyscy mnie znają, niepodobna też przyjmować cię w zamku, gdzie Dominik z pewnością by cię poznał a nie można też myśleć o spotykaniu się w lesie lub na polach... toby mnie skompromitowało zupełnie...

Marcel nie mógł się powstrzymać od niecierpliwości i pędzlem, trzymanym w ręce, machnął ogromną plamę zieloną na malowanym szkicu.

— Co ci jest? — zapytała Lazaryna.

— Myślisz, że ja mogę z tak zimną krwią słuchać o tem twojem kompromitowaniu się, jak mówisz? Po co się masz kompromitować... Spełnij moje naj-

szczersze życzenie... zostań moją żoną... wtedy nie będziesz potrzebowała lękać się obmowy...

— O! ty jesteś doprawdy maniakiem... co do małżeństwa... Zresztą pomówimy o tem później... Teraz, na szczęście, zaopiekował się tobą traf szczególnie... napisz na szkicu *Willi Brechu*.

— Już zrobiłem... ale nic nie rozumiem...

— Zrozumiesz później... Zbierz swe manatki, wracaj do oberży pod *Białym koniem* i każ się zaprowadzić pierwszemu lepszemu chłopcu do willi Brechu. To domek do wynajęcia... wynajmiesz go na kwartał, płacąc z góry?..

— Dobrze... ale po co?

— Sprowadzisz się do niego dziś wieczorem...

— Czy sam?

— Naturalnie, ponieważ samotność jest dla nas najszacowniejszą... Oberżysta z pod *Białego konia* przysyłać ci będzie jedzenie... Ślusarzowi wiejskiemu każesz dorobić drugi klucz do tej willi... i klucz ten oddasz mnie...

— Ale czy zrobisz użytek z tego klucza?

— Głupie pytanie, mój kochany przyjacielu! Gdybym nie chciała z niego robić użytku, to nie byłabym tutaj... Od czasu do czasu około północy, gdy dokoła będzie ciemno, usłyszysz odgłos klucza w zamku... i szelest sukni... To będę ja...

— O! to sen!.. ale tylko sen!..

— Dlaczego?

— Zbyt jestem pewny, że nie będziesz śmiała w nocy iść przez park pusty i część lasu, ażeby przybyć do mnie.

— O! to się mylisz, mój drogi... Ja jestem odważną... Zresztą w tych stronach wszystko spokojnie... a ja mam rewolwer kieszonkowy, z którym nie lękam się nikogo...

— Jeżeli tak uczynisz — wyjąkał Marcel, z nagłym uniesieniem — oszaleję z radości...

— Słowo Lazaryny, uczynię...

— Kiedy?

— Gdy będę miała klucz...

— Będziesz miała go jutro...

LXII.

Tak się stało, jak pragnęła Lazaryna.

Jejmość Brechu wynajęła chętnie swą willę byłemu porucznikowi razem ze sprzętami i naczyniami gospodarskimi i wyniosła się tegoż dnia, a Laugier, ku wielkiemu zmartwieniu oberżysty, przeniósł się do wynajętego domku. Teraz dopiero przyjrzał mu się lepiej, a nowe mieszkanko wydało mu się śmiertelnie smutnem. Penura pustka przejmowała go jakąś nieznaną trwogą. Wiatr złowrogo szumiał dokoła wstrząsając gałęzmi drzew. W pokojach podłoga zapadająca się skrzybiała przeraźliwie pod jego stopami.

— To szczególne — mówił do siebie — ja co śmiało szedłem na kule, po raz pierwszy doznaję

przestrachu. Zdaje mi się, że jakieś niebezpieczeństwo zawisło nademną i grozi mi zblizka.

Zapalił kupione w oberży świece i powstawił je do lichtarzy, pozostawionych mu przez właścicielkę willi. Potem, przypomniawszy sobie zachwaloną przez jejmość Brechu strzelbę angielską nieboszczyka kapitana, zdjął ją ze ściany, a przekonawszy się, że jest nabita, umieścił ją pod ręką, zamknął drzwi na podwójny spust, położył się do łóżka i zagasił świecę. Usnął prawie natychmiast, ale sny miał wielce niespojne. Śniło mu się, że huragan porywa całą willę jak balon i Marcel nagle wypada z pokoju i spada, spada bez końca... To znów śniło mu się, że Lazaryna do niego przychodzi... Bierze ją w swe objęcia... wtem ukochana jego przemienia się w ogromnego węża, który dusi go potężnymi splotami, dusi...

Kiedy się obudził promienie słoneczne zalewały pokój, mary znikły. Wtedy Marcel żartował sam z siebie. O godzinie wpół do jedenastej służąca z oberży przyniosła mu śniadanie obfite. Porucznik zabrał się do niego z apetytem, a potem wyruszył do lasu, pod dąb Patryarchy, spodziewając się, że tam spotka się ze swą ukochaną.

Pani Tour-du-Roy nie dała na siebie czekać. O dwunastej przysłała.

Rozmowa była krótka i pośpieszna.

— I cóż? — zapytała Lazaryna — przeniosłeś się?..

— Wczoraj wieczorem.

— Masz drugi klucz?

— Oto jest. Czy ci takowy się przyda dziś wieczorem?

— Na to odpowiedzieć nie mogę.

— Dlaczego?

— Jadę do zamku de Gordes, a nie wiem, kiedy powrócę... zależeć to będzie od zdrowia siostry?

— Więc nie trzeba na ciebie czekać?

— Czekaj na mnie zawsze i nigdy... kiedy będę mogła, przyjdę... Mam klucz... więc się zamykaj, zaspiaj bez skrupułu, mówiąc sobie, że cię może obudzę... Teraz żegnaj cię... Powóz na mnie czeka i służba nie wie, gdzie jestem.

— Więc do widzenia, niedługo?

— Niedługo.

— A kochasz mnie choć trochę?

— Czybyś tu był, gdyby nie to? Czy zresztą ja sama byłabym tutaj?

Marcel chciał ucałować drobną rączkę, ale mu ją żywo cofnęła, poczem Lazaryna, chowając do kieszeni klucz od willi Brechu, wróciła do zamku i pojechała rzeczywiście do Gordes.

LXIII.

W zamku Gordes Maksym Giraud przepędził całą noc w krzakach, szpiegując, co się dzieje w ogrodzie zimowym.

Renata nie pokazała się wcale. Wrócił do pokoju swego, gdzie zastał czekającą nań Genowefę.

— Moja Genowefo — rzekł — ja wyjeżdżam do Orleanu.

— Pan wyjeżdża, jakto?

— Muszę ztamtąd przywieźć lekarstwa, których niepodobna przyrzadzić w tutejszej aptece... Ale bądź spokojna... Przed odjazdem sam dam lekarstwo pani de Gordes... A potem, przy tobie, Genowefo, powiem pani hrabinie, ażeby nasza chora nie brała nic, i że ciebie zostawiam do pilnowania...

— O! panie doktorze... a kiedy skończymy z trucielią?..

— Jutro.

Błyskawica radości zajaśniała w oczach wiernej służącej.

Zrana Maksym pojechał do Orleanu.

Co się tyczy Renaty, już poprzedniego dnia ogarnął ją jakiś niepokój. Wydało jej się to wielce dziwnem, że doktor po raz pierwszy zapragnął kosztować lekarstwa, przeznaczonego dla jej siostry.

— Niezawodnie nie wie nic pewnego i podejrzenia jego dopiero powstają — mówiła do siebie — ale jest już na śladzie... a i tego już za wiele.. Od pierwszego dnia, od pierwszej chwili, kiedy ten doktor wiejski ukazał się tutaj, przeczułam, że dla mnie sprowadzi nieszczęście... Trzyma on już w ręku watek przewodni, nie zatrzyma się, ale snuć go będzie dalej... i dojdzie... ale dojdzie zapóźno... Gdy Janina zniknie, gdzie będą przeciw mnie dowody? Ale jak opóźnić

tęgo człowieka? a raczej jak go złamać? odwagi, trzeba od razu skończyć!..

Ale sposobność jakiej się spodziewała lada chwila dla wykonania planu, nie nastąpiła się jej wcale dnia tego.

Około godziny drugiej po południu przyjechała Lazaryna, a stan chorej jakby się trochę polepszył. Było to zresztą naturalne, bo hrabina od dwóch dni nie połknęła ani odrobiny trucizny.

O jedenastej wieczorem powrócił z Orleanu Maksym... Ze spojrzenia, jakie z nim zamieniła Genowefa, upewnił się że nic nowego nie zaszło...

Nazajutrz zrana lokaj uprzedził Raula, że doktor pragnie się z nim rozmówić.

— Proś! — odpowiedział hrabia i sam żywo poszedł na spotkanie doktora, ale zatrzymał się nagle, zobaczywszy go niezwykle bladego.

— Co się stało? — zapytał przerażony hrabia. — Czy Janinie gorzej?

— Nie — odpowiedział Maksym. — Chwała Bogu, stan pani de Gordes od dwóch dni nie pogorszył się wcale...

— Więc dlaczego pan taki blady, jakbyś miał dla mnie jakieś okropne wiadomości... Doprawdy przestraszasz mnie pan... a ja przecie, jeżeli nie idzie o hrabinę, bać się nie mogę... nic mnie nie może dotknąć?

— Tak sądzisz, panie hrabio? Czy się nie łudzisz?

— Ależ nie, jestem tego pewny... Żadne inne zmartwienie, nie dotyczące Janiny, nie mogłoby nawet nadwreżyć pancierza mej obojętności.

— Tak się to myśli — ciągnął dalej Maksym — a tymczasem pancierz pęka przy pierwszym uderzeniu ..

— Nie znasz mnie jeszcze, drogi doktorze... Gdyby mi kto powiedział: Jesteś zrujnowany! Odpowiedziałbym: Mniejsza o to!

— O! gdyby szło tylko o ruinę... — szepnął doktor.

Raul zadrżał.

— Jakto? więc to rzecz tak poważna?

— Bardzo... Zbierz pan cały spokój... bo cios będzie silny...

— Mam odwagę... Słucham...

— Wszak dotąd — odezwał się doktor — przypisywał pan tajemniczą chorobę pani de Gordes przyczynom naturalnym.

— Tak... przecie takie było i pańskie zdanie...

— Tak — odpowiedział Maksym — jeszcze przed trzema dniami.

— A dzisiaj?

— Dziś... Bóg mnie oświecił, panie hrabio... Zbrodnia się dzieje w pańskim domu.

— Zbrodnia! — powtórzył Raul, blednąc.

— Zbrodnia najnikczemniejsza ze wszystkich .. Panią de Gordes zabijają!.. Trują!.. I to już od kilku miesięcy.

Hrabia poruszył się gwałtownie, Maksym zrozumiał znaczenie tego ruchu.

— Pan mi nie wierzysz? — wyrzekł.

— Nie, nie wierzę panu — wybąknął Raul. — Nie mogę panu wierzyć, bo to co pan powiadasz, jest niemożliwe... Sądziś pan z pozorów chyba... ale to muszą być pozory kłamliwe... Zbrodnia musiałaby się dzieć w oczach naszych... I któżby ją mógł popełnić... kto mógłby Janinę truć?

— Jej siostra!.. Renata!..

— O! — zawołał hrabia, chwytając Maksyma za obie ręce — o! strzeż się, doktorze... To szaleństwo... w głowie ci się mąci... Na szczęście, nikt cię więcej nie słyszał... Pomyśl tylko... jak nieogłędne jest takie oskarżenie...

— O! ono samo byłoby zbrodnią, gdyby nie było dowiedzione! — przerwał Maksym.

I opowiedział szczegółowo hrabiemu, jak wykrył tę straszną prawdę.

Było to zanadto jasne. Pan de Gordes już się nie zapierał. Słuchał z głową zwieszoną, twarzą ponurą, z oczami pełnemi to łez, to błyskawie.

— Siostra jej! — wyszeptał, jakby sam do siebie — siostra!.. O mój Boże!.. Ale dlaczego? Zabijała Janinę, która ją kocha... Janinę, która się uśmiechała, śmierć otrzymując z jej ręki! O jakaż kara może być za taką zbrodnię?.. Pójdź, doktorze!..

— Dokąd?

— Schwytam tę nędznicę... wywlokę ją z pokoju! gdzie prowadzi swe przekłete dzieło!.. wywlokę ją sam, a potem pilnować jej będę, dopóki nie zjedzie sąd, w którego ręce ją oddam...

— Tego pan nie uczynisz — odpowiedział Maksym. — Tak nie może pan postąpić z siostrą hrabiny...

— Ależ ta nędznica musi być ukarana.

— A któż panu mówi, że ukaraną nie będzie... i to strasznie?

— Mamy obowiązek ją zdemaskować...

— Pierwszym naszym obowiązkiem jest milczeć.

— Milczeć? — powtórzył pan de Gordes zdumiony.

— Czy mi pan ufasz? — odrzekł Maksym?

— O! najzupełniej.

Wtedy Maksym w kilku słowach przedstawił mu swój plan. Wysłuchawszy doktora, Raul zadzwonił na lokaja, a gdy się ten stawił, polecił mu poprosić Renatę, ażeby do niego przyszła, a nadto rozkazał, ażeby po śniadaniu zaprzężono do powozu dla pana doktora.

LXIV.

Kiedy Renata, zawiadomiona przez służącego, weszła do gabinetu hrabiego, bledszą była trochę bardziej niż zwykle; obecność doktora przy Raulu prze-

jęła ją niepokojem, lecz umiała to wrażenie ukryć. Skinęła zlekka głową Maksymowi, którego zawsze traktowała pogardliwie, a podając rękę panu de Gordes, rzekła:

— Dzień dobry, szwagrze, przypuszczałam, że musi to być coś pilnego, skoro mnie wzywasz do siebie, więc przyszłam, nie tracąc ani minuty.

— Dziękuję ci siostró, — odrzekł Raul z wielkim wysiłkiem, ledwie hamując miotające nim uczucia — rzeczywiście to coś pilnego i ważnego... ale cóż to, jesteś dzisiaj cierpiąca?

— Dlaczego? — szepnęła Renata.

— Boś taka blada i zmieniona na twarzy...

— Zmęczoną się czuję... ale jestem zdrowa.

— O! bo też takie pielęgnowanie chorej przewyższa twoje siły.

Renata rzuciła na szwagra spojrzenie podejrzliwe, słysząc, jakim tonem wymówione zostały te wyrazy.

— Ale o czym mamy pomówić? — zapytała.

— O Janinie...

— Spodziewałam się... Cóż masz mi, szwagrze, powiedzieć o biednej pieszczoszce?

— Zauważyłaś zapewne, siostró, że od dwóch dni stan Janiny nie pogorszył się... To już wiele...

— O! zauważyłam to dobrze — odpowiedziała Renata — jednak pomimo to zaledwie śmiem mieć nadzieję...

— Dlaczego?... Nadzieja jest najwyzszem dobrem.

— Tak... ale jeśli choroba znów się posunie naprzed... jakież gorzkie byłoby rozczarowanie... Pomyśl tylko o tem, mój szwagrze!

Raul już nie czuł się na siłach. Zamiast odpowiedzieć, ukrył twarz w dłoniach.

Teraz Maksym zabrał głos.

— Ażeby takiego zawodu uniknąć przy pomocy Bożej — wyrzekł — postanowiliśmy z panem hrabią spróbować jeszcze jednego środka...

— A to jakiego? — spytała Renata z pewną ironią.

— Ja jestem zdania — ciągnął Maksym — że w takim stanie, prawie rozpaczliwym, w jakim się znajduje hrabina, powietrze tutejsze szczególnie przy zbliżającej się zimie, może szkodzić jej, potrzebna jest zmiana klimatu.

— Zapominasz, doktorze, że ta zmiana klimatu jest niemożliwa — odparła Renata. — Przecież Janina jest tak słaba, że nie mogłaby tej podróży wytrzymać...

— O! są sposoby dla nadania sił sztucznych...

— Więc wywieziecie panowie moją siostrę?

— Tak, do Nicei, jatro.

— O! ja swoją osobą nie opóźnię wyjazdu... w kilka chwil będę przygotowaną do podróży...

Pan de Gordes podniósł głowę.

— Nie potrzebujesz się przygotowywać do podróży — rzekł zmienionym głosem. — Prócz doktora i mnie nikt nie będzie towarzyszył Janinie.

— Chyba źle usłyszałam — wyjąkała. — Jakto? chcecie mnie rozłączyć z Janiną? Dlaczego? Czyż się nie poświęcałam siostrze w dzień i w nocy... Czyby kto uczynił dla niej tyle, co ja?

— Rzeczywiście niktby tego nie uczynił, co ty! — odpowiedział hrabia. — Wiem o tem i dlatego nie chcę cię zabrać... Jeżeli Bóg postanowi zesłać na mnie cios bez litości... jeżeli ostatnia próba będzie daremną, jeżeli moja ukochana Janina ma umrzeć, dość będzie jednej żałoby wśród rodziny. Tyś była powierzona mi przez swego ojca memu przywiązaniu braterskiemu... odpowiadam za twoje życie... A ciebie zmęczenie wyczerpuje... Sama możesz się rozchorować lada dzień... Więc nie mogę cofnąć mego postanowienia...

— Błagam cię, mój bracie.

— Nie błagaj mnie! — przerwał Raul — to daremnie...

— Czy mam ci się rzucić do nóg? Umrę tu ze zmartwienia i niepokoju? Co wreszcie pocznę sama?

— O! Lazaryna weźmie cię do siebie.

Renata przycisnęła chustkę do oczu, z których tryskały błyskawice, ale nie łzy.

— Niech i tak będzie! — wyrzekła. — Ale Raulu, nie sądziłam, ażebyś był tak okrutny...

— Jednakże — odezwał się Maksym — spodziewam się, że pani tymczasem nie odmówisz mi swej pomocy.

Renata spojrzała na niego badawczo.

— W południe wyjeżdżam do Rancey, dla odwiedzenia matki, której nie widziałem oddawna... Wrócę dopiero późno wieczorem. Dla pani de Gordes przed wyjazdem przygotuję lekarstwo wzmacniające... Jedną porcję hrabina weźmie przy mnie, drugą pani jej da punkt o godzinie trzeciej...

Renacie oczy zabłyśły.

— A gdzie będzie lekarstwo?

— W laboratorjum.

W tejże chwili lokaj wszedł, oznajmiając, że śniadanie podane.

Po śniadaniu Maksym przyrządził lekarstwo i podzielił je na dwie równe porcje, z których jedną Janina przy nim wypła.

Wsiadł następnie do powozu i pojechał w stronę Orleanu. Kiedy powóz już się oddalił na taką odległość, że nie można go było widzieć, stangret zatrzymał konie. Maksym wysiadł i powrócił nieznacznie do parku, a powóz potoczył się znów szybko w stronę Zielonych Liści.

LXV.

Lazaryna, wróciwszy do swego zamku, znów po-grążyła się w zadumę, jak wyjść z tak nieznośnego położenia, jak się uwolnić od byłego poręcznika.

— Ha! — rzekła do siebie wreszcie po długich rozmyślaniach. — Tej nocy się przekonam, czy mój

prześladowca jest nieugięty... O! jeżeli takim będzie, to wojnę mu wypowiem na zabój.

O godzinie jedenastej w nocy zatulona w płaszcz obszerny śmiało udała się do parku niepostrzeżenie a ztamtąd furtką wydostała się do lasu. Tu, w lesie, wśród ciemności, zdjęła ją trwoga, pomimo całej odwagi. Trzy czy cztery razy zatrzymywała się, bo zdawało się jej, że ktoś za nią idzie, nadstawiała uszu i chwyciła za rewolwer, który wzięła z sobą. Ale uspakajała się prędko, tłumacząc sama sobie, że te odgłosy, które ją przerażały, były albo spadnięciem uschłej gałęzi, potrąconej w locie przez ptaka nocnego, lub przez zmykającego zająca.

Nareszcie przybyła do sławetnej willi Brechu. W oknie gotykiem na pierwszym piętrze paliło się światło.

— Czeka na mnie — pomyślała — choć nie obiecywałam mu wcale, że tej nocy przyjdę...

Wyjęła klucz z kieszeni, ale, nie mogąc znaleźć zamku we drzwiach, mimowoli sprawiła trochę łośkotu.

Marcel widocznie usłyszał ten odgłos, bo prawie w tejże chwili drzwi otworzył i ukazał się z pochodnią na progu. Ujął wpół Lazarynę i pociągnął do wnętrza domku. Potem, zamknąwszy drzwi, wyszeptał:

— O! moja droga, czy ja śnię, że przyszaś... Wierzyć oczom nie mogę... Wśród nocy... przez las...

— Powiedziałaś ci, że jestem odważną — odparła margrabina.

— Ależ to więcej, niżli odwaga!.. to bohaterstwo! — zawołał Marcel.

— Dobrze, przypuśćmy, że jestem bohaterką, jeżeli ci się to podoba, — odrzekła margrabina prawie drwiąco. — Ale chodźmy na górę, bo w tym pokoju okropnie smutno...

— Podaj mi rękę...

— Schody są zanadto wązkie, ażeby iść po nich we dwoje... Idź naprzód i poświeć mi.

Marcel posmutniał... Lazaryna była wprawdzie przy nim, ale jej sztywność, jej ton oschły, były strumieniem wody dla uniesień byłego poręcznika.

Weszli do pokoju na pierwszym piętrze... Margrabina zdjęła płaszcz i usiadła na obszernym fotelu. Teraz Marcel znów ją ujrzał, promieniejącą pięknoscią, *odurzającą*, — jak mówiła o niej Renata.

Wzruszony sercem i ciałem ukląkł przed nią, ujął za rękę i chciał przycisnąć do ust.

Lazaryna cofnęła mu ją gwałtownie.

— Jakto? — wyjąkał — czy mi już nie wolno całować twoich rąk? Czyż nawet obcy ludzie nie całują rąk kobiety... A ja chyba nie jestem obcym...

Pani Tour-du-Roy zrozumiała, iż nie należy zbyt szorstko odtrącać huzara.

— Masz słuszość, mój przyjacielu — wyrzekła — ale dzisiaj przyszedłam tutaj nie na czułość... ale dla szukania pociechy... Jestem smutna... jestem bardzo nieszczęśliwa...

— Cóż ci jest, mój Boże? — zawołał Marcel.

— Hrabina de Gordes jest bardzo źle... i nie byłabym tutaj wcale u ciebie, gdyby mi odwagi nie zabrakło patrzeć na jej konanie... Widzisz więc, Marcelu, że trzeba być dla mnie przyjacielem, i tylko przyjacielem... Cóż, zechcesz nim być?

Zawód był ciężki, ale objaśnienie Lazaryny miało takie powody, że niepodobna go było nie uwzględnić. Marcel też odpowiedział ulegle, chociaż bez najmniejszego przekonania:

— Chcę tego tylko, czego ty chcesz.

— O! — ciągnęła dalej margrabina ze smutnym uśmiechem — to skorzystamy z twego rozsądku, ażeby pomówić poważnie...

— Jakto?

— Doszłam już do tego wieku, kiedy trzeba słuchać głosu rozsądku...

— Ależ nie masz jeszcze dwudziestu lat! — przerwał młodzieniec.

— O! doświadczenie życiowe zastępuje dla mnie lata... Oczy mi się otworzyły przy śmiertelnem łożu hrabiny de Gordes... Widzę ją umierającą, jak świętą, po życiu, które spędziła jak anioł... zastanowiłam się — odparła Lazaryna.

— O! jeżeli rozumiem — wyrzekł młodzieniec drżący — pragniesz zerwania?

— Pragnąć bynajmniej nie pragnę! — odparła żywo margrabina. — Sumienie jednak nakazuje mi zerwać ten związek występny, oto wszystko... i staje się posłuszną sumieniu memu z bolesną rezygnacją.

— O! tak! — podchwycił Marcel — dobrze powiadasz, że to związek występny, niegodny ciebie! Tak, uczciwa kobieta nie powinna mieć kochanka, a ty jesteś kobietę uczciwą. Przestań być moją kochanką, droga Lazaryno, a zostań żoną moją wobec Boga i wobec ludzi.

— Nigdy! — zawołała Lazaryna, nie mając siły zapanować nad sobą.

Młodzieniec zamiast gniewu uśmiechnął się.

— Nigdy! — powtórzył. — Jużes mi to raz powiedziała w gniewie, ale dziś jesteśmy spokojni... Mój Boże, wiem dobrze, że to ciężko zrzec się tytułu i nazwiska margrabiny Tour-du-Roy, ażeby się nazywać poprostu panią Marcelową Laugier i spaść z arystokracji do mieszczaństwa, ale to tylko zmartwienie z próżności, po którym łatwo się można pocieszyć. W zamian za to poświęcenie twoje, przyrzekam ci tyle szczęścia, ile kobieta może mieć na tej ziemi... Ubóstwiam cię, jak wiesz, ale nie będę cię nużył mojem uwielbieniem... Przywykłaś do wolności, pozostawię cię wolną, wiedząc, że nie nadużyjesz zaufania, tak zaszczytnego dla męża jak i dla żony... Jesteś bardzo bogata, ale ja także jestem bogaty, i nie tylko rozporządzać będziesz swym majątkiem, jak ci się podobać będzie, ale rozporządzać będziesz i moim, według upodobania, bez kontroli... Lazaryno, droga Lazaryno, czy taka przyszłość może cię przestrasza?

— O! miałyby wielki powab — wyszeptła margrabina — ale postanowiłam zostać wdową.

— Zostać wdową w twoim wieku! — zawołał Marcel z budzącą się w nim goryczą. — Wiesz, że to przecie niepodobna, i mówisz tak tylko dla zyskania na czasie... Nie kochasz mnie, więc chcesz mi się wymknąć... Ale wierzaj mi, to daremne!.. O! nie ujdiesz przedemną nigdy... O! gdyby między nami były tylko wspomnienia miłości, mógłbym zaprzestał tego prześladowania, które cię tak gniewa... Ale nie mam prawa tego uczynić... Nas łączy silniejszy węzeł... Nasze dziecko... Twój syn...

Lazaryna podniosła głowę.

— Mój syn — zawołała — jest synem margrabiego Tour-du-Roy.

— Legalnie, wiem o tem dobrze! — odpowiedział Marcel. — I bądź spokojna, tajemnicy tej nie zdradzę, ale mam prawo kochać moje dziecko... i będę miał prawo powiedzieć mu że je kocham, będę miał prawo czuwać nad niem, opiekować się, wychowywać, w dniu, kiedy zostanę mężem jego matki... Dlatego więc będę niezłomnym... Czy chcesz tego, Lazaryno, czy nie, zostaniesz moją żoną, ażeby syn mój miał ojca!.. Rozumiesz?..

Pani Tour - du - Roy spojrzała na Marcela bawczo.

— Rozumiem — wyrzekła.

— I zgadzasz się? — żywo zapytał młodzieniec.

— A to po co? — odparła margrabina głosem powolnym i głuchym — ponieważ pomimo wszystkiego zmusisz mnie do tego, więc będziesz mną rozporządzał... Zatem zgoda moja jest zbyteczną.

— Tak byłbym szczęśliwy gdybym ją otrzymał...
Cóż ja ci uczyniłem? Obrażam cię, ale z nadmiaru miłości, bo dziecko nasze to także przecie twoja istota! to znowu ty!.. Lazaryno, droga Lazaryno! powiedz mi, że się zgadzasz...

— Odpowiem później...

— Po co odkładać?

— Muszę się namyślić.

— Kiedy będę miał twoją odpowiedź?

— Nie wiem.

— Może jutro?

— Nie. Jutro przenocuję w zamku Gordes...
Nie czekaj mnie jutro... A teraz żegnam cię!

— Jakto! już odchodzisz?.. zaledwieś przyszła.

Lazaryna, nie nie odpowiadając, powstała z fotelu, okryła się płaszczem i postąpiła kilka kroków.

— Pozwolisz, że cię odprowadzę? — zapytał Marcel.

— Przeciwnie, zabraniam...

— Gdybyś wiedziała, ile cierpię, wiedząc, że musisz sama przechodzić w nocy przez las...

— O! niepotrzebnie się lękasz...

Młoda kobieta zeszła ze schodów, podała zimno rękę Marcelowi, który jej przyświecał, otworzyła drzwi od ogrodu i zapuściła się w ciemności.

LXVI.

Lazaryna wyszła z ogrodu willi najzupełniej przygnębiona. Znikła ostatnia jej nadzieja... Łańcuch przykuwał ją coraz silniej... Głowa jej pałała, tłum myśli mroczył jej umysł...

W pięć minut dostała się do lasu, przeszła kilkaście metrów i zatrzymała się nagle, nadstawiając uszu. Po za nią słychać było kroki szybkie. Skoro się jednak zatrzymała, ustał zaraz i odgłos kroków. Poszła dalej—kroki znowu się odezwały. Widocznie ktoś postępował za nią.

Lazaryna wzruszyła ramionami, pojmując dobrze, że tym towarzyszem niewidzialnym jest Marcel Laugier, który pomimo stanowczego z jej strony zakazu, postanowił ją odprowadzić w ciemnościach, ażeby w razie potrzeby dać pomoc.

Myśl szalonej nienawiści przebiegła jej przez głowę. Ręka jej prawa machinalnie ścisnęła kolbę rewolweru.

— Gdybym podeszła do tego człowieka — rzekła do siebie — i wpakowała mu kulę w głowę, byłabym wolną!.. Dlaczego nie miałabym tego uczynić? Przeciw nieubłaganemu wrogowi każdy środek jest dobry... to przecież tylko byłaby obrona!..

Ale po namyśle powściągnęła to postanowienie.

— Nie... — podchwycała. — Byłoby to morderstwem!.. Zemsta moja, chociaż sprawiedliwa, wyglądałaby na zbrodnię. Jutro znalezionoby trupa w le-

sie, wyprowadzonoby śledztwo... Wyszperanoby, że znałam Marcela Laugier. Nie mogłabym się wytłumaczyć, dlaczego, skoro u mnie bywał w Paryżu, nie przyjmowałam go w zamku Tour-du-Roy... Wyszukano by zapewne me listy, pisane do niego. O! nie myślmy już o tem...

Przekonana zupełnie tem rozumowaniem Lazaryna włożyła broń do kieszeni i pośpieszyła do zamku.

Nikt nie zauważył, że spędziła przeszło dwie godziny po za swem mieszkaniem.

Nazajutrz zrana margrabina obudziła się spokojniejszą, położenie wydało się jej mniej rozpaczliwem. Obmyśliła już mały planik, zostawi Marcela w oczekiwaniu, a sama nagle zniknie, wyjedzie zagranicę i tam zaślubi przybranego syna księcia Godfryda. A wtedy, gdy zostanie księżną Castel-Vivant, co będzie mógł z nią zrobić były poręcznik... Oskarży ją przed mężem?..

Lazaryna, jakkolwiek nienawidziła Marcela, wiedziała, że byłby niezdolny do takiego oskarżenia, które zresztą do niczegoby mu nie posłużyło, bo wtedy już nie nie mogłoby zmienić faktów dokonanych? A zresztą młoda wdowa spodziewała się, że zupełnie zapanuje nad młodym księciem.

Kiedy tak myślała o nim, Dominik przyniósł w zwykłej porze dnia gazety i listy, między którymi poznała herb i charakter pisma Hektora. Drżącą ręką rozerwała kopertę i przeczytała.

„Ubóstwiona Lazaryno!

„Miewam się coraz lepiej, a nawet prawie już zupełnie dobrze, ale naturalnie dotyczy to tylko mego stanu fizycznego, nie zaś duchowego. Uczyniłaś wszystko w świecie, ażeby mnie uspokoić swoim drogim listem co do wyjazdu mego przeciwnika... a ja tymczasem pełen jestem niepokoju .. Przez sprytnego służącego, posłanego do mieszkania pana Marcela Laugier, dowiedziałem się, że były luzar pojechał z pakunkami na kolej do Orleanu. Czyż to nie jasne? Pojechał zatem, ażeby być bliżej ciebie... Zapewne go jeszcze nie widziałaś, ale bądź pewna, że się chowa w okolicach zamku Tour-du-Roy i że na ciebie czatuje jak strzelec na kuropatwy i nagle zjawi się przed tobą.

„Nie wątpię, że jak pisałaś, możesz mieć opiekę i pomoc u szwagra swego, hrabiego de Gordes, ale mnie to nie uspakaja, bo w takich razach można tylko być pewnym samego siebie.

„Doktór mnie już zapewnił, że rana moja się zablizniła, pojutrze więc zrana i ja pojedę do Orleanu, a z Orleanu jednym skokiem znajdę się w Tour-du-Roy... Bądź pani spokojna, nie skompromituję pani niczem, przybędę pod nazwiskiem przybranem i bynajmniej nie pokażę się w zamku... Przypominam sobie doskonale, że jest na wsi jakaś oberża, jeżeli się nie mylę pod *Białym koniem*, tam zamieszkać pod jakimkolwiek pozorem i ztamtąd czuwać będę... Dość będzie, ażebyś pani dała mi znak, a w dziesięć minut będę przy tobie.“

List Hektora kończył się wyrazami namiętnemi, których niepotrzebnie byłoby tu przytaczać.

Pani Tour-du-Roy, przeczytawszy list do końca, straciła wreszcie wszystkie siły.

Projekty księcia psuły wszystkie jej plany. Obaj młodzieńcy niewątpliwie się spotkają, porozumieją się z sobą, a wtedy wszystko przepadnie dla niej, i miliony i tytuł księżny.

— Czyżem już zwyciężona? — pytała sama siebie Lazaryna, i po chwili odpowiedziała sobie: — E! nie! Walczyć będę do ostatka!

Zawołała Dominika i kazała zaprzędz do powoziku, potem napisała na ćwiartce papieru te kilka słów:

„Do księcia Hektora de Castel-Vivant, ulica Franciszka I w Paryżu.

„Nie przyjeżdżaj pan. — Jadę.

Lazaryna“.

Tę depezę sama zawiozła do Orleanu, dokąd pojechała powozem. O godzinie szóstej była z powrotem.

Wieczór wydał się jej śmiertelnie długim, w głowie jej przesuwały się różne projekty. Wreszcie postanowiła, że nazajutrz po raz ostatni odwiedzi Janinę i z zamku Gordes pojedzie wprost na pociąg do Paryża. Mamka z synem przyjadą nazajutrz do niej, do jej pałacu przy ulicy Murilla.

Ale o północy, gdy miała się położyć do łóżka, myśli jej znowu uległy pewnej zmianie.

— Ostatni raz spróbuje u Marcela — pomyślała. — Muszę to uzyskać od niego, czego mi odmawiał wczoraj... Powiem mu, przykładając rewolwer do moich piersi: Nie kocham cię już wcale... Życie obok ciebie wydaje mi się gorszem od śmierci... Oddaj mi wolność moją, albo natychmiast w oczach twoich zabiję się... Przestraszy się... ustąpi...

I, powziąwszy to postanowienie, nie traciła chwili ażeby je wykonać.

Z tą samą ostrożnością co w przeddzień wyszła z zamku.

Wpół do pierwszej biło na zegarze, gdy wychodziła z lasu, zmierzając na drogę do willi.

Niebo niezwykle czyste, niezliczonymi gwiazdami zasiane, czyniło noc jasną. Sowy nawoływały się w lesie złowróbnie, ale, chociaż ich głos przejmował dreszczem margrabinę, szła, nie zwalniając kroku.

Dośzedłszy do parkanu ogródka, podniosła oczy. Tak samo, jak poprzedniego wieczora, słabe światelko błyszczało za szybami na pierwszym piętrze.

— Nie śpi — pomyślała margrabina. — Wie, że mam eni przyjść, a jednak czeka na mnie! Jeżeli miłość zawsze jest taką, lepiej ni gdy nie być kochaną!..

Przeszła przez ogród, wyjęła klucz z kieszeni i tym razem bez żadnego hałasu otworzyła drzwi salki, znalazła się w pokoju na parterze i zamknęła drzwi za sobą. Ciemności głębokie ją ogarnęły.

Marcel nie słyszał nic i nie poruszył się wcale, gdyż w przeciwnym razie słyhać byłoby jego kroki na skrzypiącej podłodze.

— Zajdę go zniecka — rzekła do siebie Lazaryna — tem większe będzie wrażenie, sprawione moją groźbą...

Jednak w ciemnościach nie mogła dostrzedz schodów, prowadzących na górę.

Płomień zapałki słabo oświetlił pokój na dole. Blask ten wystarczył młodej kobiecie, ażeby zobaczyła schody i weszła z wolna na pierwszy stopień. Ale zapałka zaczęła parzyć jej palce, rzuciła ją więc, ażeby zapalić inną...

Rzucony niedopałek zapałki woskowej upadł pod schody na stos nagromadzonych tam wiórów i drzazg smolnych do palenia w piecu.

Wióry suche zapaliły się natychmiast jak proch, śląc iskry na drzazgi smolne.

Lazaryna przestraszona zeszła czempędzej z pierwszego stopnia schodów, ażeby ugasić ten zarodek pożaru, ale już się drewna paliły.

Pani Tour-du-Roy zrozumiała wielkie niebezpieczeństwo. Otworzyła już usta, ażeby zawołać:

— Ogień! Marcelu! ogień! uciekaj!

Ale w tejże chwili powstała w głowie jej myśl szatańska jak w przeddzień.

Lazaryna szepnęła do siebie:

— To nie ja go gubię... ale płomienie... Ten człowiek może umrzeć... ja umyвам ręce.

I, nie wyrzekłszy ani słowa, Lazaryna wyszła czempędzej z pokoju na dole, pełnym już dymu, wśród którego błyskały teraz płomienie. Zamknęła drzwi na klucz, przeszła przez ogródek, wydołała się

na drogę i oddaliła, ale o pięćdziesiąt kroków zatrzymała się, ażeby zobaczyć, co się dzieje.

W kilka minut pożar, podsycany drzazgami i sosenowemi schodami, rozszerzył się ogromnie w tem drewnianem domostwie.

Szyby już powypadały z okien. Płomienie wybuchały na zewnątrz. Już cały parter przemienił się w piec ognisty.

Prędko też przyszła kolej na pierwsze piętro. Wszystko paliło się tak prędko, jak gdyby było ze słomy.

Dał się słyszeć głośny trzask. Obłok ognia wzbil się ku niebu, dach się zawalił. Potem wszystko stało się jedną kupą gorejącą, aż wreszcie runęło. Z willi pozostały tylko dymiące zgliszcza.

Dopoki domostwo trzymało się jeszcze, wewnątrz nie znać było, ażeby się kto poruszył...

Bezwątpienia śmierć piorunująco zaskoczyła Marcela w pierwszym śnie...

Lazaryna była bladą, ale na twarzy jej jaśniał wyraz okrutnej radości.

— Wolna jestem!.. — rzekła do siebie — nareszcie jestem wolną!..

I pobiegła w stronę Tour-du-Roy.

LXVII.

Pozostawiliśmy Maksyma Giraud, gdy wysiadł z powozu, który pojechał dalej ku Zielonym Liściom.

Doktór wśród ciemności powrócił do zamku, a furtkę otworzyła mu Genowefa, która, uprzedzona przezeń, czekała na jego przyjście. Następnie również niepostrzeżenie udał się do pokoju hrabiego. Został go bardzo wzruszonego.

— Cóż? — spytał Raul — czy plan nasz się powiedzie?

— O! nie wątpię.

— Ale czy zdołamy uratować Janinę?

— O! miej pan nadzieję...

— Wytłomacz mi pan jednak, jakim sposobem Janina nie padła ofiarą trucizny?..

— Tak, wydaje się to rzeczywiście nieprawdopodobne, a jednak łatwo to wytłomaczyć... Siostra hrabiny, na szczęście, nie jest wcale biegłą w nauce o truciznach. Chciała ona zarazem usunąć podejrzenie i przyspieszać rezultat, zmieniając ciągle trucizny, otóż w ten sposób sama sobie przeszkadzała w działaniu...

— Jakto?

— Trucizny jedne przeciwdziałały drugim, niszcząc wzajemnie swoje działanie... Gdyby nędznica dawała tylko jedną truciznę, nicby nie osłabiło postępu choroby i pani de Gordes jużby nieżyła...

Raul podniósł ręce ku niebu.

— O! masz pan słusznosc! doktorze! — wyszeptal — Bóg ukaral trucicielke. On nie chcial, azeby dokonala tego wielkiego dzieła. Ocalmy Janine...

— A teraz idz pan do pani hrabiny i nie zapomnij, jakesmy sie umowili...

Pan de Gordes uścinal znów ręce Maksyma i udal sie do pokoju żony. Była godzina kwadrans po drugiej.

Renata lezala na sofie przy łozku chorej, z twarzą melancholijną, i trzymala dziennik, ktorego nie czytala wcale. Genowefa siedziala we framudze okna, z robotką w ręku, ktorej równiez nie robila. Spuscila głowę i powieki miala prawie zamnięte. Na pozór spala, ale z pod przymkniętych powiek spojrzenie ostre jak sztylet nie opuszczalo twarzy trucicielki.

Kiedy pan de Gordes otworzył drzwi, Renata obróciła się ku niemu i dala znak, mówiac cicho:

— Ostrożnie... Janina spi...

Raul zblizył się do Renaty i, powstrzymujac głębokoi wstręt, jaki czul do niej, pochylił się do jej ucha i szepnal:

— Przychodzę cię uprzedzić, że muszę koniecznie wyjechać na folwark, azeby się porozumieć z dzierzawcami. Powrócę dopiero na obiad, ale nie później.

— Cóż mam powiedzieć Janinie, kiedy się obudzi?

— Poprostu, że wyszedłem i że lada chwila powrócę. Ale nie zapomnij dać jej lekarstwa.

— O! bądź spokojny, szwagrze.

Raul wyszedł pocichu.

Było trzy kwadranse na trzecią.

LXVIII.

Pan de Gordes powrócił do swego gabinetu, gdzie nań oczekiwał Maksym. Nie zamienili z sobą ani słowa... Raul wskazał ręką zegar, doktor skinął głową. Na zegarze zbliżała się godzina trzecia. Tak upłynęło pięć minut.

— Teraz już czas... chodź pan... — szepnął Maksym tak cicho, że Raul raczej odgadł, niż usłyszał te słowa.

Wyszli razem, a po chwili byli już przy nawpół otwartych drzwiach od pokoju Janiny. Maksym, który szedł pierwszy, rzucił bystre spojrzenie wewnątrz pokoju.

— Nikogo niema... — szepnął. — Panie hrabio, możemy wejść.

Chora była sama. Godzina trzecia miała za minutę wybić... Renata poszła do laboratorium po lekarstwo. Genowefa podążyła za nią ukradkiem.

Janina uśmiechem powitała zbliżającego się do niej doktora.

— Jakto? już z powrotem drogi doktorze — odezwiała się — przecie wyjeżdżałeś, nieprawdaż?..

Młodzieniec, zamiast odpowiedzieć, wyjął z kieszeni pudełko, a z niego wydobyl cienką chustkę batystową, na którą nalał kilka kropel z mikroskopijnej buteleczki.

— Pani hrabino — rzekł następnie, podając chustkę Janininie — niech pani to powącha, proszę...

— Pan wiesz, że jestem zawsze posłuszna — wyszeptała chora łagodnie. Przytknęła do nozdrzy lekko zwilżony batyst. Jednocześnie po pokoju rozszedł się zapach właściwy chloroformowi. Ówierć sekundy zaledwie upłynęło, gdy powieki Janiny zaczęły drżyc, ręka jej opadła wraz z chustką, a głowa spoczęła na poduszce.

— Uśpienie nastąpiło zupełne — rzekł Maksym do Raula. — Piorun mógłby uderzyć w tym pokoju, a hrabina nie usłyszałaby go wcale...

Gdy się to działo w sypialni, Renata krokiem wolnym i automatycznym, udała się do laboratorium, nazywanego apteczką. Tu przystąpiła do stolika, na którym stała butelka z lekarstwem, przyrządzonem przed kilku godzinami przez Maksyma a obok filiżanka ze starej porcelany saskiej.

Siostra Janiny zamknęła drzwi za sobą i dwukrotnie klucz przekręciła w zamku, ażeby nikt nie wszedł z nienacka. Potem płynem z butelki napełniła trzy czwarte filiżanki, odpięła guziki górne u stanika sukni i wyciągnęła ztamtąd małeńki flakonik kryształowy, od perfum angielskich. Flakonik był prawie pełen płynu bezbarwnego i ledwie przezroczyściego. Renata odetkała flakonik, wlała do fili-

żanki prawie wszystko, co w sobie zawierał, zamieszała łyżeczką, wytarła tę łyżeczkę, ażeby płyn nie zostawił śladów na metalu, schowała flakonik zagorsem, zapięła suknię i, otworzywszy drzwi, z filiżanką w ręce udała się wprost do siostry. W drodze powtarzała sobie po raz może tysięczny.

— Janina skradła mi wszystko, nazwisko, tytuł, majątek i serce. Odbieram jej najprzód nazwisko, majątek i tytuł... później, gdy będę żoną Raula, odzyskam i serce.

Zbliżała się już do pokoju hrabiny. Głęboka cięsza panowała w całym zamku.

— Godzina nie upłynie, a skończy się wszystko — pomyślała Renata. — Raul już jej nie zobaczy żywej.

I już między nią a sypialnią Janiny znajdowała się tylko portjera... Odgarnęła jej fałdy i przestąpiła próg. Ale dalej iść nie mogła. Dwoje ramion zagrodziło jej drogę; po lewej stał Raul, po prawej Maksym. Pan de Gordes pochwycił filiżankę, którą Renata pozwoliła sobie odebrać w pierwszej chwili przeżenienia. Jednocześnie doktor mówił:

— Doza jest tym razem dość silna, ażeby odrazu skończyć, nieprawdaż?

Renata zachwiała się, jak gdyby w pojedynku otrzymała ranę śmiertelną. Wszystkie krew zbiegła się jej z ciała do serca, a bladość matowa powlekła lica.

Ale nie tak łatwo można ją było pokonać. Ci ludzie wiedzieli coś, bo tego dowodziła zasadka, jaką

zastawili na nią. Ale co wiedzieli mianowicie? Postanowiła o tem zaraz się przekonać. Spojrzała kolejno na szwagra i na doktora z wyrazem głębokiego zdziwienia i odparła tonem spokojnym:

— Doprawdy, pytam się siebie... czy ja czasem nie śpię... Cóż się tutaj dzieje?.. Sądziłam, że obadwaj, panowie, jesteście ztąd daleko, a tymczasem zagradzacie mi drogę z minami, jakbyście wracali z tamtego świata... Nie rozumiem wcale, co chciał pan powiedzieć, panie Maksymie... Dlaczego. Raulu, zabrałeś mi filizankę?..

— I ty pytasz dlaczego? — zawołał hrabia.

— Naturalnie, ponieważ nie wiem.

— To ja powiem pani — odparł doktor. — Dlatego, ażeby oddać rozpoznaniu biegłych truciznę, która miała zabić siostrę pani.

— Truciznę? — powtórzyła Renata, usiłując się jeszcze powstrzymać, ale dysząca już jak dzikie zwierzę, schwytałe w zasadzkę i czujące, że ucieczka dlań już niemożliwa. — Truciznę?.. Czyż doprawdy zrozumiałam to oskarżenie potworne, jakie zdaje się zawierać pańskie słowo?

— Dobrze pani zrozumiałaś... I śmiesz pani jeszcze przeczyć?

— Czy śmiem?.. O! naturalnie! I to z całym oburzeniem i odpowiadam tylko pogardą niktzemnikom, którzy znieważają kobiety!..

— Utrzymujesz więc pani, żeś niewinna?

— Nie tylko utrzymuję, ale nią jestem...

— To dowiedz pani?

— Jakim sposobem?

— Wypij pani tę miksturę.

Renata, nie wahając się i nawet nie namyślając, odparła:

— Jestem gotowa.

Maksym wziął filiżankę z rąk Raula. Podał ją młodej dziewczynie, a ta ją pochwyciła, poniosła gwałtownie do ust, połknęła z niej, aż do ostatniej kropli, a kiedy filiżanka była już próżna, rzuciła ją pod nogi.

— Cóż?.. jesteście, panowie, zadowoleni? — zapytała ze śmiechem, na który okropnie było patrzeć i okropnie było go słyszeć.

— Tak — odparł doktor. — Ja jestem zadowolony, bo sprawiedliwości stało się zadość!.. Doza ogromna, którą pani wlałaś do tego lekarstwa, podziała szybko na organizm pani, nieprzyzwyczajony do trucizny. W godzinę niespełna żyć pani nie będziesz, a my pilnować pani będziemy!..

LXIX.

Renata, usłyszawszy te straszne wyrazy, cofnęła się mimowolnie, a rękoma chwyciła się portjery. Ale ta słabość fizyczna i moralna przeminęła jak błyskawica.

— Pójdź pani... — odezwał się Maksym, biorąc ją za rękę.

Wyrwała mu się gwałtownie i spytała?

— Dokąd chcesz mnie pan prowadzić?

— Do pokoju pani.

— Pójdę sama...

I krokiem pewnym skierowała się do małego saloniku, tu osunęła się na fotel, a Raul i doktor podążyli za nią.

— Przecież tu, panowie, nie zostaniecie? — rzekła do nich.

— Uprzedziłem panią przed chwilą, że cię pilnować będziemy — odparł chłodno Maksym.

— Ha! to zostańcie i więźcie kobietę, jeżeli wam się podoba.

Spojrzała na nich z nienawiścią; potem zapanowała głęboka cisza.

Renata siedziała, nieruchoma, milcząca, z założonymi rękoma na piersi, z głową wzniesioną do góry, z twarzą, pełną wyrazu pogardy, z oczyma wpatrzonemi w jeden punkt, podobna do posągu.

Hrabia i doktor, stojąc przy drzwiach, czekali. Tak upłynęło dziesięć minut.

— Widzicie, panowie, że to nie trucizna! — rzekła nagle młoda dziewczyna. — Gdybym była wypila truciznę, jużbym cierpiała... a widzicie, że nie cierpię wcale...

— Cierpliwości! — odpowiedział Maksym. — Poczekamy...

Renata znów milczała i siedziała nieruchomo. Kwadrans znowu upłynął, jak wiek długi. Doktor wlepił wzrok w twarz siostry Janiny. Naraz zadrżał.

Pierwsze objawy dawały się zauważyć, prawie jeszcze niedostrzegalne, ale niepodobna było się omylić co do ich natury.

Krople potu perliły się na czole Renaty; dokoła oczu rozszerzała się obwódka sina; źrenice powiększały się stopniowo, nozdrza wstrząsał dreszcz nerwowy, usta wykrzywiły się i jakby malały.

Widocznie Renata z nadludzką energją walczyła z pierwszymi atakami szalonego bólu.

A jednak z uśmiechem pogardliwym wyszeptła po raz drugi.

— Widzicie, panowie, że nie cierpię...

— Cierpliwości — powtórzył doktor.

Wtem nagły i gwałtowny atak pokonał Renatę. Nieszczęsna rękami chwyciła za piersi i głowę w tył przechyliła z głuchym jękiem.

Raul, drżąc cały, odwrócił oczy.

Maksym, bez litości dla tej, która sama żadnej litości nie miała, zapytał chłodno:

— Czy jeszcze powiesz pani, że nie cierpisz?

Renata odpowiedziała tylko pogardliwym skinieniem.

Katusze jej jakby zmniejszyły się na chwilę; skorzasta też z tego, ażeby walczyć ze swem cierpieniem. Ale była to walka ostatnia. Cierpienie po to tylko ustało chwilowo, ażeby znowu wzmódz się z szaloną gwałtownością.

Trucicielka już nie była w stanie panować nad sobą, twarz szarpała paznokciami, gryzła sobie ręce i krew płynęła wśród palcy.

— Zabijcie mnie! — wyjąkała. — Błagam o to, w imię Janiny... O! odbierzcie mi życie natychmiast!.. Nie dajcie mi tak cierpieć...

Raul, przerażony, zatykał sobie uszy, ażeby nie słuchać.

— Błagasz nas pani, w imię swej siostry! — rzekł Maksym. — W imię swej siostry prosisz pani o śmierć... Otóż ja w imieniu siostry pani, ofiaruję ci życie...

Renata spojrzała na doktora błędnym okiem, jak obłąkana.

— Życie? — powtórzyła.

— Tak, życie!.. Wymień pani truciznę, którą dawałaś pani de Gordes w ostatnich tygodniach, truz ciznę, która miała ją dziś zabić i która panią zabija, a ja przysięgam ci na honor, że natychmiast przyniosę środek przeciwdziałający.

— I ja przysięgam na mój honor — dodał Raul — że cię nie oddam sprawiedliwości, nie przez litość, której nie jesteś godną, lecz ażeby oszczędzić śmierci na rusztowaniu siostrze mojej żony...

— Jeżeli powiem, to ocalicie Janinę? — zapytała Renata.

— Z pomocą Bożą, tak sądzę — odpowiedział Maksym.

— To nie powiem... Niech przyjdzie śmierć!.. Umrę z radością... Janina niedługo mnie przeżyje...

— Cóż ci takiego uczyniło to nieszczęśliwe i dobre dziecko, że je tak nienawidzisz? — wyjąkał hrabia.

— Kochałam cię... ona mi skradła twoje serce...
To moja zemsta!

— Nędzna istoto! — zawołał Raul groźnie —
milesz!

— Tak, będę milczała, ponieważ moje milczenie
jest wyrokiem śmierci dla mojej siostry.

I rzeczywiście Renata chciała milczeć. Myślała
ona, iż zmartwieje w tej dzikiej zaciętości... Ale nie
liczyła się z nowym atakiem, który ją rzucił o ziemię
i uczynił z każdego nerwu ognisko bólu, jakiego może
nawet nie sprawiały najokrutniejsze tortury średnio-
wieczne. Przez kilka sekund wiała się jak wąż, rzu-
cony na rozpaloną płytę żelaza.

— Zwyciężona jestem — wyszeptała głosem,
wcale niepodobnym de ludzkiego. — Ocalcie mnie...
poddaje się.

— Nazwa trucizny? — spytał Maksym.

— Euforgia abisyńska.

— Wiec to sok euforbii wlewałaś pani hra-
binie?

— Tak, od dwóch tygodni... i ja go teraz wypi-
łam... Ocalcie mnie... Przysięgliście...

— I jeżeli Bóg pozwoli, dotrzymamy przysięgi.

Doktór wybiegł z salonu, gdzie nikczemna istota
cierpiała zasłużone męki.

Ktoby mógł teraz poznać tę Renatę tak piękną
i tak młodą!

Nie miała już wcale żadnego wieku, twarz jej
stała się jakąś straszną maską, siną, z plamami fioleto-

wemi. Z ust skrwawionych wydobywał się syczący oddech.

Okropny był to widok.

Pan de Gordes, jedyny świadek tego straszliwego konania, wzdrygał się całym ciałem.

Ten potwór, mówiący, że go kochał, przejmował go niewypowiedzianą zgrozą...

Nieobecność Maksyma trwała krótko. Po upływie niespełna pięciu minut młodzieniec ukazał się, niosąc szklankę, napełnioną płynem przezroczystym, podobnym do wina xeresu. Podał tę szklankę Renacie.

— Pij pan! — zawołał — to życie.

Zelektryzowana nadzieją ocalenia, trucicielka podniosła się.

Ujęła szklankę ręką drżącą. Przyłożyła do ust. Wypiła chciwie sporą ilość.

Było już zapóźno... Płyn nie mógł przejść przez konwulsyjnie skurczone gardło. Spróbowała drugi raz. Ręka trzęsła się jej coraz bardziej... Szklanka pękła jej w zaciśniętych zębach, a nieużyteczny płyn popłynął po ubraniu.

Renata zrozumiała, iż wszystko się dla niej skończyło... Nie mogła pić... Nie mogła mówić... Ale mogła jeszcze cierpieć... Mogła jeszcze złorzeczyć... Wzniosła ku niebu ręce, z wyrazem groźby i nienawiści. Twarz jej jakby widma wyglądała przerażająco. Usta jej poruszyły się, jakby w ostatniem przekleństwie, ale słychać było już tylko chropowaty odgłos, podobny do syczenia zmiażdżonego płazu.

Był to już koniec.

Jeszcze przez sekundę czy dwie ciało jej drgało zlekka, *potem wyprostowała się i pozostała nieruchoma.

— Umarła? — zapytał Raul.

— Umarła... — odpowiedział Maksym. — To sprawiedliwość Boża! Myśmy ją przecie ulaskawili... Ale Bóg jej nie przebaczył..

— A teraz — wyszeptał hrabia błagalnym głosem — teraz ocalisz pan Janinę? Wszak ocalisz ją?.. Przrzekasz mi to?

— Życie pani de Gordes jest w rękę Boga — odparł młodzieniec — ale ja, co nie miałem już nadziei, teraz ją mam.

LXX.

Śmierć tragiczna Renaty wprowadziła jednak pana de Gordes w bardzo kłopotliwe położenie.

Jak ukryć przed Janiną, co się stało z jej siostrą, jak wreszcie przed służbą zamkową, a następnie władzami usunąć podejrzenie, jakie mogła obudzić straszna śmierć młodej i zdrowej dziewczyny. Po dość długiej naradzie, pan de Gordes i doktor Giraud obmyślili sposób postępowania.

Natychmiast przywołali Genowefę. Wierna służąca, nie bez wstrętu, przy mocy doktora, ułożyła zmarłą na jej łóżku i przykryła prześcieradłem.

Potem młodzieniec udał się do laboratoryjum! a Genowefa do pokoju pani de Gordees wraz hrabią.

Janina, na którą już przestał działać chloroform, powoli przychodziła do siebie, jakby budząc się ze snu. Zobaczywszy Raula, uśmiechnęła się.

— Spałam snem jakimś dziwnym — rzekła — a jak długo spałam?

Pan de Gordes spojrział na zegar.

— Prawie godzinę — odrzekł.

— A ja myślałam, że cały dzień... Gdzie jest doktor?

Teraz Genowefa wtrąciła się do rozmowy.

— Pan Maksym jest w apteczce i przygotowuje dla pani hrabiny rumianek...

— A co się stało z lekarstwem, które miałam wziąć o godzinie trzeciej?

— Stał się wypadek,.. Stłukłam flakon przez nieostrożność. Niech mi pani hrabina przebaczy...

— O! to przecie niewielkie znów nieszczęście... bo pan Maksym przygotowuje inne lekarstwo — odrzekła Janina z uśmiechem. — Więc nie martw się Genowefo.

Kiedy się hrabina obudziła ze snu, wywołanego chloroformem, Raul wraz z doktorem jak najostrożniej uprzedzili ją, że siostra Renata zachorowała na ospę i że niewątpliwie przez tydzień a nawet dłużej, Janina nie będzie mogła jej widzieć, gdyż ta choroba jest zaraźliwą.

Nazajutrz zrana hrabia de Gordes pojechał do Orleanu, ażeby zobaczyć się z prokuratorem.

Na szczęście był to kolega Raula ze szkół, człowiek niezwyklej powagi i rozsądku. Pan de Gordes zobaczył się z nim i rozmówił w jego prywatnem mieszkaniu. Z całą szczerością opowiedział wszystko, co zaszło.

— Dobrześ uczynił, żeś przyjechał do mnie — rzekł wtedy prokurator. — Bóg sam wymierzył tu sprawiedliwość... Sprawiedliwość ludzka nie potrzebuje już wglądać w tę tragedję rodzinną... Śledztwo wszelkie zbyteczne... Rozpowiedz o śmierci naturalnej tej kobiety... i bez obawy przystąp do pogrzebu... nikt się w to nie wda.

Wracał więc Raul do domu uspokojony; jedna go tylko jeszcze myśl trapiła, co powiedzieć Lazarynie o tem wszystkim.

Lecz gdy przyjechał do Gordes, zastał do siebie list tej osnowy:

„Drogi Raulu! Okoliczność bardzo ważna zmusza mnie niezwłocznie wyjechać do Paryża. Ucałuj odemnie Janinę i Renatę, a pamiętaj, ażebym miała o Jani wiadomości. Lazaryna.“

Więc pani Tour-du-Roy nie przyjedzie. Raul odetchnął swobodniej.

Tymczasem wtajemniczona we wszystko Genowefa opowiedziała już służbie, że panna Renata zachorowała w nocy na ospę, że choroba ta jest bardzo zaraźliwa i że pan doktor jest niespokojny... Wieczorem dodała, że stan chorej tak się pogorszył, iż doktor zwątpił o ocaleniu. Nikt też nazajutrz zrana nie dziwił się, gdy Genowefa oznajmiła, iż panna

Leroux zmarła w nocy. Renaty nie lubiono... Nikt jej ze służby nie żałował.

Pogrzeb odbył się po cichu, ażeby nie dowiedziała się o niczem hrabina., zbyt jeszcze osłabiona, iżby mogła przenieść ten cios tak dla niej bolesny!..

LXXI.

Lazaryna rzeczywiście pojechała do Paryża. Uciekła z Tour-du-Roy przed widmem strasznych wspomnień, pozostawiając po za sobą wspomnienia okropnego wypadku i jeszcze okropniejszego jej postępku. Zresztą czuła się teraz uwolnioną, jak galernik z łańcuchów. Teraz, gdy Marcel Laugier nie stał już na jej drodze, nie jej nie przeszkadzało w jak najprędszym czasie zaślubić Hektora Bégourde. Zdawało jej się, że już szepczą dokoła niej: *księżna*, że już olśniewa cały Paryż niepospolitym przepychem nieprzebranych bogactw.

Nazajutrz zrana po przyjeździe przysłała młodemu księciu do jego pałacu następujący liścik:

„Nie wyjdę dziś z domu i przyjmę tylko pana... Przyjdź pan. *Lazaryna.*“

Około godziny drugiej nadbiegł książę, trochę jeszcze blady, po utracie tak wielkiej ilości krwi... Hektor okazał się szczerze i wiernie zakochanym. Lazaryna jak najlepiej w świecie odegrała komedję mi-

łości. Rozmawiano już o małżeństwie i chodziło tylko o oznaczenie dnia ślubu. Hektor chciał, ażeby już nazajutrz dać na zapowiedzi, Lazaryna nie chciała wydać się tak niecierpliwą; ostatecznie zgodzono się, iż ślub nastąpi za miesiąc.

Juliusz Leroux, dowiedziawszy się o projekcie córki, powinszował jej milion rocznego dochodu. *Najlepszy z ojców* nie mógł się jednak powstrzymać od uwagi, że Bégourde, pomimo bogactw, sprawia na nim zawsze wrażenie jakby księcia z operetki... i wspomniał znowu Marcela Laugiera, który niewiadomo dokąd wyjechał z Paryża i nie dawał żadnych o sobie wiadomości.

Na to Lazaryna nic nie odpowiedziała.

Nazajutrz nadszedł list od hrabiego de Gordes z wiadomością o nagłej śmierci Renaty, na zapalenie mózgu. Raul dodawał, że dzięki Bogu Janina mie-
wa się coraz lepiej i że doktor Giraud powziął już nadzieję wyleczenia. Lazaryna nie zmartwiła się nad-
zbyt śmiercią Renaty, dla której nigdy nie czuła ży-
wej sympatji. Z przyzwyczajenia tylko uroniła kilka
leż, ubrała się czarno i więcej nie myślała o tem.

* * *

Tak upłynęły dwa tygodnie. Młody książę He-
ktor, jako narzeczony, codzien przysyłał Lazarynie
wspaniałe bukiety a już od dnia poprzedniego nazwi-
ska ich obojga wywieszono były na tablicy w mero-
stwie. Dzienniki zaś podawały wiadomości o bliżkiem
małżeństwie nadobnej i milionowej pary z arystokracji.

Właśnie wybiła godzina czwarta po południu. Służący wiedzieli, że margrabina nie przyjmowała nikogo, gdy księżę był u niej z wizytą, i że wyjątku nie czyniła dla nikogo.

Hektor siedział u nóg Lazaryny i trzymał arystokratyczną rączkę swej przyjaciółki, całując z uniesieniem po kolei wszystkie paluszki. Nagle zakochani wdrygnęli się ze zdziwienia. Stał się fakt niespodziewany. Drzwi od salonu otworzyły się i lokaj, którego weale nie wołano, ukazał się na progu.

Margrabina chciała go zgromić, ale nie zdążyła.

Lokaj usunął się, ażeby kogoś przepuścić, i oznajmił donośnym głosem:

— Pan Marcel Laugier!

LXXII.

Był to efekt iście teatralny, jakiego pozazdrościłby niejedyn z autorów dramatycznych.

Lazaryna, jakby za dotknięciem sprężyny, podniosła się nagle, blada jak marmur biały i źrenice, nadmiernie powiększone, zwróciła ku drzwiom.

Hektor siedział wciąż i, nie pojmując tego dziwnego przerażenia, patrzył na Lazarynę ze zdziwieniem.

Scena ta niema trwała bardzo krótko. Marcel wszedł spokojny, z miną raczej drwiącą, niżli groźną. Ukłonił się Lazarynie, następnie Hektorowi z całą

swobodą, a widząc przerażenie piorunujące, jakie obecność jego sprawiła na pani domu, odezwał się z uśmiechem:

— Ukazanie się widma przestrasza zawsze trochę, nieprawdaż, pani hrabino? Ale uspokój się, pani, ten upiór jest jak najzdrowszym. O! mój Boże, nie jest to wina pani, wiem dobrze... ale, cóż robić, tak się to stało...

Lazaryna nie znalazła na to żadnej odpowiedzi, pozostała milcząca, zgnębiona, odgadując instynktownie, że katastrofa jest nieunikniona. Hektor tymczasem wstał z krzesła i, targając z gniewu wąsy, spojrział na przybysza wyzywająco i zawołał:

— O! pan mnie zdasz sprawę...

Były porucznik przerwał mu.

— I owszem, zdam sprawę panu, z czego pan tylko zechcesz i wszystko panu wytłomaczę — odparł — i mogę panu służyć gdzie i kiedy zechcesz, ale wprzód posłuchaj mnie pan, choć przez dwie minuty...

— Ależ... — odezwał się znów książę.

Marcel po raz drugi przerwał mu i dalej mówił:

— Nie wiesz, mój kochany panie przeciwniku, że miałem wielki zaszczyt należeć do przyjaciół pani margrabiny, a przyznaję ze wstydem, iż nie odgadłem, że pani margrabina pomysłowa i praktyczna nasadziła pana na mnie jakby jakiego zbira, szukającego sprzeczek i bójki za umówioną cenę... Tylko — różnica bardzo wielka — pan czyniłeś to bezpłatnie... dla honoru, a raczej dla miłości...

— Nie rozumiem i żądam rozwiązania tej zagadki — rzekł Hektor.

— Zagadki? — powtórzył Marcel — bądź pan spokojny... Między mną a panią margrabiną jest mały jeszcze obrachunek... dlatego tu przyszedłem...

Lazaryna odzyskała już nieco energii. Postawiła wszystko na jedną stawkę.

— Hektorze — szepnęła głosem błagalnym — wiesz dobrze, iż ten człowiek jest moim wrogiem... Wiesz, że chce on mnie zgubić... Jeżeli mnie kochasz, zmusz go, ażeby milczał...

— O! — odezwał się Marcel — wszelkie wyznania zachowaj pani na później. Ja muszę mówić i będę mówił... Pani margrabina może wypędzić mnie, ale tylko przy pomocy swych lokai.

— I rady tej posłucham — odrzekła Lazaryna i chciała już zadzwonić.

— O! to jednak niebezpieczniej! — wyrzekł spokojnie Marcel — po co wtajemniczać służbę w sprawę kompromitującą... Rola moja wprawdzie jest trudna... a nawet prawie wstrętna. Wiem, że człowiek, uczciwy i honorowy, nie ma prawa zdradzać tajemnic kobiety.

— To milcz pan.

Marcel skłonił się z uśmiechem i mówił dalej:

— Ja też, pomimo obietnic i pogróżek, możebym bez zmarszczenia czoła patrzył na księcia Castel-Vivant, zaślubiającego margrabinę Tour-du-Roy, ale sumienie człowieka prawego niepozwała mi dopuścić, ażeby ten, którego szanuję i którego o mało

co nie zabiłem w jak najprawidłowszym pojedynku, został mężem kobiety zachwycającej to przyznaję — ale umiejącej piec żywcem swych przyjaciół — o ile oni jej zawadzają.

Hektor miał minę pełaą zgrozy, ale zarazem niedowierzania. Były porucznik spodziewał się, że Lazzaryna uczuje się zupełnie pokonaną i prosić będzie o łaskę. Tymczasem młoda kobieta pod oskarżeniem tem wyprostowała się jak zraniona żmija.

— To fałsz bezwstydn! potwarz niegodna!... Książę, czy pozwolisz mnie znieważać, w swojej obecności... Broń mnie!... i pomścij!...

Bégourde bardzo blady, z brwiami ściągniętymi, ze źrenicą pałającą, przystąpił do Marcela, i oko w oko rzucił mu w twarz te wyrazy:

— Człowiek, który tak, jak pan znieważa kobietę, jest podły!... Bierz to pan do siebie!... Pani margrabina Tour-du-Roy będzie za dwa tygodnie księżną de Castel Vivant!... Jej honor jest moim, żądam więc od pana satysfakcyi.

— O! i owszem, choćby nawet dziesięć — odparł były huzar, nie tracąc zimnej krwi — ale wprzód musisz mnie pan wysłuchać... Ja oskarżam panią margrabinę, że chciała mnie spalić żywcem... Czy pani margrabina zadaje kłam moim słowom?...

— Z całej siły mego oburzenia! — zawołała Lazzaryna. — Jesteś pan albo warjat albo nikezemnik!... Kłamiesz!...

— O! dziękuję pani magrabiniel... Teraz moja rola jest o wiele właściwszą... Już nie oskarżać mam, ale się bronić...

To mówiąc wyjął pugilares, otworzył go, wziął z niego list, podał Hektorowi i rzekł:

— Czytaj pan...

Książę drgnął, poznając pismo Lazaryny.

— Czytaj pan!... — powtórzył Marcel.

Hektor połknął oczyma cztery stronicę listu pisanego przez margrabinę, która swego dawnego kochanka prosida o przybycie do Tour-de-Roy.

List ten, pełen czułości dla Marcela, kończył się jak wiadomo, następującemi słowy:

„Nie podzielam wcale radości twojej, z powodu niespodziewanego ocalenia księcia...

Ten głupi szalenięć mógł cię zabić...

A więc zasłużył na to, ażeby umrzeć...”

— I cóż? — zapytał Marcel, kiedy Hektor skończył czytać. — Czy to jasne?...

Młody książę, nie nie odpowiadając, ze spuszczo-nemi oczyma, oddał list byłemu porucznikowi. Wtedy ten zabrał głos i opowiedział pokrótce przyjazd swój do oberży pod Białym koniem, widzenie się z Lazaryną i zamieszkanie w willi Bréchu.

— Następnej, to jest drugiej nocy, pani margra-bina nie miała wcale przyjść... Tak zapowiedziała... Nie spodziewałem się jej więc, a nie mogąc spać i rozdrażniony piskiem żalonym ptactwa nocnego, które się uwijało dokoła domku, wziąłem strzelbę miejscową i zacząłem się w sąsiednim lasku, ażeby

zabić puhacza lub sowę i w ten sposób spłoszyć inne ptaki... Po upływie godziny, spędzonej nadaremnie, wróciłem do domu... Wtem jasny blask z okien parterowych zwrócił moją uwagę... Dom stał w ogniu... Jednocześnie ujrzałem szybko oddalającą się panią margrabinę... O sto kroków zatrzymała się następnie, odwróciła się, i zapewne najzupełniej przekonana, że ja śpię na pierwszym piętrze, patrzyła spokojnie, jak się pożar wzmaga i trawi wszystko... Kiedy domek cały runął już w zgliszcza, pani margrabina, sądząc, że się pozbyła natrętnika, podążyła z powrotem do zamku... Ja ocalałem, ale udałem niezującego.

Był to jedyny sposób, ażeby się dowiedzieć, dlaczego pani margrabina użyła przeciw mnie tak gwałtownych środków... Otóż dowiedziałem się narreszeie. Pani Tour-de-Roy pragnęła przyozdobić się tytułem księżny i do swych licznych milionów przyłączyć jeszcze liczniejsze miliony pana de Castel-Vivant. Przekonana zaś najzupełniej, że, dopóki ja będę na świecie, nie będzie mogła nikogo zaślubić, pani margrabina postanowiła mnie zgładzić... Wszystko to zostało ułożone po mistrzowsku... a na nieszczęście cały plan tylko przypadek zniweczył... Byłem tyle niezręcznym, że jeszcze żyję...

— Czyż nie tak, droga pani? Czyż zmyśliłem tę zbrodnię?

— O! — wyjąkała Lazaryna — pozory mnie obwiniają, wiem o tem, ale nie naumyślnie podpaliłam... przysięgam...

— Ale pozwoliłaś pani, ażeby pożar się rozszerzył; byłaś przekonana, że ja tam jestem, a wcale mnie nie ostrzegłaś!... Nie byłaś winną, na to zgoda!... Ale byłaś współniczką... co na jedno wychodzi!...

Pani Tour-de-Roy zwróciła się ku młodemu księciu:

— Hektorze — rzekła do niego namiętnie, z twarzą we łzach skąpaną — jeżeli kto na świecie nie ma prawa mnie potępiać to ty!... Ten człowiek, ten przesładowca, stanął między nami... Ja chciałam zmiażdżyć przeszkodę... Jeżeli popełniłam zbrodnię, popełniłam ją dla ciebie... Kocham cię!...

— Cóż znowu! — przerwał Marcel wzruszając ramionami. — Kochałaś go pani, tak, jak mnie w Orleanie we dwa dni po śmierci margrabiego Roberta... W sercu pani jest tylko miejsce na cześć dla bożka Milion! Zaprzestań pani tej komedji i żyj spokojnie, jeżeli ci pozwoli sumienie! Żegnam panią... Księżę, teraz, kiedy wiesz wszystko, czy idziesz ze mną, czy zostajesz tutaj?...

Hektor nie odpowiedział na razie nic na to pytanie.

— Waha się... — pomyślała Lazaryna... — zostaniu!...

Rzeczywiście, młodzieniec wahał się... Były porucznik dowiedział mu, że pani Tour-de-Roy niegodna jest być żoną człowieka honorowego. Czuł, że mu się serce ścisła, i zdawało mu się, że pęknie. Wreszcie jednak, słysząc nalegania Marcela, zastanowił się i rzekł:

— Naturalnie, odchodzę z panem... Środki, jakie użyte zostały względem pana, wydają mi się nadzbyt ryzykownymi... Ja wcale nie mam ochoty przejść takiej próby ogniowej... Dzięki swej szczęśliwej gwiazdzie, wyszedłeś cało a ja możebym się nie wywinął... Nie chcąc się na to narażać, składałam u nóg pani margrabiny moje uszanowanie i pożegnanie.

Hektor skłonił się Lazarynie, ujął Marcela Lau-gier pod rękę i wyszedł z nim. Pani Tour-de-Roy, pozostawszy w salonie, wśród ruiny swych nadziei, uczuła się na razie przygnębioną. Ale ta rozpacz przemineła prędko i przeszła w szaloną wściekłość. Młoda kobieta stanęła przed wysokim lustrem i przejrzała się od stóp do głowy, a uśmiech zjawił się na jej ustach.

— O! jestem tak pewną, że on wróci...

I pewna siebie Lazaryna czekała nazajutrz. Ale Hektor nie pokazał się, ani nazajutrz, ani następnego dnia.

Nadszedł Juliusz Leroux, a pierwsze jego słowa były:

— O! moja pieszczoszko, co się to dzieje? zerwałaś z nieboszczykiem Bégourde?

— Dlaczego mnie o to pytasz? — odparła margrabina.

— Bo twój książkę operotkowy drapnął do Monaco z jakąś aktorką, dawną przyjaciółką... Ja, co się znam na ludziach, zawsze ci mówiłem, że nie mam do niego żadnego przekonania...

Lazaryna wzruszyła ramionami, ale nic nie odpowiedziała. Dumie jej zadana była bólaça rana. Serce w tem wszystkim nie grało żadnej roli.

Następnego tygodnia tęga mamka małego margrabiego, wyszedszy po południu do parku Monceaux z Raulkiem, nie wróciła do domu. Daremnie szukano jej. Znikła. Lazaryna ogłosiła w gazetach *sto tysięcy nagrody* za dostarczenie jej jakiegokolwiek wiadomości o mamce i dziecku. Nie pomogła jednak i ta znaczna nagroda.

Wreszcie w tydzień po zniknięciu jakiś nieznajomy człowiek oddał w pałacu przy ulicy Murilla list niepodpisany.

Margrabina odrazu poznała pismo Marcela Lau-gier. List głosił, co następuje:

„Nie szukaj pani *meo syna*... Ja go zabra-łem... Było to moim obowiązkiem, jeżeli nie prawem... Miałem do tego bardzo poważne powody. Nie chcę, ażeby posiadał majątek skradziony przez swe urodzenie. Dość jestem bogaty ażeby i on był bogatym, a jeżeli szczęście jego panią obchodzi, za-pewniam żeł będzie szczęśliwy! Cóżbyś pani uczyni-ła z niego? Zdechłaczka. Ja uczynię z niego czło-wieka.

„Mieszkam zagranicą z *moim synem*, zabezpie-czony od wszelkich poszukiwań.

„Zresztą, co cię obchodzi dziecko; skoro majątek ci pozostaje?“

Lazaryna zamyśliła się.

Marcel miał słuszość.

Pieniądze jej pozostawały, co ją obchodziło to dziecko.

* * *

Jeszcze słów kilka przed zakończeniem tego długiego opowiadania.

Janina, dzięki staraniom doktora Maksyma Girauda, prędko powróciła do zdrowia.

W jaki sposób uniknęła śmierci i co było prawdziwą przyczyną nagłego zgonu Renaty, na zawsze pozostało tajemnicą między uwielbiającym Janinę Raulem, zawsze oddanym jej sercem i duszą Maksymem, i wierną i tak kochającą swych państwa Genowefą.

Maksym, którego już nie zatrzymywało w zamku de Gordes, od dwóch miesięcy wrócił do Rancey...

Raul błagał go jak najgoręcej, ażeby pozwolił się obsypać złotem i dał możność choć w ten sposób hrabiemu okazać cząstkę wdzięczności. Prośby jego napotkały jednak niezłomny opór ze strony młodego doktora.

— Nie, panie hrabio, nie potrzebuję bogactwa, ażeby być lekarzem ubogich — odpowiedział: — Pozostaw mi pan tę niezmierną radość, żem uratował hrabinę de Gordes przy pomocy Bożej i że w zamian wynagrodzony zostałem pańskim szacunkiem i wdzięcznością, jeżeli jej pan masz trochę... Wierź mi pan, że zostałem zapłacony sownie...

A gdy hrabia się oddalił, Maksym rzekł do siebie
zeicha:

— Teraz odwagi!.. Nie mam prawa narzekać...
Janina umarłaby, gdyby nie ja... I ja znalazłem
szczęścia!..

K O N I E C.



5181
1825
7291

A lot of things are oddball, Malarin was the Latin
 words
 — There are words. The main part of the book
 is in the appendix, which is part of the appendix
 ...

KONIG

1892
 —
 1957

W. S. 1255/27

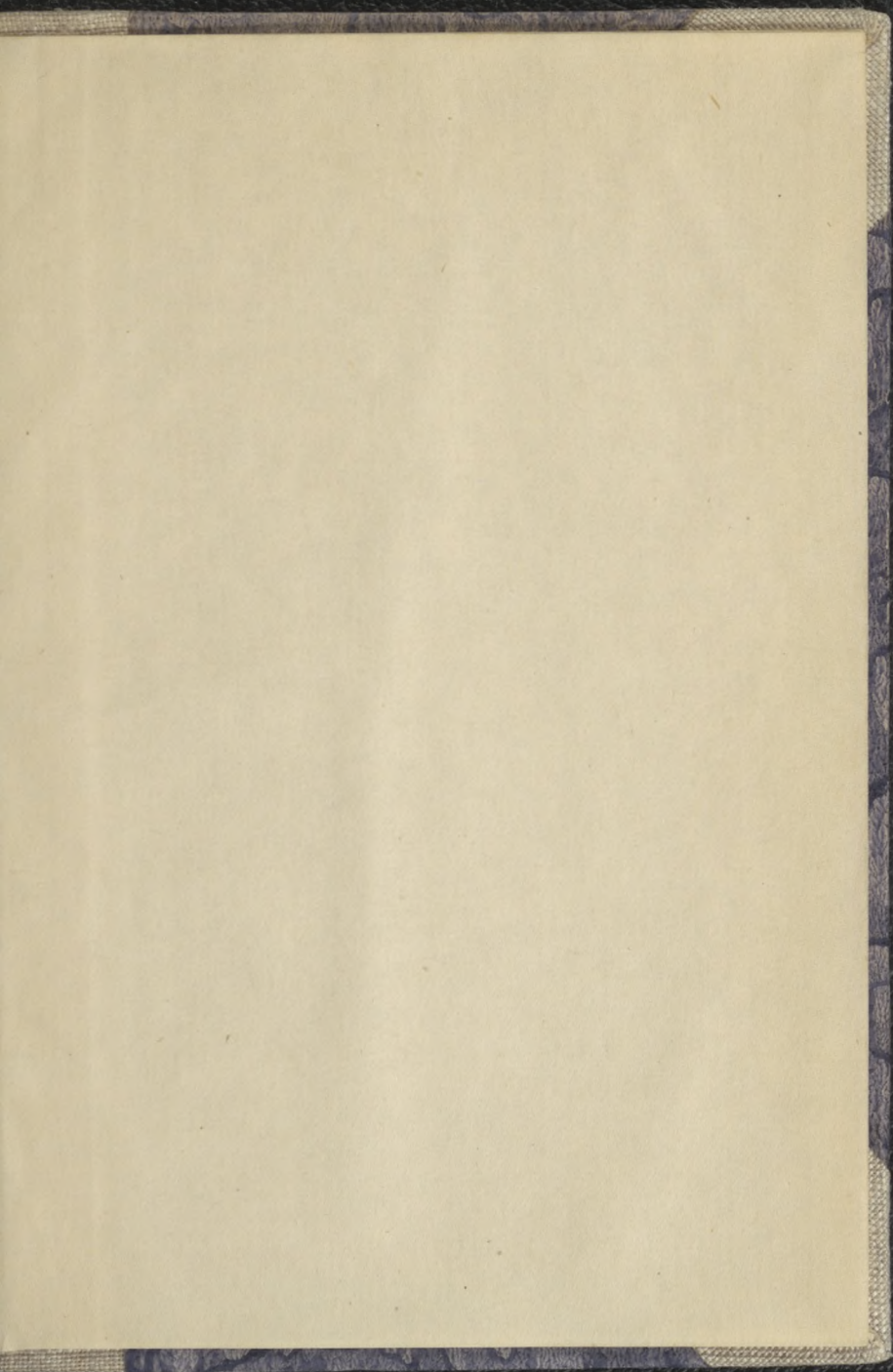
507
1791

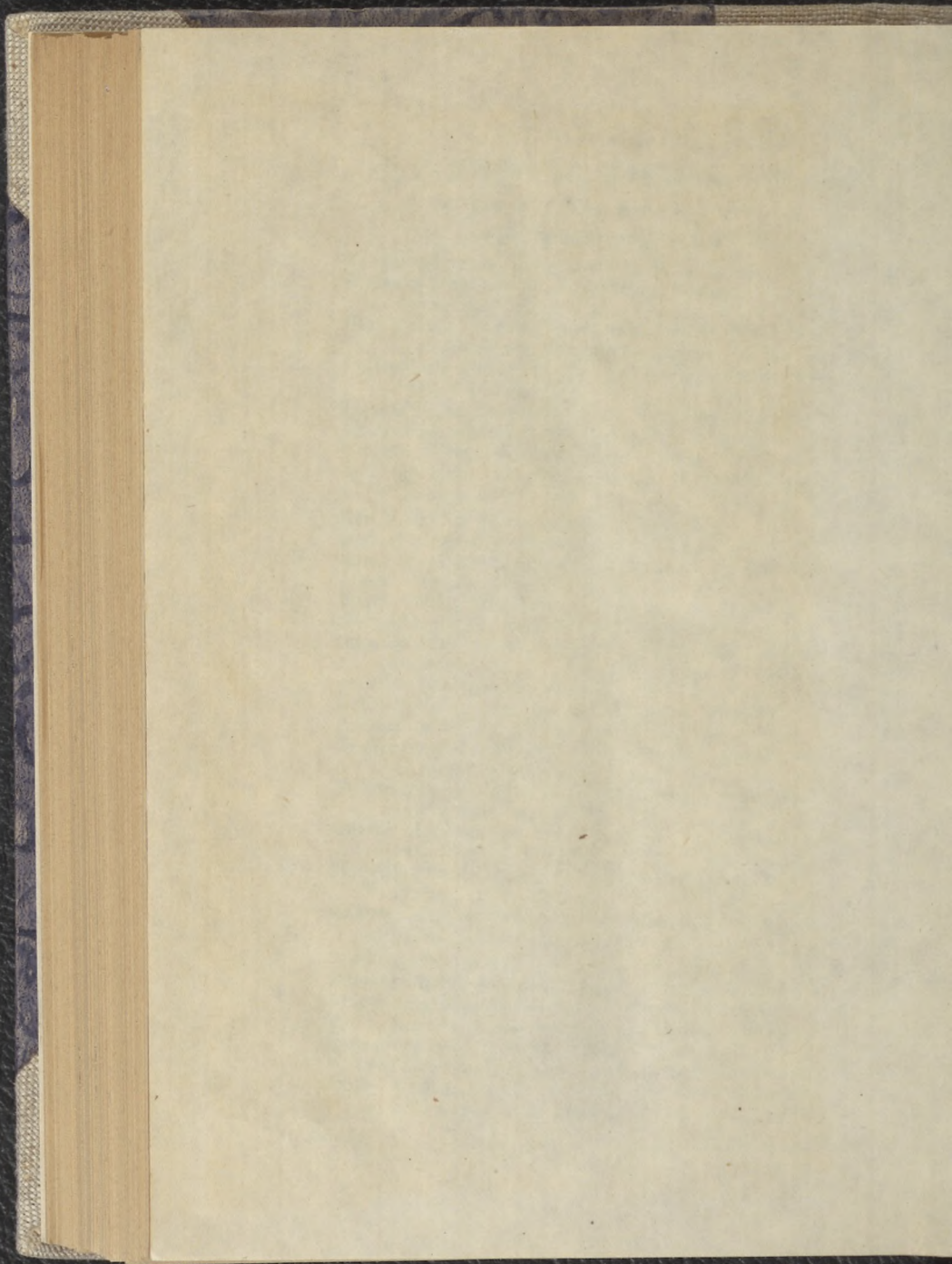
NAKLĄDEM I DRUKIEM
A. PAJEWSKIEGO, WYDAWCY, „KOLCÓW“

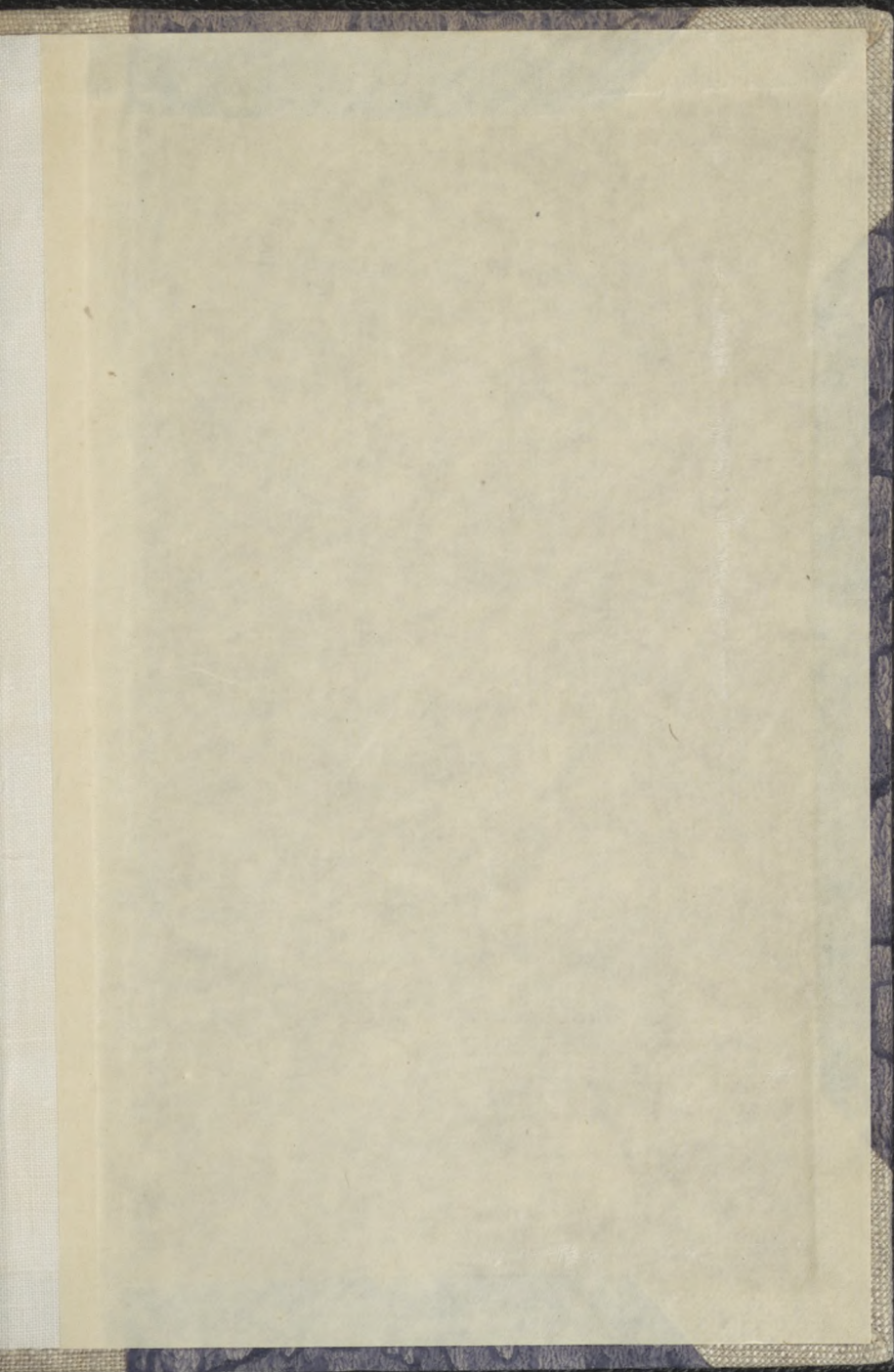
w Warszawie, ulica Niecała, Nr. 12¹ nowy,

wyszły następujące książki:

	Rs. k.
Zasadzka, powieść przez Juliusza Mary.	— 75
Wysokie progi powieść oryginalna Walerego Przybo- rowskiego	— 60
Stan Trzeci, powieść historyczna z czasów sejmu czte- roletniego przez Zygmunta Lucyana Sulimę	— 60
Tajemniczy strzał, powieść przez Jana Berny, prze- kład z francuzkiego	— 45
Jasnowidząca, powieść w 3-ch t. Ksawerego Montepin'a	1 20
Człowiek-Zwierzę, romans przez Emila Zolę	1 —
Ostatnia Miłość, powieść Jerzego Ohnet'a	— 60
Cela więzienna, romans kryminalny w 2 tomach przez Zaccone'n	1 —
Córka dyabła, powieść Ouidy w 2 tomach	1 —
Sprawiedliwość, powieść Hektora Malota	— 75
Wiwisekcyja serca, powieść oryginalna orzez Ituriela	— 30
Fijołki Henryki, powieść przez Fran. Coppé's'go	— 25
Dusza Piotra, najnowsza powieść Jerzego Ohneta	— 45
Widziadło nocne, rom. hiszpański przez Pedra Muerto	— 30
Sprawa Clemenceau, powieść Aleksandra Dumasa (syna)	— 75
Smutne dnie, powieść Jokaja	— 60
Pozbawiona głowy, powieść Fortunata Boisgobeya	— 75
Pomada na włosy, powieść przez Maurycyego Jokeja	— 15
Trębacz z pod Berezyny, pow. z czasów Napoleona I przekład z francuz.	— 30
Trzech zbiegów czyli podróż po Syberyi, przez Tisso- ta i Konst. Amero	— 50
Oko za oko, ząb za ząb, powieść, przekład z wę- gierskiego, p. Petófi	— 50
Mąż Małgorzaty, powieść, przez Ksawerego Monte- pin'a	— 50
Czarny Rok, powieść z podań szlacheck. 17 wieku, p. M. Synoradzkiego	— 60
Walka życia—Kowal, powieść przez Jerzego Ohneta	— 75
Taniec miliardów, powieść przez Eugenjusza Moret'a	— 90
Dzielnica pracy, powieść przez Henryka Gréville	— 75
Noris, romans współczesny przez Juliusza Claretie	1 —
Niewolnice igły, powieść z angielskiego	— 60
W drodze za chlebem, pow. oryg. p. M. Wołowskiego	1 —
Serce i honor, szkic z wojny Prusko-Francuzkiej 1870—1871 r., p. margrabiego G. de Cherville	— 75









BIBLIOTEKA
NARODOWA

906958

T. 2